

Znalazła chłopaka swoich marzeń.
Jedyny problem? Jeszcze nigdy się nie spotkali...

Mój Alex



Mój Alex

Jenn Bennett

Przekład
OLGA GAŁEK



Redakcja stylistyczna
Barbara Nowak

Korekta
Renata Kuk

Zdjęcie na okładce
© svetikd/iStockphoto

Tytuł oryginału
Alex, Approximately

Alex, Approximately
Copyright © 2017 by Jenn Bennett
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6562-9

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

*Uciekinierom, wycofanym, ukrytym i stojącym z boku.
Prawdopodobnie macie dobry powód, żeby się ukrywać.
Może przejdziecie przez to i znajdziecie swojego wewnętrznego lwa.*

Prywatne zarchiwizowane wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière

@alex: Właśnie ogłosili letni plan darmowych filmów na plaży, żeby wyprzedzić coroczny festiwal. Zgadnij, co Hitchcocka będą pokazywać? *Północ, północny zachód!*

@mink: Naprawdę?! Nienawidzę cię. Ale ja już widziałam PPZ na dużym ekranie rok temu, więc...

@alex: To się nie liczy. Filmy na plaży są fajniejsze. To jak kino samochodowe bez spalin. I kto nie chciałby zobaczyć sceny pościgu w górach Rushmore, kiedy trzymasz nogi w piasku? Mam pomysł. Powiedz tacie, że chcesz go odwiedzić w czerwcu i pójdziemy na film razem.

@mink: Nie jestem dziewczyną z plaży, pamiętasz?

@alex: Nigdy nie byłaś na takiej prawdziwej. Plaże na Wschodnim Wybrzeżu są beznadziejne.

@mink: WSZYSTKIE plaże są beznadziejne. *zerka na program festiwalu* Poza tym, JEŚLI przyjechałabym odwiedzić tatę, to raczej w ostatnim tygodniu festiwalu, żeby zobaczyć te wszystkie filmy Georgesa Mélièsa, które będą pokazywane... W ŚRODKU. To znaczy: bez piasku.

@alex:-----> TO MNIE DOPROWADZA DO SZĄŁU. (Mówisz poważnie? Proszę mów poważnie. Moglibyśmy spotkać się w realu?)

@mink: Nie wiem.

@alex: Jeśli mówisz poważnie, to przyjedź i obejrzyj ze mną *Północ, północny zachód*. Na zewnątrz, na plaży, jak nakazuje natura.

@mink: Filmy nie powinny być oglądane na świeżym powietrzu, ale OK. Jeśli przyjadę, spotkamy się na *Północ, północny zachód* na plaży.

@alex: To randka!

@mink: Hej, nie tak szybko. Powiedziałam „jeśli” przylecę do Kalifornii odwiedzić mojego tatę. Po prostu marzę. To się pewnie nigdy nie zdarzy...

1

Chyba nie dosłyszałem twojego imienia.

Cary Grant Północ, północny zachód (1959)

Mógłby być każdym z tych ludzi.

W sumie nie wiem, jak Alex wygląda. Nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywa. To znaczy, rozmawiamy w sieci już od miesiący, więc coś tam o nim wiem. Jest mądry i słodki i zabawny, i oboje skończyliśmy właśnie nasz pierwszy rok. Łączy nas ta sama obsesja – stare filmy. Oboje lubimy być sami.

Gdybyśmy mieli tylko to jedno wspólne, to bym teraz nie wariowała. Ale Alex mieszka w tym samym mieście co mój tata, a to wszystko jeszcze bardziej... komplikuje.

Ponieważ teraz, kiedy zjeżdżam ruchomymi schodami na lotnisku w centralnej Kalifornii, w okolicy Alexa, obserwowanie obcych ludzi, jak mnie mijają, wywołuje w mojej głowie niekończące się możliwości. Czy Alex jest niski? Wysoki? Czy przeżuwa zbyt głośno, czy ma jakieś irytujące powiedzonko? Czy dłubie przy wszystkich w nosie? Czy może ma bioniczne protezy zamiast rąk? (Notka dla siebie: to nie jest przeszkodą).

No więc tak, spotkanie Alexa w realu mogłoby być wspaniałą sprawą, ale mogłoby być też ogromnym rozczarowaniem. I dlatego nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć o nim jeszcze coś więcej.

Wiecie, nie czuję się dobrze w spotkaniach nos w nos. I nigdy się nie czułam. To, co teraz robię, jadąc przez kraj, tydzień po moich siedemnastych urodzinach, żeby zamieszkać z tatą, to nie jest akt odwagi. To mistrzostwo uniku. Nazywam się Bailey Rydell i jestem notorycznym uciekinierem.

Kiedy moja mama wymieniła mojego tatę na Nate'a Catlina z Kancelarii Catlin LLC – przysięgam na wszystkie świętości, że tak właśnie się przedstawił – nie wybrałam życia z nią zamiast z tatą, bo obiecywała mi to wszystko: nowe ciuchy,

samochód dla mnie, podróż po Europie. Superrzeczy, ale to nie miało znaczenia. (A nawet się nie zdarzyło. Tak między nami). Zostałam z nią tylko dlatego, że byłam zażenowana moim tatą, a myśl o dogadywaniu się z nim, kiedy musi się pozbierać po takim ciosie, była dla mnie czymś nie do udźwignięcia. I nie dlatego, że on mnie nie obchodzi. Właściwie to wręcz odwrotnie.

Ale w ciągu roku wiele się zmienia, i teraz, kiedy mama kłóci się z Nate'em non stop, to czas dla mnie, żeby urwać się z tego obrazka. Tak to jest z uciekinierami. Musisz być elastyczny i wiedzieć, kiedy się poddać, zanim zrobi się dziwnie. Tak jest lepiej dla wszystkich, naprawdę.

Mój samolot wylądował pół godziny temu, ale ja idę dookoła, mam nadzieję, że na tyły bagażowni, gdzie ma mnie odebrać tata. Kluczem do unikania niewygodnych sytuacji jest uderzenie wyprzedzające: upewnij się, że widzisz je pierwszy. I zanim oskarżycie mnie o tchórzostwo, pomyślcie raz jeszcze. To nie jest proste być tak załatwionym. Wymaga planowania i szybkiego refleksu. Przebiegłego umysłu. Moja mama mówi, że mogłabym być świetnym kieszonkowcem, bo znikam szybciej, niż możesz wypowiedzieć: „Gdzie jest mój portfel?” I oto proszę: macie prawdziwego Artfula Dodgera^[1].

I oto proszę: jest mój ojciec. Artful Dodger starszy. Tak jak powiedziałam, minął rok, kiedy ostatnio go widziałam, i ten ciemnowłosy mężczyzna, stojący pod promieniem słońca wczesnego popołudnia, jest zupełnie inny, niż go pamiętam. W lepszej formie, na pewno, ale to nie zaskoczenie. Cieszyłam się jego nowym, wyćwiczonym ciałem, każdego tygodnia, kiedy pokazywał ramiona podczas naszych nocnoniedzielnych rozmów wideo. Ciemniejsze włosy też nie były nowością; Bóg jeden wie, jak drażniłam się z nim na temat farbowania pojawiającej się siwizny, żeby odjąć sobie kilka lat od końcówki czterdziestki.

Ale kiedy obserwuję go tak z ukradka, ukryta za znakiem „Marzyciele Kalifornii”, zdaję sobie sprawę z jednej rzeczy, której się po tacie nie spodziewałam... że będzie taki szczęśliwy.

Może to nie będzie takie bolesne. Głęboki wdech.

Uśmiech wypływa mu na twarz, kiedy wyłaniam się ze swojej kryjówki.

– Mink – mówi, nazywając mnie moim głupim, nastoletnim przezwiskiem.

Nie bardzo mi to przeszkadza, ponieważ tylko on nazywa mnie tak w prawdziwym życiu, a reszta ludzi w bagażowni jest zbyt pochłonięta witaniem się

ze swoimi rodzinami, żeby zwracać na to uwagę. Zanim udaje mi się tego uniknąć, przyciąga mnie i przytula tak mocno, że pękają mi żebra.

Oboje ronimy kilka łez. Przełykam gulę w gardle i zmuszam się, żeby się uspokoić.

– Jezu, Bailey – przygląda mi się zawstydzony. – Właściwie dorosłaś.

– Możesz przedstawiać mnie jako siostrę, jeśli przez to będziesz wyglądał młodziej wśród twoich przyjaciół, maniaków SF – żartuję, żeby pokryć zakłopotanie, i szturcham robota z Zakazanej Planety na jego T-shircie.

– Nigdy. Jesteś moim największym osiągnięciem.

Uff. Jestem zmieszana, że tak łatwo dałam się tym uwieść, i nie mogę wymyślić dowcipnej riposty. Kończę wreszcie na kilku westchnięciach.

Jego palce trzęsą się, kiedy zatyka mi za ucho moje rozjaśnione na platynowy blond pasemka długich włosów, w stylu Lany Turner.

– Tak się cieszę, że tu jesteś. Zostajesz, prawda? Nie zmieniłaś zdania podczas lotu?

– Jeśli myślisz, że zamierzam wrócić z własnej woli do tych walk MMA, które oni nazywają małżeństwem, w ogóle mnie nie znasz.

Nie wychodzi mu ukrycie szaleńczego triumfu, a ja się uśmiecham. Przytula mnie raz jeszcze, ale teraz jest już OK. Najgorsza część naszego przywitania już minęła.

– Zabierzmy twój bagaż. Wszyscy z twojego lotu już to zrobili, więc nie powinno być trudno go znaleźć – mówi, wskazując porozumiewawczo wzrokiem w kierunku karuzeli z bagażami.

Ups. Powinnam wiedzieć. Nie da się wymigać uciekinierowi.

Dorastając na Wschodnim Wybrzeżu, nigdy nie byłam dalej na zachód niż pojedyncza wycieczka szkolna do Chicago, więc dziwnie jest wchodzić w jasne światło słoneczne i patrzeć na tak wielkie błękitne niebo. Wydaje się bardziej płaskie, pozbawione tych skupionych, środkowoatlantyckich czubków drzew, które zasłaniają horyzont – tak płaskie, że mogę zobaczyć szczyty gór opasujące całą krawędź Doliny Krzemowej. Doleciałam do San Jose, najbliższego lotniska i prawdziwego dużego miasta, więc mamy czterdzieści pięć minut jazdy samochodem do nowego domu taty na wybrzeżu. Niezbyt męcząca podróż, szczególnie gdy widzę, że będziemy jechać lśniaco niebieskim, mocnym wozem, z

szeroko otwartym dachem.

Mój tata jest księgowym. Zwykle jeździł najbardziej nudnymi samochodami na świecie. Podejrzewam jednak, że Kalifornia to zmieniła. Co jeszcze zmieniła?

– Czy to twój samochód na kryzys wieku średniego? – pytam, kiedy otwiera bagażnik i wrzuca mój bagaż.

Śmieje się cicho. Z pewnością tak jest.

– Wsiadaj – mówi, sprawdzając telefon. – I wyślij, proszę, mamie esemes, że nie zginęłaś w katastrofie lotniczej, to przestanie mnie męczyć.

– Tak jest, kapitanie.

– Głupota.

– Dziwactwo.

Trąca mnie ramieniem, ja mu oddaję, i ot tak po prostu wpadamy w starą rutynę. Dzięki Bogu. Jego nowy (stary) samochód pachnie sprayem do czyszczenia skóry, a na podłodze nie walają się papiery księgowe, więc zaczynam czuć się traktowana wyjątkowo. Kiedy zapala niesamowicie głośny silnik, włączam telefon po raz pierwszy, odkąd wylądowałam.

Wiadomości od mamy: cztery. Odpowiadam jej najspokojniej, jak mogę, kiedy wyjeżdżamy z lotniskowego parkingu. W końcu dochodzę do siebie po szoku, co zrobiłam – jasna cholera, właśnie się przeprowadziłam. Przypominam sobie, że to nic wielkiego. Wreszcie już zmieniałam szkoły, kilka miesięcy temu, dzięki Nate'owi LLC i mamie, przeprowadzających nas z New Jersey do Waszyngtonu, co właściwie oznacza, że nie zostawiłam za sobą jakichś znaczących znajomych. Odkąd odszedł tata, nie spotykałam się też z nikim, a więc brak również jakichś zaangażowanych chłopców. Ale kiedy sprawdzam niepilne wiadomości w telefonie, zauważam odpowiedź na temat aplikacji filmowej od Alexa i znów zaczynam się denerwować, że jestem w tym samym mieście co on.

@alex: Czy to złe nienawidzić kogoś, kto był twoim najlepszym przyjacielem? Proszę powstrzymaj mnie od planowania jego pogrzebu. Znów.

Wysyłam szybką odpowiedź.

@mink: Po prostu opuść miasto i znajdź nowych przyjaciół. Mniej krwi do posprzątania.

Przyznaję. Mimo wątpliwości, jakie mogę mieć, na myśl o tym, że Alex nie wie, że jestem tutaj, czuję dreszczyk emocji. Z drugiej strony, on nigdy nie wiedział

dokładnie, gdzie jestem. Wciąż myślę, że mieszkam w New Jersey, ponieważ nigdy nie zaprzętałam sobie głowy zmianą swojego profilu po przeniesieniu się do Waszyngtonu.

Kiedy Alex poprosił mnie po raz pierwszy, żebym przyjechała i obejrzała z nim *Północ, północny zachód*, nie byłam pewna, co myśleć. Nie jest to ten rodzaj filmów, na który zapraszasz dziewczynę, jeśli chcesz zdobyć jej serce – przynajmniej serce większości dziewczyn. Mówię o jednym z najlepszych filmów Alfreda Hitchcocka – z Cary Grantem i Evą Marie Saint. To thriller o pomyłce co do tożsamości bohatera. Zaczyna się w Nowym Jorku, a kończy na zachodzie, gdzie Cary Grant jest ścigany w górach Rushmore. Scena pościgu to jedna z ikon historii kina. Ale teraz za każdym razem, kiedy myślę, by go zobaczyć, wyobrażam sobie siebie jako uwodzicielską Evę Marie Saint i Alexa jako Cary Granta, jak szaleńczo się w sobie zakochujemy. Nieważne, że właściwie w ogóle się nie znamy. I oczywiście wiem, że to tylko fantazja, a rzeczywistość może być dużo dziwniejsza. Dlatego mam plan: po cichu wyśledzę Alexa, zanim pokażą *Północ, północny zachód* na letnim festiwalu.

Nie powiedziałam, że to dobry plan. Albo łatwy plan. Ale to lepsze niż kłopotliwe spotkanie z kimś, kto wygląda super na papierze, ale w prawdziwym życiu może zburzyć moje marzenia. A więc zrobię to na sposób Artfula Dodgera – z bezpiecznego dystansu, tak by żadne z nas nie zostało zranione. Mam spore doświadczenie ze złymi nieznajomymi. To najlepszy sposób, wierzcie mi.

– Czy to on? – pyta tata.

Szybko chowam telefon.

– Kto?

– Jak-mu -tam. Twoja filmowa bratnia dusza.

Niewiele tacie mówiłam o Aleksie. To znaczy wie, że Alex mieszka w tej okolicy, i nawet żartobliwie wykorzystał to jako przynętę, żebym tu przyjechała, kiedy wreszcie uznałam, że nie da się dłużej mieszkać z mamą i Nate'em.

– On rozważa morderstwo – mówię tacie. – Więc prawdopodobnie spotkam go w ciemnej alejce dziś wieczorem i wskoczę do jego nieoznakowanego vana. Tak może być, prawda?

Na ułamek sekundy pojawia się między nami ukryte napięcie. Wie, że się z nim tylko drocę, że nigdy bym tak nie ryzykowała, nie po tym, co zdarzyło się w

naszej rodzinie cztery lata temu. Ale to przeszłość, a tata i ja jesteśmy teraz przyszłością. Nic, tylko słońce i palmy przed nami.

Parska.

– Jeśli ma vana, nie licz na to, że uda się go wysledzić. – Cholera, czy wie, że rozważałam taki pomysł? – Tam, dokąd jedziemy, wszyscy mają vany.

– Przeróżające vany molestujących?

– Bardziej jak vany hipisów. Zobaczysz. Coronado Cove jest inne.

Pokazuje mi dlaczego, kiedy zjeżdżamy z międzystanowej – przepraszam, „autostrady”, według miejscowych. Tak twierdzi tata. Coronado Cove, kiedyś lokalizacja historycznej misji w Kalifornii, teraz jest turystycznym miastem pomiędzy San Francisco i Big Sur. Dwadzieścia tysięcy mieszkańców i dwa razy tyle turystów. Przyjeżdżają z trzech powodów: lasu sekwojowego, prywatnej plaży nudystów i surfingu.

Och, tak, powiedziałam „las sekwojowy”.

Przyjeżdżają z jeszcze jednego powodu, co niedługo zobaczę na własne oczy i co skręca mi żołądek, kiedy tylko o tym myślę. A więc nie. Nie teraz. Ponieważ miasto jest jeszcze ładniejsze niż na zdjęciach, które przesłał mi tata. Pagórkowate, obsadzone cyprysami ulice. Stiukowe, w hiszpańskim stylu, budynki z terakotowymi dachówkami. Przydymione, purpurowe góry w oddali. I nagle wjeżdżamy na Gold Avenue, dwupasmową krętą drogę, która otacza kręte wybrzeże, i wreszcie to widzę: Pacyfik.

Alex miał rację. Plaże na Wschodnim Wybrzeżu są beznadziejne. To... zapiera dech w piersiach.

– Jest taki niebieski – mówię, choć wiem, jak głupio brzmię, ale nie jestem w stanie lepiej opisać wody w kolorze jasnej akwamaryny, omywającej piasek. Jej zapach czuję nawet w samochodzie. Słony i czysty, i zupełnie nie taki, jak na plażach w dawnym domu. Tam było pełno jodu, o posmaku gotującego się metalu. Nie zachęcało do odsłonięcia okna.

– Mówiłem, prawda? Tu jest raj – odzywa się tata. – Teraz wszystko pójdzie lepiej. Obiecuję, Mink.

Odwracam się do niego i uśmiecham. Chcę wierzyć, że może mieć rację.

I wtedy jego głowa leci na przednią szybę, a samochód skrzeczy, gwałtownie hamując.

Mój pas bezpieczeństwa zamienia się w metalowy pręt wbijający się w moją klatkę piersiową, kiedy lecę do przodu i opieram ręce na desce rozdzielczej. W ustach czuję delikatny ból i smak miedzi. Wysoki pisk, który wydobywa się ze mnie, z czego zdaję sobie sprawę, jest zdecydowanie zbyt głośny i dramatyczny; poza moim przygryzionym językiem, nikt nie ucierpiał, nawet samochód.

– Wszystko w porządku? – pyta tata.

Bardziej zażenowana niż wystraszona, kiwam głową, że tak, a potem zauważam powód naszej kraksy: dwóch nastoletnich chłopaków na środku jezdni. Obaj wyglądają jak chodząca reklama olejku kokosowego do opalania – potargane, jasne od słońca włosy, szorty do surfingu i napięte mięśnie. Jeden ciemny, drugi jasny. Ale blondyn jest jak cholera wkurzony i uderza w dach samochodu pięścią.

– Patrz, jak jedziesz, dupku – krzyczy, wskazując na kolorowy, ręcznie malowany znak o przejściu dla surferów niosących swoje deski przez Abbey Road. Na górze widnieje napis: „Witamy w Coronado Cove”. A na dole: „Bądź miły – ustąp pierwszeństwa surferom”.

Hm, aha, nie. To nie jest żaden oficjalny znak, a nawet jeśli by nawet był, nie ma tutaj prawdziwego przejścia, a ten białowłosy koleś z nagą klatą nie ma deski. Ale za Chiny tego nie powiem, bo (A) krzyczałam jak żona z lat pięćdziesiątych, (B) nie wdaję się w konfrontacje. Zwłaszcza z gościem, który wygląda, jakby nawąchał się czegoś wyprodukowanego w brudnej przyczepie.

Jego brązowowłosy znajomek ma chociaż na tyle przyzwoitości, że nosi T-shirt podczas tego nielegalnego przechodzenia przez jezdnię. Poza tym jest niezwykle przystojny (dziesięć punktów) i próbuje odciągnąć swojego w gorącej wodzie kąpanego kumpla z drogi (dwadzieścia punktów). A kiedy to robi, zauważam brzydką, poszarpaną bliznę, ciągnącą się od rękawa wyblakłego T-shirta do jasnoczerwonego zegarka na nadgarstku, jakby jakiś Frankenstein dawno temu przyszył mu ramię. Może nie pierwszy raz usuwa przyjaciela z drogi. Wygląda na tak samo zażenowanego jak ja, wśród tych wszystkich trąbiących samochodów za nami, a kiedy wreszcie odciąga kolegę, unosi dłoń do mojego taty i mówi:

– Sorry, człowieku.

Tata grzecznie odmachuje i czeka, aż obaj znikną, nim ostrożnie znów naciska pedał gazu. Jedź szybciej na miłość boską. Przyciskam bolący język do zębów,

żeby sprawdzić, gdzie się ugryzłam. A kiedy odurzony blondas nadal na nas krzyczy, chłopak z blizną na ramieniu patrzy na mnie, jego włosy rozwiewa wiatr, a słońce podświetla loki. Na ułamek sekundy wstrzymuję oddech i zerkam na niego, a potem znika mi z oczu.

Czerwone i niebieskie światła migają na drodze. Świetnie. Czy coś takiego traktowane jest jako wypadek? Z pewnością nie, bo samochód policyjny nas mija. Odwracam się na siedzeniu i widzę policjantkę. Wystawionym przez okno i zabarwionym na purpurowo ramieniem przesyła ostrzeżenie tym dwóm chłopakom.

– Surferzy – mówi tata pod nosem, jakby to było najgorsze przekleństwo na świecie. A kiedy policjantka i chłopcy znikają za szerokim pasem złotego piasku, nie mogę powstrzymać się od obaw, że tata trochę przesadził z tym rajem.

Prywatne zarchiwizowane wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière

@alex: Zajęta dziś wieczorem?

@mink: Tylko prace domowe.

@alex: Chcesz obejrzeć *Biga Lebowskiego*? Możesz przez streama.

@mink: *mruknięcie* Kto to jest? Czy jakiś przypadkowy student przejął twoje konto?

@alex: To jest DOBRY FILM. Klasyczni bracia Coenowie, a ty uwielbiasz *Bracie, gdzie jesteś?* No weź... będzie zabawnie. Nie bądź filmowym snobem.

@mink: Nie jestem filmowym snobem. Jestem snobem starych filmów.

@alex: A ja nadal cię lubię... Nie zostawiaj mnie tutaj zmuszonego siedzieć na miejscu, znudzonego i samotnego, kiedy czekam, żeby zebrać się na odwagę i błagać twoich rodziców o bilet lotniczy do Kalifornii, żebyś mogła zobaczyć *Północ, północny zachód* na plaży, z uroczym, znajomym maniakiem starych filmów. Przesyłam ci aktualnie cielece oczy.

@mink: O rany, jakieś wskazówki, dużo?

@alex: Zauważyłaś? *uśmiech* No weź. Obejrzyj ze mną. Muszę dziś pracować do późnej nocy.

@mink: Oglądasz filmy w pracy?

@alex: Kiedy nie ma ruchu. Słowo, i tak mam lepszą pracę niż mój współpracownik, znany również jako Tępak. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek był dobry w pracy.

@mink: Och, wykolejony Kalifornijczyku, *kręci głową*

@alex: To co, mamy randkę? Możesz robić prace domowe, oglądając. Mogę nawet pomóc. Jakie inne wymówki jeszcze masz? Pozwól, że je od razu obalę: możesz umyć głowę w trakcie początkowych napisów, możemy zacząć oglądać, jak zjesz kolację, a jeśli twojemu chłopakowi nie podoba się pomysł oglądania filmu przez Internet z kimś online, to powinnaś z nim zerwać, *pronto*. No i co powiesz?

@mink: Masz szczęście, jeśli wybierzesz inny film. Włosy mam czyste, kolację

jem zwykle koło ósmej i jestem sama. Nie żeby to miało jakieś znaczenie.

@alex: Hm. Ja też. Nie żeby to miało jakieś znaczenie...

2

Przekrzyczę wszystkich. Nie bierzcie tego do siebie.

Anna Kendrick, Pitch Perfect (2012)

Widziałam nowe gniazdko taty podczas naszych rozmów wideo, ale dziwnie było oglądać je teraz osobiście. Schowane, w cichej, zacienionej uliczce, która graniczyła z lasem sekwoi, było bardziej jak chata niż dom, z kamiennym kominkiem na dole i dwiema małymi sypialniami na górze. To raczej jak domek do wynajęcia na wakacje, więc całe szczęście, że miałam własną łazienkę.

Najfajniejszą rzeczą w domu był osłonięty ganek z tyłu. Nie tylko miał hamak, ale był również zbudowany wokół dużej sekwoi, która rosła w samym jego środku, prosto przez dach. Chociaż to to, co stało na zewnątrz ganku, na podjeździe, drażniło moje nerwy za każdym razem, kiedy na to zerkiałam: jasnoturkusowa, stara vespa z siodełkiem obitym imitacją skóry lamparta.

Skuter.

Mój.

Ja na skuterze.

Hurra?

Miała mały silnik i cienkie, z białymi bokami, opony, i mogła wyciągnąć jedynie sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, ale jej szkielet z lat sześćdziesiątych został w pełni odrestaurowany.

– To twój pojazd do uciekania – powiedział tata dumnie, kiedy zabrał mnie na tył domu, żeby mi pokazać ją po raz pierwszy. – Wiedziałem, że musisz mieć coś, czym będziesz jeździć do pracy tego lata. A jesienią możesz jeździć do szkoły. Nawet nie potrzebujesz specjalnego prawka.

– To szaleństwo – powiedziałam mu. I cudowne. Ale szaleństwo. Martwiłam się, że będę się wyróżniać.

– Na ulicach miasta są setki takich samych – stwierdza tata. – Miałem do

wyboru to lub vana, ale jeśli nie musisz holować desek, pomyślałem, że to będzie lepsze.

– To bardzo w stylu Artfula Dodgera – przyznaję.

– Możesz udawać, że jesteś Audrey Hepburn w *Rzymskich wakacjach*.

Boże, on naprawdę wie, jak mnie kupić. Widziałam ten film kilkanaście razy, a on o tym wiedział.

– Podoba mi się to siodełko retro w lamparta.

I pasujący kask. Już ochrzciłam skuter mianem Baby, na cześć jednego z wciąż najbardziej ulubionych moich filmów, *Drapieżne maleństwo* – świrnięta komedia z lat trzydziestych dwudziestego wieku. Cary Grant i Katharine Hepburn grają tam niedopasowaną parę, połączoną perypetiami z powodu młodego lamparta, Baby. W chwili, kiedy wybrałam imię, zdecydowałam. Nie wracam. Ona była moja. Tata nauczył mnie, jak na niej jeździć – jeździłam w tę i z powrotem po ulicy obok niego z milion razy, aż w końcu znalazłam w sobie siłę na jazdę po mieście, chrzanić piekło czy wielką wodę, czy narwanych surferów.

Tata przeprasza, że musi iść do pracy następnego dnia, ale to mi nie przeszkadza. Spędzam dzień na rozpakowywaniu i jeżdżeniu wokoło na moim skuterze, pomiędzy drzemkami w hamaku. Drzemki to efekt jet lagu. Kilka razy piszę do Alexa, ale ściemnianie o tym, co robię latem, przychodzi mi z większym trudem, niż sądziłam. Może będzie łatwiej, gdy się już tutaj odnajdę.

Dzień mija, potem noc spędzona z tatą na graniu w *The Settlers of Catan* – to nasza ulubiona gra planszowa – i jestem zmuszona poddać swoją nowo odkrytą niezależność testowi. Jedną z wątpliwości, jakie miałam co do przyjazdu tutaj, było znalezienie pracy na lato w Coronado, ale tata pociągnął za kilka sznurków. Brzmiało to nieźle, kiedy byłam jeszcze w Waszyngtonie. Jednak teraz, tutaj, trochę żałuję, że się zgodziłam. Za późno już jednak na odwrót.

– Letni sezon turystyczny czeka na nowe twarze – mówi mi tata, kiedy narzekam.

Tata budzi mnie bardzo wcześnie, zanim wyjdzie do pracy, ale ja niestety znów zasypiam. A gdy się budzę, jestem spóźniona, więc ubieram się zdenerwowana i wybiegam z domu. Jedną rzecz, której się nie spodziewałam, przeprowadzając się tutaj, to poranna mgła od wybrzeża. Wisi na sekwojach jak koronkowy, szary koc, utrzymując wszystko w chłodzie aż do późnego ranka. Potem przegania ją słońce.

Jasne, mgła ma oczywiście swój powab, ale kiedy muszę jechać skuterem przez zalesione sąsiedztwo mojego taty, gdzie gałęzie i tu, i tam zwisają nisko jak palce, nie jest to moja najbardziej ulubiona rzecz na świecie.

Uzbrojona w mapę i węzeł w żołądku wielkości Rosji, mierzę się z mgłą i prowadzę Baby do miasta. Tata oczywiście pokazał mi w wozie drogę, ale ja wciąż powtarzam wskazówki w głowie, na każdym przystanku. Nie ma jeszcze dziewiątej rano, więc większość ulic jest pusta, dopóki nie docieram do straszliwej Gold Avenue. Miejsce, do którego jadę, to ledwie kilka bloków dalej w dół tej krętej, zakorkowanej ulicy, ale muszę przejechać przez promenadę (diabelski młyn, głośna muzyka, miniaturowy golf), uważać na turystów przechodzących na drugą stronę jezdni, by dostać się na plażę, po śniadaniu w Pancake Shack – skąd pachnie c-u-d-o-w-n-i-e, tak przy okazji, i O BOŻE, skąd wzięli się ci wszyscy skaterzy?

Kiedy już prawie umieram z wylewu do mózgu spowodowanego stresem, widzę klif, wznoszący się wzdłuż wybrzeża na końcu promenady i znak: „The Cavern Palace”.

Moja letnia praca.

Zwalniam, naciskając na hamulec ręczny, i skręcam na drogę dla pracowników. Po prawej mam główną drogę, która biegnie klifem do parkingu dla gości, dzisiaj pustego. „Jaskinię”, jak nazywają ją lokalni mieszkańcy, o czym powiedział mi tata, zamknięto na szkolenie i jakieś oddymianie na zewnątrz, co zresztą czuję już stąd, bo śmierdzi jak cholera. Jutro zaczyna się oficjalny letni sezon dla turystów, więc dzisiaj będzie wprowadzenie, to znaczy zaznajomienie z obowiązkami nowych sezonowych pracowników. Włącznie ze mną.

Tata prowadził dla Jaskini księgowość i zna głównego menedżera. Tak załatwił mi pracę. Inaczej, wątpię, by zrobiło na kimś wrażenie moje, raczej skromne, CV. Zawiera dokładnie jedno pilnowanie dziecka latem i kilka miesięcy pracy po szkole, przy wypełnianiu papierów prawniczych w New Jersey.

Ale to wszystko przeszłość. Mimo takich nerwów, że mogłabym zarzygać fikuśny staromodny szybkościomierz w mojej Baby, jestem też trochę podekscytowana pracą tutaj. Lubię muzea. Nawet bardzo.

Oto czego dowiedziałam się o Jaskini w Internecie: Vivian i Jay Davenport wzbogacili się podczas pierwszej wojny światowej. Przyjechali wtedy z San

Francisco, by kupić tę posiadłość na wakacyjne wypady na plażę, i znaleźli trzynaście milionów dolarów w złotych monetach, ukrytych wewnątrz jaskini w klifach. Ekscentryczna para za tę fortunę wybudowała stupokojową rezydencję na plaży, tuż przy wejściu do jaskini, i wypełniła ją egzotycznymi antykami, ciekawostkami i dziwnostkami, kolekcjonowanymi podczas podróży po świecie. W latach dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku urządzali tu szalone imprezy wypełnione alkoholem, na które zapraszali bogatych ludzi z San Francisco, by im podsuwać gwiazdki z Hollywood. Wszystko skończyło się na początku lat pięćdziesiątych, kiedy Vivian zastrzeliła Jaya, a potem popełniła samobójstwo. Po dwudziestu latach zaniedbywania rezydencji ich dzieci zdecydowały, że lepiej zrobią, jeśli otworzą ją dla publiczności jako atrakcję turystyczną.

Okej, więc tak, dom z pewnością jest ekscentryczny i dziwny, a połowa tak zwanej kolekcji jest nieprawdziwa, ale prawdopodobnie można znaleźć tam jakieś pamiątki ze złotego wieku Hollywood. I, hej, praca tutaj będzie o niebo lepsza od wypełniania prawniczych dokumentów.

Rząd krzaków kryje parking dla pracowników, upchnięty za jednym ze skrzydeł rezydencji. Parkuję Baby na wolnym miejscu obok innego skutera, nie niszcząc niczego – brawo ja! – a potem stawiam podpórkę i zapinam łańcuch na tylnym kole, aby zabezpieczyć Baby. Mój kask trze o kosz, kiedy zapinam skuter. Mogę iść.

Nie wiedziałam, co uważa się za odpowiedni strój na wprowadzenie, więc włożyłam sukienkę na ramiączkach w stylu lat pięćdziesiątych i lekki kardigan. Moje loki upięte à la Lana Turner jakoś przeżyły jazdę, makijaż nadal wygląda dobrze. Jednak kiedy widzę kilka osób wchodzących bocznymi drzwiami w klapkach i w szortach, czuję się zbyt wystrojona. Ale już za późno na zmianę, więc idę za nimi do środka.

Wygląda to na boczny korytarz z biurami i pokojem śniadaniowym. Znużona kobieta siedzi za ladą. Nie widać nigdzie tych, za którymi szłam, ale jakaś inna dziewczyna zatrzymuje się przy ladzie.

– Nazwisko? – pyta znużona kobieta.

Dziewczyna jest nieduża, gdzieś w moim wieku, ciemnoskóra i ma krótkie czarne włosy. Też jest elegancko ubrana, więc czuję się nieco lepiej.

– Grace Achebe – odpowiada cieniutkim głosikiem, najwyższym, jaki kiedykolwiek słyszałam. Ma silny angielski akcent. Tembr jej głosu jest tak delikatny, że kobieta za ladą prosi ją o powtórzenie nazwiska. Dwa razy.

W końcu udaje się ją zarejestrować i dostaje kupkę papierów dla nowo zatrudnionych, zanim zostaje skierowana do pokoju śniadaniowego. Jestem dokładnie tak samo potraktowana, kiedy przychodzi moja kolej. Wygląda na to, że dwadzieścia lub więcej młodych osób wypełnia teraz papiery. Ponieważ nie ma wolnego stołu, siadam obok Grace.

Grace szepcze do mnie:

– Ty też tutaj jeszcze nigdy nie pracowałaś?

– Nie. Jestem nowa – odpowiadam i dodaję: – W mieście.

Zerka na moje papiery.

– Och. Jesteśmy w tym samym wieku. Brightsea czy Oakdale? Czy prywatna?

– Zaczynam w Brightsea na jesieni.

– Bliźniaczki – mówi z uśmiechem, wskazując na miejsce edukacji. Po przyjeździe kilku nowych osób dzieli się ze mną kolejnymi informacjami. – Zatrudniają około dwudziestu pięciu osób każdego lata. Słyszałam, że praca jest nudna, ale łatwa. Lepsze to niż czyszczenie różowych cukierkowych wymiocin z promenady.

Nie mogę się z tym nie zgodzić. Już wypełniłam główną aplikację przez Internet, ale dali nam podręcznik i całą masę innych dziwnych dokumentów do podpisania. Zasadę poufności. Zgodę na losowe badania antynarkotykowe. Prośbę o nieużywanie w muzeum Wi-Fi do porno. Ostrzeżenie o kradzieży strojów służbowych.

Grace jest tak samo zdezorientowana jak ja.

– Zakaz konkurencji? – mruczy. Patrzy na coś, co musimy podpisać, obiecując, że nie przyjmujemy podobnej pracy w odległości stu kilometrów od Coronado Cove, przez trzy miesiące od zakończenia pracy tutaj. – Co oni rozumieją przez podobną pracę? Czy to jest w ogóle legalne?

– Pewnie nie – odszeptuję. Przychodzi mi na myśl Nate LLC wciąż dający prawnicze rady mojej mamie, jakby sama nie była prawnikiem.

– Cóóóó, to nie jest mój legalny podpis – mówi z tym swoim ładnym angielskim akcentem, robiąc nieokreślony, falisty ruch na formularzu i unosząc brew w moją stronę. – A jeśli nie dadzą mi wystarczającej liczby godzin, skieruję się

prosto do najbliższej rezydencji w skale w obrębie stu kilometrów.

Nie zamierzałam śmiać się tak głośno, więc wszyscy na nas patrzą. Szybko milknę i dokańczamy wypełnianie papierów. Oddajemy je i zostają nam przydzielone szafki. Obie dostajemy też najbrzydsze marynarki, jakie widziałam w życiu. Mają kolor gnijącej dyni. Nie musimy ich wkładać na wprowadzenie, ale musimy przypiąć plaketkę z hasłem: „Dzień dobry, mam na imię...” A kiedy już wszyscy je przyczepili, kierujemy się korytarzem dla pracowników, przez stalowe drzwi (na których jest znak przypominający nam, że mamy się uśmiechać), prosto do głównego lobby.

Jest ogromne. Odgłos naszych kroków odbija się echem od skalnych ścian, kiedy się okręcamy, by się rozejrzeć. Wejście do jaskini jest na tyłach lobby, a wszystkie stalagmity i inne ity są podświetlone na pomarańczowo. Nieco upiorny widok. Przechodzą mnie ciarki. Zostajemy poprowadzeni rozległym lobby, obok okrągłej lady informacyjnej i sklepu z pamiątkami, który wygląda, jakby żywcem przeniesiono go z Londynu lat osiemdziesiątych, do leżącego nieco niżej holu hotelowego wypełnionego kanapami, które mogłyby być skradzione z odcinka *The Brady Bunch...* wszystkie w dokładnie tak samo ohydny kolorze jak nasze marynarki. Wyczuwam temat.

– Witam nowych sezonowych pracowników – mówi mężczyzna w średnim wieku. On również ma na sobie dyniową marynarkę i krawat z logo Cavern Palace w stylu art déco. Zastanawiam się, czy taki mają wszyscy mężczyźni pracownicy, czy też kupił go sobie w sklepie z pamiątkami ze zniżką dla pracowników. – Jestem pan Cavadini, zarządzam parterem muzeum. Wszyscy będziecie przypisani do kierowników grupy. Kierownicy raportują mnie. To ja ustalam grafiki i akceptuję wasze karty pracy. A więc możecie mnie uważać za osobę, której najbardziej chcecie zaimponować przez najbliższe trzy miesiące.

Mówi to z przejęciem pracownika zakładu pogrzebowego i marszczy brwi podczas przemowy. Może dlatego, że jego ciemnoblonde włosy rosną nienaturalnie nisko nad czołem, przez co czoło wydaje się o połowę niższe, niż powinno.

– Co za pojebany typ – stwierdza Grace tym swoim cienkim głosikiem tuż przy moim ramieniu.

Wow. Słodka, mała Grace ma niewyparzoną gębę. Ale się nie myli. A kiedy pan

Cavadini zaczyna dawać nam wykład na temat historii Jaskini i jak ona przyciąga pół miliona turystów każdego roku, przyłapuję się na tym, że się rozglądam wokoło i myślę, do czego mogę być przypisana – informacji, oprowadzania turystów, do biura rzeczy zagubionych, sklepu z pamiątkami... Zastanawiam się, które z tych miejsc pozwoli mi mieć do czynienia z najmniej niezadowolonymi klientami. W formularzu zaznaczyłam opcje „na tyłach” i „wolę pracować sama”.

Na drugim piętrze na balkonie są rozstawione stoliki do kawy i naprawdę mam nadzieję, że nie utknę w pracy z jedzeniem. A z drugiej strony, jeśli bym pracowała w kawiarni, mogłabym oglądać nie tylko naturalnej wielkości reprodukcje statków pirackich na suficie, ale także wychudzone morskie potwory atakujące statki. Odznacz to jako „nieoryginalną” część kolekcji dziwnostek Davenportów.

Jakiś ruch przyciąga mój wzrok. Po wyciętych w skale schodach, które otaczają piracki statek, schodzi dwóch ochroniarzy muzeum przyodzianych w czarne uniformy. Mrugam, nie wierząc własnym oczom. Jak małe jest to miasto? Ponieważ jednym z ochroniarzy jest ciemnowłosego koleś z wczoraj, który próbował odciągnąć swojego kumpla z drogi. Tak, to zdecydowanie on: gorący surfer z raną od Frankensteina na ramieniu.

Zaczynam panikować.

– A teraz – mówi pan Cavadini – podzielicie się na dwie grupy i zwiedzicie muzeum z naszymi ochroniarzami. Ta strona, proszę iść za starszym oficerem, Jerryem Pangbornem, który pracuje dla Cavern Palace, odkąd otwarto go dla publiczności, czterdzieści lat temu.

Wskazuje na lewą stronę grupy w kierunku rzadkich włosów starszego człowieka, które sterczą, jakby właśnie zdetonował puszkę chemikaliów w laboratorium. Jest niezwykle przyjazny i słodki, i mimo że nie byłby pewnie w stanie zatrzymać dziesięcioletniego opryszka podczas kradzieży cukierka ze sklepu z pamiątkami, żwawo pokierował swoją grupę rekrutów na lewą stronę lobby, do wielkiego łuku zwanego skrzydłem Vivian.

Pan Cavadini wskazał surferowi, by zbliżył się do naszej grupy.

– A to jest Porter Roth. Pracuje z nami od około roku. Niektórzy z was mogli słyszeć o jego rodzinie – mówi wypranym z emocji głosem, co wzbudza we mnie myśl, że nie ma o nich zbyt dobrego mniemania. – Jego dziadek Bill „Pennywise”

Roth był surfującą legendą.

Delikatnie och rozchodzi się po grupie, kiedy pan Cavadini ucisza nas jedną ręką i mrukliwie informuje, że spotkamy się z nim za jakieś dwie godziny na rozdział grafiku. Jedna część mojego mózgu krzyczy: dwie godziny? A druga próbuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszałam o tym Pennywisie Rocie. Czy to prawdziwy celebryta, czy tylko lokalna legenda, która miała swoje pięć minut sławy dawno temu? Ponieważ znak na Pancake Shack przy promenadzie głosi, że ich migdałowe naleśniki słyną na cały świat. No, błagam, i co z tego?

Pan Cavadini kieruje się w stronę korytarza dla pracowników i zostawia nas sam na sam z Porterem. A ten nie marnuje czasu. Krąży wokół nas, by nam się przyjrzeć. Ma w ręku kilka wydruków zwiniętych w tubę, którą uderza w nogę, kiedy tak chodzi. Nie zauważyłam tego wczoraj, ale jest dość wyluzowany. To luz, który ma świadczyć, że jestem chłopcem złym, seksownym, zbuntowanym. Jednak Porter jest zbyt zadbany, żeby ten luz był naturalny. Ale w muśniętych słońcem brązowych włosach ma też te niesforne, luźne loki, które byłyby odpowiednie dla surfera, ale nie dla ochroniarza. Są za długie, zbyt rozwichrzone.

Podchodzi bliżej, a uciekinier we mnie nie jest z tego powodu szczęśliwy. Staram się uspokoić i schować za Grace. Ale ona jest sporo niższa ode mnie, więc zamiast tego znajduję siebie patrzącą zza jej krótko ściętych, czarnych włosów prosto w twarz Portera.

Staje dokładnie przed nami, po czym przykłada na chwilę tubę z ulotek do oka jak teleskop.

– Cóż, no dobrze – mówi z rozwlekłym kalifornijskim zacięciem i uśmiecha się leniwie. – Wygląda na to, że miałem szczęście i trafiłem na grupę ślicznotek. Cześć, Gracie.

– Hej, Porter – odpowiada Grace z nieśmiałym uśmiechem.

Okej, a więc się znają. Zastanawiam się, czy to Porter powiedział jej, że praca jest nudna, ale łatwa. Nie wiem nawet, czemu mnie to obchodzi. Chyba najbardziej skupiam się na tym, że pamięta mnie z wczorajszego samochodu. Trzymam kciuki w nadziei, że nie słyszał tego tchórzliwego wrzasku, jaki z siebie wydałam.

– Kto jest gotowy na prywatne zwiedzanie? – pyta Porter.

Nikt nie odpowiada.

– Nie wszyscy naraz. – Wyciąga jedną z ulotek ze swojej zwiniętej tuby, widzę napis „mapa dla pracowników” na górze kartki, i podaje mi ją, patrząc na moje nogi. Czy on mnie lustruje? Nie jestem pewna, jak się z tym czuję. Teraz żałuję, że nie mam na sobie spodni.

Kiedy próbuję wziąć mapę, przytrzymuje ulotkę, a ja jestem zmuszona wyrwać ją z jego palców. Róg kartki się urywa. Szczeniacki numer. Rzucam mu wściekle spojrzenie, ale on tylko się uśmiecha i pochyla bliżej.

– Teraz – mówi – chyba nie zamierzasz krzyczeć jak wczoraj, prawda?

Prywatne zarchiwizowane wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière

@alex: Czułaś się kiedyś jak oszust?

@mink: Co masz na myśli?

@alex: Jak osoba, która zachowuje się inaczej w szkole, inaczej z rodziną i jeszcze inaczej z przyjaciółmi. Jestem już zmęczony życiem zgodnie z oczekiwaniami innych ludzi. Czasem próbuję pamiętać, kim jestem naprawdę, i nawet nie wiem.

@mink: Mnie się to przydarza każdego dnia. Nie dogaduję się najlepiej z ludźmi.

@alex: Nie? To mnie zaskoczyłaś.

@mink: Nie jestem nieśmiała czy coś w tym rodzaju. To po prostu... okej, to może zabrzmie dziwnie, ale nie lubię być na widoku. Ponieważ, kiedy ktoś mówi do mnie, mówi i mówi i mówi, jest wszystko dobrze, dopóki nie spyta mnie o moją opinię, np. „Co myślisz o czekoladowych ciasteczkach?” A ja ich nienawidzę.

@alex: Ty też?

@mink: Nie każdy je lubi, no wiesz (lubię cukrowe, gdybyś się zastanawiał). W KAŻDYM RAZIE, jeśli ktoś mnie pyta, kiedy jestem na widoku, próbuję wyczytać z jego twarzy, czego ode mnie oczekuje, że powiem, i po prostu to mówię. Co oznacza, że kończę stwierdzeniem, że lubię czekoladowe ciasteczka, chociaż tak naprawdę ich nie lubię. I wtedy czuję się jak oszust, i zastanawiam się, czemu to robiłam?

@alex: JA ROBIĘ TO CAŁY CZAS. Co gorsza, kiedy jest już po wszystkim, nie jestem pewien, czy lubię czekoladowe ciasteczka, czy nie.

@mink: A lubisz?

@alex: Uwielbiam. Jestem fanem wszystkich ciasteczek poza owsianymi.

@mink: Widzisz? To było proste. Jeśli kiedykolwiek będziesz miał problem z określeniem, kim jesteś, zapytaj mnie. Ja będę twoim lustrem. Zero presji, zero oczekiwań.

@alex: Umowa stoi. Dla ciebie będę w 100 procentach sobą, nienawidzącym owsianych ciasteczek sobą.

3

To nie moja wina, że jesteś tak jakby zakochany we mnie lub coś w tym rodzaju.

Lindsay Lohan *Wredne dziewczyny* (2004)

Porter rozdaje resztę map, a głosy drugiej grupy stopniowo cichną. Potem posłusznie ruszamy za nim na drugą stronę lobby, przez łuk zwany skrzydłem Jaya, gdzie zbyt zimne powietrze lobby wymienia się z ciepłym powietrzem rezydencji.

Czuję, że powinnam cieszyć się tą częścią wprowadzenia, ale jestem tak zdenerwowana, że Porter mnie rozpoznał, że nie zwracam uwagi na otoczenie. Chciałabym stąd zniknąć, ale jest nas jedynie piętnastka, a Grace beztrząsownie ciągnie mnie za ramię na początek grupy. Teraz idziemy tuż za nim – bardzo blisko. Prawdopodobnie sądzi, że podziwiamy jego tyłek, który zresztą jest całkiem niezły, jeśli mam być szczerą.

– W skrzydle Jaya są czterdzieści dwa pokoje. To największa na świecie zamieszkała przez ludzi jaskinia – mówi Porter i zatrzymuje się na środku pokoju dziennego wypełnionego wszystkim, co wiąże się z pociągami. Sygnalizacja kolejowa. Tory. Siedzenia z pierwszej klasy przedziału pasażerskiego z czasów wiktoriańskich, z wypchanymi welurowymi poduszkami. Na tyłach pokoju jest nawet staromodna kasa biletowa z Londynu, która wygląda na przerobioną na bar. – Nasi ukochani, szaleni milionerzy kochali polowanie, hazard, podróże pociągami, picie i piratów – powiedział Porter. – Piratów w szczególności. Ale któż ich tak naprawdę nie lubi?

No dobra, chłopak ma pewien czar. Nie jestem odporna na czar. A kiedy mówi, dociera do mnie, że ma niski, zachrypnięty głos, który brzmi jak głos z gry wideo – spokojny i arogancki jednocześnie. Boże, idę o zakład, że facet jest zakochany w sobie.

A poza tym czemu on nas oprowadza? Wydawało mi się, że ochroniarze stoją

wokoło i czekają, by krzyknąć na punka, który kładzie swoje brudne łapy na obrazach.

Kiedy kierujemy się do kolejnego pomieszczenia, już wiem dlaczego.

– To jest Pokój Jednorękiego Bandyty – mówi, idąc tyłem. Pokój wypełnia płatanina kontuarów, przy których możesz usiąść i zagrać na jednym z setek różnych antycznych jednoręcznych bandytów. Wygląda na to, że te najrzadsze są za sznurami.

Porter staje.

– Możecie teraz zadać sobie pytanie: Czy wszystkie pokoje noszą nazwy od swoich zawartości? Odpowiedź brzmi: tak. Właściciele muzeum nie są kreatywni, chyba że chodzi o rozszerzanie naszych obowiązków, w czym są bardzo kreatywni. Weźcie na przykład moją pracę. Po co płacić menedżerowi do spraw klientów, aby radził sobie z kłótliwymi gośćmi, skoro możesz po prostu posłać ekipę ochroniarzy? Szybko zorientujecie się, że pełen energii pan Trup... przepraszam, pan Cavadini^[2] – otrzymuje za to kilka chichotów – uwielbia, kiedy każdy jest w stanie wykonać każdą pracę, tak na wszelki wypadek, gdybyście musieli kogoś zastąpić. Więc nie czujcie się komfortowo, ponieważ i wy za kilka tygodni możecie oprowadzać kolejną falę nowo zatrudnionych. Lepiej wbijcie sobie do głowy mapę, którą wam dałem, *pronto*.

Och. Świetnie. Nie podoba mi się to, co słyszę. Może jeszcze nie jest za późno, aby aplikować na sprzątanie cukierkowych wymiocin, o których Grace wspominała wcześniej.

Przez kolejne pół godziny lub coś koło tego Porter pobieżnie oprowadza nas po pokojach w tym skrzydle. Pokojach wypełnionych: fałszywymi mumiami (Pokój Mumii), dziwnym wyposażeniem medycznym z epoki wiktoriańskiej (Pokój Wyposażenia Medycznego) i ścianami z akwariami (Pokój Akwariów). Jest nawet kolekcja pomniejszych ciekawostek umieszczona w gigantycznym namiocie cyrkowym. To skrzydło jest zdecydowanie przeładowane, przytłacza zmysły nadmiarem. Wszystko się zamazuje, traci kontury, jedno kłóci z drugim, ponieważ wystrój rezydencji jest bez ładu i składu, a do tego te zakręty, sekretne schody i pokoje ukryte za kominkami. Gdybym była gościem muzeum i miała kilka godzin do zmarnowania, byłabym podekscytowana. Ale wiedząc, że muszę to wszystko zapamiętać? Miasto bólu głowy.

Na końcu pierwszego piętra płatanina otwiera się na gigantyczną, ciemną salę z podwójnym sufitem. Ściany zbudowano z fałszywej skały, a nocne niebo, wypełnione światłami LED imitującymi gwiazdy, mruga nad wypchanymi bawołami i górskimi lwami, migoczącym sztucznym ogniskiem obozowym i kilkoma tipi – które kilku z męskiej części naszej grupy postanowiło zwiedzić, jakby mieli po pięć lat. Pachnie tu zatęchłą skórą i futrem, więc wolę pozostać przy sztucznym obozie z Grace.

Niestety dołącza do nas Porter. I zanim zdążę się odsunąć, wskazuje palcem na moją plaketkę.

– Czy twoi rodzice mieli obsesję na punkcie cyrku, kiedy się rodziłaś, czy też upodobanie do irlandzkiej kremowej whisky?

– Prawdopodobnie równie duże jak twoi do wina.

Zerka na mnie.

– Chyba masz na myśli piwo.

– Nieważne. Może ukryję się w tipi jak inni. – Udaję, że patrzę na coś w dalszej części sali, w nadziei, że mnie zignoruje i pójdzie dalej, mało unikowa taktyka, ale zwykle działa.

Nie tym razem. Porter dalej mówi.

– Rodzice nadali mi imię po piwie. Był wybór między porterem i ale, więc...

Grace żartobliwie trąca Portera w ramię i gani go tym swoim cienkim, brytyjskim głosikiem.

– Zamknij się, to nieprawda. Nie słuchaj go, Bailey. I nie pozwól mu bawić się nazwami. Nazywał mnie Grace Achoo przez połowę średniej szkoły... aż skopałam mu tyłek na WF-ie.

– To było wtedy, kiedy poznałem twój sekret, że się we mnie kochasz, Grace, więc było mi ciebie żal i dałem ci fory. – Unika pacnięcia i uśmiecha się szeroko, a ja nienawidzę tego uśmiechu, ponieważ to jest naprawdę miły, chłopięcy uśmiech, a wolałabym, żeby nie był.

Grace wydaje się jednak odporna na jego przemożny urok. Po prostu przewraca oczami. A potem niepytana szerzej informuje go na mój temat.

– Bailey jest nowa. Będzie z nami chodzić do Brightsea od jesieni.

– Ooo? – mówi Porter, unosząc brew w moim kierunku. – Skąd jesteś?

Przez moment nie mam zielonego pojęcia. co odpowiedzieć. Nie wiem dlaczego,

ale mój mózg zawiesił się na jego pytaniu. Czy pyta o okolicę, gdzie mieszka mój tata? Może powinnam po prostu powiedzieć: DC, bo tam mieszkałam z mamą i Nate'em – lub nawet New Jersey, gdzie się urodziłam i dorastałam. Kiedy nie odpowiadam od razu, widać, że on nie bardzo wie, co ze mną zrobić. Patrzy na mnie wyczekująco, a to zatyka mnie jeszcze bardziej.

– Pewnie Manhattan – wreszcie mówi, spoglądając gdzieś ponad mną. – Oceniam po twoim stroju. Wygląda, jakbyś wybierała się na koktajl party z Mad Manem. Jeśli zamierzasz tak stać i kazać mi zgadywać, to wiedz, że tak sądzę.

Co za brak szacunku? Skąd mogłam wiedzieć, że dress code na wprowadzenie to szorty i klapki? Nikt mi nie powiedział!

– Och, nie. Waszyngton, DC. A ja sądzę, że jesteś częścią jakiejś lokalnej sławnej rodziny czy coś w tym stylu.

– Mój dziadek. Ma pomnik w mieście i wszystko – odpowiada. – Być legendą to trudna sytuacja.

– Wyobrażam sobie – mruczę, nie mogąc powstrzymać języka.

Rzuca mi szybkie spojrzenie i lekko się krztusi, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć. Patrzymy na siebie przez kilka długich sekund i nagle czuję się bardzo niekomfortowo. Żałuję również, że w ogóle się do niego odezwałam. Zupełnie jak nie ja. Nie kłócę się z obcymi. Czemu ten chłopak zalazł mi tak za skórę i sprawia, że mówię takie rzeczy? Wygląda to tak, jakby z jakiegoś powodu mnie prowokował. Może robi tak ze wszystkimi. Cóż, nie ze mną, koleś. Znajdź kogoś innego do czepiania się. Ucieknę od ciebie.

Porter chce mnie jeszcze o coś zapytać, ale przerywa mu Grace – dzięki Bogu.

– Więc która praca jest najlepsza? – pyta. – I jak mogę ją dostać?

Porter parska i krzyżuje ramiona na piersi, a jego nierówne blizny pobłyskują w sztucznym świetle obozu. Może Grace powie mi, skąd te blizny; z pewnością nie spytam o to jego.

– Najlepsza praca to moja praca, a ty jej nie możesz dostać. Kolejna to kawiarnia, ponieważ jesteś powyżej głównego piętra. Najgorsza to wydawanie biletów. Uwierz mi, nie chcesz tego szajsu.

– Czemu? – pytam. Samoobrona przeważa nad chęcią niewchodzenia z nim w interakcje. Bo jeśli jest tutaj jakaś praca, której powinnam unikać, to muszę o tym wiedzieć.

Porter zerka na mnie, a potem obserwuje męską część naszej grupy. Faceci jeden po drugim wynurzają się z tipi, śmiejąc się z jakiegoś żartu, którego nie słyszeliśmy.

– Pangborn mówi, że co roku zatrudniają więcej pracowników sezonowych, niż mogą sobie pozwolić, ponieważ wiedzą, że przynajmniej pięciu z nich odejdzie w ciągu pierwszych dwóch tygodni, a to są zawsze ci z kas biletowych.

– Wydawało mi się, że recepcja jest gorsza – mówi Grace.

– Nieprawda, uwierz mi. Pracowałem na wszystkich stanowiskach. Nawet teraz spędzam pół dnia na sprzedaży biletów i rozwiązywaniu problemów, które nie mają nic wspólnego z ochroną. To wkurza. Hej, nie dotykaj tego! – Porter krzyczy ponad moim ramieniem do gościa, który wpycha bawołu palce do nosa. Kręci głową i mruczy. – Ten nie zostanie tu nawet tydzień.

Wszyscy już obejrzelili salę, więc Porter wyprowadza nas z Dzikiego Zachodu i z reszty skrzydła i obiera ścieżkę, która się wiję na tyłach do lobby – które jest teraz puste, ponieważ wyprzedziliśmy grupę Pangborna. Kiedy na nich czekamy, Porter zbiera nas wszystkich obok panelu na ścianie, blisko biura rzeczy zagubionych, a potem je otwiera. W środku jest mała klitka, w której wisi czarny telefon.

– Wiem, co myślicie – mówi. – Może wyglądać jak antyk, ale to nie jest eksponat muzealny – szokujące! – Widzicie, dawno temu ludzie używali telefonów z kablem. I nawet jeśli możecie znaleźć w tym muzeum kilka rzadkich zabytkowych przykładów postępu technologicznego, jak kamery ochrony z lat dziewięćdziesiątych czy stare drukarki w kasach biletowych, to system telefoniczny muzeum nie jest jednym z nich.

Podnosi słuchawkę i wskazuje na trzy przyciski.

– Możecie wykonywać tym połączenia wychodzące, ale jeśli nie będzie to coś ważnego, prawdopodobnie zostaniecie zwolnieni. Jedynym powodem użycia przez was tego antyku są połączenia przychodzące. Zielony przycisk, oznaczony OCHRONA, pozwoli wezwać mnie, jeśli będzie jakaś nagła potrzeba, z którą sami nie dajecie rady. O, w ten sposób – naciska przycisk, a małe radio na jego rękawie piszczy. – Widzicie? Magia. Oooo.

A potem pokazuje na czerwony przycisk.

– Ten znaczy WSZYSTKO i łączy was z caaaaaaałym muuuuuuzeum – mówi,

jakby krzyczał w kanionie. – Używacie go tylko wtedy, kiedy pracujecie w recepcji i mówicie wszystkim, że zamykamy muzeum albo że się pali. Nie używajcie go.

– A co robi żółty przycisk? – pytam. W końcu to głupie unikać rozmowy z człowiekiem o pracy, prawda? On ma informacje, których ja potrzebuję. Może jeśli będę zachowywać się profesjonalnie, on też będzie.

Porter wskazuje na mnie.

– Dobre pytanie, Bailey Irish Cream. Żółty przycisk to interkom tylko do lobby, widzisz? L-O-B-B-Y. I głównie używany jest przez recepcję, by wezwać leniwych głupków, którzy zgubili swoje dzieciaki lub żony. – Naciska przycisk, a z niewidzialnych głośników rozlega się nieprzyjemny trzask. Podaje słuchawkę mnie. – Dawaj, powiedz coś, gwiazdo.

Kręcę głową. Nic się nie dzieje. Nie lubię być w centrum uwagi. Teraz żałuję, że spytałam o ten przycisk.

Próbuje mnie namówić do wzięcia słuchawki tym swoim szczególnym głosem, ale jego oczy to stuprocentowe wyzwanie, jakby to był rodzaj zawodów, a on chce się przekonać, kto pierwszy się załamie.

– No dalej, nie zawstydzaj mnie, strojnisiu.

I znów złośliwe przezwisko? Jaki on ma problem? Cóż, może o tym zapomnieć. Teraz to już kwestia zasad. Krzyżuję ręce na piersi.

– Nie.

– To tylko mały interkom – mówi, trzymając przede mną słuchawkę.

Odsuwam jego dłoń. No dobra, może ją odepchnęłam. Ale mam już go dość. Jestem porządnie wkurzona.

I nie tylko ja. Ten jego wyluzowany wyraz twarzy znika i mogę powiedzieć, że on też jest na mnie wkurzony. Naprawdę mnie to nie obchodzi. Nie jest moim szefem, a ja tego nie zrobię.

Szczęka mu drga, przez ułamek sekundy. A potem nachyla się bliżej i mówi spokojnym, protekcjonalnym tonem:

– Czy jesteś pewna, że chcesz to przerwać? Bo mówienie przez ten interkom to jeden z twoich obowiązków.

– Ja... – nie mogę dokończyć myśli. Jestem zła i zażenowana, i zamieram tak jak wtedy, kiedy spytał mnie, skąd jestem. Część mnie chce to przerwać i uciec, a

druga pragnie walnąć Portera w brzuch. Ale jedyne, co jestem w stanie zrobić, to stać tam jak słup soli.

Utrata cierpliwości wobec mnie zajmuje mu pięć sekund. Widzę moment, kiedy jego oczy przesuwają się po czekającym tłumie za nami – moment, w którym zdaje sobie sprawę, że powinien mówić do nich, nie do mnie – i coś zbliżonego do zakłopotania przebiega przez jego twarz. A może tylko sobie to wyobraziłam, bo jedno mrugnięcie później już tego nie ma.

Przykłada telefon do ust.

– Test – mówi, a jego głos odbija się po skalistym lobby. – Mam na imię Bailey i jestem z DC, gdzie niepasujące do siebie buty najwyraźniej są najnowszym trendem.

Parę osób chichocze, kiedy zerkam na swoje stopy. I ku mojemu przerażeniu on ma rację. Mam na nogach czółenka w tym samym stylu, co sukienka – jedno czarne, drugie granatowe. Mam trzy pary w trzech różnych kolorach, a ponieważ są wygodne i zajmują mało miejsca, spakowałam jedną parę do bagażu podręcznego. Dzisiaj rano byłam tak wściekła, że muszę wyprasować sukienkę, że włożyłam pantofle, nie patrząc na nie przed wyjściem z domu. CO SIĘ ZE MNĄ DZIEJE?

A na domiar złego zdaję sobie sprawę, że Porter nigdy nie przyglądał się moim nogom – on patrzył na moje pantofle.

Płoną mi policzki. Mam ochotę się rozpląnąć i schować pod tandetnym pomarańczowym dywanem. Nie mogę teraz na niego patrzeć, tak jak nie jestem w stanie wykrzesać z siebie jakiejś zgryźliwej uwagi. Mój mózg przestawił się na opcję autopilota i się wyłączył, i jedyne, czego jestem teraz świadoma, to mojego pulsu walącego mi w uszach. Jestem tak ogłupiała, że nie odczuwam nawet cienia ulgi, kiedy pojawia się Pagborn i łączy nasze grupy, żebyśmy mogli obejrzyć kolejne skrzydło.

Przysięgam, jeśli tylko będę miała okazję, nie zobaczę więcej tego gościa. A jeśli życie jest choć trochę fair, dostanę pracę lata świetlne od niego. Zrobię wszystko. Będę czyścić toalety. Opróżniać kosze. Nawet przekazywać ogłoszenia przez ten głupi telefon. Tak długo, jak długo uchroni mnie to przed kontaktem z pieprzonym Porterem Rothem. Zrobię to z uśmiechem. Ponieważ jednym z jego obowiązków służbowych zdaje się jest nabijanie się z Bailey. I raczej wsiądę do

samolotu i wróćę do mamy i Nate'a, jeśli sprawy dalej będą się tak miały.

Myślę o Aleksxie i o ile lepiej bym się czuła, gdybym mogła wrócić do domu i powiedzieć mu o tym wszystkim. Z pewnością byłby po mojej stronie. Muszę mieć kogoś, żeby się wylądować, ponieważ, naprawdę, czy ten dzień nie mógł być jeszcze gorszy?

Kiedy obchód się kończy, a my dostajemy nasze przydziały i rozkład zajęć od pana Cavadiniego, otrzymuję odpowiedź na swoje pytanie: tak, jak cholera tak, oczywiście, że może.

Patrzę na swój przydział z niedowierzaniem. Zostałam przydzielona do sprzedaży biletów.

Prywatne wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière – nowe!

@mink: Zaczęłam dzisiaj swoją letnią pracę. Było okropnie. Nienawidzę tego bardziej niż fałszywego akcentu Dicka Van Dyke'a w *Mary Poppins*.

@alex: Wow. To dużo nienawiści, władzo! Nadal pracujesz z mamą jak ostatniego lata? A może nie powinienem pytać? Czy to jest temat ze Strefy Zakazanej? Sprawdzam w głowie listę, ale nie widzę tego na niej.

@mink: Nie z mamą (To jest na liście, ale tym razem ci odpuszczę. Lista jest dość długa).

@alex: Możesz ją skrócić, kiedy tylko zechcesz. Powiedz słowo, a ja wyślę ci swój mejl. A nawet moje *westchnięcie* prawdziwe imię.

@mink: O.

@alex: No dobra, dobra. Opowiedz mi o swoim okropnym, niedobrym, naprawdę złym dniu. Czy twój szef cię wkurza?

@mink: Ach. Zbyt wcześnie, by to powiedzieć. Utknęłam w przerażającym przydziale, a jeden z moich współpracowników jest totalnym dupkiem. Uprzykrzy mi życie, to już mogę powiedzieć.

@alex: To ty jemu też uprzykrz. Jesteś Mink! Usłysz swój krzyk!

@mink: *kaszel*, *prychanie*, *przeciągłe miauu*

@alex: Głowa do góry. Dasz sobie radę z dupkiem. Chłopaki są głupie.

@mink: To prawda. A jak tam twój dzień, tak przy okazji?

@alex: Nieźle. Teraz, kiedy zaczęło się lato, wracam do pełnego etatu, podwójnej pracy. Zwykle to ja dostaję ciemniaków za współpracowników w swojej głównej pracy, ale może tym razem wysłali ich do ciebie. Poza tym nadal mam nadzieję, że moja superprzyjaciółka Mink może wreszcie zdecydować się odwiedzić swojego tatę tego lata i pójdzie na *Północ, północny zachód* razem ze mną. Jak można odrzucić Hitchcocka? (A ty nazywasz siebie snobem starych filmów. Udowodnij to!).

4

Co się stało z rycerskością? Czy istniała tylko w filmach z lat osiemdziesiątych?

Emma Stone *Łatwa dziewczyna* (2010)

Reszta mojego szkolenia przebiegła jak za mgłą. Nie jestem nawet do końca pewna, jak udało mi się znaleźć drogę do domu mojego taty. Wszystko, co wiem, to to, że kiedy już Pete Rydell wrócił do domu z pracy, byłam uzbrojona w gotową listę spokojnych, dobrze dobranych powodów, dlaczego nie mogę pracować w Jaskini... które równie szybko stopniały do błagania, proszę, proszę, proszę, pozwól mi odejść. Ale on nie dał się przekonać. Nawet kiedy obiecałam mu, że postaram się dostać pracę w Pancake Shack i przynosić darmowe naleśniki do końca swojego życia.

– To tylko kasa biletowa, Mink – mówi zdumiony, że mogę mieć takie opory przed przyjmowaniem pieniędzy od obcych. A kiedy próbuję usprawiedliwić moją niechęć do Portera, jedna z jego brwi unosi się z coraz większą podejrzliwością, tak że mogłaby napompować balon na gorące powietrze.

– Gość, którego niemalże potrąciliśmy na przejściu?

– Znam go, prawda? – przypomina sobie chłopaka odciągającego z jezdni przyjaciela. Teraz widzi światło w tunelu.

Tylko że nie widzi. Teraz zaczyna się tyrada, jak wiele zachodu kosztowało go pociągnięcie za sznurki, żebym dostała tę pracę, i jak źle by to wyglądało, dla mnie, gdybym odeszła tak szybko, i jak życie tutaj nie jest tanie, zwłaszcza na pensji jednego rodzica – która nie jest pensją prawnika jak mamy – i że chciałby, żebym pomogła mu płacić za ubezpieczenie vespy i rachunki za telefon.

– To dla twojego dobra – mówi łagodnym głosem i ściska moje ramię. Wciąż jest w stroju służbowym, z długimi rękawami i krawatem, a nie w jednej ze swoich szalonych koszulek spod znaku SF z lat osiemdziesiątych, więc wygląda teraz jak odpowiedzialny dorosły. A ja nie pamiętam go tak decyzyjnego i zdecydowanego.

To dziwne i nie do końca wiem, jak się z tym czuję. Staję się nieco emocjonalna. – Wiem, że teraz mi nie wierzysz, ale uwierzysz. Czasem musisz doświadczyć pewnych przykrych rzeczy, żeby uświadomić sobie, że jesteś silniejsza, niż ci się wydaje.

Och. Jest taki poważny. Wiem, że mówi o tym, co przeszedł podczas rozvodu, i wprawia mnie to w dyskomfort. Wzdycham długo i głęboko jak dziewczyna głucha i ślepa na tego typu ojcowskie porady i nagle czuję ulgę.

Mam chwilę na przemyślenie tego racjonalnie i rozumiem, dokąd zmierza... w teorii. Jeśli muszę zostać w Jaskini dlatego, że powinnam płacić za siebie rachunki i pokazać mu, że jestem odpowiedzialna, muszę to jakoś przetrzymać. Znaleźć sposób na jak najrzadsze oglądanie Portera Rotha.

Mogę być uciekinierem, ale łatwo nie rezygnuję. A poza tym to tylko letnia praca, prawda? Tak to sobie tłumaczę.

A poza tym mam inne rzeczy do przemyślenia.

Następnego ranka, jak tylko ucichł odgłos samochodu taty, rozkładałam mapę Coronado Cove. Pora popracować trochę jako detektyw. Pierwszą prawdziwą zmianę w Jaskini wyznaczono mi na jutro, więc przynajmniej o jeden dzień odroczone termin odbywania kary w więzieniu, na jakie mnie skazano. Napisałam już do Alexa, ale jeszcze mi nie odpisał. Może dlatego, że pracuje cały dzień. Podczas roku szkolnego pracuje tylko po lekcjach i w weekendy. Ale teraz, latem, powiedział, że sporo pracuje każdego ranka, a później idzie do kolejnej pracy.

Mój żołądek wariuje na myśl o tym.

Co wiem o jego dziennej pracy? Wiem, że jest to biznes rodzinny i że go nienawidzi. Wiem, że biznes związany jest z plażą, ponieważ powiedział, że może przez okno zobaczyć fale. Wiem również, że jest tam lada, a zatem najprawdopodobniej to coś związanego z wynajmem. To zawęży sprawę do... Nie mam pojęcia, do jakichś kilku setek sklepów? Ale są dwa szczegóły, które mogą pomóc mi go przyszpilić. Na początku wydawały się nieistotne, kiedy o nich wspomniał. Po pierwsze: narzeka, że permanentny zapach cynamonu z budki z goframi obok przyprawia go o ciągły głód. Po drugie: karmi zagubionego na plaży kota, który wygrzewa się na zewnątrz sklepu i reaguje na imię Sam-Jestem.

Nie za dużo, ale to zawsze jakiś początek.

Po przestudiowaniu mapy wkładam kask i jadę Gold Avenue w kierunku północnego końca deptaka – w przeciwnym kierunku niż Cavern Palace, jakieś półtora kilometra. Promienie słońca palą przez poranną mgłę, powietrze pachnie naleśnikami i oceanem. Plaża jest już pełna ludzi. Lokalsów i turystów, luzaków i sztywniaków. Tłoczą się na deptaku jak mrówki na pikniku. Woda jest za chłodna na kąpiel, ale to nie powstrzymuje ludzi od rozkładania się na plaży na kocach i ręcznikach. Wszyscy są gotowi na oddanie czci słońcu.

Nigdy nie przepadałam za plażami, ale kiedy znajduję miejsce do zaparkowania przy północnym końcu promenady i wklepuję w nogi i ramiona z deficytem witaminy D krem z megafiltrem, przeznaczony dla dzieci, osób osłabionych i starszych, czuję nieco mniej nienawiści do hordy podskakujących bikini i mijających mnie szortów w tropikalne wzory, śmiejących się i śpiewających, kiedy idą gęsiego w kierunku piasku. Nie ma tutaj nikogo, na kim musiałabym wyrzucić wrażenie. Nikogo, o kogo musiałabym się martwić, że na niego wpadnę przypadkowo. Przyjazd na Zachód, to moja druga szansa. Czysta karta. Był jeden powód, dla którego chciałam się tu przeprowadzić. Nie, nie tylko tęsknota za tatą czy ciągle kłótnie między mamą i Nate'em, czy nawet perspektywa spotkania Alexa. O dziwo, główną motywacją do przeprowadzki było to, że niewiele wiem o Aleksie i vice versa.

Mama jest prawnikiem od rozwodów (co za ironia). Cztery lata temu, kiedy miałam lat czternaście, mama przyjęła sprawę, która zakończyła się przyznaniem pełni praw do opieki nad córką pary, dziewczyną w moim wieku, jej matce. Wyszło na jaw, że przegrany małżonek miał dziury w mózgu. Greg Grumbacher, pałający zemstą na mojej mamie, znalazł nasz adres online. To było jeszcze wtedy, kiedy moi rodzice byli razem. Wydarzył się... incydent.

Zamknęli go w więzieniu na długie lata.

W każdym razie to ulga, że od starego Grega dzieli mnie cały kraj.

To dlatego nasza rodzina nie występuje publicznie online. Żadnych prawdziwych nazwisk. Żadnych zdjęć. Żadnych Alma Mater czy miejsc pracy. Żadnych chwilowych zmian statusów czy aktualizacji w postach z geotagiem ze znaczkiem czasu, w rodzaju: O mój Boże, Stacey! Siedzę w swojej ulubionej herbaciarni na Dziewiętej ulicy, a tam jest dziewczyna, która ma najśodsza sukienkę! Ponieważ właśnie tak pogubieni ludzie cię wyszukują i robią złe rzeczy

tobie i osobom, na których ci zależy.

Staram się nie popadać w paranoję i nie pozwolić, żeby zrujnowało mi to życie. I nie każdy, kto próbuje wyśledzić drugą osobę, jest chory. Chociażby ja, szukająca Alexa. Nie jestem Gregiem Grumbacherem. Różnica leży w intencji. Różnica jest taka, że Greg chciał nas skrzywdzić, a jedyne, czego ja chcę, to upewnić się, że Alex jest faktycznie w moim wieku, najlepiej chłopakiem, i nie jest jakimś zbokiem, który stara się zdobyć moje oczy do jakiegoś demonicznego eksperymentu. To nie jest stalking, to jest badanie. Chronię nas oboje, naprawdę – siebie i Alexa. Jeśli jesteśmy dobrzy, a on jest osobą z moich wyobrażeń, to wszystko pójdzie dobrze. On będzie cudowny i z końcem lata będziemy w sobie szaleńczo zakochani, będziemy oglądać *Północ, północny zachód* razem na festiwalu na plaży, a ja będę wciąż go dotykać. Szczęściarz z niego, bo większość wolnego czasu poświęcam wyobrażaniu sobie, co będę robić z jego ciałem.

Jednak jeśli mój wywiad zbierze jakieś złe informacje, a nasze wzajemne relacje nie będą miały szansy na dalszy rozwój? Wtedy rozplynę się w cieniu i nikt nie zostanie zraniony.

Widzicie? Dbam o nas oboje.

Rozluźniam ramiona, wkładam okulary przeciwsłoneczne i schodzę, ukrywając się za grupą plażowych króliczków, aż do samego deptaku, gdzie one idą prosto, a ja skręcam w lewo.

Deptak ma jakiś kilometr długości. Centralna promenada prowadzi na molo dla pieszych. Stoi tam diabelski młyn z kołem u podstawy i z lotniczymi krzeselkami, które wynoszą pary ponad klify. A wszystko to jest otoczone różnymi budkami z gramami, rollercoasterami, hotelami, restauracjami i barami. Po części jest tu luzacka kalifornijska atmosfera, skatersi, sztuka uliczna, sklepy z komiksami, herbatą ekologiczną, mewy. A po części zła muzyka z lat osiemdziesiątych dudniąca ze słabych głośników, dziadowskie karuzele, dzwiczące dzwonki, płacz dzieciaków, tanie sklepy z koszulkami i przepełnione kosze na śmieci.

Cokolwiek myślę o tym miejscu, podejrzewam, że nie będzie łatwo znaleźć Alexa. Moje podejrzewania stają się jeszcze większe, kiedy zbaczam z promenady i trafiam na długi pawilon ze sklepami tuż przy promenadzie (może tutaj?). Już wiem, że zapach, który przyprawia mnie o szaleństwo od wczoraj, to nie Pancake Shack, ale świeżo smażone gofry. A to dlatego, że tutaj jest ulica budek z goframi,

co dwadzieścia lub trzydzieści kroków od promenady. Gofry są jak długie meksykańskie pączki, smażone i moczone w cynamonie albo, jak informuje mnie napis, w cukrze truskawkowym. Pachną bosko. Nigdy nie jadłam prawdziwego gofra i w połowie drogi podejmuję decyzję, że się poddam na każdym polu: w znalezieniu Alexa, w nowej pracy, w szukaniu sensu życia. Dajcie mi tylko tego słodkiego smażonego gofra.

Wygrzebuję trochę forsy i zabieram swoją zdobycz na zacienioną ławkę. To jest wszystkim, na co miałam nadzieję, a nawet czymś więcej. Gdzieś ty był całe moje życie? Czuję się lepiej z moim nieudanym porankiem. Zlizując z palców cynamonowy cukier, obserwuję grubego, rudego, pręgowanego kota, który sunie koło ławki.

Nie. Czyżby?

Zerkam na promenadę. Widzę sklep ze starymi ciuchami, sklep dla serwerów – Penny Boards, który może nazwano, albo i nie, po głupim dziadku Portera – potem punkt wydawania medycznej marihuany i jakąś kafejkę. Kot się przeciąga. Chowam się bardziej w cień. Nasze oczy się spotykają. Czy patrzę na bezdomnego kota Alexa?

– Hej, koteczku – wołam słodko. – Sam-Jestem? To nie może być twoje imię, prawda? Słodki chłopczyku?

Jego apatyczne spojrzenie nie rejestruje mojego głosu. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie umarł, ale wtedy on przewraca się na jeden bok i wyciąga do mnie swoją małą łapkę z kocią bezczelnością.

– Czy to był twój lunch? – pyta cichy angielski głosik.

Puls mi skacze. Odwracam szybko głowę i widzę przyjazną, znajomą twarz. Grace z pracy. Ma na sobie szorty i biały top na ramiączkach, na którym złote litery krzyczą: NIE.

– To była najpyszniejsza rzecz, jaką jadłam w życiu – mówię jej. Zezuje na mnie, więc wyjaśniam. – Jestem z New Jersey. Mamy tylko nudne chrupki na plaży.

– Myślałam, że jesteś z DC.

Macham ręką.

– To długa historia. Mieszkałam w DC. Tylko kilka miesięcy. Tam są moja mama i jej mąż. Mój tata chodził do college’u w Kalifornii, na Cal Poly, i wrócił znów na zachód rok temu. Kilka miesięcy temu zdecydowałam przeprowadzić się do niego

i cóż... jestem.

– Mój tata jest technikiem laboratoryjnym. Pochodzi z Nigerii – mówi Grace. – Nigdy tam nie byłam, ale on wyjechał z Nigerii i poznał moją mamę w Londynie. Przeprowadziliśmy się tutaj, kiedy miałam dziesięć lat... więc siedem lat temu? Mówiąc prawdę, za wyjątkiem latania w tę i z powrotem do Anglii na święta Bożego Narodzenia, poza stanem byłam tylko raz, i tylko w Nevadzie.

– Cóż, niewiele straciłaś – żartuję.

Przygląda mi się przez chwilę, poprawiając torebkę na ramieniu.

– Wiesz, tak naprawdę nie masz akcentu z New Jersey, ale brzmisz, jakbyś pochodziła ze Wschodniego Wybrzeża.

– Cóż, nie masz kalifornijskiego akcentu, ale brzmisz jak Angielski Dzwoneczek. Wybuchła delikatnym śmiechem.

Uśmiecham się.

– Nieważne, to był mój pierwszy gofr, ale na pewno nie ostatni. Odejdę z muzeum i zostanę właścicielką budki z goframi. Więc jeśli nie zobaczysz mnie w kasie biletowej jutro, pozdrów ode mnie pana Cavadiniego.

– Nie ma mowy – jęczy, nieco spanikowana. – Nie zostawiaj mnie przy biletach samej. Obiecuj, że się pokażesz. Porter powiedział, że już odeszły trzy osoby. Tylko my dwie jesteśmy zaplanowane na jutro.

Nagle mój gofr już nie jest taki dobry.

– Na pewno trzymasz sztamę z Porterem. – Nie zamierzałam gderać, ale nic nie mogę na to poradzić.

Wzrusza ramionami.

– Chodzimy do tej samej szkoły od lat. On nie jest taki zły. Droczy się z tobą niemiłosiernie, póki się nie wycofasz. On po prostu sprawdza twoje granice. A przy okazji, wiele przeszedł, więc chyba mu trochę odpuszczam.

– Co przeszedł? Jego znany na świecie dziadek zdobył za dużo trofeów? To naprawdę musi być trauma, widzieć tyle pomników członków swojej rodziny w mieście.

Grace patrzy na mnie przez chwilę.

– Nie wiesz, co się stało?

Też na nią patrzę. Z całą pewnością nie wiem.

– Co?

– Nic nie wiesz o jego rodzinie? – Jest zaskoczona.

Teraz czuję się trochę głupio, że nie zerknęłam w Internet i nie sprawdziłam rodziny Portera, kiedy wczoraj wróciłam do domu. Prawda jest taka, że byłam tak wściekła na niego, że miałam to gdzieś. I tak naprawdę nadal mam.

– Trochę niesportowa jestem – mówię przepraszająco, ale szczerze. Nie wiem nawet, czy surfing traktować jako sport, hobby czy sztukę. Ludzie włączają na deskę i skaczą po falach, ale czy to jest dyscyplina olimpijska, czy co? Nie mam pojęcia.

– Jego ojciec też był surferem – mówi mi, jakby nadal nie mogła uwierzyć, że jeszcze tego nie wiem. – Dziadek zmarł, a wtedy jego ojciec... To wszystko było nieco okropne. Nie zauważyłaś blizn u Portera?

Zaczynam mówić, że i owszem, ale byłam wkurzona upokarzaniem mnie na oczach współpracowników. Grace już mnie nie słucha. Ktoś woła ją ze sklepu na promenadzie.

– Muszę iść – przerywa mi swoim cienkim głosikiem. – Tylko proszę, bądź tam jutro.

– Będę – obiecuję. Nie mam zbytniego wyboru.

– A tak przy okazji – mówi Grace, odwracając się i z przebiegłym uśmiechem pokazując rudego, pręgowanego kota. – Ten kot nie odpowiada ci, bo on jest ona.

Moje serce zamiera. To nie ten kot.

Cóż, dopiero początek lata, a ja jestem cierpliwą dziewczynką. Choćbym musiała wyjść sobie drogę przez każdą budkę z goframi, trafić do piekła lub dostać udaru słonecznego, znajdę Alexa przed wyświetlaniem *Północ, północny zachód*.

Prywatne wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière – nowe!

@mink: Zgadnij, co znalazłam dzisiaj w mailu? Nową kopię *Filadelfijskiej opowieści*.

@alex: Fajnie! Uwielbiam ten film. Moglibyśmy kiedyś obejrzeć go razem, jeśli tylko znajdę kopię.

@mink: Z pewnością. To jest mój ulubiony film z parą Cary Grant/Katharine Hepburn.

@alex: Cóż, z innych dobrych wieści, ponieważ wiem, jak KOCHASZ filmy gangsterskie [włącz tutaj sarkazm], wysłałem ci tonę zrzutów z *Ojca chrzestnego* z Alexowymi napisami, zmieniającymi rzeczy dla ciebie.

@mink: Właśnie je przeglądam. Uważasz, że jesteś zabawny, prawda?

@alex: Tylko jeśli ty tak uważasz.

@mink: Przez ciebie zakrztusiłam się sokiem pomarańczowym.

@alex: Tego właśnie chciałem, Mink.

@mink: Twoje marzenia mogą być bliższe rzeczywistości, niż możesz sobie wyobrazić...

>

5

Nie znajdziesz tutaj nic taniego!

Lana Turner *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy* (1946)

Moja pierwsza prawdziwa zmiana w Jaskini zaczyna się następnego dnia w południe i kiedy widzę zapakowany parking, niemal zawracam vespę i wracam do domu taty. Ale nim zrobię ruch, Grace zatrzymuje mnie. Czeka przy drzwiach dla pracowników, macha do mnie ręką i już nie pozostaje mi nic innego jak pomaszerować do mojego piekła. Odhaczamy się, chowamy rzeczy w szafkach i wkładamy nasze pomarańczowe marynarki.

Gównno właśnie się wylało.

Pan Cavadini i jego wampirowata blond fryzura witają nas w pokoju śniadaniowym, z notesem w ręku.

– Ty jesteś...?

– Bailey Rydell – podpowiadam. To tylko jeden dzień, a on już zapomniał.

– Grace Achebe.

– Jak? – pyta, pochylając się nad nią.

Irytacja w jej oczach jest przytłaczająca.

– ACH-E-BE – głoskuje.

– Tak, tak. – Pan Cavadini mruczy, jakby zawsze to wiedział. Podaje nam plakietki. Karteczka z wydrukowanym moim imieniem utknęła w zagięciu. Zły omen. – No dobrze, moje panie. Waszą przełożoną na zmianie jest Carol. W tej chwili jest zajęta jakimś problemem w kafejce. Poranna zmiana biletowa kończy się za trzy minuty, więc się pospieszmy. Jesteście gotowe na wyjście tam i małe czary-mary?

Obie z Grace patrzymy na niego.

– Cudownie – mówi bez cienia uczucia i ponagla nas. Kieruje do drzwi i na korytarz dla personelu. – Pierwsza rzecz, którą zwykle robicie, to idziecie do

ochrony – wskazuje na korytarz w przeciwnym kierunku – po świeżą kasetkę z kasą i przeliczacie forszę, tak jak pokazywaliśmy wam na szkoleniu. Ale dzisiaj nie ma czasu. Musicie po prostu zaufać, że przełożony na zmianie nie ukradł nic albo nie zepsuł kasetki, ponieważ zostanie to odliczone od waszej wypłaty, jeśli tak zrobił...

Zamieram. Grace odzywa się pierwsza.

– Chwilę, jak to?

– No już, chodźcie. – Pan Cavadini popycha mnie. – Dwie minuty. Ruszajcie nogami. Ochrona spotka się z wami przy budkach biletowych. Wpuści was i odpowie na wszystkie pytania. Jeśli wytrzymacie tydzień, rozważymy dorobienie wam kluczy do budek. Inaczej będziecie musiały pukać, żeby wejść, ponieważ zamykają się automatycznie. Powodzenia i nie zapomnijcie o uśmiechu.

Po czym prowadzi nas do lobby i natychmiast porzuca.

Podczas szkolenia muzeum było puste. Teraz nie jest. Setki głosów odbija się od skalnych ścian, gdy goście powoli przesuwają się w ogromnej przestrzeni i kierują do dwóch skrzydeł.

Kafejka na górze jest napchana. Ludzie jedzą kanapki na schodach, gadają przez komórki pod płynącym pirackim statkiem. Tak. Dużo. Ludzi.

Ale jedyną osobą, którą naprawdę widzę, jest stojąca przy budce z biletami.

Porter Roth. Piękne ciało. Głowa pełna dzikich loków. Zdziorny uśmiech.

Mój wróg.

Jego oczy spotykają moje. A wtedy spuszcza wzrok na moje stopy. Sprawdza, czy moje buty do siebie pasują. Chociaż wiem, że tak, sprawdzam raz jeszcze, a potem chcę je zdjąć i rzucić nimi w jego wielką, tłustą głowę.

Ale nie mówi na ten temat ani słowa.

– Panie – mówi tylko – i pochyla głowę, kiedy się zbliżamy. Może nie będzie tak źle jak ostatnim razem. Balansując dwiema zamkniętymi kasetkami w jednej ręce, chwyta za tylne drzwi budki cztery razy, zanim odwróci się do nas. – Gotowe na dreszczyk od gorącej gotówki w rękach?

Drzwi budki się otwierają. Przez chwilę – wydaje się wiekiem – razem z Grace czekamy, aż Porter wejdzie do budki, wymieni kasetki, a dwoje nowo zatrudnionych z szeroko otwartymi oczami wyprysnie z budki, wycierając pot, jakby właśnie byli w przedsionku piekła i widzieli rzeczy nie do opowiedzenia,

akty deprawacji, które przeraziły ich na resztę życia.

Teraz naprawdę zaczynam się denerwować.

Porter jest wkurzony. Mówi coś brzydkiego do radia na rękawie i przez sekundę zastanawiam się, czy odpowiada panu Cavadiniemu, ale potem w lobby pojawia się strzecha białych włosów i drugi ochroniarz – pan Pangborn. Wygląda na skonanego. Zbyt zmęczonego na taką robotę.

– Przepraszam, przepraszam – mówi, łapiąc oddech.

Porter bierze głęboki wdech i kręci głową, już mniej zły, bardziej znużony.

– Po prostu odstaw ich do miejsca rozliczeń i obserwuj, jak liczą rachunki, póki Carol nie zejdzie z kafejki. – Odwraca się do nas i gwizdże, wskazując kciukiem na budkę. – Wy dwie, do środka.

– Cholera – mruczy Grace – nie pamiętam, jak się uruchamia program biletowy.

– Zrobisz to, nie przerywając snu, Gracie – zapewnia ją. Przez sekundę wydaje się nawet miły, jakby to nie był ten sam chłopak, który upokorzył mnie na oczach całego zespołu. Wyobraźnia, mówię sobie.

Budka jest mała. Naprawdę mała. I śmierdzi. Bardzo. Są tam dwa obrotowe stoliki, blat, na którym stoi monitor, i półka pod spodem, na której stoi stara drukarka drukująca bilety. Tylne drzwi są tuż za nami i jest to za mały pokój na trzecią osobę – mniej więcej Portera – by stała za nami i dawała nam instrukcje. Przed nami jest tylko tafla pleksiglasu upstrzona śladami palców. Oddziela nas od kolejki ludzi otaczających filary. Tak dużo ludzi. Nie są szczęśliwi z powodu zwłoki.

Gość stojący przy moim okienku porusza ustami: cztery i wyciąga cztery palce, mówiąc coś brzydkiego o mnie, idiotce. Ta budka z goframi wygląda coraz lepiej.

– Zielony włącza, czerwony wyłącza – Porter mówi blisko mojej twarzy, trochę zbyt blisko. Niechciany dreszcz przebiega moją rękę, kiedy jego dzikie włosy muskają moje ramię. Pachną solą jak woda w oceanie; zastanawiam się, czy dzisiaj surfował. Zastanawiam się, dlaczego mnie to obchodzi. Jego ramię otacza moje ciało i Porter stuka w blat. Wzdrygam się.

– Racja, tak – mówię.

Głupio zerkam na kontrolki interkomu, oznaczone NA ZEWNĄTRZ (by usłyszeć klienta) i WEWNĄTRZ (aby słyszeli mnie). Zielony. Czerwony. Dasz radę.

– Pewnie będziesz chciała trzymać włączony mikrofon na zewnątrz przez cały

czas, ale jeśli chcesz zachować zdrowe zmysły, używaj wewnętrznego tylko w razie potrzeby. Palce na spuście – radzi.

Mówili nam o tym na szkoleniu. Teraz to do mnie wraca. Grace jest przerażona jak cholera, więc Porter przenosi się na jej stronę. Duppek naprzeciw mojego okienka przyciska cztery niecierpliwe paluchy do szyby. Nie daję już rady. Przyciskam oba zielone klawisze i uśmiecham się.

– Witamy w Cavern Palace. Cztery bilety normalne?

Komputer wykonuje całą robotę. Biorę kartę kredytową gościa, bilety się drukują, Pan Dupkowata Twarz przechodzi przez bramki razem z swoją jego dupkowatą rodziną. Następny. Ten płaci gotówką. Czuję się trochę niepewnie przy wydawaniu reszty, ale nie jest źle.

I tak w kółko.

W którymś momencie Porter znika, a my zostajemy same, ale jest okej. Dajemy radę.

Pamiętałam, jak zimne było lobby Cavern w dniu szkolenia, włożyłam więc drugi kardigan. Dziesięciu klientów w kolejce, a ja teraz rozumiem, dlaczego nazywają tę budkę Gorącym Pudłem. Żadnej klimatyzacji w środku. Jesteśmy uwięzione w szklanym pudełku od pasa w górę, słońce świeci nam prosto w twarz i ogrzewa, jakbyśmy były orchideami w pieprzonej szklarni.

Ściągam kardigan przez rękawy od marynarki, ale co kilka minut muszę obracać się do tylnych drzwi, żeby kogoś wpuścić – Carol, przełożona zmiany, gość z informacji mówiący nam, by powtórzyć zdjęcie do karty sezonowej, bo klient go „nienawidzi”, słodki staruszek pan Pangborn dostarczający gotówkę dla wszystkich dzianych gości, którzy chcą płacić studolarówkami. Za każdym razem, kiedy obracam się, żeby otworzyć drzwi, (A) uderzam kolanami o metalowy pręt, i (B) podmuch mroźnego powietrza obiega moją mokrą skórę.

A potem drzwi się zamykają i Gorące Pudło znów się nagrzewa.

To jest tortura. To tak wojskowi łamią jeńców wroga, żeby wyciągnąć od nich informacje. Gdzie jest konwencja genewska, kiedy jej potrzebujesz?

Robi się jeszcze gorzej, kiedy musimy uprawiać zonglerkę nie tylko biletami: wskazać, gdzie jest toaleta, wysłuchiwać narzekania na ceny biletów, które idą w górę z każdym rokiem. Czy w muzeum straszy? Czemu nie dajemy już rabatu dla osób 55? Wiatr właśnie zwiął mój bilet, proszę o duplikat.

To jest cyrk. Nie przesadzam. Nie zastanawiam się, kiedy ludzie się już stąd zabiorą pierwszego dnia.

Nie my. Grace i ja. My jesteśmy mistrzami, bijącymi się nawzajem pięściami pod blatem. Wykonuję swoją pracę najlepiej, jak umiem. Unikam kontaktu wzrokowego. Gram głupią. Wzruszam ramionami. Uchylam się przed trudnymi pytaniami. Wskazuję na informację lub na sklep z pamiątkami.

Jeśli nie wypocimy z siebie całego płynu z ciała, damy radę.

Kilka godzin naszej zmiany, tempo zwalnia wyraźnie – nikogo w kolejce.

– Wszystkich wystraszyliśmy? – pyta Grace, wycierając pot z pleców,

– To koniec? – Zerkam ponad interkomem na filary. – Czy możemy już iść do domu?

– Poproszę kogoś, żeby przyniósł nam wodę... Powiedzieli, że możemy. Tu jest za gorąco. Spieprzyli to. – Grace używa telefonu, by wywołać Carol, a ona mówi, że kogoś przyśle. Czekamy.

Kilka minut później słyszę cztery szybkie puknięcia w tylne drzwi. Otwieram je i widzę Portera. Nie pokazał się tu od początku naszej odsiadki. Podaje nam plastikowe butelki wody z kafejki i posyła mi ten leniwy uśmiech, zbyt seksowny jak na chłopca w naszym wieku, który sprawia, że znów się denerwuję.

– Obie nabraliście blasku od tego Gorącego Pudła. Wyglądacie lepiej niż wcześniejsza para. A przy okazji, jedno z nich jest... – przesuwając kciukiem po gardle na znak, że dzieciak uciekł, a nie że własnoręcznie obciął mu głowę. Mam nadzieję.

– Kolejny? – mruczy Grace.

Porter przechylony do drzwi podpira się o nie jedną stopą i przewija telefon. Ma zgiętą nogę, przez co jego kolano znajduje się w mojej przestrzeni, ledwie centymetry od mojego. Wygląda to tak, jakby celowo starał się mnie przytłoczyć.

– Ta robota przerabia słabych, Gracie. Powinni zrobić sobie zdjęcia nad tipi na tle fałszywego, gwiazdnego nieba w skrzydle Jaya.

– Która godzina?

Zerka na gruby, czerwony zegarek na nadgarstku, ze śmiesznym cyfrowym wyświetlaczem, i podaje nam czas. Kiedy patrzę na jego rękę zbyt długo, przychwytuje mój wzrok i wyjaśnia:

– Zegarek do surfowania. Przyływ lub odpływ, wysokość fali, temperatura

wody. Całkowicie wodoodporny, nie tak jak ten głupi telefon, który musiałem wymieniać już dwa razy w tym roku.

Właściwie to gapiłam się na jego blizny Frankensteina, myśląc o tym, jak wczoraj Grace zaczęła mówić mi coś o tragedii w jego rodzinie, ale ulżyło mi, że pomyślał, że patrzę na zegarek.

– Jak to się stało, że pracujesz jako ochrona? – pytam, otwierając swoją wodę.

Na chwilę odwraca wzrok od wyświetlacza i mruga do mnie. Kto tak robi?

– Osiemnastka otwiera wszystkie drzwi. Możesz głosować, możesz legalnie angażować się w każdą z wszystkich wymarzonych aktywności seksualnych, na jakie pozwoli osoba, którą wybierzesz i – najlepsze ze wszystkiego, możesz pracować na pełny etat jako ochroniarz w Cavern Palace.

– Tylko jedną z tych rzeczy chcę robić i nie potrzebuję żadnego prawa, by mi na to pozwalało – odpowiada słodko Grace z drugiej strony budki.

Nie patrzę na niego. Jeśli próbuje wprawić mnie w zakłopotanie tymi wszystkimi „wymarzonymi aktywnościami seksualnymi”, może poklepać siebie po ramieniu. Udało mu się. Ale nie pozwolę, żeby zobaczył, że się pocę. Chociaż prawdę mówiąc, pocę się od dwóch godzin w Gorącym Pudle.

– Taran jest po drugiej stronie oceanu ledwie od tygodnia, a ty już zwracasz się do mnie, żebym zaspokoił twoje babskie potrzeby? – pyta ją.

– Chciałbyś.

– Każdego dnia. A ty, Rydell?

– Nie, dziękuję.

Robi głęboki wydech, udając skrzywdzonego.

– Zostawiłaś chłopaka, który oczekuje twojego powrotu na wschód?

Parskam w ramach komentarza. Stołek Grace trzeszczy. Czuję, jak oboje patrzą na mnie, a kiedy nie odpowiadam, Porter mówi:

– Wiem, co to rozwiąże. Czas na quiz.

Grace jęczy.

– O nie.

– Ooo tak.

Ryzykuję zerknięcie na jego twarz. Uśmiecha się do siebie, jak wariat przesuwając palcami po telefonie.

– Quiz to najlepszy sposób, by poznać ciebie i innych – mówi, jakby czytał tekst

z magazynu.

– Ma obsesję na punkcie głupich quizów – wyjaśnia Grace. – Wypróbuj je na każdym w szkole. Quizy „Cosmo” są najgorsze.

– Chyba chciałaś powiedzieć najlepsze – poprawia ją Porter. – O, ten jest dobry. Dlaczego nie masz chłopaka/dziewczyny? Zrób ten quiz, a dowiesz się, dlaczego taka super dziewczyna jak ty wciąż siedzi sama w domu w sobotnią noc zamiast spotykać się chłopakiem ze swoich snów.

– Nie – mówi Grace.

– No to w takim razie ten – mówiąc to, Porter próbuje zabrać wodę z ręki Grace. Siłują się przez chwilę, śmieją się, a kiedy ona piszczy, wylewając zimną wodę na swoją pomarańczową marynarkę, prawie dostaje łokciem od Portera. Trzyma wodę poza zasięgiem Grace, nad jej głową.

– No dobra, wygrałeś – mówi Grace. – Zrób już jej ten cholerny quiz. Lepsze to niż siedzenie tutaj, przynajmniej tak sądzę.

Porter oddaje jej wodę, opiera się o drzwi i czyta.

– Twoja starsza siostra zabiera cię na imprezę w kampusie, kiedy odwiedzasz ją w college’u. Co robisz:

A) tańczysz z nią i jej przyjaciółmi, B) pływasz nago w basenie na tyłach, C) łapiesz napalonego gościa i zabierasz go do pustej sypialni, D) siedzisz sama na kanapie i obserwujesz ludzi?

Nawet nie zamierzam odpowiadać. Młoda para podchodzi do mojego okienka, więc wyciągam mikrofon, aby spokojnie ich powitać, i sprzedaję im dwa bilety. W tym czasie Grace wybiera A.

– A ty, Rydell? – pyta Porter. – Myślę, że wybierasz B, ukryty ekshibicjonizm. Jeśli nie odejdziesz dzisiaj, to kto wie. Może będę jutro patrzył na monitory i odkryję cię rozebraną w basenie Kleopatry w skrzydle Vivian.

Parskam.

– To sobie wyobrażasz w swojej budce strażnika?

– Całe popołudnie.

– Jesteś dupkiem.

Przytrzymuje mój wzrok.

– Skreślałam to. Właściwie to odpowiedziałam już na pytanie. C) łapiesz napalonego gościa – macha ręką – i zabierasz go do pustej sypialni. Mam rację?

Nie odpowiadam.

Nie czuje się zbity z tropu.

– Następne pytanie. – Wyciera ekran telefonu, ale nie patrzy na niego; patrzy na mnie. Próbuje mnie onieśmielić. Sprawdza, kto mrugnie pierwszy. – Opuściłaś DC, ponieważ: A) nie mogłaś znaleźć żadnych napalonych gości, których mogłabyś zabrać do pustego pokoju; B) twój chłopak ze Wschodniego Wybrzeża jest pikusiem, a ty słyszałaś o Legendarnych Gościach z Zachodniego Wybrzeża, więc musiałaś sprawdzić sama, czy plotki są prawdziwe? – pyta z uśmiechem.

– Idiota – mruczy Grace, kręcąc głową.

Mogę nie rozumieć niektórych fraz, ale łapię ogólny sens. Czuję, jak się czerwienię. Ale szybko dochodzę do siebie i odbijam piłeczkę.

– A czemu tak cię interesuje moje życie uczuciowe?

– Nie interesuje. Dlaczego unikasz odpowiedzi? Robisz to zresztą co i raz.

– Co robię?

– Unikasz odpowiedzi.

– To nie twój biznes – mówię, zirytowana, że mnie rozszyfrował. A poza tym kim on jest, tak w ogóle. Moim terapeutą? Cóż, mam dla niego wiadomość, byłam u dwóch najdroższych terapeutów w New Jersey, raz z mamą, a raz sama, i żaden z tych tak zwanych ekspertów nie był w stanie utrzymać mnie w fotelu dłużej niż dwie sesje. Mówili, że tłumię swoje uczucia, że jestem niekomunikatywna, że ucieczka to „mechanizm nieprzystosowania”, by uniknąć zmierzenia się ze stresem, i że to niezdrowy sposób unikania ataku paniki.

Powiedział to człowiek, który za swoją poradę ekspercką chciał naciągnąć moich rodziców na więcej niż kosztuje moja edukacja w college’u. Radzę sobie całkiem nieźle, dziękuję bardzo. Jeśli tylko tacy ludzie zostawią mnie w spokoju...

Porter drwi.

– Widząc, jaki jest twój pierwszy dzień w pracy, i bardzo prawdopodobne ostatni? Rozważając rotację na tym stanowisku? I wiedząc, że jestem nad tobą? Powiedziałbym, tak, to jest jednak mój biznes.

– Grozisz mi? – pytam.

Wyłącza telefon i unosi brew.

– Co?

– To brzmiało jak groźba.

– Hej, wyluzuj. To nie było... – Nawet nie potrafi tego wypowiedzieć. Jest teraz zdenerwowany i zatyka włosy za ucho. – Grace...

Grace unosi ręce.

– Nie wciągaj mnie w to. Nie mam pojęcia, czego jestem świadkiem. Obojgu wam odbiło.

Porter z cichym pomrukiem odwraca się do mnie.

– Słuchaj, starałem się tylko w tym trudnym dla ciebie momencie trochę cię rozweselić. Ale prawdą jest, że pracuję tutaj od zawsze. A ty ledwie kilka godzin.

– Ale czy ty mnie już nie zaszufładowałeś? Wiesz o mnie wszystko, Panie Słynny Surferze?

Głaszczesz lekko brodę, zastanawiając się.

– Hm... cóż, Mała Panno Modnisio – mówi tym niskim, chropawym głosem. Tym, który wydawał mi się seksowny i czarujący, kiedy nas oprowadzał po muzeum. – Pozwól, że zaryzykuję. Jesteś zarozumiałą mądralą ze Wschodniego Wybrzeża, której tatuś załatwił pracę, w której musi gadać z takim śmieciem jak ja. – Krzyżuje ręce i uśmiecha się do mnie bezczelnie. – I jak mi poszło?

Szczęka mi opada. Tak mnie zatkało, jakby wiatr wywiał mi z piersi resztki powietrza. Próbuję jakoś powiązać jego słowa, ale jest ich tak wiele. Jeśli on naprawdę mi tylko dokucza, to dlaczego czuję... taką gorycz?

Jak się dowiedział, że mój ojciec załatwił mi tę pracę? Ktoś z biura mu powiedział? Oczywiście nie jestem jakimś rozkapryszonym, megabogatym bachorem z zerem doświadczenia i megakoneksjami. Mój ojciec jest jedynie księgowym! Ale nie zamierzam wyjaśniać ani tego, ani czegokolwiek innego. Ponieważ w tej chwili jestem niemal przekonana, że dostałam kulą w łeb i przez dziurę w czaszce mój mózg wypływa jak ciekła lava. Mogę mocno i prawdziwie nienawidzić Portera Rotha.

– Nie wiesz nic o mnie i mojej rodzinie. A poza tym jesteś pieprzonym palantem – mówię tak rozwścieczona, że mam w nosie, że do mojego okienka podchodzi czteroosobowa rodzina. A powinnam. Powinnam zauważyć, że zostawiłam włączony zielony przycisk po ostatniej sprzedaży. Ale szeroko otwarte oczy rodziny uświadamiają mi to teraz.

Słyszeli każde brzydkie słowo.

Przez jedną krótką chwilę świat wiruje mi wokół. Przepraszam gorąco, ale

rodzice nie są szczęśliwi. Wcale. I niby dlaczego mieliby być? O Boże, czy żona ma na szyi wisiołek z krzyżykiem? A jeśli to jacyś fundamentaliści? A może te dzieciaki są uczone w domu? Czy właśnie zniszczyłam im życie? Jezu Chry..., to znaczy, o matko. Czy teraz poproszą o rozmowę z panem Cavadinim? Czy zostaną zwolniona? Pierwszego dnia pracy? Co powie mój tata?

Jeśli wcześniej było mi gorąco, to teraz już nie jest. Zimny dreszcz wywołuje gęsią skórę na mojej skórze. Wskazuję przerażonej rodzinie okienko Grace i zrywam się ze stołka, odpychając Portera, kiedy wybiegam z budki.

Nie wiem nawet, dokąd biegnę. Kończę w pokoju śniadaniowym, a potem na parkingu dla pracowników. Przez sekundę rozważam odjazd stąd na mojej Baby, ale uświadamiam sobie, że nie wzięłam torebki; jest zamknięta w szafce.

Siadam na chodniku. Uspokajam się i zbieram do kupy. W sumie i tak przysługuje mi trzydziestominutowa przerwa, czyż nie? Całe trzydzieści minut nurzania się w zawstydzeniu po tym, co powiedziałam głośno, tak że słyszała to ta rodzina, trzydzieści minut zastanawiania się, jak do cholery pozwoliłam Porterowi sprowokować się do tego stopnia. Trzydzieści minut strachu, że zostaną wylana pierwszego dnia pracy. Ja! Artful Dodger. Wielki Uciekinier. Jak to się stało?

To wszystko wina Portera. Sprowokował mnie. Coś w nim po prostu wydobywa ze mnie to, co najgorsze, i sprawia, że chcę... brać się z nim za łby. Myśli, że jestem snobką? Nie on pierwszy. To, że jestem wyciszona, nie oznacza jeszcze, że się wywyższam. Może po prostu chcę być sama. Może nie jestem dobra w rozmowach. Nie możemy być wszyscy tacy luzacy i towarzyscy w stylu hej, koleś, jak tam? jak z pewnością on jest. Nie, niektórzy z nas nie są do tego stworzeni. To nie znaczy, że jestem waśniakiem. I dlaczego cały czas mówi o tym, jak się ubieram, na miłość boską? Jestem ubrana zwyczajniej niż na szkoleniu. Więc mam taki styl. Nie zmienię się, żeby zadowolić Portera.

Nie jestem pewna, ile czasu minęło, ale chciał nie chciał wracam do pokoju śniadaniowego. Kilku pracowników właśnie je. Czekam kilka minut, ale nikt mnie nie woła. Spodziewam się, że zostaną wezwana do gabinetu pana Cavadiniego albo przynajmniej do menedżera zmiany, który będzie chciał ze mną pomówić. Nikt nie przychodzi, nie wiem, co robić. Zostało jeszcze kilka godzin mojej zmiany, więc wracam do lobby, rozglądając się za oznakami

nadchodzącego nieszczęścia. Wpadam na kogoś. Spoglądam w górę i widzę pana Cavadiniego, przyciśniętego do tablicy informacyjnej. Puls mi skacze.

– Tak mi przykro – mówię, przepraszając. Przez ostatnie pół godziny przepraszałam tyle razy, że musiałam pobić rekord świata. To jest to. Jestem gotowa. Przyszedł mnie ściąć.

– Uważaj, jak chodzisz, panno... – waha się przez chwilę, a jego oczy kierują się do plakietki – Bailey.

– Ja... – nie mogę znów przepraszać. Po prostu nie mogę. – Tak, panie Cavadini.

– Jak idzie ci praca przy biletach? Jesteś na przerwie? – marszczy nos. – Nie odchodzisz, co?

– Nie.

Rozluźnia się. Wygładza swój krawat z Cavern Palace.

– Cudownie. Wracaj do swojej budki – mówi odruchowo i macha ręką, skupiony ponownie na tablicy. – Nie zapomnij o uśmiechu.

Jakbym mogła teraz się uśmiechać. Idę do budki biletowej roztrzęsiona, wciąż niepewna, co tam zastanę. Biorę głęboki wdech i pukam do drzwi. Otwierają się. Portera nie ma. Mała kolejka tworzy się po drugiej stronie okienka, a Grace obsługuje ją sama. Odpręża się, widząc mnie. Szybko wyłącza mikrofon.

– Hej – szepcze. – W porządku?

– Tak. Nie wyleją mnie?

Patrzy na mnie jak na przygłupa, a potem kręci głową.

– Porter ich przeprosił i wpuścił za friko. Ludzie zapomną wszystko, jeśli dasz im tylko coś za darmo. Nie odchodź! Wszystko jest okej. A ja potrzebuję w tej chwili twojej pomocy, tak?

– Dobra.

Zamykam za sobą drzwi i siadam na stołku, machając do kolejnej osoby w kolejce. Nie jestem pewna, co czuję. Ulgę? Wypluta? Wciąż upokorzona i wściekła na Portera? Już sama nie wiem.

Zanim zdążyłam przycisnąć mikrofon, zauważam świeżą butelkę wody i trzy ciasteczka na serwetce z logo Cavern Palace, blisko drukarki. Jedno czekoladowe, jedno cukrowe i jedno owsiane. Na brzegu serwetki obok rysunku smutnej buźki widnieje jedno słowo nabazgrane niedbałym chłopięcym pismem: „Przepraszam”.

Prywatne wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière – nowe!

@alex: Potrzebuję pocieszenia.

@mink: Ja też. Chcesz obejrzeć *Poszukiwaczki złota* z 1933?

@alex: *Blues Brothers*?

@mink: *Dr. Strangelove*?

@alex: *Młody Frankenstein*?

@mink: *Młody Frankenstein*.

@alex: Jesteś najlepsza.

@mink: Ty też nie jesteś najgorszy. Daj znać, kiedy będziesz gotowy wcisnąć play.

6

Czasem lepiej, kiedy nie wiesz.

Jack Nicholson *Chinatown* (1974)

Cały następny poranek spędzam na promenadzie. Jest mniej więcej taki sam jak za moim pierwszym pobytom, co oznacza, że jest do kitu. Zero śladów Alexa, za to wpadam znów na tę głupią rudą, pręgowaną kotkę, kręcącą się koło mojego ulubionego gofra. Tym razem zafundowałam jej Señor Don Gato (z ulubionej piosenki dla dzieci mojej i mojego taty: „Miau-miau-miau”). W końcu nabrała mnie, bo myślałam, że to on.

Po nażarciu się i nakarmieniu okruszkami gofra jakichś ważnych mew wciąż mam trochę czasu, zanim będę musiała pójść do Jaskini na popołudniową zmianę. Nie planuję spotkania z Porterem. Od czasu ciasteczek nie wiedzieliśmy się. Tak, to była z jego strony miła próba naprawy własnej głupoty, ale nieważne. Może nie mów nic, za co będzie trzeba odpokutować.

Uff. Samo myślenie o nim powoduje, że mam ochotę w coś kopnąć. Przypomina mi również, że chciałam znaleźć apaszkę. Muszę związać włosy, żeby nie przyklejały mi się do szyi, kiedy zacznym pocić się w Gorącym Pudle. Wyrzucam pomięty papierek od gofra, żegnam senną Señor Don Gato, i idę do sklepu, który wyśledziłam podczas mojej poprzedniej wizyty – Déjà Vu. To mały sklep, z klasyczną odzieżą, ze starymi manekinami w oknie, poskładanymi z różnych egzemplarzy – męskich, damskich, brązowych, różowych, wysokich, małych. Kiedy wchodzę do środka, dzwoni mały dzwoneczek, zagłuszany bębnami wybijającymi przez głośniki rytm egzotycznej muzyki z lat pięćdziesiątych. W sklepie jest ciemno i pachnie zapyziałymi starymi rzeczami i tanimi detergentami. Wszystko jest ciasno upchnięte, marzenie poszukiwacza. W sklepie jest tylko jeden sprzedawca, a znudzona dziewczyna w wieku college’u, z fioletowymi dreadami, trzyma na końcu sklepu kasę.

Sięgam do obracającego się wieszaka ze starymi apaszkami niedaleko lady. Bingo. Niektóre cuchną, inne są zbyt psychodeliczne, ale jest sporo takich, z których mogę wybierać. Znajduję czarno-szarą, w paski, która nie będzie się za bardzo gryzła z moją dyniową służbową marynarką. Płacę dziewczynie przy kasie. Kiedy mnie obsługuje, przy drzwiach dzwoni dzwonek. Zerkam przez ramię i widzę dwóch chłopaków wchodzących do sklepu. Jeden to przysadzisty Latynos w T-shircie bez rękawów. Drugi natomiast jest patykowatym blondynem w szortach i w ogóle bez koszulki. Idzie utykając, jakby miał zranioną nogę.

Cholera. Znam go. To przyjaciel Portera. Drugi gościu z przejścia – ten, który walił pięściami w samochód mojego taty. Zbliżają się do nas.

– Co tam, *mamacita*? – mówi blondyn leniwym, zgrzytliwym głosem do dziewczyny przy kasie, przysuwając się do lady obok mnie, kiedy ona wydaje mi resztę. Zerkam na jego twarz. Ma wysokie kości policzkowe i głębokie wgłębienia pod nimi, poznaczone bliznami po trądziku. Jego jasnoblond włosy są w nieładzie. Poza tym mógłby być bardziej klasycznie przystojny niż Porter. O urodzie niemal modela. Ale otacza go wzbudzająca lęk aura. Coś odpychającego.

– Już mówiłam ci, żebyś mi nie przeszkadzał w pracy, Davy.

– Tak, cóż, to nagły przypadek. Jadę do La Salva dziś po południu. Musisz mi pomóc z bratem.

– Nie teraz.

Chłopak kładzie dłonie na ladzie i pochyla się bardziej, zasłaniając mi widok ich twarzy. Wciąż widzę jej fioletowe dredy na jednym ramieniu.

– Proszę – błaga.

– Myślałam, że skończyłeś z tym – odpowiada dziewczyna ściszone głosem.

– Generalnie tak, ale wiesz, jak to jest. Potrzebuję tylko trochę, okazjonalnie – mówi cicho tak jak ona, ale wciąż słyszę każde ich słowo. No cóż, ta rozmowa nie jest prywatna. Czy oni o tym wiedzą? – Tylko na dziś.

– Mówiłeś tak tydzień temu – odpowiada dziewczyna.

– Julie, daj spokój. – Przesuwa dłonią po jej ramieniu, trącąc dredy palcami. – Julie, Julie, Julie.

Dziewczyna wzdycha.

– Wykonam telefon i napiszę do ciebie. To może potrwać kilka godzin.

Zadowolony odwraca się i wydaje się, że dopiero teraz mnie zauważa.

– Cześć.

Nie odpowiadam, ale czuję, że mnie obserwuje, kiedy odbieram resztę. Szybko wrzucam ją do portfela, łapię torbę z apaszką i kieruję się do drzwi. Chcę stąd wyjść, jak wczoraj.

Ale nie jestem wystarczająco szybka. Dogania mnie.

– Co kupuje? – Czuję stuknięcie w torbę i obracam się, żeby zobaczyć, jak Davy wyciąga moją apaszkę. – Jesteś kowbojką czy jedną z gangu?

Wyrywam mu apaszkę z ręki.

– Ani to, ani to.

Jego kolega chichocze głupio za nim.

– Hej. Spoko. Po prostu jestem ciekawy – mówi Davy. – Nie spotkałem cię już? Jak się nazywasz?

– Nie sędzę.

– Och, trafiony – mruczy przysadzisty.

– Daj spokój, kowbojko – mówi Davy. – Nie bądź taka.

Nie zdołałam wyjść przez drzwi wystarczająco szybko. Wychodzę za szybko. Już drugi raz w ciągu dwudziestu czterech godzin wpadam prosto na kolejnego człowieka. Prawdziwy Artful Dodger byłby rozczarowany moimi nikłymi umiejętnościami ucieczki. Mój policzek rozgniata się na piersi ze stali. Odrzuca mnie i niemal tracę równowagę. Jakieś ręce łapią mnie za ramiona.

Patrzę na logo Quiksilver Surboards. Rozmasowuję szczękę i podnoszę wzrok. Teraz patrzę na wściekłą twarz Portera Rotha.

– Niech to diabli – mruczę.

Rysy jego twarz łagodnieją, kiedy mnie widzi. Ale tylko trochę. A potem zerka ponad moją głowę i znów jest wkurzony.

– Co ty do cholery tutaj robisz? – Nie mówi do mnie. To wtedy zdaję sobie sprawę, że nie jest też wściekły na mnie; jest wściekły na osobę stojącą za mną.

– A ty kto? Moja mama? – odzywa się zachrypły głos Dave'a. – Luz, człowieku. Przyszliśmy z Rayem wziąć coś do żarcia, a potem jedziemy do Capo.

Dłonie Portera nadal ściskają moje ramiona. Nie potrafię ocenić, czy po prostu mnie trzyma, czy próbuje mnie obronić przed Davym. Ale kiedy stoi tak blisko, czuję silny zapach oleju kokosowego i wosku – w sumie przyjemny, tak szczerze. Wdycham ten zapach, a on wciąż przesłuchuje Davy'ego.

– Chcesz powiedzieć, że nie widziałem cię przed chwilą wychodzącego z Déjà Vu?

Odwracam głowę, żeby zobaczyć, jak Davy się wycofuje.

– Julie poprosiła nas, żebyśmy weszli. Nic takiego. Gadaliśmy chwilę o nowym psie Capo. Wyluzuj.

Hm, kłamie. Ale w powietrzu wisi wystarczająco dużo testosteronu, żeby wzniecić wojnę, więc nie zamierzam kablować na Davy’ego. A zresztą co mnie to obchodzi? To nie mój biznes. Ja chcę po prostu stąd wyjść i pójść do roboty. I czemu Porter nadal mnie trzyma? Wygląda na to, że wreszcie też zdał sobie z tego sprawę, i w tym samym czasie, kiedy ja go strząsam, on mnie puszcza i zakłada ręce do tyłu, jakbym była radioaktywna.

– A ty co tu robisz? – pyta mnie.

– Kupuję apaszkę – mówię, odsuwając się od niego. Dlaczego on zawsze znajduje się w mojej strefie prywatnej?

– Znacie się? – pyta Davy, bezmyślnie trąc prawą nogę. To ta zraniona – powód utkania.

– Pracujemy razem. – Porter patrzy na Davy’ego, a potem na moją torbę, jakby nie wierzył żadnemu z nas. Jest zniewagą łączenie mnie z tym dupkiem.

– Mały świat. – Davy uśmiecha się. – Zdradzisz mi teraz swoje imię, kowbojko?

– Wygląda na to, że i tak będziesz mnie nazywał, jak zechcesz, więc co to ma za znaczenie?

– Cholerna dziewczyna. – Poprawia szorty. – Czy dla ciebie w pracy też jest taka? – pyta Portera.

Porter zerka na mnie. Prowokuję go wzrokiem, żeby powiedział coś błyskotliwego. No dawaj, koleś, Odkryj się. Powiedz mu, jak mnie rozwścieczyłeś, zachowując się jak świnia, nazwałeś mnie snobką, przez co prawie straciłam robotę. Zaprezentuj się dobrze przed swoim debilnym przyjacielem.

Ale mówi tylko:

– Ona jest w porządku.

Hm.

Davy rzuca mi jeszcze jedno długie spojrzenie i pstryka palcami.

– Powinnaś przyjść na ognisko. W sobotę o zachodzie słońca, w Ogrodzie Kości. Nie mam pojęcia, gdzie to jest, i nie obchodzi mnie to. Szczególnie po wątpliwej

wymianie słów, jakiej byłam świadkiem w sklepie.

Porter parska.

– Nie myśl, że nie wiem, że to tam umówiłeś się kiedyś z Chloe.

– No i? – pyta wyzywająco Davy. – Chloe jest teraz w LA. Czemu wyciągasz przeszłość?

– Czemu zapraszasz ją na ognisko? – Porter wskazuje na mnie palcem.

Davy wzrusza ramionami, a jego kumpel Ray ponagla go, żeby poszli na deptak, z dala od tego sklepu ze starociami.

– To wolny kraj.

Nie jestem pewna, o co chodzi, ale czuję się nieco niezręcznie zostawiona sama na sam z Porterem.

– Muszę iść do roboty.

Południowe słońce rzuca refleksy na ciemne loki Portera, a kiedy odwraca głowę w kierunku oceanu, blizna na jego karku robi się niemal czerwona.

– Taa, ja też.

Cholera. Znów pracujemy dzisiaj razem? Zapomniałam sprawdzić grafik, bo chciałam jak najszybciej ulotnić się stamtąd po wczorajszej wpadce. Nie jestem pewna, jak dużo tego bycia razem zniosę. Ale on patrzy na mnie lekko rozbawiony, drapiąc się po karku, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. A potem przypominam sobie ciastka, które mi zostawił, i zastanawiam się, czy on też to sobie przypomniał. Jasne, jako gest to mogło być okej. Ale równie dobrze mógł je ukraść z kawiarni. Powinnam była wyrzucić je do kosza, ale czekoladowe oddałam Grace, a resztę sama zjadłam.

Czuję się niezbyt komfortowo, bąkam „cześć” i odwracam się, żeby odejść. Laska ze sklepu, Julie, stoi na zewnątrz z rękoma i dredami skrzyżowanymi na piersi, uważnie nas obserwując. Unikam kontaktu wzrokowego i idę dalej.

– Do zobaczenia później, kowbojko – gdzieś z dystansu dochodzi mnie głos Davy’ego.

Mam nadzieję, że nie. Kiedy mijam budkę z goframi, zauważam, że Porter zmierza w tym samym kierunku, ale jego umięśnione nogi niosą go szybciej. Ktoś gwizdże, zatrzymując go. To mężczyzna w średnim wieku, może jak mój ojciec, z pofalowanymi, szpakowatymi włosami, krótko przystrzyżonymi. Ma na sobie szerokie szorty i koszulkę bez rękawów i wygląda, jakby w młodości mógł być

przystojny, ale miał ciężkie życie. Jedno ramię jest pokryte wyblakłymi tatuażami, a drugiego nie ma – zupełnie.

Jestem zaskoczona, bo w oczach mężczyzny rozpoznaję oczy Portera. Zerkam na różowe blizny tam, gdzie było ramię. Porter przechwytuje moje spojrzenie. Szybko odwracam wzrok i idę dalej, a twarz mi płonie.

To prawdopodobnie ojciec Portera i ta „okropna” rzecz, o której mówiła Grace. Co się, na Boga, stało tej rodzinie?

Prywatne zarchiwizowane wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière

@mink: Co chcesz robić po szkole?

@alex: Masz na myśli w życiu?

@mink: Raczej college. Kiedy byłam młodsza, chciałam iść do szkoły filmowej. Być reżyserem. Ale teraz nie sądzę, że byłabym w tym dobra. Nie chcę takiego napięcia. Teraz wydaje mi się, że raczej będę poza sceną, katalogując coś.

@alex: Profesjonalny hobbysta filmów?

@mink:*mruknięcie* Naprawdę jest taka praca? Mam nadzieję, że płacą duże pieniądze.

@alex: Dobrze dla ciebie. Mój tata spodziewa się, że przejmę biznes rodzinny, a ja nie chcę. Nie zrozum mnie źle: lubię ten biznes. Cieszy mnie jako hobby. Ale nie chcę tej presji, żeby prowadzić go dla pieniędzy. A jeśli chcę robić inne rzeczy?

@mink: Taa, rozumiem. Ale na jesieni musimy składać papiery do college'u. To trochę przerażające. Tyle szkół. Zachodnie Wybrzeże? Wschodnie Wybrzeże? Nie wiem.

@alex: Ciesz się możliwością wyboru. Ja utknę w lokalnym college'u, będę pracował w dwóch miejscach. Moja przyszłość już została napisana.

@mink: To nie może być prawda.

@alex: Niektórzy z nas nie mają tyle szczęścia, Mink.

7

Nienawidziłem wody.

Roy Sheider *Szczęki* (1975)

Mój tata mówi, że drugi dzień czegoś jest lepszy niż pierwszy, ponieważ wiesz już, czego możesz się spodziewać, i ma rację. Dziś Gorące Pudło jest bardziej do przyjęcia. Poświęcam swoje długie fale na rzecz ich upięcia i wiązę apaszkę w stylu pin-up girls, co chroni mój kark przed spływającym potem. Grace też się zabezpieczyła. Przyniosła wiatraczek na baterie, który postawiła między naszymi stanowiskami. Najwięcej kłopotu mamy z bieganiem do toalety, bo pijemy obie tyle wody, co konie po derbach Kentucky.

W połowie zmiany robię należną mi trzydziestominutową przerwę. Ściągam pomarańczową marynarkę i idę na górę do kawiarni. Chwilowo nie ma tam kolejki. Cukrowe ciastko, które Porter dał mi wczoraj, było przepyszne, więc kupuję dwa i znajduję pusty stolik we wnęce, pod statkiem piratów. Wyciągam telefon i sprawdzam to, co mnie męczyło dzisiaj od początku pracy.

Bill „Pennywise” Roth był profesjonalnym surferem, który wygrał mnóstwo razy Światową Ligę Surferów i zdobył Trójkoronę w latach osiemdziesiątych. Zgodnie z jego biografią online nadal znajduje się na szczycie listy surferów. Wygląda na to, że zmarł osiem lat temu. Jest tu zdjęcie pomnika – postać ma naturalną wielkość – przy przejściu dla surferów, zrobione o zachodzie słońca, z pękiem kwiatów i desek surfingowych poupychanych obok.

Zaczynam czytać, jak dorastał w biednej żydowskiej rodzinie i zaczął surfować w wieku sześciu lat, i jak wychował tę wielopokoleniową rodzinę profesjonalnych surferów: syna Xandera Rotha i wnuki...

Czekajcie. Porter ma młodszą siostrę, Lanę, szesnastolatkę. Jest surferką klasy stanowej i międzynarodowej. Będzie jesienią po raz pierwszy startować w profesjonalnych zawodach. Przewiduje się, że weźmie udział w rocznych

zawodach, które zaczynają się w styczniu. A Porter nie? I co się stało jego ojcu?

Na moim telefonie pojawia się cień. Wciskam przycisk zasilania, ale niezbyt szybko.

– Czytasz o mnie?

Krzywię się i zamykam na chwilę oczy. Jak mnie tutaj znalazł?

– Śledzisz mnie przez kamery ochrony?

– Każdy ruch – odpowiada Porter. Metalowe nogi skrzypią po podłodze, kiedy przysuwa sobie krzesło i siada na nim, jakby dosiadał konia. Ręce opiera na oparciu.

– Jeśli chciałaś wiedzieć coś o mojej rodzinie, wystarczyło zapytać.

– Dam sobie radę, dzięki. – Zaczynam zbierać swoje rzeczy, ale zjadłam ledwie połowę pierwszego ciastka, więc to raczej oczywiste, że powinnam zostać.

– Widziałem, jak przyglądałaś się dzisiaj mojemu ojcu. – Oskarżenie.

– Nieprawda...

– Prawda.

Cichy jęk wyrywa mi się z ust. Ramiona mi opadają.

– Nie wiedziałam... to znaczy, Grace wspomniała, że coś się wydarzyło, ale nie wiedziałam co dokładnie, więc byłam po prostu... – Po prostu co? Kopiesz swój grób nieco głębiej? – ciekawa. – Kończę wreszcie.

– Okej. – Kiwa powoli głową. – Więc co już wiesz?

Włączam swój telefon.

– Dotarłam dotąd – mówię i pokazuję artykuł.

Pochyla się i zerka na ekran.

– Ach. To wszystko? A więc wiesz, kim był mój dziadek i jak zmarł?

– Nie dotarłam do tego miejsca – odpowiadam, mając nadzieję, że nie brzmi to tak źle, jak mi się wydaje.

Nie wygląda na obrażonego.

– Był świetnym surferem. Miał stalowe jaja. Podejmował głupie ryzyko, nawet wtedy, kiedy był za stary, żeby to robić. Na zimę, po dużej burzy, fale były naprawdę wysokie, w północnej części zatoki, przy Ogrodzie Kości. Bardzo zaryzykował pewnego ranka po burzy. Miałem wtedy dziesięć lat. Obserwowałem go z klifu. Fala po prostu go połknęła całego i wypłuła prosto na skały. To dlatego nazywają je Ogrodem Kości, tak przy okazji. Nie był pierwszym

idiotą, który tam zginął. Ale najskrytniejszym.

Nie wiem nawet, co powiedzieć. Duża rodzina zatrzymuje się obok naszego stolika, żeby zrobić sobie zdjęcie na tle potwora morskiego. Uchylamy się, żeby nie trafić na zdjęcie, raz, drugi, trzeci. Wreszcie kończą, a my znów zostajemy sami.

Niezainteresowana pogłębianiem tematu jego dziadka, próbuję wymyślić inny temat do rozmowy. Mój umysł wraca do tego, czego byłam świadkiem w sklepie ze starociami.

– To twój kumpel, czy co? Ten Davy?

Porter parska.

– Dorastaliśmy razem. – Zerka na mnie. – Niepokoił cię?

– Nieskutecznie.

Usta Portera unoszą się w kącikach. Śmieje się delikatnie.

– Teraz w to wierzę. Nie jest zbyt bystry. Ale jest szkodliwy. Staram się mieć oko na niego, ale... – Porter zawiesza głos, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale po zastanowieniu uznaje, że lepiej nie. Zauważam, że mierzy mnie wzrokiem od głowy po gołe nogi – bez złośliwości. Ma zwężone oczy, czujne i pełne zakłopotania spojrzenie, a za tą złą emocją powiązaną z Davym jest coś, czego nie rozumiem. Zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego z tą Chloe, o której mówili.

Cokolwiek to jest, postanawiam nie naciskać. Kolejna wyuczona taktyka uciekiniera: Zmieniaj tematy tyle razy, ile potrzebujesz, żeby uniknąć niezręcznej rozmowy.

– Widzę, że masz siostrę, która surfuje.

– Tak – odpowiada i wygląda na szczęśliwego, że zmieniłam temat. – Lana jest super. Ma niesamowity potencjał. Ludzie mówią, że będzie o niebo lepsza niż mój ojczulek, a może nawet lepsza niż mój dziadek.

Zastanawiam się, czy to ich łączy, czy rani jego chłopięcą dumę. Ale on wyciąga telefon z kieszeni i pokazuje mi zdjęcia. Dziewczyna na desce w tunelu gigantycznej, zakręcającej fali. Niewiele mogę powiedzieć o jej twarzy, widać tylko tyle, że ma na sobie żółtoczarny, mokry kostium jak druga skóra, i wygląda, jakby połknął ją ocean. Porter pokazuje mi inne zdjęcie, zbliżenie, na którym wisi do góry nogami pośrodku fali. Ostatnie, które mi pokazuje, to oni oboje na plaży, oboje z kręconymi włosami schnącymi na słońcu, mokrymi kostiumami

opuszczonymi do pasa. Ich brązowa skóra lśni w promieniach słońca. On jest za nią, otacza ją ramionami i oboje się uśmiechają.

A teraz, kiedy tak siedzi naprzeciw mnie, na jego twarzy nie ma nic innego poza dumą. Nawet nie próbuje tego ukryć. Jego oczy wręcz błyszczą.

– Jest ładna – mówię.

– Jak moja mama. To nasze geny Hapa. – Zerka na mnie i wyjaśnia: – W połowie hawajskie. Dziadkowie pochodzili z Polinezji i Chin. Mój tata poznał mamę, kiedy był w moim wieku. Surfował w zawodach na North Shore. Tutaj – pokazuje mi zdjęcie mamy. Jest cudowna. Stoi na deptaku niedaleko mojej ulubionej budki z goframi, przed znajomym sklepem, Penny Boards. Cóż. Chyba znam odpowiedź. To ich rodzinny sklep. Notka dla mnie: znajdź inną budkę z goframi! Szybko!

Niesamowicie zawstydzona, zerkam na jego twarz, a potem szybko odwracam wzrok.

– To chyba dziwne mieć młodszą siostrę, która idzie do przodu? – pytam bardziej z nerwów niż z innego powodu.

Porter wzrusza ramionami.

– Nie bardzo. Weźmie udział w zawodach kobiecych po raz pierwszy w przyszłym roku. To dość duża sprawa. Będzie podróżować po całym świecie.

– A co ze szkołą?

– Tata będzie z nią. Będzie uczył ją w domu. Ja zostanę, by pomóc mamie prowadzić sklep. – Musiał zauważyć wyraz zwątpienia na mojej twarzy, bo mruga kilka razy i kręci głową. – Tak, to nie jest najlepsze, ale Lana nie chce czekać do osiemnastki. Wszystko może się zdarzyć, a ona jest teraz w szczytowej formie. Na zawodach dostaje małą pensję i ma szanse wygrać nagrodę pieniężną. Ale najważniejsze to się pokazać, ponieważ prawdziwe pieniądze są w reklamach produktów. Z tego właściwie żyliśmy, dopóki tata nie stracił ręki.

Przypomina mi to trochę mamusie, które wypychają dzieci na scenę dla pieniędzy, ale zatrzymuję tę opinię dla siebie.

– Nie jesteście właścicielami sklepu? – Kiwam głową w kierunku telefonu.

– Jasne, jesteśmy, ale ludzie nie wiedzą, że sklep rzadko wychodzi na swoje. Koszty są makabryczne; czynsz idzie cały czas w górę. A teraz, kiedy tata już nie surfuje... cóż, nikt nie chce jednorękiego cherławca.

Jezu. Rozmowa zmierza w dziwnym kierunku. Odwracam się i trafiam na

wielkie oko potwora morskiego, które mnie ocenia: Musiałaś patrzeć w telefon podczas godzin pracy? Nie mogłaś poczekać, aż wrócisz do domu? – więc odwracam się do stolika i biorę swoje nadgryzione ciastko.

– Wiedziałem, że jedno z trzech musiało być tym właściwym.

– Hm? – Przelykam ciastko i staram się wyglądać na wyluzowaną.

– Lubisz cukrowe ciastka. Nie wiedziałem które. Miałem tylko nadzieję, że nie jesteś weganką albo niejedzącą glutenu czy coś w tym stylu.

Kręcę głową.

Odłamuje kawałek mojego ciastka i zjada, a ja nie wiem, jak się z tym czuję. Nie wiem, gdzie trzymał ręce. Nie jesteśmy przyjaciółmi. Ale to, że jego tata stracił ramię, nie wystarczy, żebym zapomniała, że jest dupkiem pierwszej klasy.

– Nie zamierzasz mnie spytać? – mówi. – A może już wiesz?

– Co?

– Jak mój tata stracił rękę.

Kręcę głową.

– Nie wiem. Chcesz mi powiedzieć? – Czy powinnam poczekać, aż sobie pójdiesz, i wtedy to sprawdzę? Tak będzie lepiej, dzięki, do zobaczenia, *hasta luego*.

– Trzy lata temu. Miałem piętnaście lat. O rok mniej niż teraz Lana. Poszedłem do Sweetheart Point obserwować tatę, jak surfuje. Charytatywnie. To nie były zawody ani nic takiego. Głównie starsi surferzy, kilka wielkich nazwisk. Dosłownie znikąd... – przerywa na chwilę, zatapia się w myślach, oczy ma zamglone. A potem mruga. – Widzę ten wielki kształt, który przecina wodę kilka metrów dalej. Na początku nie wiedziałem, co to jest. Kierowało się prosto na mojego tatę i zważyło go po prostu z deski. A potem zobaczyłem białą obręcz wokół jego szyi i otwartą paszczę. Żarłacz biały.

Otwieram szeroko usta. I szybko przymykam.

– Rekin?

– Mały samiec. Mówią, że to jest jak uderzenie pioruna, ale niech to cholera weźmie, jeśli to się nie stało. I powiem ci, to nie było jak w *Szczękach*. Setki ludzi wokół mnie na plaży i nikt nie krzyczał ani nie uciekał. Wszyscy po prostu stali tam i patrzyli, jak ten kilkudziesięciokilogramowy potwór wciąga mojego ojca pod wodę, a on był cały czas przywiązany przy kostce do deski.

– O dobry Boże – mruczę, wpychając połowę drugiego ciastka do ust. – Czo się stało potem? – pytam z buzią pełną cukru.

Porter bierze resztę ciastka, odgryza kawałek i przeżuwa. kręcąc głową, nadal wygląda na lekko skołowanego.

– To było jak sen. Nie myślałem. Po prostu wbiegłem do wody. Nawet nie wiedziałem, czy tata nadal żyje i co się ze mną stanie, kiedy wpadnę na rekina. Płynąłem tak szybko, jak mogłem. Najpierw znalazłem deskę, potem za linką ciało.

Przerywa i przełyka.

– Posmakowałem krwi w wodzie, zanim go wyciągnąłem.

– Jezu.

– Ręki już nie było – mówi cicho. – Poszarpana skóra, wiszące mięśnie. Totalny bajzel. Byłem przerażony, że mogę to jeszcze pogorszyć, zabierając go na brzeg. Był ciężki i nieprzytomny, nikt nie przychodził na pomoc. A wtedy znów pojawił się rekin i próbował odgryźć również moje ramię. Udało mi się go uderzyć i wystraszyć. Musieli założyć sześćdziesiąt dziewięć szwów, żeby mnie poskładać.

Wyciąga lewą rękę tuż przede mną i podwija krótki rękaw swojego uniformu ochroniarza. A tam, ponad jasnoczerwonym zegarkiem surfera, bieżną zygzagowatą linią różowe blizny, wystawione na widok. Patrzenie na te blizny to jak pornografia. Jakbym robiła coś, czego nie powinnam robić, i w każdej chwili ktoś mnie może na tym przyłapać... ale jednocześnie nie mogę odwrócić wzroku. Żłota skóra, nierówne, błyszczące blizny. Wydziergany w krzyżyki trakt przecinający wyrzeźbione, gładkie mięśnie. To przerażające... i najpiękniejsze, co w życiu widziałam.

Blizny przypominają mi coś o mnie samej. Coś, czego nie mogę mu powiedzieć. Ale co porusza mroczne wspomnienia, o których nie chcę myśleć, i nagle emocje próbują zmać powierzchnię.

Biorę głęboki wdech, żeby odsunąć od siebie te uczucia, a wtedy pojawia się znowu ten zapach, zapach Portera, wosk i czysty kokos. Nie taki jak w olejkach do opalania. Co to jest? Doprowadza mnie do szału. Nie wiem, czy to efekt zapachu czy opowieści o rekinie, czy też moja nagła potrzeba zagłuszenia niechcianych wspomnień, ale zanim orientuję się, co robię, moje palce przesuwają się po krawędzi jednej z blizn na jego łokciu.

Jego skóra jest ciepła. Blizna jest wypukłą, twardą i sztywną linią. Przesuwam palce wokół łokcia, do delikatnego, łagodnego dołka, gdzie zgina się jego ramię.

Złote włoski na jego przedramieniu unoszą się.

Wciąga szybko powietrze. Nie sędzę, żeby zrobił to specjalnie, ale słyszałam. I wtedy pojmuję, że przekroczyłam pewną granicę. Zabieram rękę i próbuję wymyślić coś sensownego do powiedzenia, aby wymazać to, co właśnie zrobiłam, ale stać mnie tylko na jakiś żalony pomruk. I sprawy pomiędzy nami stają się jeszcze dziwniejsze.

– Przerwa – w końcu mówię. – Muszę wracać.

Jestem tak zażenowana, że potykam się o swoje krzesło, kiedy odchodzę. Metaliczny chrobot niosący się echem po kafejce powoduje, że niektórzy z gości muzeum podnoszą wzrok znad swoich popołudniowych kaw. I kto tu jest spryciarzem, Rydell? Nigdy mi się to nie przydarzyło. Nie jestem niezdara. Nigdy, nigdy, nigdy. On miesza w mojej grze. Nie będę mogła nawet zerknąć na niego więcej, bo od razu zapłonie mi twarz.

Co się ze mną dzieje? Przysięgam, każda interakcja z Porterem Rothem przeradza się w coś porąbanego. On jest jak gniazdko elektryczne, a ja jak głupi dzieciak, który zawsze próbuje być obok i wtykać paluchy do środka.

Ktoś powinien przyczepić wielki znak „Nniebezpieczeństwo” na tym chłopaku, zanim się porażę prądem.

Prywatne wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière – nowe!

@mink: Miałaś kiedyś prawdziwą dziewczynę?

@alex: Tak, tak myślę. Coś w tym rodzaju. Co dla ciebie znaczy prawdziwą?

@mink: Hej, to ty powiedziałaś tak. Byłam po prostu ciekawa. Jak długo byliście i dlaczego zerwaliście?

@alex: Trzy miesiące, a skrócona wersja jest, że powiedziała, że ja już nie chcę się więcej bawić.

@mink: Och. A długa wersja?

@alex: Jej sposób na zabawę włączył umawianie się z moim najlepszym przyjacielem, kiedy mnie nie było w mieście.

@mink: Nie wiem, co powiedzieć. Przykro mi.

@alex: Niepotrzebnie. Sprawdziłem. To nie była do końca jej wina. Jeśli nie zwracasz uwagi na pewne rzeczy, oddalają się. Odebrałem lekcję. Teraz jestem czujny.

@mink: Czujny z kim?

@alex: Chyba miałaś na myśli wobec kogo?

@mink: :P

@alex: Wobec nikogo konkretnego. Po prostu mówię, że nie jestem tą samą osobą, którą byłem. No dobra, wyznałem. Teraz twoja kolej. Czy byłaś wobec kogoś czujna w przeszłości?

@mink: Kilku facetów, na kilka tygodni, nic wielkiego. Teraz głównie uważam na siebie. To praca na pełny etat. Byłbyś zdziwiony.

@alex: Pewnego dnia możesz potrzebować pomocy.

8

Widzisz, jakiego pierdolca mam na punkcie swoich butów, i pasują tylko na moją nogę.

Alicia Silverstone *Słodkie zmartwienia* (1995)

Nie pracowałam z Porterem przez kilka następnych zmian. Z Grace również, co mnie zaskoczyło. Muzeum połączyło mnie z jakąś starszą panią, Michelle, która ma ponad dwadzieścia lat i problemy z szybkim liczeniem gotówki. Spowalnia kolejkę, co doprowadza mnie do szału. Wystarczająco, żeby pomaszerować do biura pana Cavadiniego, wychylić się zza rogu... zmienić zdanie i odmeldować się, zamiast coś powiedzieć.

Tak właśnie działałam.

Pewnego ranka, zamiast włączyć się po deptaku, szpiegować od sklepu do sklepu, zapychać usta goframi, spędziłam go na pokonywaniu taty w dwóch rundach w minigolfa. Wziął pół dnia wolnego z pracy, żeby być ze mną, co było bardzo miłe. Dał mi wybór: minigolf albo pływanie na desce – ale nie było opcji, żebym zamoczyła chociaż palec w oceanie po tym, jak usłyszałam przerażającą opowieść Portera o wielkiej wodzie. O nie. Opowiedziałam tacie całą historię i sam był nieco przestraszony. Powiedział, że widział tatę Portera przed sklepem i wiedział, że rodzina była surferami, ale założył, że wypadek z ramieniem zdarzył się wiele lat temu. Nie miał pojęcia, jak ojciec Portera je stracił ani że Porter go ratował.

Widzicie. Ledwie dziesięć dni w mieście, a ja już karmię tatę plotkami, których on nie słyszał, chociaż mieszka tu cały rok. Ten człowiek najwyraźniej mnie potrzebuje.

Nagrodą za wygraną w minigolfa jest wybór przeze mnie miejsca na lunch. Ponieważ zjedliśmy lekkie śniadanie przed naszą wycieczką, na drugie śniadanie wybieram Pancake Shack. Wewnątrz panuje klimat amerykańskiej jadalni z lat

pięćdziesiątych. Siadamy na stołkach przy blacie, dokąd kelnerka w różowym uniformie przynosi nam szklanki z mrożoną herbatą, a my czekamy na nasze zamówienie. Moje marzenia wreszcie się spełniają! Tylko że niestety nie, ponieważ Pancake Shack nie jest dokładnie taki, jak oczekiwałam, nawet ich słynny na cały świat naleśnik migdałowy, którego skubnęłam.

Kiedy wyrażam swoją chłodną opinię, tata bierze kawałek widelcem i próbuje.

– Smakuje jak święta Bożego Narodzenia.

– Jak te ciastka, które piekła babcia.

– Te duże, kruche – zgadza się. – Powinnaś była zamówić dutch baby. Spróbuj mojego, jest fantastyczny.

Jego jest o wiele lepszy, ale to nie to.

– Nadal go nie znalazłaś, co? – pyta, a ja wiem, że ma na myśli Alexa. Mówiłam mu, że zbyt się boję, żeby przyznać się Alexowi, że przeprowadziłam się tutaj i że próbuję znaleźć go na własną rękę. Tata i ja jesteśmy podobni w wielu (niestety) sprawach. On to rozumie. Mama by nie zrozumiała. Mama oszalałaby, gdyby wiedziała, że ALEX istnieje, a co dopiero to. Ale mama nie poświęcała zbyt wiele uwagi temu, co dzieje się w moim życiu, od kiedy zamieszkałyśmy w DC, więc nie było trudno go ukryć. A odkąd już jestem tutaj, zauważam, że ona nadal nie jest zbyt zainteresowana, skoro nie kontaktowała się ze mną od czasu jedynej rozmowy telefonicznej „Czy Bailey doleciała OK”. Nieważne. Staram się nie myśleć za dużo o jej braku zainteresowania.

Wyjmuję z torebki turystyczną mapę deptaku. Całkiem prosta, wzięłam ją za darmo pewnego ranka. Markerem zaznaczam sklepy, w których już byłam albo które nie spełniają parametrów, jakie Alex niechcący mi podał – z okna nie widać oceanu, w sklepie nie ma lady, i tak dalej.

– Tyle jeszcze zostało do sprawdzenia – mówię tacie, pokazując sekcje, w których jeszcze nie byłam.

Tata uśmiecha się, kręcąc głową. Próbuję zabrać mapę, ale on przytrzymuje ją na blacie i odsuwa żelazny talerz, na którym leży do połowy zjedzony dutch baby.

– Nie, nie. Pozwól mi zobaczyć tę cudowną rzecz. Jesteś skrupulatna i precyzyjna, podzieliłaś to na bloki.

– Och – narzekam. – Dziwne.

– Co? W twoich żyłach płynie krew księgowego – mówi dumnie, wskazując mapę. – Czekał, a skąd wiesz, że on nie pracuje w jednym z tych miejsc, w których byłaś, albo nie rozładowuje gdzieś ciężarówek.

– Nie wiem, ale postanowiłam sprawdzić każdy sklep dwa razy. – Pokazuję mu legendę w rogu mapy. Kropki to dni parzyste, kwadraty – nieparzyste. Symbol mężczyzny dla chłopaka w moim wieku pracującego tam – ale skreślonego jako potencjalny Alex po pierwszym spotkaniu. Trójkąty to budki z goframi. A fale to trzy koty, które jak dotąd spotkałam, włącznie z Señor Don Gato.

Kładzie rękę na moim ramieniu i całuje mnie w głowę.

– Z tak wspaniałymi umiejętnościami dedukcji jak mogłaś go nie znaleźć? A jeśli on nie jest wart tego, nie masz się czego wstydzić.

– Wiedziałam, że cię polubię.

– Trochę musisz – mówi z uśmiechem.

Też się uśmiecham.

Ktoś podchodzi do lady, a tata pochyla się do przodu, żeby spojrzeć za mnie. Jego twarz zamienia się w uśmiech. Lekko chrząka.

– Dzień dobry, sierżant Mendoza.

Kobieta czekająca na kelnerkę, by złożyć zamówienie, jest wysoką, pulchną latynoską gliną w granatowym uniformie. Falujące brązowe włosy, poprzetykane pasemkami siwizny, są ściągnięte w ciasny kucyk przy karku. Nosi ciemnobordowe okulary przeciwsłoneczne. Rozpoznaję ją: to ta glina, która zaświeciła światłami na Davy’ego i Portera na przejściu dla surferów, tego pierwszego dnia, kiedy przyjechałam.

– Dzień dobry, Pete – mówi chrapliwym głosem. Jeden kącik ust unosi się. Delikatnie. A potem jej twarz znów staje się nieczytelna. Mam wrażenie, że zerka na mnie, ale trudno powiedzieć, zwłaszcza kiedy ma okulary przeciwsłoneczne. – dutch baby? – pyta.

– No wiesz – odpowiada tata i śmieje się dziwnie.

Patrzą na nich. Tata znów chrząka.

– Wanda, to jest moja córka, Bailey. Bailey, to jest sierżant Wanda Mendoza z departamentu policji Coronado Cove.

Jakbym się nie domyślała. Uśmiecha się i wyciąga rękę, żeby się przywitać. Wow. Uścisk mocny. Teraz jestem w pełni obudzona. I nie jestem pewna, ale

wydaje mi się, że może sprawiać kłopoty. Czy gliny się denerwują? To chyba niemożliwe.

– Słyszałam o tobie dobre rzeczy, Bailey. – Tak? Kim ona jest i czemu tata o niej nie wspomniał? Czy są przyjaciółmi?

– Prowadzę podatki sierżant – wyjaśnia tata, ale brzmi to jak kłamstwo, a każde z nich spogląda w inną stronę – on na blat, ona na sufit. Kiedy opuszcza głowę, stuka palcami w blat. Zerkam na broń przyczepioną do jej biodra. Nie lubię broni; sprawia, że czuję się niepewnie, więc wydaje mi się, że jesteśmy kwita.

– Podobają mi się twoje brwi – w końcu mówi. – Cudowne.

Na sekundę tracę kontrolę. A potem cieszę się.

– Zrobiłam je sama – mówię jej. Wreszcie ktoś, kto docenia wagę dobrego łuku. Skubanie boli.

– Imponujące – potwierdza. – Jak ci się podoba Kalifornia?

– To zupełnie inna planeta. – Zdaję sobie sprawę, że mogło to zabrzmieć niezbyt pozytywnie, więc dodaję: – Lubię sekwoje i gofry.

To sprawia, że się uśmiecha. Prawie. Unosi brodę w kierunku mojego taty.

– Zabrałeś ją już do budki z pozole?

– Nie, jeszcze nie – odpowiada tata. – Nigdy jeszcze nie jadła pozole. Prawda? – pyta mnie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

Policjantka wzdycha i kręci głową, tak jakby tata poddał jej cały kraj.

– Teraz mam zapchany grafik, ale w ciągu kilku następnych tygodni powinniśmy ją tam zabrać.

My? Zabrać ją? Oni są my?

– Powali cię na kolana – zapewnia mnie tata, gdy glina zamawia dwa dania na wynos. Tata wstaje i wyciąga portfel.

– To przypomina mi... Bailey, daj mi sekundę. Muszę pogadać o czymś z sierżant. – Podaje mi plik banknotów, żebym zapłaciła za nasze zamówienie, i odchodzi z gliną dalej, gdzie pochylają się bardziej ku sobie, ale nie wydają się rozmawiać o czymś ważnym. I wtedy wszystko staje się jasne.

Jezu Chryste. Mój tata umawia się z gliną.

Wygląda na miłą. Ma silny szczery uścisk. Całkiem niezła babka. Tego samego wzrostu co on. Mam nadzieję, że ona lubi go równie bardzo jak on ją, ponieważ

on uśmiecha się jak kretyn. A potem słyszę, jak ona śmieje się delikatnie z tego, co powiedział, i widzę, jak przesuwa okulary na czubek głowy, i czuję się lepiej.

Kiedy czekam na koniec sesji glina–księgowy, pakuję mapę i rozglądam się wokoło. Przez chwilę tata nie blokuje mi widoku i wtedy zauważam osobę, która siedzi na stołku obok taty. To chłopak w moim wieku, z jasnymi włosami w kolorze piasku. Je jajka i pije kawę. Gdy wyciąga rękę, zauważam, że: (A) ma na sobie czerwony T-shirt z czarnym wydrukiem twarzy Cary’ego Granta i (B) czyta przewodnik po letnim festiwalu filmowym.

Serce bije mi szybciej, kiedy mu się przyglądam. Je powoli, pogrążony w lekturze, wkłada do ust kolejne małe kęsy jajek sadzonych. Dopasowane szorty ukazują szczupłe opalone nogi. Na nogach ma klapki, którymi plaska w metalowy podnózek kontuaru, gdy jego kolana rytmicznie podskakują. Niebiesko-pomarańczowy łańcuch na klucze leży koło jego talerza i ma znane logo, które widziałam na deptaku: Kilian’s Whale Tours. Właściwie to nie jest sklep ze sprzedażą detaliczną, ale stoi frontem do deptaku, skąd ma się widok na ocean. Taki z ladą. I prawdopodobnie rodzinny biznes. W głowie przywołuję mapę i umieszczam sklep koło trzech innych za budką z goframi. Żadnego rezydującego kota, ale w końcu koty są mobilne.

Czy to może być?

Mózg mówi mi, że bym zwolniła, ale serce myśli: spadł z nieba.

Jest słodki. Ale nie jest Porterem.

Boże, co jest ze mną nie tak? Kogo obchodzi głupi, stary Porter? Spycham go na dno umysłu i skupiam się na tym, co mam przed sobą, próbując zestawić to z Alexem, którego mam w głowie. Czy ten gościu może być błyskotliwy? Delikatny? Wygląda na dobrze ułożonego. Czy seryjni zabójcy są dobrze ułożeni?

To jest trudniejsze, niż myślałam.

Zbieram się do kupy i przypominam sobie, że jeśli to jest ALex, to on nie wie, kim jestem. Dla niego jestem po prostu dziewczyną siedzącą w jadalni. Ne jestem Mink. Głęboki wdech.

– Grant – mówię.

– Przepraszam? – Zerka sponad broszury.

– Twój T-shirt – wyjaśniam. – Cary Grant. *Tylko anioły mają skrzydła*, jeśli się nie mylę. – Nie mylę się. Odslaniam się zupełnie. Jestem kompletną idiotką, ale

nie mogę nic na to poradzić.

Jego głowa opada. Uśmiecha się teraz, ma wspaniałe zęby, szeroki biały uśmiech.

– Tak. Jesteś drugą osobą, która to rozpoznała, a noszę go już ponad rok. – Jego głos nie jest taki, jak sobie wyobrażałam. Ostrzejszy. Ale nadal dobry.

– Jestem wielką fanką Granta – mówię. – *Drapieżne maleństwo, Filadelfijska opowieść, Naga prawda, Dziewczyna Piętaszek* – wymieniam filmy na palcach, trochę odpływając i się rumieniając. Przystopuj, Rydell. Chrząkam. – No i *Północ, północny zachód*, oczywiście – dodaję, zrzucając przynętę.

– Każdy to kocha – przyznaje.

Och. Trudno ocenić, czy żartuje, czy mówi z sarkazmem. Ale przecież Alex ma niesamowite poczucie humoru. Ciężko powiedzieć.

Myśli przez chwilę.

– Jeśli ja miałbym wybrać, to wybrałbym *Moją najmiłszą żonę*.

– Naprawdę? Uwielbiam ten film – mówię. – Irene Dunne i Randolph Scott są cudowni.

– Adami i Ewa – zgadza się z uśmiechem.

– Widziałam go z tysiąc razy.

– Wiesz, że Cary Grant i Randolph Scott byli kochankami?

Potwierdzam.

– Prawdopodobnie. Nikt nigdy tego nie udowodnił, ale nie wątpię. Myślę, że on prawdopodobnie lubił i facetów, i babki. – Wzruszam ramionami. Kogo to obchodzi. Cary Grant był niezwykle seksowny. Co ważniejsze, był czarujący. Przynajmniej na dużym ekranie. Nie bardzo mnie obchodzi, co robił poza sceną.

– A tak przy okazji, Patrick – mówi, a mnie zajmuje chwilę zorientowanie się, że on się przedstawia.

Patrick. Cóż. Nie Alex, a Patrick? Oczywiście nie używamy prawdziwych imion w sieci, więc to nic nie znaczy. Co ważniejsze, czy to uczucie ma rację bytu? Szczerze, nie wiem, ale mój puls wariuje, więc jeśli to jest jakiś znak, to jednak ma? A poza tym on nadal nie łączy Mnie siedzącą tutaj ze Mną Online, więc chyba okej, jak podam mu prawdziwe imię. Poza tym mój tata stoi kilka metrów dalej, nie wspominając o glinie z cholernym uściskiem.

– Jestem Bailey – mówię i decyduję się dodać: – Nowa w mieście.

– Super. Miło spotkać innego *afficionado* na punkcie filmów. – Podaje mi broszurę z festiwalu. – Co roku mamy tutaj festiwal filmowy. Tegoroczny jest tuż, tuż. Kilka dobrych rzeczy, jak krótkometrażówki Georges’a Mèliés i *Północ, północny zachód*.

Serce. Wali. Tak. Mocno.

– Chciałabym zobaczyć je wszystkie – wykrzykuję głosem wyższym niż głosik Grace.

– Prawda? – Łapie klucze i pokazuje na broszurę. – Zatrzymaj ją, jeszcze ciepła, prosto spod prasy. Ja muszę wracać do pracy. Pracuję we Whale Tours na deptaku, w Kilian’s. Pomarańczowy i niebieski, niedaleko wielkiego, złotego diabelskiego młyna. Nie możesz nie zauważyć. Jeśli kiedyś będziesz chciała kawy i pogadać o Cary Grancie, przyjdź tam.

– Trzymam cię za słowo – nienawidzę kawy, ale co tam. Brzmi tak dorośle, tak romantycznie. To nie jest chłopak, który mnie wywala z pracy lub wprowadza w zakłopotanie na oczach tłumu. Ten chłopak jest wyrefinowany. Oglądanie waleni! To brzmi dużo milej niż surfing.

Unosi dłoń, trójkątny tost wystaje z jego ust, i wybiega na dwór.

Mam zawrót głowy. Naprawdę zawrót głowy.

– Kto to był? – mruczy tata, przez ramię obserwując Patricka, który wsiada do czegoś, co wygląda na czerwonego jeepa.

– Nie jestem pewna na sto procent – mówię. – Ale myślę, że się rozkręcę.

Prywatne wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière – nowe!

@mink: Coś nowego w twoim życiu?

@alex: Jak na przykład?

@mink: Nie wiem. Coś się ostatnio stało, co dało mi trochę nadziei na przyszłość.

@alex: U mnie też, skoro o tym wspomniałaś. Może. A z twoją nadzieją na przyszłość... o jakiej przyszłości mówimy? Jutro? Następny tydzień (następny miesiąc?)

@mink: Jestem typem krok-po-kroku, więc zacznę od jutra i zobaczymy, dokąd dojdę.

@alex: Na pewno w nic się nie wplątujesz? (To była aluzja.)

@mink: Naprawdę nie. (Wiem.)

@alex: Może czasem powinnaś. Daj sobie szansę. Zrób coś szalonego, (Zamierzasz spytać tatę o festiwal?)

@mink: Czy to byś zrobił? (Może już spytałam.)

@alex: Z właściwą osobą? Tak. (Kiedy mi powiesz?)

@mink: Interesujące. (On o tym myśli. Ja też.)

Jesteś dobrym człowiekiem, siostró.

Humphrey Bogart *Sokół maltański* (1941)

Stoję za Gorącym Pudłem z Grace i panem Pangbornem. Zgubił klucz. Trzymamy nasze kasetki i czekamy na Portera, żeby przyszedł z pokoju rozliczeń i otworzył drzwi. Nie jestem pewna, czy Porter zdążył przejść już przez lobby, eskortując drugą ekipę, którą mamy zastąpić. Kurde, nie wiem nawet, czy Porter wie, że nie możemy wejść. Wiem tylko, że jest kilka minut po dwunastej i kolejka jest całkiem duża. Freddy, gość, który sprawdza bilety przy wejściu, zerka na nas zza rogu, a wyraz jego twarzy zmienia się z zaniepokojonego na przerażony.

Pan Pangborn pociąga nosem i drapie się w niego.

– Cóż, dajmy mu jeszcze minutę, żeby ich rozliczył, zanim go wezwę. Nie ma sensu wywoływać paniki. Musi najpierw dostarczyć kasetki do pokoju.

Spoglądamy z Grace na siebie i wzruszamy ramionami: To jego decyzja. Co możemy zrobić? Przy ladzie informacyjnej nie ma w tej chwili nikogo. Kobieta, która tam być powinna a która również ma klucz do budki biletowej, jest na parkingu i rozmawia z grupą turystów. Pan Cavadini jest na wydłużonej przerwie lunchowej z kierownikiem zmiany. Poza tym pan Pangborn nie lubi mu przeszkadzać, a kim ja jestem, żeby się kłócić?

Pan Pangborn opiera się o drzwi, łapie oddech i krzyżuje nogi w kostkach, ukazując skarpetki w czarno-białe paski. W pewien sposób je uwielbiam. I w pewien sposób uwielbiam pana Pangborna, mimo że ma oczy jak szparki i śmierdzi tytoniem. Grace mówi, że przyłapała go, jak palił w swoim samochodzie wczoraj przed pracą. Ma chyba jakieś siedemdziesiąt lat. Pozwólmy gościowi mieć jakieś złe nawyki.

– W przyszłym miesiącu minie czterdziesta rocznica mojej pracy w muzeum – mówi w zamyśleniu cichym głosem. W ogóle ma taki delikatny sposób bycia, że

chcesz słuchać tego, co mówi. Nie wiem, dlaczego Porter tak się wkurza na niego. Jest po prostu starym człowiekiem. Ma serce.

Grace wydyma usta.

– To chore.

– Musi pan to lubić, skoro utknął tu na tak długo – mówię.

– Ech, lubię rozmawiać z ludźmi. A poza tym nie skończyłem żadnego college’u, nie mam żadnego przeszkolenia, więc co innego mógłbym robić? To wszystko, co umiem. – Drapie się po głowie, a jego szalone białe włosy sterczą w różne strony. – Chcieli mnie wysłać na emeryturę dziesięć lat temu, ale ja nie mam w domu nic do roboty. Nigdy się nie ożeniłem. Mam psa, Daisy, ale ona jest zmęczona oglądaniem mnie cały dzień. Więc mimo, że mi nie płacą, nadal pokazuję się w pracy.

– Co? – pyta Grece z niedowierzaniem. – Od dawna?

– Och, jakieś trzy miesiące albo coś koło tego. Pan Cavadini w końcu dał sobie spokój z mówieniem, żebym poszedł do domu, i zatrudnił mnie na nowo, i wrzucił znów w grafik. – Uśmiecha się szeroko i unosi ramiona. – I oto jestem. Jeszcze mnie to nie zabiło. Myślę, że Porter już dotarł do pokoju rozliczeń. Zasłońcie uszy, panie, nie sądzę, żeby był szczęśliwy.

Grace trąca mnie ramieniem, kiedy Pangborn wywołuje Portera.

– Cieszę się, że wreszcie znów pracujemy razem.

– Ja też – odpowiadam, szczerze. – Drużyna Grailey dba o interesy.

– Drużyna Baice trwa do końca.

Obie się śmiejemy, ale milkniemy, bo Freddy znów zagląda do nas od wejścia. Grace syczy na niego. Freddy zostawia nas same.

– Masz plany na weekend? – pyta mnie Grace.

– Nie wiem. A co?

– W sobotę wieczorem, po pracy, jest ognisko. Impreza na plaży.

Ściskam mocniej kasetkę, myśląc o przyjacielu Portera, Davym.

– To przy Ogrodzie Kości?

– Tak. Słyszałaś o tym?

– Tylko mimochodem.

– Głównie są tam surferzy, ale pojawiają się też inni. Czasem nudni, czasem zabawni. Latem zwykle imprezuje się w każdą sobotę. Pomyślałam, że to dobre

miejsce, żeby spotkać ludzi z Brighsea, skoro jesteś nowa. Mogę cię przedstawić.

Uciekinier we mnie już czeka przyczajony, by podać jakąś wymówkę, ale o dziwo ja chcę tam pójść. Zwłaszcza z Grace. Więc mówię.

– Jasne, czemu nie? – I zanim się zorientowałam, mówię jej, gdzie mieszka mój tata, i umawiamy się, że pojedzie po mnie samochodem. Wiecie co? Chyba jestem towarzyskie zwierzę. To musi być sprawka świeżego powietrza i słońca.

A może po prostu generalnie patrzę na życie z większą nadzieją, od kiedy odkryłam, że tata ma dziewczynę. Świetną dziewczynę. Glinę.

– Tylko się przyjaźnimy. Sprawy toczą się swoim rytmem. Niczego nie przyspieszamy. – zapewnił mnie wczoraj w drodze do domu. I tyle, więc tak to zostawiliśmy. Dopóki jest szczęśliwy i nie ma w tym żadnych dziwactw, dla mnie jest okej.

A co do okej, jeszcze jedna ważna rzecz chodzi mi po głowie: spotkanie Patricka w Pancake Shack. Patrick i tylko Patrick, przypominam sobie po raz enty. Który może, ale nie musi być Alexem. Ale ostatniego wieczoru postanowiłam, że zbiorę się na odwagę i pójdę z nim jeszcze raz pogadać. Marzę o tym godzinami. Romantycznie wzdycham.

Chłodne powietrze z głębi muzeum owiewa moje ramię, a marzenia pryskają, kiedy muszę odskoczyć na bok przed szarżującym na nas bykiem. Porter.

– Wywlokę twoje flaki, wszyję tam klucz, a potem wepchnę ci je z powrotem.

Porter otwiera dłoń Pangborna, wkłada klucz i zamyka na nim jego palce.

– Nie zgub go. Znów.

Starszy ochroniarz się uśmiecha.

– Jesteś dobrym chłopcem, Porter. Dziękuję. – Klepie go po ramieniu, zupełnie nieprzejęty złym humorem Portera. Panghorn jest dobrym człowiekiem, lepszym niż większość ludzi. – Chodźcie, moje panie. Freddy już robi w gacie. Rozładujmy tę kolejkę i sprzedajmy trochę biletów.

Drużyna Grailey, wygrałam grę w nazwy – skopie tyłki jak zwykle i rozładuje kolejkę, bo jesteśmy debeściaki. Kierownik zmiany zauważa naszą dobrą pracę, a kiedy pan Cavadini wpadł kiedyś, by nas sprawdzić, nawet znał nasze imiona. To jest dobry dzień od teraz aż do czwartej po południu.

Ruch w muzeum zwolnił. Moja przerwa prawie się skończyła i jestem prawie gotowa na przetrzymanie ostatnich kilku godzin, ale wciąż mam kilka wolnych

minut, więc spaceruję po skrzydle Vivian. Jestem w pokoju poświęconym San Francisco, z Golden Gate Bridge, po którym chodzą zwiedzający, i z uliczką fałszywego Chinatown, gdzie możesz zajrzeć do wnętrza sklepików przez okna jak z dziewiętnastego wieku. Kiedy zerkam na chiński sklep z herbatą, zauważam dwoje dzieciaków. Trzynast-, może czternastolatki. Zachowują się trochę dziwnie. Stoją kilka metrów ode mnie, przy wystawie stylizowanej na film noir z lat czterdziestych i zerkają na replikę statuetki sokoła maltańskiego. Ptak siedzi na biurku słynnego powieściowego detektywa Sama Spade'a – granego przez Humphreya Bogarta. Jeden z chłopców, blondyn w białej koszulce polo, dotyka statuetki, a jego przyjaciel, ospały nastolatek z plecakiem, patrzy na nią jak w letargu.

Mogę się domyślić, co planują. Głupki. Nie wiedzą o rozmieszczonych wokoło kamerach? Chłopak z plecakiem chyba je zauważył i przesuwa się, zasłaniając swojego przyjaciela Richiego Richa własnym ciałem, zerka na kamerę i ocenia kąt widzenia. Nie wiem, co chcą osiągnąć. Wszystko w muzeum jest poprzyklejane, pomalowane, poprzykręcane albo zamknięte.

Tylko że jednak nie jest.

Koszulka Polo dotyka sokoła, a on się kołysze. Tylko trochę, ale wystarczająco.

Zamierzają go rozhuścić. Dupki planują go rąbnąć.

Rozglądam się wokoło. Tylko kilku gości jest w pokoju. Z opuszczoną głową spokojnym krokiem idę na drugi koniec pokoju, gdzie znajduje się, zapamiętałam to z głupiej mapy dla pracowników, ukryty telefon alarmowy. Upewniam się, że nikt mnie nie widzi, ukrywam się za palmą, otwieram panel i przyciskam przycisk ochrony. Głos Portera uderza mnie ze starej linii.

– Mów do mnie – jest na krótkofalówce. Mogę ocenić po dźwięku.

– Tu Bailey – szepczę. – Jestem w Pokoju San Francisco.

– To długa droga od budki biletowej, Rydell. I mów głośniej. Nie słyszę cię. A może próbujesz mnie poderwać? Czy to jest twój seksowny głos? Podoba mi się.

Jęczę i poważnie rozważam rozłączenie się.

– Zamknij się i słuchaj. Wydaje mi się, że jakieś dzieciaki próbują coś ukraść.

– Ma pani chyba zły numer.

– Porter! – krzyczę szeptem. – Kradną sokoła maltańskiego.

– Dobra, wyluzuj. Jestem dwa pokoje dalej. Zaraz tam będę. Nie spuszczaaj ich z

oka, ale się nie zbliżaj. Mogą być niebezpieczni albo co. Tym razem mówię poważnie, gdybyś nie była pewna.

Rozłączył się. Po zamknięciu panelu swobodnie wychodzę zza palmy i udaję, że przyglądam się jakimś obrazom, ale wciąż patrzę na dzieciaki. Nadal huśtają statuetkę. Jakaś para przechodzi pod Golden Gate Bridge, chłopcy ją zauważają, co powstrzymuje ich na chwilę od niecnych zamiarów. Znow znikam za palmą.

No dalej, Porter. Wiem, że sokół nie jest autentyczną pamiątką z filmu, jak większość rzeczy w tym miejscu. Tylko dwie statuetki były użyte w oryginalnym filmie, jedna z nich została sprzedana na aukcji za kilka milionów dolarów. Ale chodzi o zasady, a to mnie doprowadza do szału.

– Gdzie są teraz? – ciepły oddech Portera owiewa mi ucho. Odruchowo przyciskam ramię do karku i z jakiegoś powodu jego to bawi. – Wrażliwa, Rydell? – szepcze.

Ignoruję ten komentarz i obniżam liść palmy, żeby mu pokazać chłopców, którzy znow huśtają statuetkę.

– Tam. Białe polo i plecak.

– Brudne, małe świny – mruczy z niedowierzaniem. – Sokoła?

Nie kłamię. Przechodzi mnie lekki dreszcz, że Porter jest tak wściekły jak ja. Podoba mi się, że w tym przypadku jesteśmy po tej samej stronie.

– Co robimy? – szepczę.

– Zasada numer jeden w zatrzymywaniu złodzieja zgodnie z przewodnikiem Cavern Palace mówi, że absolutnie nie robimy scen. Żadnej pogoni, żadnej rozpierduchy. Nic, co mogłoby wprowadzić resztę gości w zakłopotanie, co oznacza, że musimy ich wykurzyć miło i spokojnie.

– Nie nadążam.

Porter opuszcza głowę i mówi niższym głosem:

– Pozwolimy im to ukraść.

– Co? – Twarz mam tuż przy jego twarzy, tak blisko, że widzę wszystkie złote refleksy w jego oczach. Czy widziałam, że są brązowe? Nigdy nie zwróciłam na to uwagi, aż do teraz. – Nie możemy.

– Możemy i to zrobimy. A potem pójdziemy za nimi do wyjścia i dorwiemy ich na parkingu.

– Ach. – Jestem bardziej niż zaintrygowana takim planem.

– Dobra, mogą się rozdzielić. Miałem taki przypadek raz, zeszłego lata, ze spinkami do mankietów Jaya. Dranie uciekli ze złotem wartym tysiące baksów, a mnie tyłek przeżuł Cadaver. Więc mogę potrzebować trochę pomocy. Pomożesz?

– Ja? Nie wiem. Przerwa mi się skończyła.

– Bła, bła – odszeptuje. Czubek jego nosa dotyka mojego, jesteśmy tak blisko, że widzę, jak unosi się jego pierś... jak pulsuje mu żyła na szyi. Czy jego ramiona zawsze były takie szerokie? Matko moja, z bliska wydaje się większy. I zamiast chęci walnięcia go w brzuch, co powinno być moją normalną reakcją na Portera, zaczynam chcieć czegoś innego, co wywołuje u mnie przyspieszony oddech. Moje ubranie nagle wydaje się zbyt ciasne.

Och.

Boże.

No co? Jest atrakcyjny i z pewnością ma swój urok. To po prostu reakcja chemiczna. Całkiem naturalna. Nic nie znaczy.

Ponieważ jestem na przerwie, a w muzeum jest chłodno, mam na sobie kardigan, który przykrywa teraz główny problem, jaki dzieje się w okolicy moich piersi. Uniknęłam katastrofy. Myśl o tym, jak blisko jej było, wystarcza, by wylać wiadro zimnej wody na sytuację. Boże, to śmieszne. To głupi, stary Porter. Czego ja się boję? Niczego.

Aby to sobie udowodnić, cofam się i unoszę głowę, natykając się na jego wzrok i wyzwanie.

– Wywołaj Grace i powiedz jej, że się spóźnię.

Jego uśmiech mógłby rozświetlić dom. Szybko wywołuje Pangborna, streszcza mu sytuację, opisuje starszemu ochroniarzowi wygląd chłopców i instruuje go, aby śledził ich na monitorach. Ale zanim udaje mu się powiadomić Grace, nasze małe złodziejzki się ruszają.

Sokoła nie ma. Nie widziałam, jak go zabrali. Ale chłopcy się zwijają, a plecak zwisa z ramienia mniejszego z nich. Ukrywają w nim ptaka.

– Porter! – szepczę gorączkowo, ciągnąc go za rękaw.

– Widzę – mówi, trzymając liść palmy tak, by móc patrzeć na pokój. Znowu wywołuje Pangborna, który też to widział.

– Nagrałem wszystko – potwierdza starszy ochroniarz, jego głos dochodzi z małego, czarnego pudełka na ramieniu Portera. Poza zgubieniem kluczy, to jest

chyba najbardziej ekscytujący moment, jaki obaj mieli od miesiący. – Wykurz ich, Porter. Obserwuję z nieba.

Niebo. Pokój ochrony. Zastanawiam się, czy Porter faktycznie obserwuje mnie stamtąd, czy tylko tak gada.

Chłopak w letargu zapina plecak i przerzuca go przez prawe ramię, rozgląda się wokoło, a potem dwaj mali rabusie idą pod mostem, spacerkiem, jakby to była niedziela, a oni nie popełnili przed chwilą przestępstwa. Ale nerwy!

– Czas ich śledzić – mówi Porter, wyciągając mnie z naszej kryjówki za nadgarstek. – Trzymamy bezpieczny dystans, ale nie za daleko. Jest wiele wyjść, a oni prawdopodobnie o tym wiedzą. Główne wyjście i sklep z pamiątkami to najszybsza droga ucieczki, ale najprostsza dla nas do śledzenia. Wyjścia ewakuacyjne uruchomią alarm, ale mogą pobiec i zgubić nas, w ten sposób pokonali mnie goście od spinek w zeszłym roku. A poza tym są jeszcze drzwi dla dostawców oraz dla pracowników.

– Skręcają w prawo – mówię. – Kierują się do lobby.

– To eliminuje trzy wyjścia ewakuacyjne. Nie patrz za bardzo. Zachowuj się tak, jakbyśmy prowadzili przyjazną pogawędkę. Dobrze, że nie masz na sobie marynarki. Wyglądasz, jakbyś prosiła mnie o pomoc. Może jesteś po prostu moją dziewczyną, odwiedzającą mnie w porze lunchu.

Prawie się krztuszę.

– Marz dalej.

– Co? Na twój gust nie jestem wystarczająco dobry?

– Nie bądź żaloszny.

Parska.

– Paradujesz tutaj, próbujesz wyglądać jak gwiazda filmowa w swoich drogich ciuchach, jeździsz vespą, mama prawniczka w Waszyngtonie, DC...

Mówi to lekko, niemal droczy się ze mną – nie kłóci, jak zwykle – ale to, co mówi, zaskakuje mnie. Zatrzymuję się, ale on mnie popycha do przodu.

– Chcesz złapać tych chłopaków? Skręcają do Pokoju Egipcjan. Mnie też mogą zauważyć. Musimy być ostrożni.

Zatrzymujemy się na sekundę, Porter zagląda do tego pokoju. A wtedy pytam go.

– Skąd wiesz, że moja mama jest prawniczką?

– Grace mi powiedziała.

Ach.

– Moje ciuchy nie są drogie, są ze sklepów ze starzyzną. Nic na to nie poradzę, że twoje wycucie stylu nie sięga wyżej niż szyk kamienia łupanego i luz plaży.

– Och – odpowiada, udając urażonego. – Zraniłaś moje uczucia, Rydell.

– A vespę kupił mi tata. Jest odnowiona. Nie jest nowa ani nic w tym rodzaju.

– Ten model jest więcej wart niż nowy. Każdy, kto zna się na motoryzacji, wie o tym. Cove jest rajem dla kolekcjonerów skuterów. Powinnaś trzymać ją cały czas przypiętą.

– Nie jestem idiotką.

– Cholera.

– Co? – Rozglądam się wokół.

– Koszulka Polo ewidentnie mnie zauważył. Skręcają do głównego korytarza. – Wywołuje Pagborna przez radio. – Nadal ich widzisz?

– Tak, widzę, idą głównym korytarzem – mówi Pangborn przez radio. – Chyba kierują się do lobby.

Muzeum zamyka się o szóstej. Jest po czwartej, a to znaczy, że główne korytarze w obu skrzydłach będą wypełnione gośćmi kierującymi się do wyjścia na ciepło i świeże powietrze. Nasze nastoletnie lajdaki ukrywają się w tłumie i na kilka sekund tracimy ich z oczu. Puls mi przyspiesza, kiedy stoję na palcach, próbując spojrzeć ponad głowami sunącego tłumu.

– Przestań – mówi Porter. – Zepsujesz nasz kamuflaż. Widzę ich. Skradają się przy wschodniej ścianie, więc nie sądzę, żeby wyszli przez główne wyjście albo sklep z pamiątkami.

– Wyjście dla pracowników?

– Może. Albo skierują się prosto do skrzydła Jaya i spróbują uciec wyjściem ewakuacyjnym.

Nogi Porter są dłuższe niż moje i trudno mi dotrzymać mu kroku.

– Nie mam wyrafinowanego gustu. Tylko dlatego, że mam styl, nie znaczy, że jestem snobką. A gdybyś jeszcze nie zauważył, nie mieszkam już z mamą; mieszkam z tatą. I pracuję tutaj, prawdopodobnie zarabiając kupę forsy mniej niż ty, Panie Osiemnastolatku Mogę Pracować na Cały Etat a Wszystkie Moje Aktywności Seksualne Są Legalne.

– Nie z kimś takim jak ty, ponieważ nie masz jeszcze osiemnastki.

– Prawda. – Nim udaje mi się wymyślić jakąś sprytną odpowiedź, dochodzimy do końca korytarza, a nasi podejrzani skręcają ostro w prawo. Porter miał rację: nie kierują się do głównego wyjścia ani do sklepu z pamiątkami. Ale nie idą również do skrzydła Jaya ani do wyjścia dla pracowników.

– Co jest – mruczy Porter. – Bachory uprawiają turystykę jaskiniową?

Chwilę później ci dwaj przechodzą przez tył lobby, w prostej linii do rozdzielonych ust jaskini. Czemu kierują się w tę stronę? Nie rozumiem. Tam nie ma wyjścia, tylko ciemna, zakręcona droga, która kończy się tuż przy paszczy jaskini...

– Są tam jakieś kamery? – pytam.

– Kilka. Obraz nie jest najlepszy.

– Próbują nas zgubić.

Myśli o tym przez chwilę i klnie pod nosem. Biegniemy do jaskini. Chłopcy już do niej zbiegli po kamiennych schodach i zniknęli pod stalaktytami oświetlonymi przerażającym pomarańczowym światłem. Problem jest tylko taki, że schody idą w dwie strony: prawo i lewo. Główna droga wiję się przez klif, przecinając środek, gdzie otwiera się na centralną pieczarę. A chłopcy się rozdzielili.

– Idź na lewo – mówi Porter. – Ja pójdę na prawo. Któregokolwiek z nich byś znalazła, nie spuszczaaj z niego oka.

– Spotkamy się w środku. – Chłodne powietrze omiata mnie, kiedy zbiegam po schodach. Tutaj jest ciemno i lekko strasznie, a metalowa poręcz, która jest tu od chwili otwarcia muzeum, jest wilgotna, co wzbudza mój niepokój, więc jej nie dotykam. A to utrudnia bieg, ponieważ jaskinia jest ciemna, a lampy na dole podświetlające chodnik mogą tworzyć nastrój, ale nie rozjaśniają wystarczająco drogi, kiedy kogoś gonisz. Na szczęście w jaskini nie kręci się zbyt wielu ludzi – a jeszcze mniej biegnie przez nią. Zauważam Białe Polo kilka metrów przed sobą, na kolejnej kładce.

W jaskini niewiele jest do zobaczenia, zwłaszcza w zestawieniu z resztą wypchanego tandetą muzeum, jedynie kilka tabliczek z informacjami o jaskiniach w Kalifornii i o zwierzętach, jakie tutaj żyją. Gdzieś stoją ławki dla ludzi z wysokim ciśnieniem, żeby mogli odpocząć i cieszyć się ciemnością i ponurym widokiem. Mijam kobietę pochyloną na ławce i kieruję się w stronę

czerwono-zielonego świata głównej pieczary.

Skalne ściany z naturalnie uformowanymi dziurami i pęknięciami dzielą jaskinię na małe pomieszczenia. Świetne miejsce do ukrywania się, a ten mały skurwiel to wie. Kilka osób tłoczy się przy głównej tablicy oznaczającej miejsce, gdzie Jay i Vivien znaleźli złoto piratów. Na szczycie płaskiej skały ustawiono tandetną skrzynię wypełnioną po brzegi karnawałowymi hiszpańskimi dukatami. To żalosne. Współczuję każdemu, kto musi na to patrzeć, włącznie ze mną.

Ale jeszcze bardziej współczuję sobie dlatego, że zgubiłam tego głupka, którego miałam śledzić. W końcu zauważam Portera. Skinieniem brody potwierdza, że i on mnie zauważa, ale jego uniesiona brew świadczy, że on też nie może znaleźć dzieciaka z plecakiem. Jak to możliwe? Rozglądam się raz jeszcze i kątem oka zauważam coś: parę białych tenisówek prześlizgującą się przez jedną z większych dziur w skale. Nie Polo, ale dzieciak z plecakiem. Podstępna małpa cofa się na schody.

Uwaga Portera jest skupiona gdzie indziej, a ja nie zamierzam ponownie zgubić tego chłopaka, więc idę za nim. Idę w górę, drogą, którą przyszedłam, tylko dwa razy szybciej.

Chłopak z plecakiem rzuca mi spojrzenie przez ramię. Wie, że gonię go, więc się nie zatrzymuje. Niedobrze. Ja również się nie zatrzymuję.

Kiedy dobiega do wyjścia z jaskini, waha się na tyle długo, by dostrzec swojego koleżkę wbiegającego po schodach z drugiej strony. I nagle biegną razem przez lobby.

Porter mówił, żeby nie robić scen, ale co teraz? Czy mam pozwolić tym dupkom uciec? Szybko decyduję – nie pozwolę.

Tak szybko, jak mogę, gonię za nimi. Niemal nie przewrócili całej rodziny, która jak wystraszone kaczki na wodzie uskakuje im z drogi.

– Niech ktoś ich zatrzyma! – krzyczę.

Nikt nie zatrzymuje.

Myślę o Porterze otoczonym przez ludzi w ten okropny dzień na plaży lata temu, kiedy nikt nie pomógł mu ratować jego taty przed rekinem. Jeśli nie chcą pomóc, kiedy ktoś umiera, z pewnością nie zatrzymają dwóch dzieciaków, które wybiegają z muzeum.

Pulsuje mi skroń, biegnę wokół lady informacyjnej i obserwuję, jak znów się rozdzielają. Polo kieruje się prosto do głównego wyjścia, gdzie jest (1) kilkoro drzwi i (2) najbardziej leniwy pracownik załogi – Hektor.

Ale Plecak kieruje się w stronę budki z biletami i kołowrotków. Powinien być tam Freddy, ale nikt nie wchodzi do muzeum, więc Freddy rozmawia z Hektorem. Kołowrotki są bezobsługowe. Plecak przeskakuje gładko nad kołowrotkiem. Imponujące. A właściwie byłoby, gdyby nie zsunął mu się plecak i nie zaczepił paskiem o jedno z ramion kołowrotka. Kiedy on się siłuje, żeby uwolnić plecak, ja wybieram łatwiejszą drogę przez drzwi obrotowe.

Ja otwieram zasuwę.

On uwalnia plecak.

Przebiegam przez bramkę i w momencie, kiedy on odwraca się, żeby uciec, ja rzucam się do przodu...

I ląduję mu na plecach.

Uderzamy razem o ziemię. Powietrze uchodzi mi z płuc, a kolanem walę w płytki podłogi. On wrzeszczy. Ja nie.

Mam go.

– Złaż ze mnie, głupa dziwko. Wariatka! – krzyczy pode mną, waląc mnie łokciem w żebra. Łapię go za ramię i przytrzymuję. Nie mogę złapać oddechu ani nic powiedzieć. Jestem tak zdyszana.

– Och, nie, ty nie – triumfalny męski głos odzywa się obok. Odwracam się na bok i wypluwam włosy z ust. Porter prowadzi Polo za ramię. Nie jest nawet w połowie tak zdyszany jak ja. Głupie geny surfera. Ale teraz podchodzą Freddy i Hektor, by pogapić się, jak sędzę. I jest też tutaj Grace; wreszcie ktoś sensowny.

– Co tu się dzieje? – pyta.

– Pilnujcie go – mówi Porter do całej trójki, kiedy stawia Polo na podłodze. A potem odciąga mnie z Plecaka.

– To wariatka – powtarza chłopak. – Złamała mi nogę.

– Jasne. Ona ma siłę kurczaka – mówi Porter, stawiając chłopaka na nogi. Gówniarz protestuje i się szarpie, ale nic mu nie jest.

– Auuu – jęczy.

– Zamknij się, ty szcurzy złodziejaszku – Porter łapie chłopaka za koszulkę, zrywa plecak z jego ramienia i rzuca go mnie. – Sprawdź.

Rozpinam plecak. W środku znajduję statuetkę zawiniętą w bluzę z kapturem. Trzymam ją jak trofeum.

Chłopak jęczy i próbuje wyrwać się z uścisku Portera.

– Nie, nie – mówi Porter, zmuszając chłopaka, by usiadł obok Polo, a potem naciska guzik na rękawie. – Ty i twój koleżka nigdzie teraz nie idziecie. Będziemy tu siedzieć, aż mój kolega pan Pangborn wykona krótki telefon do naszych przyjaciół z policji. Zrozumiałeś, Pangborn? – pyta przez radio.

– Tak – odzywa się głos Pangborna.

Chłopcy wymieniają spanikowane spojrzenia, a wokół nich zaczyna się gromadzić mały tłum. Poprawiam spódnicę i zauważam małą stróżkę krwi płynącą z rozbitego kolana. Nie przejmuję się tym. Wciąż jestem na – och, jakże słodkiej – adrenalinie.

Porter się uśmiecha i unosi brew.

– Cholera, Bailey. Normalnie go powaliłaś. Pełny rzut ciała na matę. Nie wiedziałem, że to potrafisz.

Jeśli mam być szczerą, to ja też.

– Nikt nie okrada Sama Spade'a i nie ucieka z tym – odpowiadam.

Porter unosi dłoń do góry, a ja przybijam, ale zamiast zwykłej piątki, on wplata swoje palce pomiędzy moje i ściska. Trwa to prawdopodobnie tylko sekundę, ale wrażenie jest jakby dłużej. Kiedy puszcza moją rękę, jestem chodzącym chaosem: palce pulsują tam, gdzie przed chwilą były jego, a umysł próbuje to wszystko zebrać do kupy. Czy on po prostu próbował być przyjacielski, czy to jakiś rodzaj pozdrowienia surferów?

Teraz kuca przy mnie i ogląda moje kolano.

– Uch – mówi. Delikatne palce przesuwają się wokół rany. – Całkiem nieźle je stłukłaś.

– Tak, przestań tak się gapić – mówię, ale nie jestem wściekła.

– W porządku? – pyta łagodniejszym głosem.

– Jasne.

Kiwa głową i wstaje, a potem wskazuje na sokoła: dawaj go, dawaj. A kiedy podaję mu statuetkę, odwraca się do dwóch dupków.

– Wiecie, że to nie ma wartości, prawda? Gdybyście rozhuścili go trochę szybciej, podejrzewam, że wszystko, co byście za niego dostali na e-Bayu, to

marne dziesięć dolarów, a my zamówilibyśmy nowego przez Internet, następnego dnia. Ale teraz rozpoczniecie swoją nastoletniość z kryminalnym wpisem.

– Chrzań się – mówi Polo. – Mój ojciec jest prawnikiem. Stawiam sto baksów, że dołożysz mi i twojej suce przyjaciółce.

Porter śmieje się i wskazuje kciukiem na mnie w chwili, kiedy pan Cavadini spieszy do nas od strony sklepu z pamiątkami.

– Niezły strzał. Jej mama też jest prawnikiem.

Och, rozwiedziony prawnik, mieszkający na drugim końcu kraju, ale kogo to obchodzi? Oboje sekretnie się uśmiechamy. Kto by powiedział, że mój przeciwnik może być takim dobrym partnerem? Partnerem w ściganiu przestępców – to wszystko. W żaden inny sposób. Naprawdę muszę wyrzucić z głowy wszystkie inne myśli, zwłaszcza te kłopotliwe, prawie erotyczne, które pojawiły się, kiedy goniliśmy tych chłopaków. I przytrzymanie ręki. I sekretne uśmiechy.

Ach.

Muszę szybko posprzątać ten bałagan. I chyba wiem jak.

Prywatne wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière – nowe!

@mink: Mam dla ciebie horoskop.

@alex: Tak? Dawaj, bo miałem dziś NAPRAWDĘ dziwny dzień i potrzebuję przewodnika.

@mink: Okej, oto on: Jeśli życie nagle daje ci szansę, by powiedzieć tak nowemu doświadczeniu, powinieneś je zaakceptować.

@alex: A co, jeśli to nowe doświadczenie będzie wrzodem na dupie?

@mink: Czemu tak przypuszczasz?

@alex: Instynkt. Sparzyłem się już raz, pamiętasz?

@mink: Instynkt ma niewiele wspólnego z rozumem.

@alex: Jeśli o tym mowa, nie jestem pewien, czy w ogóle mam jedno i drugie.

10

Historia mojego życia. Zawsze znajduję włos na końcu lizaka.

Marilyn Monroe *Pół żartem, pół serio* (1959).

Robię tak. Biorę dzień wolny i idę do budki Killian's Whale Tours. Dziś jest szaro i mgliście. Tak mgliście, że mimo prawie południa nadal słabo widzę ocean. Jak dla mnie to okej. Tylko niewielu turystów wyszło z domu, więc mam cały deptak dla siebie.

No i co z tego, że już dwa razy zmieniłam zdanie? Tym razem naprawdę to robię. To znaczy... dajcie spokój. To jest Alex. A przynajmniej mam nadzieję, że jest. A jeśli tak, to będę wiedziała, bo go znam. Powinnam, prawda? Rozmawiam z nim online od miesiący. Właściwie jesteśmy bratnimi duszami. No dobra, może to trochę dużo, ale przynajmniej jesteśmy przyjaciółmi w taki czy inny sposób. Łączy nas więź silniejsza niż zwykle wzajemne zainteresowanie.

No i jest ta cała sytuacja z Porterem. Po tym, jak wczoraj gliny zabrały chłopców – dwóch oficerów, którzy przejeżdżali obok muzeum, nie sierżant Mendoza mojego taty – Porter musiał wypełnić mnóstwo papierów z tym związanych, więc właściwie już go nie widziałam.

Co w sumie wyszło na dobre, bo te wszystkie szalone uczucia, jakie miałam w stosunku do niego... były jedynie wytworem adrenaliny i opadły, kiedy zabrali te dzieciaki.

W każdym razie teraz nie myślę o Porterze Rocie. A w szczególności nie myślę o jego palcach pomiędzy moimi po przybiciu zwycięskiej piątki. To zostało wyrzucone z mojego umysłu. Bądź odważna, Rydell. Trzymaj się z dala, jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre.

Wyrzucam Portera z głowy i idę dalej. Pojawia się pomarańczowo-niebieskie logo Killiana. Pokażemy ci wieloryby w dobrym czasie. Jejku, jeśli to naprawdę rodzina Alexa, już rozumiem, dlaczego nienawidzi tu pracować. Budka mieści się

po między dwiema innymi: wynajem rowerów na wybrzeże oraz budką, w której sprzedaje się bilety na diabelski młyn. Chowam się za wynajmem rowerów, dopóki nie zauważam blond włosów Patricka.

Pracuje. I chyba jest sam.

Czekam, aż wskaże komuś drogę w dół deptaka, gdzieś wśród mgły, a potem, nim znów opuści mnie odwaga, robię trzy duże kroki i zwalnim przy zakrzywionej ławce – wielorybie – na zewnątrz okienka z biletami. Kilka mew skrzeczy, kiedy się zbliżam.

– Cześć – mówię. – Pamiętasz mnie?

– Z Shacka – mówi. Ma na sobie pomarańczową kurtkę przeciwwiatrową i białe szorty. Włosy po bokach twarzy są krótsze niż wtedy w barze, a poranna bryza zwiewa mu pozostałe gęste blond włosy na oczy. – Nigdy nie zapomina fana filmów. Ale zapominam imiona. Przypomnij mi...?

Jestem trochę rozbita.

– Bailey.

Strzela palcami.

– Bailey, tak. Patrick – mówi, wyciągając rękę. A ja udaję, że też nie pamiętam jego imienia, kiedy nią potrząsam.

Teraz muszę rozegrać to spokojniej, niż zakładałam, więc mówię:

– Właśnie przechodziłam, szukając jakichś sklepów z używanymi DVD. – Wiem, że jest jeden. Byłam już tam trzy razy. – A wtedy zobaczyłam ciebie i pomyślałam, może ten gość będzie wiedział. – Ojej, głupio, ale on tego zdaje się nie zauważać.

– Tak, jest taki mały sklepik, Video Ray-Gun, w samym środku promenady. Z gigantycznym mieczem świetlnym na zewnątrz. Trudno przeoczyć.

Cholera. Wygląda na to, że będzie trudniej, niż myślałam. Nie dałam mu ostatniej nocy wskazówki? Chyba że to nie jest prawdziwy Alex...

– Więc masz może jakąś przerwę niebawem? Może chciałbyś pójść ze mną i wypożyczyć jakieś DVD? – słyszę, jak mówię. – Wspomniałeś o kawie, ale wiesz...

– Mój głos jest coraz cichszy i cichszy.

Daj spokój, jeśli to jest prawdziwy Alex, na pewno pamięta, że ostatniej nocy podrzuciłam mu wskazówkę w postaci horoskopu... czyż nie? To znaczy, on zawsze jest taki uważny online. Pamięta wszystko, co mówię. W lot łapie moje żarty, nawet pamięta te sprzed miesiąca. A teraz nie może sobie przypomnieć

nawet mojego imienia? Może to naprawdę był dobry pomysł nie mówić mu, że przeprowadzam się tutaj.

Waha się, pochyla nad ladą i rozgląda to w jedną, to w drugą stronę, patrząc w mgłę.

– Dobra. Pewnie, jasne. Czemu nie. Biznes się nie kręci. Ostatnia wycieczka nie wróci jeszcze przez chwilę, więc myślę, że mogę wziąć jakieś pół godziny wolnego. Poczekaj, zamknę bramkę i powieszę tabliczkę.

Głęboko oddycham.

Zeskakuje ze stołka i sięga nad głowę, by zaciągnąć metalowe rolety. Znika na chwilę. Kiedy pojawia się w drzwiach, w ręku trzyma tabliczkę z napisem „Oglądam wieloryby! Wrócę za parę minut” i wiesza ją na zamkniętym oknie.

– Okej, Bailey. Idziemy. – Zaprasza mnie uśmiechem.

Czuję się lepiej i dorównuję mu kroku. Idziemy promenadą. Zadaje mi grzeczne pytania – jak długo jestem w mieście? Skąd jestem? Och, DC. Czy widziałam prezydenta albo zwiedzałam Biały Dom? Czy byłam na Dupont Circle?

Dochodzimy do gigantycznego miecza świetlnego, a ja zdążyłam mu zadać jedynie dwa pytania: jak długo mieszka w Coronado Cave (całe życie) i gdzie chodzi do szkoły – Berkshire Academy. Prywatna szkoła. To zbija mnie z tropu. Nigdy nie kojarzyłam Alexa jako chłopaka z prywatnej szkoły. Próbuję to pouklądać, kiedy wchodzimy do sklepu.

W Video Ray-Gun unosi się ten wspaniały zakurzony zapach, który wyczuwasz w starych sklepach, ale jego wyposażenie ma nie więcej niż kilka lat. Specjalizują się w filmach SF, a ponieważ to jest konik mojego taty, on jest zakochany w tym miejscu. Kilka kolekcjonerskich filmowych plakatów oraz kilka gadżetów zdobi ściany wokół lady. Za nią wisi duży telewizor, na którym leci *Godzilla*. Dwóch w średnim wieku facetów z długimi włosami poświęca więcej uwagi filmowi niż nam, kiedy przechodzimy obok. Dzięki Bogu, ponieważ byłam tutaj dopiero co z tatą i nie chcę, żeby mnie rozpoznali.

W sklepie jest więcej klientów, niż się spodziewałam. Są lepsze miejsca na cichą, romantyczną pierwszą randkę, ale co ja teraz mogę zrobić? Muszę sobie z tym poradzić. Mijamy gigantyczne pudła cukierków w kinowych opakowaniach retro oraz regał z zapowiedziami filmów Blu-Ray na DVD, które można zamówić z wyprzedzeniem, a ja próbuję udawać, że nie wiem, dokąd idę, kiedy Patrick

prowadzi mnie do sekcji z klasyką filmową.

– Nie mają w tej chwili pełnego zestawu – mówi, skręcając za róg do półek. – Byłem tutaj wczoraj. Ale sprawdź to. – Sięga po coś z półki i podaje mi. – Zestaw klasycznych filmów gangsterskich z lat trzydziestych. Gratka.

Biorę pudełko i patrzę na tył.

– Nie jestem zbyt fanem filmów gangsterskich.

– Żartujesz? *White Heat*? Wersja *Człowieka z blizną* z trzydziestego drugiego roku? Jak na tamte czasy było pełnym przemocy filmem, naprawdę...

– Taaaak – przeciągam słowo, podając mu pudełko. – Naprawdę nie jestem zbyt dużym fanem broni.

– Och – mówi, odkładając pudełko na półkę. – A może któryś z tych?

– Przepraszam?

Unosi obie ręce.

– Hej, cokolwiek cię interesuje, jest okej. Jak dla mnie, nie ma powodu do kłótni. Dla mnie po prostu film to film i nie powinnaś dokładać do tego swoich politycznych poglądów.

Jezu. To nie idzie dobrze. Biorę głęboki wdech i wstrzymuję powietrze na chwilę. Może to moja wina? Nie sądzę, ale postaram się być lepszą osobą.

– To nie to. Mam złe osobiste doświadczenia, więc po prostu... to coś we mnie. Nie moja działka.

– Och, Boże – mówi, kładąc ze współczuciem rękę na moim ramieniu, właściwie tylko koniuszki palców. – Przykro mi. Przypuszczam, że byłem dupkiem. Wybaczysz?

– Już zapomniane – mówię z uśmiechem.

– O! A co ze *Śniadaniem u Tiffany’ego*? Wszyscy go uwielbiają.

Czy on mówi poważnie? To znaczy, uwielbiam Audrey Hepburn, ale nie jestem w stanie oglądać Mickeya Rooneya grającego karykaturę Japończyka, dla gaf i śmiechu. Nie, dziękuję. Więc mu to mówię. Przy tym się tak bardzo nie upiera, ale nadal nie wierzy, że nie śpiewam z innymi w chórze.

Dziwne. Nasza wycieczka filmowa się skończyła. Oczywiście online też się nie zgadzamy (cały czas), ale to jest naturalne. Osobiście, to wydaje się takie... osobiste. Przechodzimy przez sekcję klasyki, półka po półce, ale nic nie zaiskrzyło między nami. Jakbyśmy byli dwojgiem całkowicie różnych ludzi i im dłużej

testujemy gust drugiego, tym mniej nas łączy. Zaczynam się pocić w dziwnych miejscach i rzucać nietypowe zaczepne żarty, które nie trafiają.

To nie idzie dobrze.

Najgorsze, że on też to zauważa.

– Czasem mają więcej na zapleczu – wreszcie mówi, po kilku długich sekundach milczenia. – Spytam Henry’ego, czy dostali coś nowego. Zaraz wrócę.

Świetnie. Teraz martwię się, że mnie porzuci. Pierwszy raz znalazłam w sobie odwagę, żeby zaprosić chłopaka na randkę – chłopaka, o którym fantazjowałam od miesięcy – i wszystko idzie totalnie źle. Jeśli nie wróci za minutę, zacznę poważnie rozważać wymknięcie się stąd samej.

– *Śniadanie u Tiffany’ego* jest przereklamowane.

Drętwieję. Nikogo wokół nie ma. Rozglądam się po sklepowych alejkach w obu kierunkach. Czy sobie to wyobraziłam? Czy ktoś podsłuchał naszą wcześniejszą rozmowę z Patrickiem na ten temat, a teraz ja podsłuchuję czyjąś rozmowę?

– To raczej nie jest love story, wiesz o tym. Co właściwie zakrawa na ironię w tej konkretnej sytuacji.

– Halo? – szepczę.

Na półce obok odsuwają się DVD. Teraz widzę parę oczu. Ktoś jest w drugiej alejce. Wyjmuję kolejne DVD i widzę więcej czyjejś twarzy: szczęka, leniwy uśmiech, dzikie, muśnięte słońcem loki. Porter. Zaciskam pięści.

– Co ty tutaj robisz, do cholery?

– To mój wolny dzień.

– I śledzisz mnie? – pytam wściekła.

– Nie, to ty mnie śledzisz. Ja już tu byłem, kiedy wparowałaś z Patrickiem Killianem na ramieniu.

Staję na palcach, by spojrzeć nad półką. Podnosi głowę, nasze spojrzenia się spotykają, i unosi obie brwi, zadowolony z siebie. Serce zaczyna mi bić mocno. Dlaczego on na mnie tak wpływa? Czy moje ciało nie może zachowywać się normalnie w jego obecności?

– Skąd go znasz? – szepczę, rozglądając się wokół, czy Patrick nie słyszy. Nie widzę go, więc sądzę, że nadal jest na tyłach albo się wymknął.

Porter spokojnie opiera rękę na regale.

– Znam go od dzieciaka. Myśli, że jest snobem filmowym, ponieważ jego

rodzina jest lokalną firmą, która sponsoruje coroczny festiwal filmowy. Wielkie mi coś.

Stop. Odczekaj minutę. Dzwony alarmowe dzwonią mi w głowie. Jestem przekonana, że Alex wspomniałby o swojej rodzinie sponsorującej festiwal filmowy. To jest coś, czym się możesz pochwalić przed swoim zwariowanym na punkcie filmów przyjacielem. Z wyjątkiem Zakazanej Strefy osobistych szczegółów. Nie ma mowy, żeby to utrzymał w tajemnicy przede mną. Coś tu nie gra. Ale nie sądzę, żeby Porter kłamał, bo teraz przypominam sobie moment, kiedy Patrick dawał mi broszurę festiwalu: „prosto spod prasy”, powiedział. Miał najświeższą wersję, ponieważ jego tata jest sponsorem festiwalu? Wciąż ją mam w torebce i robię wszystko, żeby nie wyciągnąć jej i nie spojrzeć na stronę sponsorów, by znaleźć potwierdzenie.

A w środku cicho panikuję, że Patrick nie jest Alexem, ale jedyne, co jestem w stanie powiedzieć Porterowi, to:

– Ach, a ty wiesz lepiej. – Słabe, ale nie potrafię inaczej.

– Wiem, że miałaś rację ze *Śniadaniem u Tiffany’ego* – odpowiada Porter. – Powieść Trumana Capote’a jest o geju i prostytutce. Hollywood przekształciło to w romans. I nie karz mi mówić o Mickeyu Rooneyu. To była żenada. Ale...

– Ale co?

– Ale wciąż myślę, że jest wart obejrzenia ze względu na grę Hepburn. Co? Nie bądź taka zszokowana. To był ulubiony film mojej babci. Nie wiesz o mnie wszystkiego.

Zgadza się, nie wiem nic. Kim ty jesteś, Porterze Roth?

– I nie jestem pewien, że wiesz wszystko o swoim wybranku...

– Jezu, musisz mówić tak głośno? – szepczę. – Nie jest moim wybrankiem. – Nie tym razem, przynajmniej.

– Kimkolwiek jest, mówię ci to, ponieważ nie mogę patrzeć, jak marnujesz swój pierwszy materiał na flirt na kogoś, kto tego nie docenia. – Pochyliła się nad regałem, zbliżając się do mnie. – Patrick ma chłopaka w Gwatemali.

Mrugam. Patrzą na Portera.

Jasna cholera... Wracam myślą do chwili, kiedy po raz pierwszy spotkałam Patricka w Pancake Shack. I tego, co mówił o Carym Grancie i Randolphie Scotcie, że byli kochankami. A jak spytałam go dzisiaj, czy pójdzie ze mną tutaj, zawahał

się. Nie bez powodu pytał mnie o Dupont Circle; gdybym pozwoliła mu mówić, zamiast samej paplać bez przerwy, prawdopodobnie spytałby mnie, czy uczestniczyłam w corocznej paradzie Capital Pride.

Nie mówię nic. Po prostu powoli opadam na stopy, a czubek głowy Portera ginie mi z oczu. Wyglądam spódnicę i obracam się zrezygnowana, dodając tę listę upokorzeń do porannej. (1) Mój tak zwany wybranek jest gejem. (2) Jestem dziewczyną przegraną, która nie potrafi od razu rozpoznać geja. (3) Nie jestem bliżej znalezienia Alexa niż tydzień temu, kiedy pierwszy raz wyszłam do miasta. (4) Porter był świadkiem wszystkiego.

Zbliża się do mnie Patrick.

– Nic nowego nie mają – mówi. Rzuca okiem na drugą alejkę, którą zmierza do nas Porter z sekcji nazwanej BLAXPLOITATION i FILMY KUNG-FU. Ma na sobie długie, szerokie szorty i niezapiętą kurtkę w kolorze wojskowej zieleni z napisem „Gorący Towar”, umiejscowionym obok kreskówkowego dziecka diabła na kieszeni na piersi. Jego kręcone włosy wydają się dziś dłuższe, ich końce muskają ramiona. Jego wzrok łączy się z moim i zatrzymuje na sekundę, a wtedy coś zabawnego robi się z moim pulsem.

– Och, hej, Porter – mówi Patrick ciepło. – Jak tam Lana? Słyszałem, że załapała się na zawody.

– Rzeczywiście – mówi Porter, powoli jak zwykle. Wciąż patrzy na mnie.

Patrick zerka to na mnie, to na Portera, jakby podejrzewał, że rozmawialiśmy poza jego plecami. Świetnie. Teraz jeszcze czuję się do tego winna, nie tylko upokorzona.

– Hej, Bailey, było fajnie, ale tata napisał do mnie z łódki, więc prawdopodobnie muszę wrócić do pracy. Kawa, kiedyś?

On naprawdę ma na myśli kawę, nic więcej, i po raz pierwszy chwytam, że w przeciwieństwie do mnie on nigdy nie traktował tego jak randki. Po prostu założył, że jesteśmy dwojgiem ludzi o podobnych upodobaniach, którzy razem wyszli coś załatwić. Byłabym jeszcze większym osłem, gdybym odeszła stąd, nie chcąc go już więcej widzieć, bo on woli facetów bardziej niż moje kobiece wdzięki. Niech będzie. Kolejny punkt na mojej niekończącej się liście największych mankamentów.

– Kawa będzie super. Lub herbata – przyznaję. – Chcesz mój numer telefonu?

Możemy kiedyś wybrać się na festiwal razem albo coś w tym rodzaju.

– Jasne – mówi, uśmiecha się i razem kierujemy się w stronę drzwi, wymieniając numery. Macha na pożegnanie i znika we mgle, zostawiając mnie na zewnątrz z drobną rysą na mojej dziewiczej godności.

Powinam pewnie wysłać wiadomość do Alexa – żeby po prostu przemyśleć sprawy, upewnić się, że on nic nie wie o tym fiasku. Ale jednocześnie może najpierw powinam oczyścić głowę. Tak bardzo chciałam znaleźć Alexa, że od razu połączyłam z nim Patricka, ignorując rozum. To był głupi błąd, ale nie chcę się za to biczować za bardzo, ja tylko...

Nie wiem już, czego chcę, szczerze.

– W porządku?

Porter stoi obok mnie. Drzwi sklepu kołyszą się za nim.

Wypuszczam z płuc powietrze.

– Tak. Ja... mam po prostu naprawdę zły dzień. To przez tę mgłę.

– Niemożliwe. Mgliste dni są najlepsze.

Czekam na jakąś złośliwą uwagę, ale mi jej oszczędził. Zerka na moje kolano; jest spuchnięte po wczorajszym ataku na złodzieja sokoła maltańskiego, ale byłam zbyt zaaferowana, żeby założyć opatrunek.

– Wydawało mi się, że Kalifornia będzie cały czas słoneczna – mówię mu. – Mgliste dni są przygnębiające.

– Nieee. W pewien sposób są magiczne.

– Magiczne – powtarzam, nie wierząc mu.

– Co, czy magia jest dla ciebie zbyt prymitywna?

– Nie zaczynaj dzisiaj – mówię bardziej zmartwiona niż sfrustrowana, ale jeśli posunie się dalej, nie mogę obiecać, że to się nie zmieni. – Bawi cię drażnienie się z ludźmi?

– Tylko z tobą.

Przyglądam się jego twarzy, nie mając pewności, czy właśnie tego nie robi.

– Cały czas sprzeczasz się z Pagbornem.

– Nieprawda. On nigdy nie oddaje.

– A więc to lubisz? – pytam. – Jeśli ktoś ci oddaje?

– Każdego czasem bawi odrobina błyskotliwej riposty.

Czy to jest komplement? Nie wiem.

Wzrusza ramionami.

– Może lubię ludzi, którzy oddają. To zagadka, nawet dla mnie. Jestem przecież plażowym dupkiem, pamiętasz? Kto wie, co się dzieje w środku tak prostego mózgu jak mój?

Jej, dziwne. Część mnie zastanawia się, czy powinnam przeprosić za to, ale potem przypominam sobie wszystkie okropne rzeczy, które mi powiedział.

Długa chwila się rozciąga w jeszcze dłuższą.

– Jeździłaś kiedyś na diabelskim młynie podczas mgły? – nagle pyta. – Och, a co z wyciągiem krzeselkowym?

– Ech, nie bawią mnie parki rozrywki.

– Dlaczego?

– Zawsze się psują, a siedzenia się lepia.

Porter się śmieje.

– Jezu, Bailey. Co za popieprzone przejażdżki oferują tam w naszej stolicy? – Kręci głową z dezaprobatą i wzdycha. – Cóż, tylko dlatego, że jest mi Ciebie żal z powodu twojej żalosnej edukacji w parkach rozrywki, myślę, że zabiorę cię na Pszczoły.

– Co to są pszczoły?

– Pszczoły. Bzzzz. – Trąca mnie palcem w rękaw, zmuszając, żebym szła za nim, kiedy się cofa z tym leniwym, seksownym uśmiechem. – Te karuzele z krzeselkami pomalowanymi w pszczoły? Te, które zabierają ludzi ponad las sekwoi na klif nad plażą? Wsiadasz na nie tuż obok wielkiego złotego koła na deptaku z bardzo jasnymi światłami. Poznaj swoje nowe miasto, Rydell, chodź.

11

Chciałbym tylko kogoś, z kim mógłbym prowadzić ciekawą konwersację podczas obiadu.

Tom Hanks *Bezsenność w Seattle* (1993)

O co chodzi? – pyta Porter, kiedy idziemy deptakiem. I wtedy to do mnie dociera: diabelski młyn i budka biletowa na krzeselka Bumblebee są obok głupiej turystyki z wielorybami. Nie pomyślałam o tym.

– Cholera. Naprawdę nie chcę go znów widzieć – mówię.

Przez sekundę Porter wydaje się zdezorientowany.

– Patricka? A dlaczego miałoby go to obchodzić?

Moją odpowiedzią jest długie, smutne westchnięcie.

– No dobra, dobra – mruczy, ale nie wydaje mi się, żeby był naprawdę zirytowany. Raczej jest mu mnie żal, a to może być jeszcze gorsze. – Zostań tam przy bramce. Zaraz wrócę.

Nie mam siły się kłócić. Stawiam stopy na znaku wyznaczającym miejsce do wsiadania, a przygarbiony Filipińczyk – Reyes, jak głosi plakietka – zachrypniętym głosem instruuje kilka osób, jak zejść z krzeselka. Poza jedną zapatrzoną – w siebie – parą w wieku studentów college’u, nie wydaje się, by ktoś jeszcze czekał, żeby wsiąść. Nie winię tych, którzy zrezygnowali. Smugi mgły przyklejają się do kołyszących się siedzeń w czymś, co wygląda bardziej jak wyciąg narciarski, pomalowany na żółto i czarno. Grube druty, które unoszą krzeselka ponad deptakiem na skaliste klify, opierają się na słupach w kształcie litery T; jeden drut ciągnie krzeselka w górę, drugi – w dół. Wielkie białe światła są na każdym słupie, ale w połowie drogi mgła jest tak gęsta, że światła po prostu... znikają. Nie zobaczę dzisiaj klifów.

– Zdrówko – odpowiada operator na moje dzień dobry.

– Co pan robi, kiedy stanie się coś z jednym z krzeselek? – pytam. – Jak pan to

zobaczy?

Podąża za moim wzrokiem, wykręca szyję i patrzy w mgłę.

– Nie zobaczę.

Niezbyt pocieszające.

Po tym, co wydawało się strasznie długim czasem, wraca Porter, ciężko oddychając, z biletami i małą, nawoskowaną papierową torebką.

– Hej, jak tam leci, panie Reyes? – mówi wesoło do operatora.

– Nie wolno wносить żadnego jedzenia do Pszczół, Porter – upomina go tamten.

Porter wpycha torebkę do kurtki i zapina kurtkę do połowy.

– Nie tkniemy tego, dopóki nie dojedziemy do klifów.

– No dobra – ustępuje mężczyzna, uśmiecha się i eskortuje nas do następnego krzeselka.

Zanim udaje mi się zmienić zdanie, siadamy na kołyszącym się krzeselku za obmacującą się parą z college'u. Każde siedzenie przeznaczone jest dla dwóch osób, wygodnie, a po przykryciu nas płachtą w żółto-czarne paski, wystajemy spod niej tylko od pasa w górę. To oznacza, że (A) przybrzeżny wiatr owiewa nasze plecy i (B) mamy idealny widok na zakochaną parę przez nami i ich wędrujące ręce. Wspaniale.

Operator opuszcza poręcz, która blokuje nas wokół talii. Zerkam na Portera. Nie spodziewałam się, że będę siedzieć tak blisko niego. Nasze nogi prawie się stykają, a ja mam na sobie krótką spódnicę. Lekko się przykurczam.

– Piętnaście minut w górę – mówi operator, obchodząc nasze wolno ruszające krzeselko. – Piętnaście minut w dół, kiedy będzie już gotowi na powrót. Bawcie się dobrze.

I jedziemy. Mój żołądek kurczy się trochę, co jest głupie, ponieważ nawet jeszcze nie unieśliśmy się nad ziemią, te Pszczółki potrzebują więcej rozpędu.

– Wszystko w porządku, Rydell? – pyta Porter. – Nie boisz się wysokości, co?

– Niebawem się dowiemy – mówię, kiedy moje wyciągnięte palce u stóp odrywają się od ziemi i zaczynamy sunąć w górę, bardzo powoli.

– Pokochasz to – zapewnia mnie Porter. – Będzie super, kiedy za chwilę wjedziemy we mgłę.

Jak tylko operator wyciągu znika przy bramce i z naszego widoku, Porter odpina kurtkę i wsuwa do środka rękę. Sekundę później coś wyciąga. Jest w

kolorze śmietany i wielkości połowy piłki do golfa. Przez jedną cudowną chwilę czuję wanilię, zanim nie wsadzi sobie całości do ust.

Zamyka oczy z rozkoszy, kiedy przeżuwa.

– Mm. Pychota.

– Co to jest? – pytam.

– To nielegalne jeść w Pszczołach – przypomina mi, wyciągając telefon z kieszeni szortów. – Pewna jesteś, że chcesz złamać zasady?

Nie jadłam śniadania. Byłam zbyt zdenerwowana spotkaniem z Patrickiem. Co za idiotka. Nadal nie mogę uwierzyć we wszystko, co się wydarzyło. To jak zły sen, z którego nie mogę się otrząsnąć. A teraz Porter jeszcze macha mi przed nosem gorącą wanilią.

– Co to jest, Porter? – skomlę. – Pachnie naprawdę dobrze.

– Gracie wspomniała, że na widok słodkości cieknie ci ślina. – Przeglądając telefon, wyciąga kolejną kulkę tego czegoś. Wydaje mi się, że to są waniliowe minimuffinki. Czuję również zapach kokosa. To od niego, sądzę.

– Już nigdy jej nic nie powiem – narzekam, machając nogami, kiedy unosimy się trochę wyżej nad ziemią.

– No to mamy – mówi, znajdując coś w telefonie. – Nowy quiz. Zawrzyjmy umowę.

– Żadnych quizów.

– Tym razem będę miły. Obiecuję.

– A niby dlaczego miałabym ci wierzyć?

– Ponieważ mam kieszeń pełną księżycowych muffinek – mówi z leniwym uśmiechem.

Ni cholery nie wiem, co to jest, ale naprawdę chcę jedną. Mój żołądek warczy.

– Wow, Rydell, masz tam smoka w środku czy co?

Moja głowa kiwa się w przód, kiedy wydaję żałosne dźwięki. W końcu się poddaję.

– Okej, ale jeśli mnie wkurzysz, jak utkniemy na tej głupiej latającej pszczole, pamiętaj, że moje paznokcie są ostre, i wsadzę je w twoje oczy. – Pokazuję mu moje świeżo pomalowane na czerwono paznokcie, opiłowane staromodnie w kształt migdała.

Gwiżdże.

– Ostre. Francja elegancja manicure. A ja myślałem, że jesteś ponad to. Cukier wyciąga z ciebie demona. Podobnego do Portera.

Robię się lekko podenerwowana, ale nie na tyle, by zrezygnować z muffinki.

– A więc to działa tak. Po pierwsze – wyciąga jedną ze swoich nagród – to jest księżycowa muffinka. Lokalna specjalność Coronado Cove. Prosto z piekarnika Piekarni Tony’ego niedaleko – wskazuje do tyłu. – Uważasz, że ciasteczka cukrowe w pracy są dobre? Cóż, pokochasz muffinki.

Trzyma to czubkami palców. Łapię, by przeprowadzić test na węch, a potem rozrywam na dwie części, ignorując Portera, który zachowuje się tak, jakbym popełniła gruby błąd. Próbuje. Po prostu cudowne. Lekkie. Otoczone cukrem waniliowym.

– Hm – mówię.

Porter ma wyraz zwycięstwa na twarzy.

– Mówiłem ci. Okej, a teraz czas na quiz. Ten jest dla nas obojga. To jest... quiz przyjaźni. Oboje musimy podawać odpowiedzi i zobaczymy, jak do siebie pasujemy. By się przekonać, czy będziemy zgodnymi przyjaciółmi, czy zaciekłymi wrogami.

– Phi – mówię z ustami pełnymi muffinki, strząsając okruszki z biustu. – Wrogowie. Quiz skończony; daj mi kolejną muffinkę. – Macham palcami przed jego twarzą.

Śmieje się i odsuwa moje palce.

– Żadnej muffinki, dopóki nie odpowiemy na pierwsze pytanie. Gotowa? Pytanie numer jeden – zaczyna czytać. – Kiedy się kłócimy, to jest jak: (A) trzecia wojna światowa, i potem mija kilka dni, zanim zaczniemy znów rozmawiać, (B) walczyliśmy ostro, ale szybko nam przechodzi, (C) nigdy nie walczyliśmy. Co sądzisz? A, B czy C?

Boże, o co mu chodzi z tymi quizami? Grace miała rację; ma obsesję.

– Nie C, to na pewno – mówię. – Ale A też nie. Sądzę, że jesteśmy B. Walczyliśmy ostro, ale szybko nam przechodzi. Ale to głównie dlatego, że przekupujesz mnie jedzeniem. Rób tak dalej, a będzie dobrze.

– B, tak jest. – Wyjmuje kolejną muffinkę, nie odrywając wzroku od telefonu. Mija chwila, zanim przechodzi do kolejnego pytania. – Naszym ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu jest: (A) otoczyć się przyjaciółmi na imprezie,

im więcej, tym lepiej, (B) ciągle w ruchu, nigdy się nie zatrzymywać, (C) relaksować się w samotności.

– Zakładam, że wybierzesz jedną z dwóch pierwszych odpowiedzi, ale ja jestem raczej typem dziewczyny C. Czy to burzy nasz wynik?

– Nie. Ja też jestem C, właściwie.

Um, okej. Nie jestem pewna, że w to wierzę. Ale z drugiej strony to jego dzień wolny, a on kręci się sam po sklepie wideo, co nie do końca zgadza mi się z obrazem, jaki sobie wytworzyłam.

– Och, patrz! – mówię, zerkając w dół po mojej stronie krzeselka. – Jesteśmy teraz niemal nad diabelskim młynem.

Deptak wygląda dziwnie z tej perspektywy, jedynie małe kolorowe plamki i dachy budynków. Po mojej lewej stronie pędzą samochody, ale kto będzie patrzył na miasto? Na swoje nieszczęście nie mogę się powstrzymać i zerkam na parę przed nami. Każde z rękoma na ciele drugiego. Myślę, że oni nie tylko się całują – wow. Szybko odwracam wzrok.

– Te krzeselka suną naprawdę wolno – narzekam.

– Często tutaj drzemałem – mówi Porter. – Żadnych kłamstw. Następne pytanie. – Jeśli jedno z nas ma problem, to będziemy: (A) trzymać go w sobie, (B) natychmiast pójdziemy po radę do drugiego, (C) rzucamy przynęty i mamy nadzieję, że ta druga strona załapie.

– Zaznacz u mnie A. – Delikatnie wsuwam dłoń między poły kurtki Portera, moje palce chwytają nawoskowaną papierową torbę i znajdują kolejną muffinkę. Dopiero kiedy ją wyciągam, spoglądam na twarz Portera i zaczynam się wahać.

– Nie, ależ proszę – mówi. – Obsłuż się.

Uśmiecham się do niego półgębkiem.

– Ups.

– Czy zawsze wsadzasz ręce w ciuchy chłopców? – pyta.

– Kiedy są pełne łakoci.

– Jutro przyjdę do pracy w spodniach wypełnionych ciastkami – mruczy do siebie, sycząc delikatnie auu, kiedy uderzam go łagodnie w ramię.

– Następne pytanie dla kochanej wanilii – błagam. – Jak długi jest ten test, tak w ogóle?

– Cofnijmy się. Ty wybierasz A na ostatnie pytanie? Ja B – mówi, a ja próbuję

sobie przypomnieć, co to było za pytanie. – To prawdopodobnie zepsuło nasze dopasowanie. Ostatnie. Najważniejszą wartością w... hm, przyjaźni jest: (A) że dzielimy te same zainteresowania, (B) że jesteśmy podobni, (C) że zawsze jesteśmy dla tego drugiego, niezależnie o co chodzi.

Przełykam ostatnią ze swoich muffinek.

– Co to za pytanie? Nie powinno tam być jeszcze (D) wszystkie z powyższych?

– Cóż, niestety nie ma, więc musisz wybrać jedną.

– Odmawiam.

– Nie możesz.

– A jednak mogę.

Porter parska.

– Ale skąd będziemy wiedzieć, że pasujemy do siebie? – jęczy. Nie jestem w stanie ocenić, czy drażni się ze mną, czy też kryje się pod tym coś więcej.

– Jezu. Nie wiem. Sądzę, że musimy się rzeczywiście zaprzyjaźnić i wtedy to sprawdzić, zamiast robić quizy.

Wyłącza telefon z dużą dozą dramatyzmu i chowa go do kieszeni.

– Nikt już nie docenia sztuki dobrego quizu. O, jesteśmy. Odblokuj swój pas. Będzie trochę dziwnie. Mam nadzieję, że nie boisz się ciemności ani czegoś takiego. Czuj się swobodnie, jeśli chcesz znów sięgnąć do mojej kieszeni w razie potrzeby.

Dokładnie w punkt. Odwracam głowę, kiedy krzeselko wjeżdża w grubą warstwę mgły, która przetacza się nad oceanem. Porter przesadził. To nie jest gęsta mgła. Nadal widzimy siebie nawzajem. Ale para przed nami stała się bardziej niewyraźna i, z wyjątkiem przejeżdżającej właśnie ciężarówki czy wysokiego budynku, ziemia pod nami też. I naprawdę nie ma zapachu, dokładnie, i nie jest też mokra. Ale w płucach czuję inaczej.

– Czemu jest tutaj tak mgliście latem?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Nie jestem pewna, jak na to odpowiedzieć.

– Hm, chyba tak?

– Cóż, wiesz... mgła formuje się nad wodą, ponieważ woda jest zimna. A Pacyfik w tym miejscu jest zimny z dwóch powodów. Po pierwsze, zimne powietrze z Alaski płynie wzdłuż Prądu Kalifornijskiego, po drugie, zimna woda wypływa z

dna oceanu dzięki czemuś, co zwane jest wypływem wód głębinowych, a co ma wiele wspólnego z wiatrem wiejącym równoległe do wybrzeża i pchającym powierzchnię oceanu na południe. To miesza wody Pacyfiku i przynosi lodowatą słoną wodę z dna oceanu, która jest tak zimna, że mrozi oceaniczne powietrze, kondensuje je i tworzy mgłę. Letnie słońce ogrzewa powietrze, ono się unosi i zasysa mgłę.

Patrzę na niego. Wydaje mi się, że mam otwarte usta, ale nie jestem pewna. On drapie się po czole i prycha, bagatelizując całą przemowę.

– Mam hopla na punkcie pogody. To ze względu na surfing. Aby znaleźć najlepsze fale, musisz znać się na pływach, przypływach, burzach... Po prostu dla własnego dobra interesuję się tymi sprawami.

Zerkam na jego zabawny, czerwony zegarek surfera wystający spod rękawa kurtki, z tymi wszystkimi pływami i obliczeniami pogodowymi. Kto by pomyślał, że taki z niego mądrala?

– Naprawdę jestem pod wrażeniem – mówię i na serio tak myślę. – Liczę, że będziesz tym gościem, który usiądzie obok mnie, jeśli będę potrzebowała ściągę z biologii.

– Zdałem biologię w zeszłym roku. Teraz będę chodził na kurs nauki o środowisku oraz kurs chemii 2.

– Cóż. Ja nienawidzę nauk ścisłych. Historia i angielski tak. Żadnych ścisłych.

– Żadnych? Bailey, Bailey, Bailey. Wygląda na to, że różnimy się w każdy możliwy sposób.

– Tak – zgadzam się z uśmiechem. Nie wiem czemu, ale przyprawia mnie to o lekki zawrót głowy.

Śmieje się, jakbym powiedziała jakiś świetny żart, a potem wychyla się za poprzeczkę.

– I co teraz myślisz o naszej kalifornijskiej mgle? Fajna, prawda? – Składa dłonie, jakby chciał ją w nie pochwycić.

Próbuję zrobić to samo.

– Tak. Lubię naszą mgłę. Miałeś rację.

Siedzimy tak razem, próbując złapać ocean w dłonie przez resztę jazdy w górę.

Na końcu drogi w górę czeka operator. Podnosi poprzeczkę i uwalnia nas. Dojechaliśmy na szczyt klifów. Na krawędzi z małym sklepem pamiątkowym

zwanym Garniec Miodu – nie powiem im tego, ale te akurat pszczoły nie produkują miodu – jest mała platforma z barierką i kilka teleskopów na monety. Można przez nie spojrzeć na ocean. Gdyby był ładny dzień, moglibyśmy patrzeć ponad Cavern Palace, ale teraz niewiele jest do zobaczenia, więc tylko garstka ludzi kręci się wokół. Jest wietrznie i chłodno, zwłaszcza jak na czerwiec.

Nie wiedziałam, że Kalifornia ma tak zwariowaną pogodę. Proszę Portera, żeby powiedział mi kilka słów więcej na ten temat. W pierwszej chwili sądzi, że się z niego nabijam, ale ja nie nalegam. Opieramy się o cedrową poręcz barierki i kiedy kończymy nasze muffinki, on opowiada mi o pływach i falach oceanu, lasach sekwojowych i paprociach, i ekosystemie, i jak mgła zaczęła się obniżać w ostatnich dekadach, a naukowcy próbują odkryć, dlaczego tak jest i jak to powstrzymać.

Dziwnie jest słuchać go, jak opowiada o tym wszystkim, i, podobnie jak to było z jego bliźniakiem na ramieniu, próbuję poskładać wszystkie kawałki w jeden: ochroniarz w pracy, z kuszącymi ustami, który nabijał się z moich niedopasowanych pantofli; surfer, usiłujący ściągnąć z przejścia na jezdni swojego przyjaciela Davy'ego na haju; brat, któremu lśnią oczy, kiedy opowiada o osiągnięciach swojej siostry; gość, który przybija ze mną piątkę, kiedy powaliłam chłopaka, który ukradł sokoła maltańskiego... i wariat na punkcie nauk ścisłych stojący przede mną.

Może Walt Whitman miał rację. W nas wszystkich są sprzeczności i składamy się z wielu osobowości. Jak możemy zatem określić, kim naprawdę jesteśmy?

W końcu Porter zauważa, jak dużo mówi, i jego złocista twarz się rumieni. To całkiem urocze.

– No dobra, starczy – mówi w końcu. – A ciebie co kręci?

Waham się. Chcę opowiedzieć o klasycznych filmach z taką pasją, z jaką on opowiadał mi o oceanicznych opadach, ale potem przypominam sobie incydent z Patrickiem i lekko mi się ściska żołądek. Nie zachwyca mnie ponowne rozgrzebywanie tego. Może innym razem.

– Historia – mówię mu, co, idąc na kompromis, jest również prawdą. – Czas na wyznanie. Ostatnio często myślę, że chciałabym być kimś w rodzaju muzealnego archiwisty.

Porter promienieje, jakbym przypomniała mu o czymś.

– Coś jak katalogowanie?

– Tak. Albo mogłabym być kuratorem. Nie jestem do końca pewna. – Przyznanie się do tego na głos wprawia mnie w zakłopotanie. Zaczynam się kręcić i czuję, że chciałabym odejść, ale stoimy na klifie i nie ma gdzie uciec. – W każdym razie praca w Jaskini nie jest może spełnieniem marzeń, ale to jakiś początek. No wiesz, do mojego CV. Ostatecznie.

Zerka na mnie, a ja mu mówię trochę więcej o moich muzealnych marzeniach – co pasuje do mojego stylu życia jak Artful Dodger: za sceną, niski stres, stare rzeczy, chronienie historycznie wartościowych elementów, które większość ludzi uważa za nudne. Choć bardzo kocham filmy, nigdy nie chciałabym być reżyserem. Coraz bardziej się o tym upewniam. Trzymaj mnie w cieniu, kochanie. Z radością przekopywałabym się przez pudła ze starymi aktami.

– Lubię odkrywać rzeczy, o których ludzie już zapomnieli. A dodatkowo jestem naprawdę dobra w organizowaniu.

Porter uśmiecha się delikatnie.

– Zauważyłem.

– Tak?

– Twoja kasetka. Rachunki ułożone zawsze tak samo, zagięte rogi wyprostowane. Wszystko poskładane i pospinane idealnie, aby włożyć do torebki. Kasetki większości ludzi to jeden wielki bajzel, pieniądze poobracane w każdy możliwy sposób.

Policzki mi płoną. Jestem zaskoczona, że zwraca uwagę na takie szczegóły.

– Lubię rzeczy czyste i uporządkowane. – Głupia krew księgowego.

– Porządek jest dobry. Może jednak masz w sobie coś z naukowca.

– Jasne! – wykrzykuję. – Niezła próba, ale nie.

Kąciki jego oczu unoszą się, kiedy się uśmiecha.

– Zgaduję, że nie chcesz pracować zawsze w Gorącym Pudle, co?

– Boże, nie – mówię z kwaśną miną. – Tylko nie Gorące Pudło.

Na samo wspomnienie nazwy zachciało nam się pić, więc weszliśmy do Honeypot i kupiliśmy jakieś napoje. Kiedy już się napiliśmy, słońce zaczęło przebijać się przez mgłę – wsysało ją, skoro liznęłam trochę nauki. Ciepłe południowe powietrze pachnie jak ogródek mojego taty, sosną i sekwoją, czystością i świeżością. Oddycham tym głęboko. Z pewnością nie pachnie jak

tamto na wschodzie.

W końcu wracamy do krzesełek i siadamy bliżej siebie. Dużo bliżej. Czuję ciepło ramienia i nogi Portera obok mnie. Jego szorty są dłuższe niż moja spódnica, jego nogi dłuższe niż moje, ale kiedy krzeselko kołysze się do przodu, nasze skóry się stykają. Patrzę tam, gdzie nasze ciała są połączone. Przez króciutką chwilę rozważam, czy się odsunąć, skurczyć się, jak zrobiłam to, jadąc w górę. Ale...

Nie robię tego.

On też nie.

Poręcz opada i więzi nas razem. Ramię przy ramieniu. Noga przy nodze, ciało obok ciała. Moje serce tłucze się w piersi jak w podnieceniu piosenką. Co chwila czuję jego wzrok na mojej twarzy, ale nie śmiem patrzeć. Jedziemy w ciszy całą drogę w dół, obserwując, jak miasto staje się coraz większe i większe.

Od ziemi dzieli nas kilka metrów i wtedy odzywa się tak cicho, że ledwo go słyszę.

– Co powiedziałem kiedyś o twoim wygórowanym guście? – przerywa na chwilę. Pan Reyes uśmiecha się, czeka, by chwycić naszą poręcz. – Chciałem, żebyś wiedziała, że lubię twój sposób ubierania się. Lubię twój styl... Myślę, że jest cholernie seksowny.

Prywatne wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière

ŻADNYCH NOWYCH WIADOMOŚCI

12

Jeśli dzieje się to, co myślę, że się dzieje, to lepiej, żeby się nie działo.

Meryl Streep *Fantastyczny pan Lis* (2009)

Jestem skołowana. Minęło już osiem godzin, od kiedy rozstaliśmy się z Porterem przy Pszczolach, a ja nadal nie mogę wyrzucić jego słów z głowy. Cholernie seksowna.

Ja!

On!

Co?

Nie powiedział już nic więcej, nawet ledwie na mnie spojrzął, kiedy stwierdził krótko, że musi „uciekać”, bo obiecał pomóc mamie rozładować coś w sklepie dziś po południu. Myślę, że podziękowałam mu za muffinki i bilet na wyciąg. Nie jestem pewna. Byłam tak wytrącona z równowagi. Mogłam odpowiedzieć, że zobaczymy się w pracy. Pan Reyes spytał mnie, czy wszystko ze mną w porządku, więc wiem, że stałam tam zbyt długo niczym lunatyczka. A potem poszłam kilometr plażą na zły parking, a potem musiałam wrócić do Baby.

– To wszystko, co zjadłaś? – pyta mnie tata zza mojego lewego łokcia.

Patrzę na swoją miskę. Jest niemal pełna, ale nie dlatego, że jedzenie jest niedobre. Jest naprawdę, naprawdę dobre. Siedzę przy różowym piknikowym stole na północnym końcu zatoki, z dala od doprowadzającego mnie do szalu tłumy na deptaku. Wanda – przepraszam, sierżant Mendoza – siedzi naprzeciwko. Trudno o niej teraz myśleć jak o glinie, ponieważ ma na sobie dzinsy i jemy z nią obiad na plaży naprzeciwko przyczepy z jedzeniem, niesławnej przyczepy z pozole. Również dlatego, że tata cały czas mówi do niej Wanda, i za każdym razem, kiedy to mówi, uśmiecha się delikatnie, tylko nie sądzę, aby o tym wiedział, że to robi. Sądzę, że dotykają się stopami pod stołem w piasku, ale jestem zbyt rozkojarzona, żeby sprawdzać.

Pozole, jak się okazuje, to jest niesamowite meksykańskie danie jednogarnkowe, wolno gotowane, z suszonej kukurydzy, chili i mięsa. W przyczepie serwują czerwone, zielone i białe pozole, ja wzięłam białe, z wieprzowiną, najłagodniejsze. Przybrane jest świeżą rzodkiewką i kapustą, a na stole stoi talerz z ćwiartkami limonki. Słońce zachodzi za ocean, więc niebo przybiera ten szalony złotopurpurowy kolor, a przyczepa z pozole ma rozwieszane nad stolikami wielokolorowe światełka, więc wszystko razem jest wesołe i radosne, jak na festynie. A przynajmniej powinno. Ale na falach możemy dostrzec kilka sylwetek surferów, To powoduje, że zaczynam myśleć o Porterze, jak mnie nastraszył.

Więc nie, nie mogę jeść.

Ale muszę. Umieram z głodu, i to jest głupie. Nie zamierzam być jedną z tych dziewczyn, które kręcą tyłkiem przed chłopakiem i ledwo skubią jedzenie. To jest Porter Roth, na miłość boską. Praktycznie jesteśmy przeciwnikami. Weźmy nasz głupi quiz zgodności – czy go nie oblaliśmy? A może nie? Nie pamiętam teraz. Wszystko, co pamiętam, to jak słodko i fantastycznie wyglądał, opowiadając o fitoplanktonie i prądach oceanicznych, i jak włoski na jego nogach łaskotały, kiedy kołysało się krzeselko.

Czuję się, jakbym miała gorączkę, znów myśląc o tym. Boże, pomóż mi.

Ale z drugiej strony, może on wcale tak nie myślał. Może tylko się ze mną droczył. Czy tylko się droczył? Świeża fala paniki przepływa przeze mnie.

Nie, nie, nie. To nie może być tak, że tylko o tym mogę myśleć, przerażam się.

Nie mogę lubić Portera Rotha.

– Bailey?

– Tak? Nie, uwielbiam to. Naprawdę. Jest wspaniałe – odpowiadam tacie, próbując nadać głosowi normalne brzmienie, kiedy podnoszę łyżkę. – Miałam dziwny dzień dzisiaj, to wszystko.

Wypycham Portera z mojej głowy. Jem swoją zupę. Koncentruję się na obserwowaniu mew, skrzeczących nad wybrzeżem. I wtedy słyszę, jak tata mówi do Wandy z dwuznaczną intonacją:

– Miała dzisiaj randkę.

– O-och. – Wanda składa usta w uśmiech.

– Tato, Jezu.

– Cóż, nie powiedziałaś mi, jak poszło. Jak miał na imię? Patrick?

– Jeśli musisz wiedzieć, poszło tak – mówię, opuszczając kciuki w dół i prychnąwszy z pogardą. – Okazało się, że twoja córka nie zaliczyła testu z chemii w relacjach, ponieważ, śmieszna rzecz, Patrick jest gejem.

Wanda przywołuje na twarz zboląły grymas.

– I nie powiedział ci tego wcześniej?

– Nie jego wina – mówię. – Sądzę, że to ja przyjąłem złe założenia.

Tata zgrzyta zębami i wygląda na czującego się nieco niekomfortowo. Nie wie, co mi powiedzieć.

– Och, kochanie... Przykro mi.

Potrząsam głową.

Zawsze mówisz, nie zakładaj z góry. Chwilę później rozluźnia się i otacza mnie ramieniem.

– Naprawdę mi przykro, dzieciaku. Nie udało się, ale nie pozwól, żeby cię to załamało. To miasto jest pełne fajnych chłopaków.

Wanda uśmiecha się do siebie.

– Rany, tato. Nie wierzę, że właśnie to powiedziałeś przy swojej dziewczynie – mówię teatralnym szeptem, pozwalając opaść mojej głowie na jego ramię.

– Ja też nie – przyznaje, głaszcząc moje plecy. – Bycie rodzicem bywa dziwne.

Wanda wyciera usta serwetką i kiwa głową.

– Święta prawda. Moje dziecko jest starsze dwa lata od ciebie, Bailey. I właśnie przeżył szalone zerwanie.

– Czeka, ty masz syna?

Potwierdza.

– Jestem rozwiedziona od pięciu lat. On ma dziewiętnaście. Chodził przez rok do miejscowego college'u, a teraz na letnie wykłady do Alma Mater twojego taty, Cal Poly. Inżynieria elektryczna. Jest mądrym dzieciakiem.

Kiedy ona opowiada o swoim synu, ja grzebię w talerzu i się zastanawiam, czy kiedykolwiek spotkałam tego gościa. A jeśli tata ponownie się ożeni? Będę miała macochę? Dziwnie o tym myśleć. Z drugiej strony, Wanda wydaje się całkiem fajna i tak opowiada o Anthonym – to jej syn – jakby był ósmym cudem świata. Poza tym tata jest jak ja: nie podejmuje pochopnych decyzji. Nie wyobrażam sobie, że bez namysłu wskakuje w kolejne małżeństwo jak moja mama – która

nadal nie zadzwoniła, tak przy okazji. Nie żebym liczyła dni albo co, wypłakując oczy za nią jak dziesięciolatek, który został wysłany na letni obóz i tęskni za mamusią.

Ale jednak. Jeden telefon? Jeden e-mail?

Jeśli sądzi, że zadzwonię pierwsza, to niech pomyśli raz jeszcze. Nie zamierzam być tutaj dorosłą.

Kończę jeść, wstaję od stołu i wyciągam telefon z torebki, schowanej w siodełku Baby; przyjechałam tutaj, żeby spotkać się z tatą i Wandą. Wracając do stołu, zauważam, że kilku surferów ściągnęło swoje mokre stroje. Wbili deski w piach, jak płyty nagrobkowe, i kierują się do przyczepy z pozole. Mój puls skacze, gdy szukam wśród trzech chłopaków twarzy Portera. Nie znajduję, ale zauważam na plaży kogoś innego, kuśtykającego: Davy.

Cholera.

Nie bardzo mam ochotę widzieć go znów, zwłaszcza kiedy jestem z tatą. Niestety, choć schylam nisko głowę, siedząc obok taty, nie na tyle nisko, by uciec przed jego zamglonym wzrokiem.

– Patrzcie, kogo mamy, mała miss – mówi chropowatym głosem. – Kowbojka. Pracujesz z Porterem w Jaskini.

Unoszę dłoń kilka centymetrów nad stołem, lekko macham mu nią i się prostuję.

– Davy – mówi, wskazując na swoją pierś, która, jak zwykle, jest naga, chociaż dwaj pozostali surferzy są ubrani. On drży. Włóż cholerną koszulkę, dupku. – Przyjaciel Portera, pamiętasz?

– Hej – mówię, ponieważ dziwnie byłoby nie odpowiedzieć. Ale dlaczego wspomniał o Porterze?

– To twoja vespa? – pyta. – Słodka. Całkiem niezła. Odnowiona?

Wanda się prostuje i mówi, zanim zdążę odpowiedzieć:

– Co tu robisz, Truand?

– Och, dzień dobry, oficer Mendoza – odpowiada Davy, w ogóle nieprzejęty jej obecnością. – Nie rozpoznałem pani bez uniformu.

– Jestem sierżant Mendoza i nadal mogę cię aresztować, niezależnie od tego, w co jestem ubrana.

– Będę o tym pamiętał – mówi, uśmiechając się jak sprzedawca ubezpieczeń.

Dwie starsze dziewczyny w majtkach od bikini i T-shirtach wstają od sąsiedniego stolika, by wyrzucić śmieci, a kumple Davy'ego zaczynają je zaczepiać w najgorszy z możliwych sposób. Wszystko, co słyszę, to „dupa na dni” i „wsadź tam sobie moją buzię”, a ja mam ochotę umrzeć albo wkopać ich do śmietnika. Dziewczyny pokazują im fucka i po krótkiej, ale brutalnej wymianie uwag tamci dwaj się poddają i idą do przyczepy z pozole, jak gdyby nigdy nic. Po prostu kilka kolejnych minut w ich życiu.

Teraz, gdy ten cyrk się skończył, Davy przypomina sobie, że ze mną rozmawia.

– Więc, jakby co, kowbojko, nadal jesteś zaproszona. Pamiętasz? – Podnosi palec do ust i mruga do mnie. Dopiero po chwili się domyślam, że chodzi mu o ognisko. Tak sądzę. Kto tak naprawdę wie, co temu idiotcie chodzi po głowie. Nie odpowiadam, a on tego nie rejestruje. On i jego kumple są już zajęci czymś innym – jakimś samochodem, tym razem pełnym kolejnych dupków. Biegna, żeby się z nimi spotkać. Dzięki Bogu. Jestem wkurzona przebywaniem na tej samej plaży z tymi kretynami. Ciągną w dół społeczeństwo, zmuszone oddychać tym samym powietrzem co oni.

– Idź stąd, odejdz, proszę – mamroczę.

– Znasz go? – pyta Wanda, nagle bardzo zainteresowana jak typowa glina.

Teraz interesuje się i mój tata – jak typowy ojciec.

– Nie – mówię, machając ręką. – Zna kogoś, z kim pracuję.

– Porter Roth? – mówi tata. – Myślałem, że jest ochroniarzem, a nie plażowym obibokiem.

– Jest. To znaczy nie jest – mówię. O cholera. Nie chcę, żeby tata kojarzył tych dwóch razem. – Porter nie jest jak Davy. Nie wiem nawet, czy się jeszcze przyjaźnią. Wpadłam na Davy'ego na promenadzie, a on zaczął mnie nazywać kowbojką, ponieważ kupowałam apaszkę, a potem zaprosił mnie na imprezę, ale to nie znaczy, że zamierzałam iść albo co...

– Wow – mówi tata. – Zwolnij.

– Davy wygląda na gnojka, tyle.

Wanda wydaje się usatysfakcjonowana moją odpowiedzią.

– Trzymaj się od niego z daleka, Bailey. Mówię poważnie. On przynosi kłopoty. Za każdym razem, kiedy go przymykam, wychodzi z powodu uchybień formalnych. Ale ledwo utrzymuje się na powierzchni. Mówię o poważnych

narkotykach – nie o trawce czy alkoholu. Potrzebuje pomocy, ale jego rodzice niezbyt się tym przejmują.

Jezu. Myślę o sklepie ze starymi ciuchami i o dziwnej rozmowie, której byłam świadkiem, i jak wściekły był Porter, gdy przyłapał Davy’ego wychodzącego ze sklepu.

– Porter nie jest... – mówię i żałuję, że wspomniałam jego imię, zanim skończyłam.

– Porter jest okej – stwierdza Wanda i mam nadzieję, że nie zauważyła, jak bardzo mi ulżyło. – A przynajmniej tak uważam. Rodzina Rothów wiele przeszła, ale to porządni ludzie. Jednak trzymaj się lepiej z dala od tłumu. Jeśli Porter spotyka się z Davy’em, radzę ci ich unikać, żebyś później nie żałowała. – Ostatnią część przemowy kieruje bardziej do taty niż do mnie, a on lekko kiwa głową, na zasadzie, tak, rozumiem. Przekaz odebrany.

Martwy, bo skojarzony z Davy’em. Porter Roth ma teraz w notatniku mojego taty grubą czerwoną krechę. Nie jestem pewna, co to znaczy dla mnie, ponieważ nawet nie wiem, co jest między mną a Porterem. Ale jeśli chciałabym, żeby coś się działo, hipotetycznie, czy teraz oznacza, że jest to niemożliwe?

Wiem jedno: mówienie tacie o ognisku nie wchodzi w grę. Ponieważ prawdopodobnie wie o tej zabawie Wanda, a on może ją o to spytać. Problem w tym, że teraz naprawdę chcę iść. Grace mnie poprosiła, a ja nie chcę się wycofać. A poza tym może Porter tam będzie...

Ale. Dlaczego zawsze musi być jakieś ale?

Jest jedna osoba, której nie brałam pod uwagę w całym tym bałaganie. Alex. Może powinnam spytać go o opinię. A przynajmniej postarać się powiedzieć mu, co się dzieje. Poza tym on pewnie dalej robi swoje, jak zwykle fantastyczny i cudowny, a ja? Spędzam dzień na poszukiwaniu go na lewo i prawo po całym mieście, robiąc mu krzywdę, bo jestem straszną, okropną osobą. Czy nie zasługuje na trochę informacji o tym wszystkim?

Prywatne wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière – nowe!

@alex: Ten horoskop, który mi przeczytałaś, w przedziwny sposób się sprawdził.

@mink: Naprawdę?

@alex: Poszedłem za twoją radą i zadziałało. Zaryzykowałem i miałem jeden z najwspanialszych dni od dłuższego czasu. Miałaś rację. Dobrze otworzyć się na nowe rzeczy.

@mink: Zabawne, że to mówisz, ponieważ ja zamierzałam prosić cię o radę, czy powinnam, czy raczej nie powinnam coś zrobić. (Nie dotyczy to lotu tam, tak przy okazji. Żeby było jasne. Nie mówię, że to się nie zdarzy, ale na razie jest w zawieszeniu.)

@alex: Moja rada TAK. Zrób to.

@mink: Jeszcze nawet nie wiesz, co to jest.

@alex: I nie wiem, co miał oznaczać twój horoskop, ale zadziałało. Skorzystaj z szansy, Mink. Ty pomogłaś mnie, teraz ja pomagam tobie. O czymkolwiek myślisz, co miałybyś zrobić, moja rada – zrób to po prostu. Co gorszego może się zdarzyć?

13

Nikt nigdy nie kłamie o tym, że jest samotny.

Montgomery Clift *Stąd do wieczności* (1953)

Nie pracuję z Porterem na następnej zmianie. Właściwie to nie mam zaplanowanej pracy z nim aż do soboty – nie żebym obsesyjnie sprawdzała rozpiszkę. Ale poziom rozczarowania, kiedy biorą swoją kasetkę i widzę białe włosy pana Pangborna zamiast gąszczu loków Portera, mnie dobija i muszę się otrząsnąć mentalnie. Czemu tak dużo myślę o jakimś chłopaku? Jak nie ja. Zupełnie.

– Idziemy dzisiaj? – pyta Grace, gdy Pangborn eskortuje nas do Gorącego Pudła, wesoło pogwizdując coś, co jak mi się wydaje jest piosenką Paula Simona. Kiedy waham się zbyt długo, łapie mnie za marynarkę. – Nie zostawiaj mnie, Bailey Rydell.

– Nie zostawiam – mówię, śmiejąc się i ją odpycham. – Jest po prostu mała komplikacja. Być może będę musiała trochę nazmyślać tacie, z kim się spotkamy, więc jak po mnie przyjedziesz, nie wspominaj o surferach.

Marszczy brwi i rzuca mi spojrzenie: jak sobie życzysz.

– Ósma.

– Ósma. Będę gotowa, słowo.

Pangborn wykonuje lekkie płasy przed drzwiami do budki biletowej, z jedną ręką na brzuchu, śpiewając o jakimś gościu imieniem Julio na szkolnym podwórku: Ya da-da-da-da!

Grace uśmiecha się szeroko.

– To musi być coś przewlekłego, bo trzymasz ręce na brzuchu cały ranek.

– Medycyna naturalna, moja droga – poprawia ją i ucisza gestem dłoni, rozglądając się wokoło, prawdopodobnie szuka pana Cavadiniego. – Nigdy nie wiesz, kto słucha.

Okropna myśl przelatuje mi przez głowę.

– Nie macie dźwięku w kamerach, prawda? – Wszystko, co wie o mnie, twierdzi Porter, powiedziała mu Grace... A jeśli słuchał naszych rozmów w Gorącym Pudle?

– Dźwięk? – chichocze Pangborn. – Ledwie coś widzimy. Nie, nie ma tam dźwięku.

Słodki Jezu. Wzdycham z ulgą.

– Czemu? – pyta.

– Hm... po prostu zastanawiałam się, czy podsłuchiwaście, kiedy plotkowałyśmy w Gorącym Pudle – próbuję ukryć ulgę najlepiej, jak umiem, i oczywiście słabo mi wychodzi.

Śmieje się.

– Nie, nic z tych rzeczy. Nie słyszymy, dopóki nas nie wezwiecie, więc plotkujcie dalej. System jest stary. Nie unowocześniano go tak naprawdę od dekady. Wkrótce będą musieli wydać trochę forsy. Firma, która monitoruje system alarmowy, dwa tygodnie temu padła. I teraz jeśli cokolwiek pójdzie nie tak w środku nocy, jedyne, co możemy zrobić, to zadzwonić do lokalnej policji.

– Zadzwonię po Bailey – mówi Grace. – Będzie ścigać przestępców i skakać na nich.

Uderzam ją w ramię.

– Zamknij się, Grace Achebe, albo zacznę liczyć resztę tak wolno jak Michelle. Neeeeeee! – Macha ręką w stronę Pangborna. – Czy wpuścisz nas wreszcie? Nie każdy z nas może sobie pozwolić, jak ty, na luksus naturalnego kurowania się, by dzień mijał szybciej.

Stary ochroniarz uśmiecha się głupkowato i puka do drzwi, oznajmiając:

– Drużyna Grailey zgłasza gotowość do pracy, chłopcy. Otwórzcie. Znów musiałem gdzieś położyć klucz...

Kiedy już się usadawiamy, Grace wyłącza swój mikrofon i mówi:

– Czemu pytałaś Pangborna, czy słucha naszych plotek?

– To nic takiego, naprawdę – mówię, ale ona nie odpuszcza. – Po prostu martwiłam się, że Porter mógłby słyszeć nasze rozmowy.

– Czemu?

– Ze względu na parę rzeczy, jakie powiedział kilka dni temu. Nic takiego,

głupie, naprawdę. Wie, że mam słabość do słodczy...

– Ja mu to powiedziałam.

– Taak, tak powiedział.

– Pytał ostatnio o ciebie. Całkiem sporo, tak szczerze.

– Tak?

– Aha. – Zerka na mnie kątem oka.

– Na przykład o co?

Wzrusza ramionami.

– Różne rzeczy. Jest ciekawski. Taka jego osobowość.

– Jak kot, co? – A więc to nie jest nic nadzwyczajnego. Ona nie dodaje nic więcej, więc mówię: – Cóż, w każdym razie. To wszystko. Po prostu drażnił mnie tymi muffinkami na pszczołach, i...

Czuję raczej, niż widzę, jak głowa Grace odwraca się w moim kierunku.

– Co ty właśnie powiedziałaś?

– O Boże, Grace. Moje uszy. Nie wiedziałam, że potrafisz być tak głośna. – Cały czas mamy kolejkę, więc przyklejam fałszywy uśmiech na twarz i podaję bilety przez małą dziurkę w oknie. – To mi uszkodziło bębenki.

– Ale to właśnie powiedziałaś, prawda? Powiedziałaś, że byłaś z Porterem na wyciągu krzeselkowym? Czemu tam z nim byłaś?

– To długa historia.

– Mamy sześć godzin.

Wzdycham. W lukach pomiędzy klientami opowiadam jej skróconą wersję historii. Nie mówię jej o moim polowaniu na Alexa, ponieważ to wydaje się zbyt osobiste – natomiast mówię jej, że spotkałam się z Patrickiem, nie wiedząc, że obwąchuję niewłaściwe drzewo.

– Patrick Killian?

Wzdycham. Jak małe jest to miasto?

– Powinien był ci powiedzieć – mówi.

– Powinnam się połapać.

Grace kręci głową.

– Nadal uważam, że powinien wyrazić się jaśniej. Nie ma takiej opcji, żeby wasze sygnały się skrzyżowały. Strata dla niego.

– No nie wiem – mówię, ale jestem jej wdzięczna za wsparcie.

Daje mi znak, żebym się pospieszyła.

Opowiadam jej dalej tę historię, opuszczając większość detali, zwłaszcza o moich sekretnych emocjach i stykaniu się nogami.

– Próbował mi po prostu poprawić humor – ciągnę o Porterze i Pszczołach. – Nic wielkiego.

– Hm – to cała jej odpowiedź.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że to wszystko bardzo interesujące.

– Dlaczego?

Cztery szybkie stuknięcia w drzwi Gorącego Pudła. Grace jęczy. Cztery stuknięcia oznaczają tylko jedną osobę. Moje nerwy szaleją, kiedy Grace otwiera drzwi.

– Panie – mówi Porter.

– O wilku mowa. – Grace rzuca mi tak dziki uśmiech, że aż trudno mi uwierzyć, że pojawił się na jej słodkiej buzi. Natychmiast żałuję, że powiedziałam jej cokolwiek, i próbuję jej dać znaki oczami: JEŚLI POWIESZ COKOLWIEK, UDUSZĘ CIĘ PODCZAS SNU.

Porter zerka na nią, potem na mnie. Przechwytyuję jego wzrok i próbuję odwrócić swój, ale to jest jak miód. Utknęłam. Czuję, jak w środku się topię, a moje serce próbuje prześcignąć hordę zombie. Brakuje mi powietrza. Głupie Gorące Pudło. Jest duszno. Czuję się fizycznie chora i boję się, że zemdleję.

– Hej – mówi miękko.

– Hej – odpowiadam.

Gdzieś z oddali słyszę pykanie świata. Pyk – pyk – pyk.

– Bailey. – Naprawdę lubię, jak wymawia moje imię. Boże, jakie to idiotyczne.

– Tak – odpowiadam.

– Klienci.

Cholera. Zmuszam się, żeby nie zakląć na głos, ale jednak klnę, bo obracam się na stołku za szybko i walę w coś gołym kolaniem, które nie zagoiło się jeszcze do końca. Krzyczę. Ból przełamuje te szalone czary wudu, jakie Porter na mnie rzucił. Milknę, kiedy coś ciepłego dotyka mojej ręki.

Zerkam w dół. Porter próbuje mi podać zwiniętą chusteczkę. Moje kolano znów krwawi. Mruczę „dziękuję” i przyciskam ją do otwartej znów rany, drugą ręką

wydając bilety.

– Idziesz dzisiaj na ognisko? – pyta Porter. Grace, nie mnie.

– Tak. Zabieram Bailey, jeśli nie straci nogi przed końcem zmiany. W Gorącym Pudle nigdy nic nie wiadomo. To strefa wojny. Lepiej wyjdź, póki możesz.

– Dobra, dobra – odpowiada Porter, niby obrażony. Czy wyczuwam w jego głosie wesołość? Czy jest szczęśliwy, że idę na ognisko, czy to tylko moja wyobraźnia? – Sądzę, że spotkam was obie dzisiaj wieczorem, chyba że komuś wcześniej będzie potrzebna karetka.

Grace zjawia się przed moim domem dokładnie o ósmej. Ledwo zdążam zmienić służbowe ciuchy na to, co, jak przypuszczam, jest odpowiednie na zabawę przy ognisku. Dla mnie znaczy to, że ubieram się jak Annette Funicello w jednym z filmów z lat sześćdziesiątych: czerwono-biały top obsyty lamówkami, który obciska mnie jak rękawiczka, obramowane w ząbki białe szorty i espadryle na koturnie. Kiedy Grace widzi, co włożyłam, ogląda mnie całą i mówi.

– Najśłodsze rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałam, naprawdę, ale zamarzniesz na śmierć, a potem upadniesz i skręcisz kark. Zmień buty i znajdź odpowiednią kurtkę.

Małpa. Zmieniam espadryle na czerwone tenisówki. W międzyczasie mój tata złapał się na czar Grace i próbuje ją przekonać, żeby została, zamówimy pizzę i pogramy w The Settlers of Catan. Ona nie ma pojęcia, co to jest, a jemu ciężko idzie tłumaczenie. Kiedy jest czymś zafascynowany, długo gada, a ja muszę wyciągnąć nas obie z domu, ale teraz on wyciąga starą planszę do gry. Boże, dopomóż nam.

– Tato – w końcu mówię. – Spotykamy się z przyjaciółmi Grace. Nie ma czasu na handel owcami.

Unosi obie ręce w geście poddania się.

– Rozumiem. Bawcie się dobrze. Ale, Grace, odstaw ją do domu o północy. To jej godzina policyjna.

– Tak? – pytam. Nigdy nie rozmawialiśmy o takich rzeczach.

– Czy to jakiś problem dla ciebie? – Teraz i on traci pewność.

– Cóż, nie jest to problem dla mnie, panie Rydell – mówi Grace. – To również moja godzina policyjna. Więc przywiozę ją za piętnaście dwunasta, bo powrót stąd do mojego domu zajmie mi piętnaście minut. Może być?

– Idealnie! – Tata promienieje. Dokonał właściwego rodzicielskiego wyboru, zgodnego z wyborami innych normalnych rodziców. Życie jest dobre. I jest dobre również dla mnie. Mogę się teraz wymknąć jak jakaś okropna nieletnia, zbuntowana córka i zrobić coś, czego nie chciałby, żebym robiła, bo okłamałam go i powiedziałam, że idziemy na deptak. Zanim stracę nerwy, chwytam bluzę, żegnając się z nim i wypycham Grace za drzwi.

Grace ma słodki dwuosobowy samochód z otwieranym dachem. Całą drogę na plażę próbuje mnie wprowadzić, kto i co tam będzie, ale ja nadal nie jestem przygotowana. Zachodzące słońce barwi niebo na czerwono i purpurowo, kiedy zjeżdżamy z drogi, na północ od zatoki, i stajemy wśród setki innych samochodów zaparkowanych w każdy możliwy sposób wzdłuż autostrady, a w połowie zakopanych w piachu. Skaliste klify wyrastają z oceanu, przechodząc dalej w górzyste wybrzeże. A fale uderzają tak mocno, że brzmi to niemal jak złowieszczą muzyka – tyle że muzyka wali też z głośników jakiegoś samochodu. Dźwięk odbija się od łukowatej niecki poszarpanych skał, kilka setek metrów lub coś koło tego poniżej drogi. A wewnątrz tego łuku wykopano w piachu dół, gdzie kilkadziesiąt nastolatków gromadzi się wokół ogromnego ogniska, wyrzucającego na wszystkie strony snopy iskier.

Ogród Kości.

Schodzimy z Grace wydeptaną w trawie ścieżką. Bliżej ogniska wita nas mieszanina zapachów i dźwięków. Pieczone pianki cukrowe i zwiędnięte piwo. Śmiech, krzyki i kłótnie. Chłopak płaczący w cieniu i drugi, mówiący tamtemu, że mu przykro i żeby tamten nie odchodził. Jak ja, kolego, myślę, bo dostaję takiego samego ataku paniki.

– Za późno teraz – mówi Grace, czując, że chce uciec. – Poza tym to spory kawał z powrotem do cywilizacji.

I to ma mnie uspokoić?

Zanim zdołałam się zorientować, stoimy przy ognisku, a ona dostrzega ludzi, których zna. A Grace zna wszystkich. Przytula się i macha do nich. Gdyby były tam jakieś dzieci, pewnie by je wycalowała. Tak dziewczyna jest urodzonym politykiem. Przedstawia mnie takiej liczbie ludzi, że nie nadążam. Casey jest cheerleaderką. Sharonda jest prezydentem klubu teatralnego. Ezgar był w schronisku dla nieletnich, ale to nie jego вина (nie wiem co, ale nie jego). Anya

umawia się z Casey, ale nikt nie powinien tego wiedzieć. A w środku tego wszystkiego tu jest surfer, tam jest surfer, wszędzie jest surfer. Och, kilku skaterów i rowerzystów. Jeden z deskorolką, „bo tak chce”, podobno.

Jest ich tylu. Większość z nich, jak się wydaje, nie robi nic złego, więc gdy przeciskamy się przez tłum, mam odrobinę mniejsze poczucie winy, że okłamałam dzisiaj tatę. Owszem, widzę, że niektórzy piją piwo i palą, i czuję też ten sam słodki zapach, który przyłgnał do ubrań Pangborna, a więc ktoś rozprawia tutaj trawkę. Ale jak na tak wielką grupę nic szalonego się nie dzieje. To znaczy, żadnego śladu Davy’ego i jego bandy, jak na razie, trzymajmy kciuki. Żadnego śladu nikogo innego, nawet...

W którymś momencie tego witania i poznawania gubię Grace. Nawet nie wiem kiedy. Właśnie słucham kłopotliwej historii o drobnym wypadku samochodu z lodami i słupie trakcyjnym i nagle orientuję się, że otaczają mnie ludzie, których połowy imion nie pamiętam. Staram się nie panikować. Cicho się wycofuję, udając, że wiem, dokąd idę. Szukam krótkich włosów Grace i włączam swój olśniewający czar Artfula Dodgera: wyglądam na swobodną i znudzoną, ale nie za bardzo znudzoną. Nie zatrzymuj się. To klucz, żeby nikt się tobą nie przejmował. Dziwną nową dziewczyną. Ponieważ zawsze się znajdą pewne towarzyskie typki, które będą próbowały wziąć cię pod swoje skrzydła – dzieciaki lubiące dramatyzować, na pewno. Krążą jak sępy. Muszę takich unikać.

Tylko że możesz też udawać kogoś z nich, mieszając się w tłum, zanim ludzie zorientują się, że po prostu chodzisz wokół i nic nie robisz – nie rozmawiasz z nikim, nie ustawiasz się w kolejce do beczki, która wystaje z dołu w piachu i z której ludzie ciągle nalewają do czerwonych plastikowych kubków brzydsko pachnące piwo. Więc w końcu wycofuję się i znajduję puste miejsce na pogrążonym w cieniu kawałku pnia wyrzuconego przez ocean. Wokół widzę mieszaninę zardzewiałych krzeseł ogrodowych, drewnianych skrzynek, płaskich kamieni i kilka starych koców. Wygląda to bardziej na przypadkową zbieraninę niż na coś zorganizowanego.. Zaczynam żałować, że włożyłam białe szorty. Czyściej jest chyba na piachu.

– Jesteś: (A) wściekła, (B) smutna czy (C) zagubiona?

Mój żołądek wywraca się szybko kilka razy.

Porter, a przynajmniej jego sylwetka, ponieważ stoi naprzeciw ogniska, z

rękoma w kieszeniach.

– C, zagubiona – mówię mu. – Nie miałam pojęcia, że Grace jest taka popularna. Jest również mała, więc możliwe, że znajduje się w środku jednej z tych grup, a ja jej po prostu nie widzę. Zamierzałam dać jej jeszcze pięć minut na ujawnienie się, zanim napiszę. – Nie zamierzałam, ale nie chcę, aby pomyślał, że będę tu siedzieć samotnie całe godziny.

– Myślę, że w poprzednim życiu była wróżką. Każdy wierzy, że ona spełni jego marzenia albo coś w tym rodzaju. – Wskazuje na puste miejsce na pniu. Też wskazuję, proszę, zapraszam. Kruche drewno trzeszczy pod jego ciężarem. Przyjmuje taką pozę jak ja, wbija pięty w piach, opiera ręce na zgiętych kolanach. Światło ogniska tańczy na jego poszarpanych bliznach i rysuje tajemnicze wzory na T-shircie. Nasze łokcie są blisko, ale się nie stykają.

Ulżyło mi, że nie jest jednym z uczestników tych rozmaitych przepływających wokół grup. Przynajmniej wygląda na trzeźwego. Żadnego plastikowego kubka w rękę, żadnego smrodu skręta. Pachnie dzisiaj ładnie, mydłem. Nie kokosem, niestety. Jestem niemal rozczarowana.

Przysuwa do mnie głowę.

– Wąchasz mnie, Rydell?

Odsuwam się.

– Nie.

– Ależ tak. – Uśmiecha się tym swoim leniwym uśmiechem.

– Jeśli musisz wiedzieć, byłam ciekawa, czy piłeś.

– Nie, już nie piję. – Patrzy na ognisko, obserwując jakichś idiotów, którzy pieką pianki, a ich kijki się palą. – Pamiętam, jak byłem dzieciakiem, rodzice zabierali mnie i Lanę do domu dziadka, który organizował te dzikie imprezy na patiu. Przychodzili tam surferzy, zewsząd. Mówię ci, co tam się działo! Szaleństwo! Wszędzie dragi. Chłanie do upadłego. Goli ludzie w basenie. Znani muzycy wpadający niezapowiedzianie i grający w salonie.

– Nie wyobrażam sobie takiego dorastania. – To wygląda dziwnie. Obco.

– Nie zrozum mnie źle. U nas w domu tak nie było ani podobnie. Moi rodzice są zupełnym tego przeciwieństwem. Zwłaszcza ojczulek. Podejrzewam, że dlatego, że widział swojego ojca imprezującego cały czas, miał tego dość. Jest nieprzytomnie kompetentny i ma hopla na punkcie surfingu, a to oznacza

wyrzeczenia. Żadnych dragów, żadnego picia, dbanie o sprawność fizyczną. Wyobraź sobie musztrującego sierżanta w wojsku i pomnóż to przez pięćdziesiąt.

Jego i mój tata nie mogliby być bardziej różni. Jestem absolutnie za to tacie wdzięczna i znów czuję ukłucie poczucia winy, że go okłamałam.

– Jeśli chodzi o moją mamę – Porter mówi dalej – po prostu stara się utrzymać sklep, ponieważ po tym wszystkim, co się stało, woli nas mieć w domu, a nie na wodzie.

Mogę zrozumieć dlaczego.

– Czy ty... planujesz profesjonalne surfowanie jak twoja siostra?

– To bolesne pytanie, Rydell.

– Przepraszam, nieważne.

Potrząsa głową.

– Nie, jest okej. To nie tak, że nie mogę tego zrobić, fizycznie mogę. Jestem całkiem niezły. – Uśmiecha się lekko, rzucając mi spojrzenie z ukosa, i wzrusza ramionami. – Po prostu przez jakiś czas, po rekinie, czułem strach. A nie możesz czuć strachu. Ocean pożre cię żywcem. – Ciężko wzdycha, drżą mu wargi i macha dłońią w powietrzu, jakby chciał powiedzieć: Koniec. – Ale przewyciężyłem to. Zabawne, że kiedy mi się udało, nie byłem pewien, czy to mnie jeszcze obchodzi. To znaczy, lubię surfować. Wchodzę na fale niemal każdego ranka. Ale nie jestem pewien, czy chcę jeszcze kiedykolwiek brać udział w zawodach. Chcę surfować, bo lubię to, nie dlatego, że muszę, rozumiesz?

– Dokładnie wiem, co masz na myśli. – A wiem, ponieważ nie rozpromienił się, mówiąc o tym, jak wtedy, gdy mówił o pływach oceanicznych i o pogodzie.

Ktoś wykrzykuje nazwisko Portera. Ten zerka i klnie pod nosem. Jasnoblond postać kroczy od ogniska.

– Hej, paszteciku.

Cudownie. To Davy. Myślę, że jest nawalony. Nie tak, jak wtedy na przejściu, ale z pewnością pił, ponieważ śmierdzi i zacina się, śmiejąc, jak palacze marychy na haju. Nie utyka też, więc podejrzewam, że w tej chwili nie czuje bólu.

– Co się tu dzieje? Wyglądacie jakoś tak przytulnie.

– Po prostu siedzimy tu i rozmawiamy, człowieku – mówi Porter mocno poirytowany. – Czemu nie pójdziesz zobaczyć się z Amy? Potem cię złapiemy.

– Och, chciałbyś tego, nie?

– O czym ty mówisz, Davy?

– Ukarać mnie za moje wcześniejsze grzechy? Ponieważ zaprosiłem ją tutaj. – Wskazuje na mnie leniwie głową. – Ale wygląda, że próbujesz ją sobą zainteresować, a to nie jest w porządku.

Hm, co? To Grace mnie zaprosiła, ale nie ma mowy, żebym włączyła się w to teraz.

– Jesteś naćpany – mówi Porter ostrożnie, wskazując palcem Davy’ego – więc daję ci pięć sekund na zejście mi z oczu.

Teraz zaczynam się martwić. Porter nie tylko przestrasza. On przeraża, jak cholera. Nigdy nie znałam facetów takich jak on, zdecydowanie męskich. Przynajmniej nie znałam tak blisko i nie osobiście.

Davy zrobił ze swoją twarzą coś, co można by zaklasyfikować jako uśmiech.

– Hej, wyluzuj, człowieku. Już dobrze. Zapomnij. Braterstwo ponad laluniami.

No pięknie. Teraz jestem lalunią? Kłyckie Portera wciskają się w moje udo – ostrzeżenie. Myślę, że wyczuł mnie.

– Poza tym planuję dla ciebie coś specjalnego. Wiesz, jaki jest dzisiaj dzień, prawda? Rocznica śmierci Pennywise’a, człowieku. Oddam mu salut. Sprawdź.

Davy obchodzi ognisko, wołając do kogoś, żeby mu przyniósł „salut”, cokolwiek to znaczy.

– Idiota – mruczy Porter. – To dopiero za miesiąc, nie dzisiaj. Jest takim nieudacznikiem.

Ja po prostu czuję ulgę, że sobie poszedł i nikt nikomu krzywdy nie zrobił, ale kiedy widzę, jak Porter marszczy brew, wiem, że to nie koniec. Rozlega się głośny dźwięk, iskry lecą w naszym kierunku. Odchylamy się, gdy tłum krzyczy: ooooch! Ktoś dorzuca więcej drewna do ogniska. Kilku ktosiów. Drewniane kratki, części krzeseł, pnie z morza – wszystko to jest wrzucane do dołu w piasku. Ogień rośnie jak bestia. Imprezowicze wzdychają w zachwycie. W jednej chwili ognisko robi się dwa razy większe, niż było.

Na plaży rozlegają się głośne wiwaty. Duży ogień. Silny ogień. Horda jest zadowolona.

Cóż, nie każdy. Na przykład Porter. Stawia mnie na nogi i rzuca kilka przekleństw tuż nad moją głową.

– Czy oni się kiedykolwiek nauczą?

– O co chodzi? – pytam i wtedy zauważam, że zbity tłum zaczyna się rozrzedzać: tu i tam, niektórzy zaczynają się odsuwać i kierować do zaparkowanych samochodów.

– Ognisko – mówi Porter. – Gdy jest zbyt duże, widać je z drogi. Ci, którzy mieszkają w pobliżu, tolerują je, dopóki go nie zobaczą. Wtedy wzywają gliny. To jak cholerny sygnał Batmana. Idioci!

Ale to nie tylko ognisko. Coś jeszcze dzieje się po drugiej stronie ogniska. Zwracam uwagę Portera na dwóch chłopaków, którzy stawiają Davy’ego wysoko na dużym płaskim kamieniu na skraju plaży. Fale oceanu uderzają o kamień, spryskując mu nogi pianą. Nie wygląda na to, żeby to zauważył czy się tym przejął. Jest zbyt zajęty trzymaniem czegoś w rękach, co wygląda jak duży kij, a kiedy krzyczy do wszystkich, żeby się zamknęli, tłum się ucisza. Słuchają.

– Ku czci tych wszystkich upadłych braci, którzy roztrzaskali swoje kości o te skały w ogrodzie dobra i zła, dziś w rocznicę... ę – potyka się, ale zaraz się prostuje – w rocznicę śmierci Pennywise’a zamierzam oddać wojskowy, potrójny salut. Gotowi?

O czym on do cholery mówi?

– O Boże – szepcze Porter.

Davy odwraca się twarzą w kierunku skał, opiera kij o ramię i wtedy...

Zmienia się mój świat.

Jestem...

Nie na plaży.

Mam czternaście lat i stoję w pokoju dziennym naszego domu w New Jersey. Właśnie wróciłam do domu ze szkoły. A w domu jest zбите szkło i krew kapiąca na drogi dywan. Moja mama krzyczy, ale ja niczego nie słyszę.

I nagle dywan zamienia się znowu w piach, a tłum krzyczy radośnie i wszystko, wydaje się, wróciło do normy. Tylko że tak nie jest.

Chcę przełknąć ślinę, ale mam zbyt wyschnięte gardło.

– Bailey?

Teraz naprawdę jest już okej. Ja jestem okej. Głównie obawiam się, że zacznę płakać przy nim, a to byłoby upokarzające. Ale już za późno, ponieważ dotykam policzka, po którym spływa kilka łez. Wycieram je i biorę głęboki wdech.

Bum!

Okropne wspomnienia znów rozbłyskują, ale tym razem nie znikam. Tylko mną trzęsie, porządnie. Może wcześniej to nie Porter mną potrząsał. Może to ja się sama trzęsłam.

– Jezu, co się dzieje? – pyta Porter. Odgarnia włosy z mojego czoła, żeby sprawdzić, czy nie mam gorączki.

– W porządku – mówię w końcu, odsuwając jego dłoń. Nie dlatego, że nie chcę jego pomocy, ale muszę zobaczyć, co robi Davy. Przeładowuje. Trzy salwy, powiedział, a więc została jeszcze jedna. On ma broń. Trudno to stąd stwierdzić.

Nienawidzę tego. Nienawidzę być taka. Nie zdarzyło się to już od dawna. I nie byłam gotowa. Jeśli wiem, że nadchodzi, mogę się spiąć w sobie. Ale to...

Davy przykłada broń do ramienia. Ostatnia. Zasłaniam uszy obiema rękoma. Przez moment widzę, jak Porter patrzy, pełen udręki i zdezorientowany, a potem przyciąga moją głowę do swojej piersi i otacza mnie ramionami. Buum! Podskakuję, ale on mnie nie puszcza. I to pomaga. Wybuch jest stłumiony. Mam solidne zakotwiczenie i nie chcę go wypuścić z rąk. Żenujące, jak bardzo do niego teraz przywieram, ale nawet mnie to nie obchodzi, ponieważ on jest bezpieczny i ciepły. Tylko że to on próbuje odsunąć mnie od siebie i coś powiedzieć, a ja naprawdę powinnam posłuchać.

– Musimy iść, Bailey – mówi mi. – Teraz.

Widzę,1 dlaczego.

Czerwone i niebieskie światła. Policja już tu jest.

Tłumienie uczuć czyni je tylko silniejszymi.

Michelle Yeoh *Przyczajony tygrys, ukryty smok* (2000)

Muszę znaleźć Grace! – krzyczę do niego, kiedy biegniemy piaszczystą plażą.

Panuje totalny chaos, wszyscy się rozproszyli, część utknęła na drodze do zaparkowanych samochodów – ale to właśnie tam stoi policja.

– Gracie wie, jak zadbać o siebie! – odkrzykuje Porter. Trzyma mnie za rękę i ciągnie przez główną ścieżkę, kierując się ku ciemnej części plaży, z dala od ogniska. Z dala od ludzi. – Już była w takiej sytuacji wcześniej i ma milion przyjaciół, którzy pomogą jej dotrzeć do domu.

Nie, to nie jest w porządku. Próbuję mu to powiedzieć, ale jest zbyt głośno i prawie nie słyszę własnego głosu. Teraz już są dwa wozy policyjne – nie jeden. I w tej chwili uderza mnie myśl: A jeśli tam jest Wanda? Zaaresztuje mnie, nawet jeśli nie piłam? Wyobrażam sobie tatę, jak przyjeżdża zabrać mnie z posterunku policji, i żołądek mi się przewraca.

– Policja – tubalny męski głos dobiega z głośnika policyjnego wozu. – Ręce do góry, byśmy je widzieli.

O cholera. Aresztują kogoś. Mam nadzieję, że to Davy i jego strzelba.

Porter wyciąga nas za główny tłum uciekających. Obiegamy głąz i on zauważa drugą ścieżkę przez suche krzaki nabrzeżne, gdzie wspina się inna para imprezowiczów. Ścieżka jest nieoświetlona, ale użyteczna.

– Schyl się – mówi Porter i idziemy dalej, skradając się wśród suchej trawy. Kiedy właśnie mamy wspiąć się na wzgórze, musimy się zatrzymać i przeczekać przejazd patrolującego okolicę samochodu policyjnego. Kiedy już prawie umieram na zawał serca, dostaję esemes od Grace: „Gdzie jesteś?” Odpowiadam: „Uciekam z Porterem. Jesteś bezpieczna?” Na co ona: „Tak, OK. Martwiłam się, że cię zgubiłam. Powiedz P, żeby szedł do N na Gold do Cuangua Farm. Napisz, jak

dotrzesz do domu”.

Pokazuję tekst Porterowi. Kiwa głową, a kiedy wybrzeże jest czyste, biegniemy przez milion zaparkowanych samochodów, aż dobiegamy do czegoś, co okazuje się błękitnym volkswagenem vanem amperem – w rodzaju tych z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, długich i z oknami naokoło. Vany surferów, jak nazywa je mój tata, ponieważ są wystarczająco duże, by wieźć na górze deskę. Ten ma pozdzierane naklejki surferów na tylnym oknie i pomalowane na biało zderzaki. Porter otwiera drzwi od strony pasażera, skąd wślizguje się na siedzenie kierowcy, a potem przywołuje mnie.

– Cholera. – Wkłada kluczyki do stacyjki, kiedy błyskające światła kierują się znów w naszą stronę. Silnik protestuje i nie chce zaskoczyć, i wygląda to jak w złym horrorze. – No dalej, dalej.

I wtedy – wreszcie – silnik ożywa, głośno. Koła się kręcą, kopiąc piach, i odjeżdżamy, uciekając od tego koszmaru. Toczymy się tak szybko, jak tylko pięćdziesięcioletni wóz potrafi, co nie jest zbyt szybko, ale kogo to obchodzi? Cała okropna scena odbija się w lusterku wstecznym Portera.

Zapinam pas i natychmiast zapadam się w siedzenie.

– Jezu.

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem.

– Chcesz pogadać o tym, co się tam zdarzyło?

– Nie.

Marszczy brwi.

– Przepraszam za to wszystko... z Davym.

– Taak. Jest kompletnym złamasem. Bez obrazy, ale czemu się z nim przyjaźnisz?

Unosi i opuszcza palce na kierownicy.

– Dorastaliśmy razem, surfując. Kiedyś był moim przyjacielem. Jego życie rodzinne spłynęło ze ściekami, więc mój tata wziął go pod swoje skrzydła na chwilę, trenował go. Mojej mamie było go żal. Przez pewien czas praktycznie mieszkał u nas. A potem kilka lat temu miał wypadek podczas surfowania. Ma nogę pełną metalu i ćwieków.

Utykanie.

– Bardzo go boli i przekreśliło to jakiegokolwiek szanse na poważne surfowanie. Przez to zgorzkniał i czuje złość do świata... Zmienił się. – Porter wzdycha ciężko i drapie się po karku. – W każdym razie zaczął wszystko pieprzyć, a mówiłem ci, jaki jest mój tata. Nie mógłby znieść pieprzenia Davy’ego, więc przestał go trenować, dopóki nie zmieni zachowania. A na dodatek Davy uważa, że jestem idiotą, bo nie chcę surfować zawodowo. Mówi, że jestem uprzywilejowany i odrzucam szansę. A poza tym...

Cokolwiek chciał powiedzieć, wygląda na to, że przemyślał to i zrezygnował. Zastanawiam się, czy to miało coś wspólnego z tą pijacką gadką Davy’ego przy ognisku. Z tą dziewczyną, o której wspomniał przed sklepem ze starzyzną. Chloe.

– W każdym razie przepraszam za wszystko – mówi. – Pójdę i pogadam z nim jutro, kiedy wytrzeźwieje. Nie mam ochoty widzieć go dzisiaj. Tylko wywoła bójkę. Zawsze tak jest. I kto wie, może tym razem go aresztowali. Mogłoby mu to dobrze zrobić.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Nie potrafię sobie wyobrazić, że ma się przyjaciela, którego się nienawidzi. Strasznie to pokręcone.

– Pachnie tutaj tobą – mówię po długiej przerwie.

– Tak? – Kierownica w jego vanie jest ogromna. Właśnie zauważyłam. Również siedzenie, to jedno gigantyczne siedzenie idące w poprzek całego przodu samochodu. A na desce rozdzielczej są poprzyczepiane małe gumowe potwory: Obcy i hydra, i potwór z Loch Ness i Godzilla. Czeka, to nie Obcy: to zielony rekin. Jejku. Wszystkie to morskie potwory – wszystkie sławne wodne potwory. Co cię nie zabije...

– Kokos – mówię. – Zawsze pachniesz kokosowo – i wtedy, ponieważ w vanie jest ciemno i ponieważ właśnie wyrwałam się z ataku paniki i moja osłona jest opuszczona, dodaję: – zawsze pachniesz przyjemnie.

– Wosk do seksu.

– Co? – Lekko się prostuję.

Sięga do podłogi i rzuca mi coś, co wygląda jak owinięta w plastik kostka mydła. Przysuwam ją do okna, by zobaczyć nalepkę w świetle latarni.

– Mr. Zog’sa Wosk do Seksu – czytam.

– Wcierasz go w swoją deskę – wyjaśnia. – Dla ciągu. Wiesz, nie ześlizgniesz się z niej, kiedy surfujesz. – Wącham to. Tak, dokładnie ten sam zapach.

- Założę się, że twoje stopy pachną niebiańsko.
- Stopy nie są twoim fetyszem, co? – pyta żartobliwie.
- Do tej pory nie. Ale teraz? Kto wie?

Opony vana zjeżdżają z drogi na zwirowe pobocze, więc szarpie mocno kierownicą, żeby wjechać z powrotem na drogę.

- Ups.
- Śmiejemy się oboje, zakłopotani.

Rzucam wosk na podłogę.

- Cóż, kolejna tajemnica rozwiązana.
- Nic wielkiego. Wróćmy do twoich – skręca w małą drogę na obrzeżach miasta. To musi być droga, którą sugerowała Grace. – Pamiętam, że wspomniałaś, że nie lubisz filmów z bronią, kiedy byłaś z Parickiem w sklepie z płytami.

Och. Znów. Łapię się za brzuch i wyglądam przez okno, ale nie ma tam nic poza domami mieszkalnymi, a poza tym jest ciemno.

- Boże, naprawdę słyszałeś wszystko tego ranka?
- Całkiem sporo. Co się stało? To znaczy, ja powiedziałem ci wszystko o wypadku z rekinem, a jeszcze słabo cię znałem.
- Tak, ale ty jesteś otwarty i gadatliwy. Prawdopodobnie wszystkim opowiesz tę historię.
- Właściwie to nie. – Odwraca głowę w moją stronę i widzę, jak na mnie zerka.
- Ludzie w szkole wiedzą lepiej, więc nie pytają.

A ja nie.

– Słuchaj, nie zamierzam zmuszać cię, żebyś mówiła o czymkolwiek – ciągnie. – Nie jestem psychiatrą. Ale jeśli chcesz, jestem dobrym słuchaczem. Nie oceniam. Czasem lepiej to wyrzucić z siebie. To potęguje się i staje jeszcze gorsze, kiedy trzymasz w sobie. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Wiem z własnego doświadczenia.

Przez długą chwilę nic nie mówię. Jedziemy w ciszy przez ciemne ulice, sylwetki gór wyrastają po jednej stronie miasta, ocean rozszerza się po drugiej. A potem mówię mu co nieco. O mojej mamie prowadzącej sprawę rozwodową Grumbachera, kiedy miałam czternaście lat. O tym, jak wygrała ją dla jego żony, o kurateli nad córką, jaką zdobyła dla żony.

I o Gregu Grumbacherze.

– Zaczął nękać moją mamę online – mówię. – Tak to się zaczęło. Wpisywał brzydkie posty w jej mediach społecznościowych. Kiedy nie odpowiadała, zaczął śledzić mojego tatę, potem mnie. Nawet nie wiedziałam, kim on jest. Po prostu zaczął pokazywać się po lekcjach w szkole, kręcić się tam, gdzie rodzice wysadzają z auta dzieci do szkoły. Myślałam, że był jednym z przyjaciół mojego ojca albo coś w tym stylu.

Mieszkaliśmy ledwie dwa budynki od szkoły – kontynuuję. – Więc zwykle wracałam do domu z koleżanką na piechotę. Pewnego dnia, kiedy szłam sama, poszedł ze mną. Powiedział, że jest współpracownikiem mojej mamy. A ponieważ wykonał całe rozeznanie online, dowiedział się o niej sporo, więc wyglądało tak, jakby ją znał. A ja byłam zbyt ufna. Głupi dzieciak.

– Ja też robiłem głupie rzeczy, kiedy byłem młodszy – wtrąca Porter delikatnie. – I co się stało?

– Wiedziałam, że coś jest nie tak, kiedy dotarliśmy do drzwi i nie zamierzałam wpuścić go do domu, ale było za późno. Ja byłam mała, a on duży. Odepchnął mnie i utorował sobie drogę do środka...

– Cholera – mruczy Porter.

– Mama była w domu. Zapomniała jakichś papierów, które były jej potrzebne do sprawy. To po prostu szczęśliwy przypadek. Gdyby jej tam nie było... Nie wiem. Nadal wszyscy żyjemy, więc jest okej. Ale wciąż, kiedy jakiś wariat wymachuje bronią w twoim domu, grozi twojej mamie...

– Jezu Chryste.

Głęboki wdech. Sprawdzam i upewniam się, czy nie idę znów w stronę trzęsącego się terytorium, ale tym razem jest okej.

– To ten dźwięk, który zaskoczył mnie przy ognisku. Tak działa też na mnie to w filmach. Czasem podobnie reaguję na strzelające opony samochodów. Nie lubię głośnych wybuchów. Brzmi głupio, kiedy tak mówię.

– Uhm. Nie głupio. Gdyby to przydarzyło się mnie, pewnie zachowywałbym się tak samo. Zaufaj mi, też tak miałem. – Wykonuje szeroki gest w kierunku rekinów i hydr na desce rozdzielczej. Uśmiecham się, dotykając jednej z podskakujących głów rekinów, i się rozluźniam.

– Taak. Więc wydaje mi się, że postrzał nie jest najgorszym możliwym rezultatem. A gość poszedł do więzienia, oczywiście.

– Boże, Bailey. Nie wiem, co powiedzieć.

Wzruszam ramionami.

– Ja też nie. Ale tak to wygląda.

– To dlatego twoi rodzice się rozwiedli?

Zaczynam mówić, że nie, a potem zastanawiam się nad tym przez minutę.

– Rozwiedli się ponad rok temu, ale teraz, kiedy o tym wspomniałeś, wiem, że po strzelaninie nic nie było takie jak kiedyś. To wystawiło na próbę naszą rodzinę.

Kiwa głową ze zrozumieniem.

– Mama mówi, że nieszczęście zbliża ludzi do siebie lub ich rozdziela. Bóg jeden wie, że nasza rodzina przeszła wystarczająco dużo, by się o tym przekonać.

– Ale twoi rodzice nadal są okej. – Staram się, aby nie brzmiało to jak pytanie, ale nie wiem, czy mi się udało.

Uśmiecha się.

– Moi rodzice to jedna z tych par, które widzisz w wiadomościach, że mają po dziewięćdziesiąt lat i nadal są razem.

Musi być miłe. Chciałabym powiedzieć to samo o swoich rodzicach, ale teraz zastanawiam się, czy kiedykolwiek u nas by to się wydarzyło.

Pyta mnie o drogę do domu mojego taty i rozpoznaje sąsiedztwo; mieszka w tym mieście całe życie, więc nie jest to dla mnie zaskoczeniem. Kiedy van wspina się na ostatnich kilku krętych ulicach otoczonych sekwojami, oboje siedzimy cicho, a ja teraz czuję się niezręcznie, że mu to powiedziałam. I jest coś jeszcze: dręczące poczucie, że w środku tego wszystkiego o czymś zapomniałam. Blok od domu przypominam sobie. Dzwoni we mnie alarm.

– Zatrzymaj vana!

– Co? – wciska hamulce. – Co jest?

Odpinam pas.

– Ja... ja wysiądę tutaj. Dzięki za podwózkę.

– Co? Myślałem, że powiedziałaś, że to następna ulica.

– Tak, ale...

– Ale co?

Kręcę głową.

– Resztę drogi mogę przejść.

W oczach Portera widzę dezorientację i ogniki gniewu.

Teraz jest obrażony.

– Żartujesz? Nie chcesz, żeby twój tata mnie zobaczył, prawda?

– To nic osobistego.

– Jak cholera nie. Co, mój kamper jest zbyt rozklekotany jak na dzielnicę Redwood Glen? Wszystkie te bmw i mercedesy będą mnie gonić aż do wybrzeża?

– Nie bądź idiotą. Tutaj nie ma bmw.

Wskazuje na podjazd przed nami.

Okej. Jedno bmw. Ale to nie tak, że mój tata jeździ markowym nowym, luksusowym wozem albo że mieszkamy w jednym z tych wypasionych domów – jego domem powinna być letnia chatka na wakacje. Umawia się z policjantką, nie z lekarką; ogląda filmy SF, nie operę. Od tej strony rodzina Grace jest dużo lepsza niż nasza. Ale Porter jest uparty, a zbliża się północ. Nie mam czasu kłócić się z nim o takie drobnostki.

– Mam godzinę policyjną – mówię mu niecierpliwie.

– Dobra. – Pochyliła się nad moimi udami i popycha drzwi, żeby się otworzyły. – Wsiadaj. Nie chcę ci przynieść wstydu.

Dobra, teraz to ja jestem wściekła. Jak udało nam się przejść od zwierzania się do kłótni? Jestem kompletnie zdezorientowana, dlaczego czuje się tak urażony. Czy jest aż tak wrażliwy? Funta kłaków wart stereotyp, że tylko u dziewczyn uczucia są na wierzchu. Myślę o tym, co kiedyś powiedział mi Alex online: Chłopaki są głupie.

Zirytowana i sama trochę urażona, otwieram ciężkie drzwi i wystawiam nogi. Ale zanim wyskakuję, wszystkie moje kotłujące się uczucia więzną mi w gardle i waham się. Nie chciałam, żeby ten wieczór tak się zakończył.

Może nie tylko on jest głupi.

– Problem w tym – mówię w połowie wychylona z vana – że mój tata spotyka się z policjantką i pewnego dnia jedliśmy we trójkę pozole, i był tam Davy, i zrobił z siebie idiotę na ich oczach...

Przyspieszam, żeby wyrzucić z siebie to wszystko, nim stracę odwagę.

– A ona powiedziała mojemu tacie, że on ma sprawy z poważnymi narkotykami, a po dzisiejszej nocy nie chcę go nawet widzieć, bez obrazy. Ale podczas tego wszystkiego Davy wspomniał twoje imię, więc kiedy odszedł,

staralam się bronić ciebie przed tatą i Wandą, i ona powiedziała, że twoja rodzina jest okej, ale do tego czasu mleko się już rozlało. Ponieważ mój tata wciągnął Davy'ego na czarną listę, a ja go okłamałam w sprawie ogniska dzisiaj, więc on myśli, że jestem z Grace na deptaku.

Porter coś pomrukuje pod nosem.

– W każdym razie to dlatego – mówię. – Dziękuję za uratowanie mnie. I wysłuchanie.

Wysiadam z vana i zamykam drzwi. Są stare i odporne, więc muszę zamknąć je raz jeszcze. A potem od razu kieruję się na wzgórze do domu taty. Nie odchodzę daleko od vana, kiedy gasną w nim światła, a silnik się zatrzymuje. A potem słyszę brzęk kluczyków. Porter wysiada.

Ostrożnie zerkam na jego twarz, kiedy podchodzi do mnie.

– Nie powinnaś spacerować sama w nocy – mówi. – Nie bój się, twój tata mnie nie zobaczy.

– Dziękuję.

Trzy wolne kroki w tandemie.

– Powinnaś mi to powiedzieć na samym początku, wiesz o tym.

– Przepraszam.

– Wybaczone – mówi, uśmiechając się lekko do mnie. – Następnym razem powiedz mi prawdę, zanim otworzę usta i powiem głupoty, nie potem. Nie wyjdę na idiotę.

– Jestem trochę w gorącej wodzie kąpana, jak ty – żartuję.

– Gorący Towar, pamiętasz?

– Pamiętam – mówię, uśmiechając się. – To mój dom, tutaj.

– Och, stare miejsce McAfee. Drzewo rośnie w środku werandy na tyłach.

– Taak – mówię zachwycona.

– Moi rodzice znają wszystkich w mieście – wyjaśnia.

Może teraz wierzy mi, że nie jestem wyrafinowana. Szepczę, żeby poszedł za mną na drugi koniec domu, obok skrzynki pocztowej, gdzie mój tata nie zobaczy ani nie usłyszy, jak się zbliżamy, jeśli jest w pokoju dziennym lub sypialni. Jego samochód stoi zaparkowany na podjeździe, więc wiem, że jest w domu, ale nie widzę, żeby w środku paliły się światła. Zastanawiam się, czy czeka. Pierwszy raz wracam tak późno, więc są duże szanse, że nadal nie śpi – zwłaszcza odkąd

ustaliliśmy kwestię godziny policyjnej. Znów czuję się winna. A może tylko puszczają mi nerwy, ponieważ już prawie północ, a ja stoję w wilgotnej trawie z chłopakiem, którego tata nie powinien ze mną widzieć.

– Więc – mówi Porter, patrząc na mnie.

– Więc... – powtarzam, przelękając głośno ślinę, kiedy rozglądam się wokoło po ulicy w ciemnościach. Kilka świateł prześwieca przez okna w pobliskich domach, ale nie dochodzi do nas żaden dźwięk, poza przejeżdżającymi w oddali autami, kumkaniem żaby i śpiewem świerszczy gdzieś pośród sekwoi.

Porter podchodzi bliżej. Ja się cofam. On zawsze znajduje się w mojej osobistej przestrzeni, kołacze się w mojej głowie.

– Czemu przyszłaś dzisiaj na ognisko? – pyta niskim głosem.

Bawię się suwakiem w mojej bluzie.

– Grace mnie zaprosiła.

Podchodzi bliżej.

Znów się cofam – i uderzam pupą w pień cedru. Cholera. Podbiegam do skrzynki pocztowej i zaczynam się kręcić wokoło niej, ale ramiona Portera mnie blokują. Cholera. Dziesięć punktów za sprawność surfera.

– Nie tym razem – mówi i więzi mnie ramieniem przy skrzynce. Pochyla głowę. Mówi prosto do mojego ucha. – Odpowiedz na pytanie. Czemu przyszłaś na ognisko? Czemu się wymknęłaś z domu? Czemu ryzykowałaś?

– Czy to jakiś quiz? – pytam, próbując wyglądać na wściekłą, ale naprawdę jestem nieprzytomnie zdenerwowana. Jestem zapędzona w róg – czego nienawidzę. A on jest tak blisko, jego włosy dotykają moich policzków, a jego oddech ogrzewa moje ucho. Jestem przerażona i jednocześnie upojona, obawiam się, że jeśli któreś z nas odezwie się choć jednym słowem, to go odepchnę.

Nie odepchnę.

Staram się – staram – staram nie oddychać tak szybko, ale Porter zmienia pozycję, a jego ręka, która mnie nie więzi, opada na bok. Jego palce suną po mojej dłoni, delikatny dotyk rysuje wzory na mojej dłoni, alfabet Morse'a, łagodnie naciska, wysyła tysiące elektrycznych sygnałów do moich nerwów.

– Dlaczego? – szepcze przy moim policzku.

Skomlę.

Wie, że wygrał. Ale pyta raz jeszcze, tym razem prosto do ucha.

– Dlaczego?

– Bo chciałam cię zobaczyć.

Nawet nie słyszę swojego głosu, ale wiem, że on słyszy. Głęboko wzdycha, długo i mocno. Jego głowa pochyla się do zgięcia mojej szyi i tam zostaje. Palce, które wysyłały mi stukające wiadomości, teraz owijają się wokół moich, łagodnie je ściskając. Ramię przyciskające mnie do skrzynki pocztowej teraz się odsuwa, a ja czuję jego rękę sunącą po moich włosach.

Przebiega mnie dreszcz.

– Ciiiicho sza – mówi łagodnie do mojej szyi. Niemal rozpadam się na części.

Nie wiem, co robimy. Nie wiem, co on chce zrobić. Co ja chcę, żeby zrobił. Ale kołyszemy się i przywieramy do siebie, jakby ziemia miała się zapaść pod nami w każdej chwili, a ja się trochę obawiam, że naprawdę mogę dostać zawału, ponieważ słyszę, jak krew pulsuje mi w skroniach, a kolana stają się nagle jak z gumy i mogą się pode mną załamać.

Nagle zamiera tuż przy mnie.

– Co to było? – mruczy i odsuwa się, zabierając całe swoje cudowne ciepło.

Teraz to słyszę. Drżące szyby.

– O Boże – szepczę.

Będę miała atak serca.

– To stereofonia z kina domowego. Tata prawdopodobnie ogląda jakiś głupi film SF. Trzęsą się szyby podczas scen walki. A teraz wróć tutaj.

I wtedy słyszemy trzaśnięcie. To nie TV. To drzwi do...

– Garaż! – szepczę. – Z drugiej strony domu.

– Cholera!

– Tędy! – mówię, pokazując mu krzaki.

Dwa szybkie ruchy i jest ukryty. Słyszę skrzyp pokrywy kosza na śmieci w garażu i oddycham z ulgą; stąd tata nie może nas zobaczyć. Ale było blisko. Zbyt blisko.

– Bailey? – woła tata. – Czy to ty?

– Tak, tato! – odkrzykuję. Głupia godzina policyjna. – Wróciłam. Już idę.

Jakiś ruch przyciąga mój wzrok. Odwracam się akurat w momencie, by zobaczyć, jak Porter skrada się przez ulicę. Muszę przyznać, że jest całkiem niezły. Nie Arftul Dodger, ale prawie. Już po drugiej stronie ulicy odwraca się, by

spojrzeć na mnie ostatni raz, i przysięgam, że widzę w ciemnościach jego uśmiech.

15

Nigdy nie ufaj ćpunowi.

Chloe Webb *Sid i Nancy* (1986)

Delikatne ręce obejmują mnie od tyłu. Otacza mnie zapach balsamu dla dzieci.

– Tak mi przykro – Grace odzywa się głosem elfa do moich pleców i ściska mnie. – Wybaczysz mi kiedyś?

Jest dzień po imprezie, a ja stoję w pracy naprzeciw swojej szafki w pokoju śniadaniowym. Ostatniej nocy esemesowałyśmy do siebie po wymknięciu się Portera – i po tym, kiedy tata przestał się dziwić, że nie słyszał silnika samochodu Grace, i dlaczego nie weszła do środka? Och. Kiedy powiesz jedno kłamstwo, planuj od razu, że trzeba będzie powiedzieć dwadzieścia kłamstw więcej, ponieważ mnożą się jak wczorajsze śmieci.

– Nie ma co wybaczać – mówię jej. Czuję po prostu ulgę, że nie myśli, że porzuciłam ją dla Portera, ani nie pyta, czemu byłam z nim. – Ale na Halloween ja przebieram się za drzewo, a ty za leniwca. Będę cię nosiła, a ty będziesz jeść moje liście.

– Pewnie byś mogła – mówi, puszczając mnie i ze skrzyżowanymi ramionami opierając się o szafkę. – Masz w sobie sekretną siłę powalania na ziemię dorosłych chłopców. Byłaś w jakiejś drużynie wrestlingu w Waszyngtonie? Coronado ma drużynę Roller Derby, wiesz. Jaskiniowe Dziewczyny.

Parskam śmiechem.

– Nie, nie wiedziałam, ale będę o tym pamiętać jesienią.

– Słuchaj, naprawdę mi przykro, że cię zgubiłam na ognisku. Nie chciałam. Nawet nie wiem, jak to się stało. Freddy zaczął do mnie coś mówić, a ty po prostu zniknęłaś. Ktoś powiedział, że rozmawiałaś z bliźniakami...

– Bo tak było. Oni przedstawili mnie komuś innemu. Nie wiem. Nie jestem zbyt towarzyska – przyznaję. – Nieważne, wszystko się udało.

Rozgląda się po pokoju śniadaniowym. Jest tam tylko kilka osób i nikt nie zwraca na nas uwagi.

– Więc tak. Mówisz, że Porter odwiózł cię do domu? I...?

– I co? – Cholera. Jak ominąć ten temat? Czuję gorąco rozlewające się na mojej twarzy, więc skupiam się na szukaniu czegoś nieistniejącego w mojej szafce.

– Mówię tylko, że wy dwoje spędzacie strasznie dużo czasu razem, i zadajecie strasznie dużo pytań na temat drugiego.,,

– Ja o nic nie pytałam. – Czyżby?

– A ty posyłasz mu okropnie dużo spojrzeń, które mówią: Chciałabym wskoczyć na ciebie z moją siłą Jaskiniowej Dziewczyny. A on oddaje ci spojrzenie: Chciałbym surfować na twoich falach.

– Jesteś stuknięta.

– Aha. Spójrzmy na to – mruczy, a potem krzyczy za mną radosnym głosem. – Witam, Porter, kochanie.

– Dzień dobry, panie.

Moje serce przyspiesza do pięciu stopni w skali Richtera. Staram się wyglądać normalnie, zachowuję spokój, kiedy odwracam się w prawo. Ale on tam jest, ręka oparta na mojej szafce, i cała samokontrola, którą próbowałam utrzymać, odlatuje jak serwetka w wietrzny dzień.

– Nadal żyjesz, zakładam więc, że z tatą poszło wszystko dobrze – mówi.

– Nie było problemów – potwierdzam.

– Dobrze, dobrze. Cieszę się, że to słyszę.

– Taak. – To tylko moja wyobraźnia, czy on pachnie dwa razy mocniej woskiem do seksu? Czy zrobił to celowo? Czy próbuje mnie uwieść? Czy tylko jestem tak przewrażliwiona? I – co do diabła – czy zepsuła się klimatyzacja, ponieważ nagle mam wrażenie, że jestem w Gorącym Pudle. Notka dla siebie: Nie myśl o słowach „seks” i „wosk”, kiedy stoi na wprost ciebie. Nigdy, nigdy, przenigdy.

– Więc taak – mówi, uśmiechając się w pewien szczególny sposób, gdy stuka w moją szafkę. – Zamierzałem powiedzieć ci, och, wam, powiedzieć wam – wyjaśnia, zerkając na Grace. – Mamy nowy system zamków. Długa historia, ale muszę pomóc je zainstalować. Więc Pangborn i Madison będą dzisiaj załatwiać wszystkie wasze sprawy z Gorącego Pudła. Wiecie, na wszelki wypadek, gdybyście się zastanawiały, gdzie się podziałem.

– Ponieważ my zawsze myślimy o tobie – mówi Grace z sarkazmem.
– Ależ, Gracie, wiem, że ty tak – odpowiada, mrugając do niej. Pochyliła się nieco niżej i mówi do mnie niskim głosem. – Więc chciałbym się dowiedzieć, co robisz po pracy.

Serce. Ekspłoduje.

– A to co? – pyta Grace.

Porter w żartach odsuwa jej głowę.

– Wydaje mi się, że słyszałem, jak ktoś cię wzywa, Gracie. Czy to nie Cavader? Powiedział, że jesteś zwolniona za podsłuchiwanie prywatnych rozmów innych ludzi.

– To jest prywatne? – pyta. – Dla mnie wygląda jak publiczny pokój śniadaniowy, a my rozmawiałyśmy, zanim się pojawiłeś, jeśli nie pamiętasz.

Porter ignoruje ją i rzuca mi oczekujące spojrzenie.

– Więc?

– Nie jestem zajęta.

– Och, dobrze. Może masz ochotę zjeść coś potem?

Spokojnie, Rydell. To brzmi, jakby mogło być randką.

– Pewnie, czemu nie?

– Świetnie. Uhm, więc... może powinniśmy wymienić się numerami. No wiesz, na wszelki wypadek, gdybyśmy potrzebowali zadzwonić do siebie.

– Taak, to ma sens. – Zauważam Grace, kiedy wygrzebuje z torebki telefon. Stoi obok mnie z oczami wielkimi jak księżyce. Myślę, że chwilowo ją zamurowało. Co tylko jeszcze bardziej mnie denerwuje. Fatalnie, bo ledwo daję sobie radę z wymianą kilku prostych numerów i ciągle się myślę.

– Okej, więc... – mówi Porter, zatykając kosmyk włosów za ucho. Jak można być tak czarującym i zarazem seksownym? Jeśli za chwilę stąd nie wyjdzie, zemdleję na śmierć. – Idź sprzedać jakieś bilety.

– Idź zamknąć kilka zamków.

Zerka na mnie i uśmiecha się. Gdy wreszcie wychodzi z pokoju śniadaniowego, delikatnie opieram głowę o swoją szafkę. Zamknąć kilka zamków. Kto tak mówi? Co za głupota. On rozbiera mój mózg.

Podnoszę wzrok i widzę Grace. Nadal na mnie patrzy szeroko otwartymi oczami.

– Mm – zaczyna.

– Wrr. Nie mów tego – ostrzegam ją.

Milczy, dopóki nie dochodzimy do kasy.

– Wiedziałam, że chłopak zadawał za dużo pytań na twój temat.

Jedyną dobrą stroną naszej zmiany jest to, że mamy nieprzytomnie dużo roboty, więc mija bardzo szybko. Portera nie widziałam już ani razu. Pana Cavadiniego również. Najwyraźniej sprawa z zamkami zajmuje dużo czasu. Więc około godziny szóstej, zdenerwowana i podminowana, jestem gotowa stąd wyjść. Przeliczam swój utarg, informuję Grace, że jeśli pójdzie za mną na parking, to potnę jej opony, tak, opowiem jej wszystko jutro, och, a potem rozglądam się za Porterem. Nikogo. *Nada*. Żadnego surfera w zasięgu wzroku. Ale otrzymuję od niego wiadomość: „Już prawie skończyłem. Spotkajmy się na zewnątrz za pięć minut?”

Okej. Spoko. Mam więc czas na pójście do Baby i zmianę roboczych butów na skórzane sandały, które upchnęłam pod kaskiem w schowku. Łapię moją torebkę z szafki i wybiegam na zewnątrz. Niebo jest ciemne. Zachmurzone i w złym humorze. Nie padało, odkąd się tu przeprowadziłam, ale wygląda na to, że pogoda się dzisiaj zmieni. Prowadzenie Baby w deszczu nie jest moim pomysłem na dobrą zabawę, więc czuję ulgę, że Porter mnie zaprosił.

Ja...

Rozglądam się wokoło. Na lewo. Na prawo.

Gdzie jest Baby?

Zaparkowałam ją tutaj. Zawsze tak robię.

Sprawdzam raz jeszcze. Musiało mi się coś pomylić. Trzeci rzut oka od tylnych drzwi...

Obracam się, szukając turkusowej ramy i siodełka ze wzorem cętek lamparta. Musi być jakieś wyjaśnienie. Może ktoś ją przeniósł z jakiegoś powodu... choć nie wiem, jak ktoś mógłby... Była zabezpieczona. Zawsze tak robię. Zawsze. Przypominam sobie dokładnie, co robiłam po przyjeździe tutaj tego popołudnia. Jestem pewna, tak, wiem, że tak zrobiłam. Na pewno.

– O co chodzi, moja droga?

To Pangborn wychyla się z wejścia dla pracowników.

– Mój skuter zginął – mówię.

– Co? Zginął?

– Zaparkowałam go tutaj, tuż przed swoją zmianą.

– Jesteś tego absolutnie pewna? Jaki kolor? Pomogę ci poszukać – mówi, kładąc uspokajająco dłoń na moim ramieniu. – Nie panikuj jeszcze. Najpierw się upewnijmy. Dobrze?

Oddycham głęboko i opisuję ją. Na tyłach stoi kilka skuterów, ale żaden z nich nie jest vespą, żaden nie jest stary, żaden nie jest turkusowy, i naprawdę parking dla pracowników nie jest taki duży. Kręci mi się w głowie. Myślę, że czas zmierzyć się z faktami.

Baby została skradziona.

– Czy tutaj nie ma kamer? – pytam.

– Tylko przy wejściach do budynku i przy drzwiach dostawczych – odpowiada Pangborn. – Nie na parkingach i drogach.

– To najgłupsza rzecz, jaką słyszałam – mówię. Co to jest za wieśniacze miejsce? Nie obchodzi ich, czy jakaś ciężarówka nie zaparkuje i nie będzie próbowała obrobić tego miejsca?

Teraz zaczynam panikować. Co ja teraz zrobię? Czy powinnam zadzwonić na policję? Tata i Wanda pojechali dziś do San Jose na tańce albo coś w tym rodzaju. To jej jedyny wolny dzień w tym tygodniu. I co, mam im zrujnować ten dzień? I jak będę jeździć do pracy przez resztę zmian? I kto ukradł mój skuter? Czy zabrali go na przejażdżkę po mieście, z całym moim osobistym dobytkiem w siodelku? Chyba będę rzygać.

– Co się dzieje? – pyta Porter, na bezdechu po biegu do nas.

– Zginął jej skuter – mówi mu cicho Pangborn. Nadal ściska moje ramię. Boże, ten stary człowiek jest tak miły, że chce mi się płakać.

– Zginął, więc został skradziony?

– Wygląda na to, że skradziony. Nie zauważyłem nic niezwykłego na kamerach wokół drzwi, ale wiesz, jak trudno obserwować wszystko, co stąd wchodzi i wychodzi.

– To niemożliwe – zgadza się Porter i zaczyna zadawać mi te same pytanie ciągle od nowa: kiedy tu przyjechałam, gdzie zaparkowałam, czy go zabezpieczyłam? Powarkuję na niego, a potem przepraszam. Jestem na krawędzi i staram się nie zachowywać jak dwulatek, bo – oczywiście – teraz pojawia się

kilku innych pracowników. I każdy z nich rozgląda się po parkingu, upewniając się, że skuter nie stoi porzucony gdzieś w pobliżu.

W chwili, kiedy zamierzam się poddać i zadzwonić do taty, Pangborn mówi do Portera:

– Tak przy okazji, czy twój przyjaciel cię złapał?

– Kto?

– Ten z potłuczoną nogą.

Porter sztywnieje.

– Davy?

– Właśnie ten. Szukał cię.

– Tutaj? – Porter jest zdezorientowany.

Pangborn potwierdza.

– Kręcił się koło wejścia dla pracowników, kiedy wracałem z... mojej popołudniowej przerwy na lekarstwo. – Pangborn zerka na pobliskiego pracownika. – W każdym razie nie rozpoznał mnie na początku, ale ja go zapamiętałem, bo pracował tutaj kilka dni w zeszłym roku. Spytałem go, czy chce, żebym cię przywołał, ale powiedział, że już do ciebie napisał.

– Nie, nie napisał – mówi Porter. – O której to było?

– Kilka godzin temu?

Twarz Portera ciemnieje jak zachmurzone niebo.

– Słuchaj, Bailey, czy Davy wie, jak wygląda twój skuter?

– Ja... – po sekundzie sobie przypominam. – Tak, przy przyczepie z pozole. Widział mnie przy Baby, kiedy byłam z tatą i Wandą. Spytał mnie, czy była odnawiana.

Porter odrzuca głowę do tyłu. Zamyka oczy.

– Chyba wiem, kto ukradł twój skuter. Wsiadaj do mojego vana. Jest kilka godzin przed nami, ale wiem, gdzie zacząć go szukać.

Jestem zbyt zaskoczona, by cokolwiek powiedzieć. Pędzimy z dala od muzeum i nie kierujemy się na południe Gold Avenue. Nigdy nie byłam tak daleko w mieście i wszystko wygląda obco. Nagle przychodzi mi na myśl, że powinnam zapytać, dokąd jedziemy.

– To jest droga do domu Davy’ego?

– Nie. – Porter jest zły. Naprawdę zły. Mięśnie jego ramion napinają się, gdy

trzyma kierownicę w śmiertelnym uścisku. – Będzie próbował ją sprzedać. Chce forsy na dragi.

– O mój Boże. Dlaczego ja? Dlaczego mój skuter?

Nie odpowiada od razu.

– Ponieważ jest wkurzony na mnie. Ponieważ jest wściekły na to, jak potoczyła się ostatnia impreza. Ponieważ wie, że to jego wina. Ponieważ gdzieś głęboko wie, że to on spieprzył, ale nie dotknął jeszcze dna, więc będzie tak ciągnął, dopóki nie umrze albo nie wyląduje w pudle.

Odczekuję kilka sekund, żeby dokładnie ułożyć sobie, jak mam o to spytać, a potem się poddaję i pytam wprost.

– Co to wszystko ma wspólnego ze mną i moim skuterem?

– Ach – mówi Porter. Niemal wzdycha, gdzieś pomiędzy irytacją a poczuciem winy. – Ponieważ przed pracą poszedłem do niego dzisiaj i mocno się pokłóciliśmy. W jakiś sposób w tej swojej głupiej łepetynie wykombinował sobie, że ty jesteś... – wzdycha teraz, naprawdę wzdycha, długo. – Okej, jest tak. Ma umysł dziecka i sądzi, że mam nową lśniąca zabawkę, ty jesteś tą zabawką, nie żebyś nią była! Boże, wiem, że to zła analogia.

– Wow, głęboko sięgasz w siebie, kolego.

– Słuchaj, on myśli, że ja cię lubię, więc on chce ciebie. A dzisiaj go ostrzegłem, że jeśli będzie znów cię nachodził albo przynosił broń gdziekolwiek w twoje pobliże, sfajczę jego cholerny dom.

Cóż. To nie jest coś, co słyszysz codziennie. Obce, nieprzyjemne uczucie podskakuje jak piłeczka pingpongowa w moich kiszkaach.

– A ponieważ jest dzieciakiem, teraz bierze odwet. Jeśli nie może cię mieć, będzie robił głupoty, będzie szkodził. Ukradł więc twoją własność i sprzeda dla pieniędzy, żeby mógł się naćpać i zapomnieć, że totalnie wszystko spieprzył. Ponieważ jest maniakiem, to właśnie robi.

– Jezu.

– Taaak – mówi łagodniejszym głosem, nagle bez cienia wściekłości. – Więc właściwie to moja wina i przepraszam, Bailey.

Zerkam na swoje stopy i wyrównuje czubki moich butów z brzegiem maty na podłodze.

– Davy myśli, że mnie lubisz, czy też naprawdę mnie lubisz? – Ostatnia noc

przed domem taty była milion lat temu.

Porter zerka na mnie. Jego oczy stają się czujne; nie jest pewny, czy się z nim nie drocę. Ale kącik jego ust unosi się lekko.

– Oba pytania?

– Oba – powtarzam delikatnie, bardziej niż usatysfakcjonowana jego odpowiedzią. – Myślę, że teraz rozumiem.

– Więc... – mówi – wydaje mi się, że prawdziwe pytanie brzmi: jak bardzo chcesz mnie udusić za to, co się wydarzyło? (A) trochę lub (B) bardzo?

Kręcę głową, zarówno odrzucając jego pytanie, jak i nie mogąc odpowiedzieć. Nie jestem na niego wściekła. Jak mogłabym być? To nie jego wina, że ma głównianych przyjaciół.

– Hej, Bailey? Odzyskam twój skuter – mówi, odwracając twarz kamienną i poważną. – Naprawdę miałem na myśli to, co powiedziałem wcześniej. Davy za to zapłaci.

Boże pomóż mi, ale w tym momencie nie chcę niczego więcej.

Po kolejnym kilometrze van zwalnia, a ja widzę, dokąd jedziemy. Po lewej stronie autostrady, tuż przy plaży, gigantyczny parking jest oflagowany napisami: RAJ MOTOROWY. Stoi tam z setka używanych skuterów na sprzedaż. Porter parkuje obok ogrodzonej naczepy na tyłach parkingu i prosi, żebym poczekała w vanie.

– To strzał na ślepo, ale jest najbliżej muzeum, więc najpierw sprawdźmy to. Siedź tutaj i napisz, jeśli zobaczysz Davy’ego. Jeździ jasnożółtym pikapem truckiem. Z niebieskimi błyskawicami wymalowanymi na bokach.

Oczywiście, że tak.

Porter wychodzi z naczepy po pięciu minutach, może nawet szybciej. Tracę nadzieję. A potem jeszcze dwa razy, gdy jedziemy na dwa inne parkingi, podobne do tego pierwszego, tylko dalej od miasta i mniejsze. Teraz zaczynam się martwić. A jeśli to nie był Davy? A jeśli to był jeden z tych dwóch Richie Richów, którzy próbowali ukraść statuetkę sokoła maltańskiego? Może śledzili mnie w pracy i chcieli się zemścić. Ale Porter tego nie kupuje. Mówi, że Davy kradł już wcześniej i nigdy nie przychodził do muzeum. Za dużo przypadków. Sądzę, że prawdopodobnie ma rację, ale zaczynam znów wariować i trudno mi racjonalnie myśleć.

Porter postukuje w kierownicę. Pstryka palcami, sięga po telefon i coś sprawdza. Kilka minut później do kogoś dzwoni. Ku memu zaskoczeniu dzwoni jeszcze do kogoś innego, rzucając swoje nazwisko – słyszę, jak mówi Pennywise – a potem do trzeciej osoby. Chyba rozmawia z właścicielką, bo nagle się rozluźnia, z dłonią na kierownicy, kiedy mówi tej osobie, że szuka Davy’ego. Po kilku mruknięciach rozłącza się, a pięć minut później ktoś do niego oddzwania.

– Wpadłem na trop – to wszystko, co mi mówi.

Więc dlaczego jego głos nie brzmi bardziej optymistycznie?

Zaczyna kropić mały deszczyk. Porter włącza wycieraczki, kiedy mijamy znak mówiący, że wyjeżdżamy z Coronado Cove, i kolejny z nazwą jakiegoś małego miasteczka, które ma cztery tysiące mieszkańców. Wszystko wydaje się tutaj nastawione na skateparki, kempingi i piesze wycieczki. Och, i naprawa aut – dużo, bardzo dużo warsztatów. Karoseria, szczegółowe naprawy... odnawianie aut. Kwitnie tu mały przemysł, są ludzie, którzy interesują się mocnymi brykami i wyścigami, a ja zastanawiam się, czy to tutaj mój tata kupił samochód.

Ale Porter kieruje się w ładniejsze miejsce. Jedzie żwirową drogą w las, do garażu z numerem sześć wymalowanym sprayem na drzwiach po lewo od zamkniętych wnek. Szkielety zardzewiałych motocykli leżą w kupach niedaleko budynku, zmieszane z innymi metalowymi odpadami. To jakiś rodzaj motocyklowego szrotu z częściami, dobre miejsce dla pojazdów skazanych na śmierć. Nagle zaczynam się bardzo martwić o Baby. O nas trochę też.

Porter parkuje vana kilka metrów dalej, pod gałęziami jakiejś sosny.

– Zostań w vanie.

– Chyba żartujesz.

– Jeśli jest w środku, nie chcę, żebyś widziała, co może się wydarzyć.

Przeraża mnie trochę, ale nie chcę dać tego po sobie poznać.

– Nie ma mowy. Ta okolica przypomina mi miejsce akcji filmu *Uwolnienie*. Jesteśmy w tym razem.

Parska lekkim śmiechem, z ręką na drzwiach vana.

– To było w leśnych ostępach Georgii, ale nie zamierzam pytać cię, skąd znasz ten film, bo nie mamy czasu. Więc po prostu... chodź.

Deszcz znaczy żwirową drogę przed nami, kiedy idziemy do drzwi z czerwoną szóstką. Jest niesamowicie cicho, nikt nie wychodzi ani nie nadchodzi, żadnych

oznak, że w garażu ktoś działa. Ale kiedy podchodzimy bliżej, słyszę słabe głosy radia i rozmów, i zaczynam się denerwować.

Porter unosi dłoń, żeby zapukać, ale drzwi się otwierają. Afroamerykanin z kozią bródką w ciasnym czerwonym T- -shircie wystawia głowę. Zerka na Portera, zezując na jego blizny.

– Roth?

– Tak. Ty jesteś Szybki Mike?

Twarz gościa z bródką łagodnieje.

– Wyglądasz jak twoja mama.

– Dzięki Bogu. Wszyscy zwykle wspominają moją siostrę,

– Nigdy jej nie widziałem, ale mój kuzyn malował tego starego thunderbirda, którego miała twoja mama.

– Taak? Sprzedała go kilka lat temu. Nie chciała. Kochała ten wóz.

Szybki Mike zerka zza Portera i wskazuje na mnie.

– To jest Bailey – mówi Porter. – Vespa, której szukamy, należy do niej.

Szybki Mike wydycha ciężko powietrze nosem. Otwiera szerzej drzwi.

– Lepiej wejdźcie do środka. Mam przecucie, że to nie będzie miłe.

Idziemy za nim przez małe biuro z dwoma czystymi biurkami, ladą i starą kasą. Nikogo tu nie ma. Mijamy starą kanapę i ekspres do kawy, kolejne drzwi prowadzą do garażu. Zapach spalonego oleju silnikowego i farb uderza mnie, kiedy zatrzymujemy się na brudnym betonie. Muzyka rockowa z lat siedemdziesiątych leci z radia stojącego na blacie roboczym. Rzędy fluorescencyjnych świateł brzęczą na trzech podjazdach, z których dwa najbliższe są zajęte przez motocykle. Środkowy podjazd jest pusty, ale siedzi tam trójka ludzi na składanych krzesłach i rozmawia. Jednak moją stuprocentową uwagę przyciąga to, co stoi na ostatnim podejździe.

Musztardowo żółty pikap, z niebieskimi błyskawicami po bokach, z oknem po stronie pasażera przykrytym czarnym workiem na śmieci.

A za nim turkusowa vespa z siodełkiem we wzór lamparta.

Czuję się tak, jak bym miała zemdleć. I może dlatego mojemu mózgowi zajmuje kilka dodatkowych sekund zdanie sobie sprawy, że jedną z siedzących osób jest Davy. To nawet dobrze, bo nagle czuję, że mogłabym popełnić zbrodnię. Zamordować go. Ale z drugiej strony jest naprawdę, naprawdę bardzo źle, bo

Porter nie jest tak oszołomiony jak ja. Właściwie całkiem przeciwnie. Niczym wiązka lasera kieruje się prosto na swojego byłego najlepszego przyjaciela.

Dwaj pozostali pryskają. Teraz Davy dostrzega zbliżającego się Portera, a jego twarz wyraża absolutną panikę. Próbuje szybko zerwać się na nogi, ale ślizga się i nie może ustać. Porter pcha go obiema rękami z taką wściekłą siłą, że Davy się przewraca. Chłopak i metal uderzają w betonowy słup i ześlizgują się na ziemię.

– Jesteś kupą gówna – mówi Porter, podchodząc do Davy’ego, który leży zwinięty przy oponie swojej ciężarówki. – Zbyt duży tchórz, by ukraść coś mnie, więc zabrałeś się do jej rzeczy?

Davy jęczy i trzyma się dłońmi za głowę. Martwię się, że ma wstrząs mózgu, ale kiedy otwiera oczy i zerka na Portera, jest w nich tylko wściekłość.

– Nienawidzę cię.

– To jest nas dwóch, śmieciu.

Davy krzyczy, przerażający krzyk bojowy, który rozdziera powietrze i odbija się od ścian garażu. Szybko staje na zdrowej nodze, chwyta za składane krzesło i sunie naprzód. Krzyczę. Krzesło trafia Portera prosto w twarz. Jego głowa odskakuje. Rozpryskuje się krew. Noga krzesła wyslizguje się Davy’emu z ręki i krzesło sunie w powietrzu, zderzając się z jego wozem.

Porter pada.

Próbuję do niego podbiec, ale jakieś mocne dłonie zaciskają się na moich ramionach.

– Wow – Szybki Mike mówi mi do ucha. – Porter jest okej. Pozwólmy tym chłopcom pozalać sprawę osobiście.

Ale się myli. Porter nie jest okej. Kiedy odciąga dłoń od twarzy, krew jest wszędzie. Przez policzek przechodzi duże rozcięcie. Głupi chłopak, potrząsa tylko głową jak mokry pies i skupia się ponownie.

– Tak jest – warczy i uderza pięścią w twarz Davy’ego. Mocno. Po tym cała sprawa to jeden wielki bałagan. Leżą na sobie i wymierzają ciosy, które, tylko dobry Bóg wie, gdzie trafiają. To nie jest jak wyreżyserowana walka bokserska w filmach, jest chaotyczne i dziwne, i więcej w tym wzajemnego okładania się pięściami niż czegokolwiek innego. Krzyczą, chrząkają i walą się po żebrach tak mocno, że któreś zostanie złamane lub pęknięte.

To jakiś koszmar.

Jestem przerażona, że pozabijają się nawzajem. To nie są dzieciaki na placu zabaw, które rozbijają sobie nosy. To zażarcie walczące wilki, prężące mięśnie, z wyszczerzonymi zębami. I ktoś musi przegrać.

– Pozwól mi iść – mówię Szybkiemu Mike’owi. Nie mogę Porterowi na to pozwolić. Jeśli zostanie poważnie ranny, nie wiem, co zrobię. Ale mogę pomóc jakoś... mogę? Rozglądam się za czymś, czym mogłabym przerwać walkę. Może uderzę czymś ciężkim Davy’ego w głowę.

Ciężko mi uwierzyć w to, co widzę. Davy chwytą Portera za włosy – jego włosy! Ma całą pięść jego ciemnych loków, odchyła mu głowę do tyłu... czy zamierza ugryźć go w twarz? Co tu się do cholery dzieje?

Dolna część ciała Portera się obraca. Wyprowadza mocne kopnięcie w chore kolano Davy’ego.

W garażu rozlega się przyprawiające o mdłości chrupnięcie.

Davy pada na ziemię.

Nie podnosi się. Ściska kolano, usta ma otwarte. Po twarzy płyną mu łzy. Milczy.

Porter ciężko oddycha. Na jego ramieniu widać nabrzmiałe żyły. Cienki strumyk krwi spływa mu na policzek i szyję, i znika w czarnym uniformie ochroniarza.

– Dzwonię dzisiaj do twojej babci i jej powiem, co dziś zrobiłeś – mówi Porter, stojąc nad przyjacielem i patrząc na niego z góry. – Powiem również swoim krewniakom. Dałem ci tyle szans, a ty rzuciłeś mi je wszystkie w twarz. Nie mogę ci już więcej zaufać. Skończone.

Miłość to jedyna rzecz, jaka może ocalić to stworzenie.

Gene Wilder *Młody Frankenstein* (1984)

Pakujemy Baby na tyły vana Portera. Poza wyłamany zamkiem w siodełku wydaje się cała. Mój kask i pozostałe rzeczy znaleźliśmy upchnięte za siedzeniem w samochodzie Davy'ego. Znaleźliśmy również zabezpieczenie od mojego skutera wiszące na tylnych drzwiach; usunął je przemysłowymi obcęgami do metalu.

Okazuje się, że jednym z dwóch, którzy siedzieli z Davym, kiedy tam przyszliśmy, był przyjaciel Davy'ego. Zamierzał pomóc Davy'emu w opchnięciu mojego skutera, nie odezwałam się więc słowem do gościa, ale Porter powiedział mu, by odwiózł Davy'ego do szpitala. Davy mógł chodzić – słabo – ale nogę trzeba prześwietlić. I prawdopodobnie potrzebuje on czegoś przeciwbólowego. Cudownie, biorąc pod uwagę to, co wiem o Davym i braniu przez niego dragów.

Ale po wszystkim Davy nie odezwał się do mnie ani słowem. Nie chciał nawet spojrzeć mi w oczy czy dać poznać, że wie, że tu jestem. Prawdę mówiąc, ja też nie mogłabym spojrzeć mu w oczy. To było upokarzające dla nas obojga, tak sędzę. I jestem w takim szoku po tej całej walce, że ledwo mogę mówić.

Kiedy jesteście gotowi do wyjścia, Porter dziękuje Szybkiemu Mike'owi, który doradza mi lepsze zabezpieczenie skutera. Okazuje się, że jego garaż nie jest sklepem z częściami; Mike'a dzieliły dokładnie sekundy od wykopania Davy'ego za drzwi, zanim odebrał telefon od Portera, że szuka on mojej vespy. Więc jeszcze raz moje przypuszczenia i ja to dwie różne sprawy. Całkowita pomyłka. Szybki Mike mówi do Portera:

- Powiedz swojej mamie, że następnym razem, jeśli będzie chciała sprzedać taki wóz jak tamten, niech przyjdzie najpierw do mnie. Dam jej dobrą ofertę.
- Masz to jak w banku. Mamy u ciebie duży dług. Jeśli znasz kogoś, kto potrzebuje deski, niech przyjdzie do naszego sklepu.

Szybki Mike macha nam ręką na pożegnanie. Biegniemy w deszczu, wskakujemy do vana i odjeżdżamy. Okna są zaparowane, a ja próbuję pomóc, szukając włącznika ogrzewania szyb, ale trzęsą mi się ręce. Nadal czuję panikę. Nie mogę się uspokoić.

– Czarny przycisk – mówi Porter i w końcu go znajduję. Przekręcam wiatrak na ful i próbuję skoncentrować się na oczyszczeniu szyby, a nie na tym, że on nadal krwawi. Udaje mi się, dopóki nie dojeżdżamy do końca żwirowej drogi.

– Myślę, że powinniśmy pojechać do lekarza.

– Jest okej.

– Jesteś żaloszny. Zatrzymaj się przy pierwszym sklepie, to znajdę coś do oczyszczenia twojej rany.

Obraca szyję i ocenia szkody w lusterku wstecznym. Tak. Słuchaj mądrej osoby w samochodzie. Zamiast skręcić na drogę podjazdową prowadzącą do domu, on skręca w lewo. Czy w ogóle powinien prowadzić? Davy uderzył go parę razy w głowę. A może on wie coś, czego ja nie wiem. Teraz droga prowadzi w górę. Wjeżdżamy na jakieś przybrzeżne klify, deszcz przestaje padać. Widzę napis: „Taras widokowy”. Zwalnia i skręca na jedno z miejsc do parkowania dla turystów. Rośnie tutaj kilka cyprysów Monterey i stoi tablica sekwojowa z rzeźbą centralnego wybrzeża Kalifornii i zaznaczonymi wszystkimi ciekawymi punktami. Rozciąga się stąd powalający widok na Pacyfik, którym moglibyśmy się cieszyć, gdyby nie chmury i mżawka, a on nie krwawiłby na samochodowe siedzenie.

– To nie wygląda dla mnie jak sklep – mówię zła, kiedy otwiera drzwi.

– Nie potrzebujemy żadnego śmierdzącego sklepu – mówi w sposób, który przypomina mi kwestię z filmu Mela Brooksa *Płonące siodła*. Nigdy nie lubiłam tego filmu tak bardzo jak innej jego klasycznej komedii *Młody Frankenstein*, którą oglądałam online z Alexem kilka razy. Ale mam lekkie poczucie winy, myśląc o tym teraz, kiedy jestem z Porterem.

Porter zwierzę. Nadal jestem zszokowana nieprzytomną ilością czystej przemocy, której byłam świadkiem. I nie jestem pewna, jak się z tym czuję.

Wysiada, jęcząc, i okrąża vana do przesuwanych bocznych drzwi, zza których wyciąga małe pudełko. A potem wraca i wsuwa się znów na przednie siedzenie, po czym otwiera skarby, które zgromadził: plastikową apteczkę pierwszej

pomocy pokrytą naklejkami.

– Surferzy zawsze mają ze sobą takie rzeczy – wyjaśnia, przesuając palcem w pudełku. – Bandaże ciągle są nam potrzebne.

Po kilku sekundach obserwowania jego zmagani zdaję sobie sprawę, że jego druga ręka jest zbyt potłuczona, by mógł jej używać, co powoduje, że współczucie zaczyna górować nad szokiem, jakiego nadal doświadczam. Wyrywam mu z ręki apteczkę.

– Pozwól mi sprawdzić. Nie możesz sam siebie opatrzyć, bałwanie.

– Och, dobrze. Wszystko to zrobiłem, żebyś mogła mnie dotknąć,

– To nie jest zabawne.

– Trochę jest.

Znajduję jakieś waciki nasączone alkoholem i zwitek opatrunków oraz kilka kondomów, o których staram się nie myśleć.

– Napędziłeś mi stracha. Tu jest listek tylenolu. Stracił ważność kilka miesięcy temu, ale lepsze to niż nic. Masz czym to popić?

– Musi pani popracować nad swoim podejściem do chorego, siostró Bailey – jęczy, kiedy nachyla się, żeby podnieść pustą do połowy butelkę wody wepchniętą pomiędzy siedzenia. Udaje, że jest mną zirytowany, a ja udaję, że jestem na niego wściekła, kiedy podaję mu pigułki. Połyka je i chrząka.

Kłękam na siedzeniu i rozpakowuję wacik. Ostry zapach alkoholu wypełnia vanę. Oboje się krzywimy. Otwiera drzwi, wpuszczając świeże powietrze. Szum rozbijających się o skały fale działa uspokajająco. W pewien sposób.

Tchórzę i nie chcę zaczynać od opatrywania jego twarzy. Ostrożnie odchylam kołnierzyk jego koszuli i przesuвам chłodny wacik po zaschniętej krwi na jego szyi. Drży.

– Chłodne.

– Przepraszam – mruczę. Szybko zmywam krew, ale jest trudniej, kiedy dochodzę do właściwej rany. Odwijam wacik, przekładam apteczkę sobie na kolana i zabieram się do oczyszczania sporej rany. Jeśli skupię się na tym, mój umysł przestanie przeskakiwać do przerażających obrazów, jak Porter szarpie Davy'ego niczym dzika bestia. Porter opiera głowę o wezglówek i zamyka oczy.

– Porter?

– Mm?

– Pamiętasz tamten dzień, kiedy widziałeś Davy’ego rozmawiającego ze mną na zewnątrz sklepu ze starymi ciuchami na deptaku?

– Taak.

– Nie wiedział, że słucham, ale widziałam go, jak wszedł do sklepu i prosił dziewczynę przy ladzie, Julie, by pomogła mu, ponieważ zamierza jechać do Monterey i potrzebuje czegoś.

Porter otwiera oczy.

– Co? Nie to mi powiedział.

– Kłamał. A kiedy rozmawiał z nią w sklepie, ona powiedziała: „Myślałam, że skończyłeś z tym”. A on jej odparł, że generalnie tak, ale po prostu potrzebuje czegoś na dzisiaj, okazjonalnie, i obiecał, że to jedyny raz, a ona, że mu pomoże.

– Wiedziałem. – Porter uderza w kierownicę.

Kładę dłoń na jego ramieniu. Zaraz otworzy się rana na policzku, jeśli nie będzie ostrożny, a ja nawet jeszcze jej nie oczyściłam.

– Co znaczy okazjonalnie?

– On jest żałosny.

– Tak, załapałam. Po prostu powiedz mi. Dziewczyna z alkoholem, pamiętasz? Jeśli nie powiesz, spłoniesz.

Ciężko wzdycha, kiedy zapada się w siedzenie, leniwie opierając jedno kolano na desce rozdzielczej pomiędzy nami, przez co moje kolana dotykają jego nogi. Mimowolnie zastanawiam się, czy zrobił to celowo – zawsze przekracza moją osobistą strefę komfortu – ale wystawia do mnie swój policzek, więc wracam do pracy, a on opowiada.

– Davy uszkodził sobie nogę, serfując tam, gdzie nie powinien, jakieś trzy lata temu. Nie śledził pogody i zaryzykował. Miał dwie operacje. Kiedy przestał dostawać recepty na oxycodone, kupował ten lek od dzieciaka w szkole. A kiedy i to źródło wyschło, zaczął szukać czegoś innego, wódki, koki... ale nic nie zabija bólu tak jak opiaty. A co jest lepszym opiatem od heroiny?

Nieruchomieję.

– Powiedz mi, że żartujesz.

– To mały, brudny sekret surferów.

– Jak strzelanie?

– Z tego, co wiem, on palił to, ale nigdy nie byłem w pobliżu, kiedy to robił.

Wiem tylko tyle, ile słyszałem, i nigdy nie zauważyłem śladów po igłach. To naprawdę piecze, Bailey.

– Przepraszam. Prawdopodobnie trzeba to zszyć. Znów trochę krwawi. – Odsuwam jego włosy i widzę brzydkiego guza na skroni. Ma szczęście, że krzesło nie zmiażdżyło mu żadnej kości w twarzy. Choć nie jestem o tym całkowicie przekonana.

Krzywi się.

– Czyść dalej, delikatnie. W każdym razie okazjonalnie to coś, co ludzie robią, kiedy myślą, że mogą przechrzyć heroinę. Biorą tyle, by być na haju przez weekend lub coś w tym stylu, ale nie pozwalają sobie na branie więcej aż do następnego weekendu, czysty przez tydzień, a więc nie mają objawów głodu. Jeśli nie są uzależnieni, to mają nad tym kontrolę, prawda?

– To chyba jednak nie zawsze działa.

– Bo nie działa. Ponieważ zawsze jest ten święty weekend, który przeradza się w trzy dni, albo mają zły tydzień i potrzebują odreagować w środę. I zanim się zorientują, wracają do nałogu, a cały ich plan bierze w łeb. Oszukują samych siebie, myśląc, że mają to pod kontrolą. Tak jak Philip Seymour Hoffman. Ludzie mówią, że właśnie to go zabiło.

Wcięło mnie. Wanda wspominała o ciężkich narkotykach, jeśli chodzi o Davy’ego, ale heroina? To jak z jakiegoś filmu. Nie zdarza się w prawdziwym życiu. Przynajmniej nie ludziom w moim wieku.

– Boli? – pytam, delikatnie dotykając wacikiem z antybiotykiem jego rany. Wygląda jak rysa na pustyni, czerwona i zła, szeroko otwarta.

– Nic nie boli, kiedy ty mnie dotykasz – odpowiada nieobecnym głosem.

Muszę przestać się uśmiechać, ponieważ obawiam się, że może otworzyć oczy i mnie na tym przyłapać. A ja nie chcę, żeby otwierał oczy, ponieważ mogę mu się teraz bliżej przyjrzeć. Wysokie ostro zarysowane kości policzkowe. Dzikie loki, wilgotne od mżawki, miodowe w miejscach wystawionych na słońce, ciemniejsze pod spodem. Lekko uniesione zewnętrzne kąciaki oczu i garbek na nosie.

– Czy będzie z nim dobrze? – pytam.

– Z Davym? Naprawdę nie wiem – mówi, łapiąc powietrze, kiedy przykładam opatrunek do rany. Trzy opatrunki powinny wystarczyć i tyle tylko zresztą mamy. – Mniej się martwię teraz o niego, a bardziej o to, że jest ci przykro, że

dałaś mi swój numer telefonu. Teraz nigdy się ze mną już nie umówisz, bo myślisz, że wszyscy moi przyjaciele to śmiecie i my dwoje naprawdę nie mamy nic wspólnego ze sobą.

– Czyżby? – Zdejmuję papier z drugiego opatrunku. – Więc czemu mnie lubisz, skoro nie mamy nic wspólnego?

– Z pewnością jesteś powalająca.

Nikt nigdy tak do mnie nie mówił. Czuję trzepotanie w piersi i zalewa mnie fala ciepła.

– A ty śmiejesz się z moich żartów.

Parskam śmiechem – nic na to nie mogę poradzić. To takie... bardzo Porterowe. Samolubne, a jednocześnie w jakiś sposób ujmujące.

– Nie zrozum mnie źle, ale jesteś całkiem dowcipna – dodaje, otwierając jedno oko.

– Och, tak? To strasznie wielkoduszne z twojej strony.

Posyła mi nieśmiały uśmiech, chichocze i sięga po moją dłoń, ponieważ ja go żartobliwie klepię w ramię.

– Ależ proszę bardzo. A teraz, teraz, słuchaj! Och! Jestem ranny. Przestań się śmiać, cholera, i słuchaj mnie. Musisz przyznać, jeśli o tym myślisz, że naprawdę nieźle się dogadujemy, kiedy nie walczymy.

Czy on ma rację? Rzeczywiście?

Myślę, że może mieć rację.

Mruczy.

– Widzisz, ale jest coś jeszcze. Mówię zbyt dużo, kiedy jestem obok ciebie. Jakoś czuję się wtedy swobodnie, a przez to wariuję.

Śmieję się raz jeszcze i zdmuchuję włosy ze swojej twarzy.

– Ja przy tobie też wariuję.

I oto jest, ten jego głupi, seksowny uśmiech. Sięga po moją dłoń i w połowie zatrzymuje się, jęcząc.

– To nie jest dobry sposób na poruszanie ręką.

Znów się skupiam. Zwijam opatrunek i zamykam apteczkę.

– Davy nie zranił cię nigdzie poważnie? Żebra?

– Jeśli chcesz, żeby zdjął koszulę, jedyne, co musisz zrobić, to poprosić, Rydell.

– Mówię poważnie.

Wzdycha.

– Nie sędę, ale nie będę kłamał, zaczyna mnie boleć w okolicy żeber. Myślę, że będzie lepiej, jeśli rzucę na to okiem, więc mogłabyś odwrócić wzrok, jeśli jesteś wrażliwa na wspaniałe męskie ciało. Nie chcę, żebyś zemdląła na widok nagiego surfera.

– Bóg jeden wie, że byłam zmuszona oglądać nagą klatę Davy’ego setki razy, więc jestem pewna, że dam radę i z twoją. Dawaj, zobaczmy uszkodzenia.

Ale kiedy rozpina koszulę strażnika Jaskini, jest to najmniej seksowna rzecz na świecie, ponieważ jestem zajęta myśleniem, jak poprowadzę jego vana, jeśli ma połamane żebra. A robi się jeszcze gorzej, kiedy rozchyła poły koszuli.

Jeśli myślałam, że Davy jest dobrze zbudowany, to się myliłam. Davy jest cieniasem. Porter to ciacho. Takie ciało mają ci, co używają wszystkich mięśni naraz, by zachować równowagę na cienkim kawałku drewna w zetknięciu z wielką, potworną falą każdego ranka przez lata. Jestem zafascynowana pięknem ludzkiego ciała, zawstydzona, że ja ze swoim nie robię nic poza chodzeniem wokół domu i oglądaniem razem z tatą filmów na kanapie, a najbardziej to jestem zszokowana tym, co zrobił mu Davy.

Kiedy ludzie mówią czarne i niebieskie, mają na myśli okres późniejszy, kiedy siniaki już są od jakiegoś czasu. Ale teraz jego tors jest posiekany wielkimi, czerwonymi pręgami, niektóre z nich lekką krwawią, inne są postrzępione i mają wyraźne ciemnoróżowe linie. To wstrętne mapy siniaków, które się dopiero pojawiają. Pokryte pręgami ciało na jego żebrach ma zarys Ameryki Południowej, tyle jest tego.

Brodą dotyka mostka, gdy trzyma koszulę i ogląda rany, i jego jęk świadczy, że nawet on jest zaskoczony. Jestem przejęta tym wszystkim naraz. Wściekła, że tak go poturbowano i że nie pisnął słówkiem. Sfrustrowana, że musiał dać ujście naładowanemu testosteronem gniewowi, żeby to rozwiązać. Wstrząśnięta przemocą, jakiej byłam świadkiem. Wściekam się, że ma takiego przyjaciela jak Davy, choć nie mogę go winić za to, że Davy ukradł mój skuter.

Ale poza tym... Spójrz, co zrobił. Spójrz, co zrobił. Dla mnie? A teraz siedzi tutaj, w bólu, sypiąc się, i wszystko, o co się martwi, to to, że ja będę żałować, że dałam mu swój numer telefonu i nie będę chciała pójść z nim na randkę?

To znacznie za dużo. Rozpadam się na kawałki.

– Hej, hej – mówi, zaalarmowany, i siada szybko. Cicho jęczy. Przez co zaczynam chlipać. Zapina koszulę do połowy, przykrywając część dowodów. – Już dobrze. Już miałem połamane kości, wcześniej. Dzisiaj ich nie połamałem, obiecuję. Po prostu mnie boli.

– To jest po prostu okropne – mówię, połykając łzy. – Tak mi przykro, że musiałeś to zrobić.

– To on mnie sprowokował. Nie wiesz o wszystkim, co mi zrobił. To po prostu ostatnia kropla. Hej, no już, ciiiicho. – Jego dłonie głaszczą mnie po ramieniu.

Uspokajam się. Odwracam twarz i wycieram nos w ramię. Ścieram łzy.

– Tutaj. – Wyciera kciukiem na moim policzku to, co pominęłam. Przesuwa palec po moich brwiach. Odsuwa delikatnie kosmyk moich włosów ze skroni. – I wiesz co? – mówi niskim, pełnym napięcia głosem – zrobiłbym to znów, ponieważ nie zasłużyłaś na to, co on ci zrobił. Będę twoją zemstą.

Wstrzymuję oddech i się poddaję. Zanim orientuję się, co robię, pochylam się i go całuję.

Nie pocałunkiem grzecznym.

Nie pocałunkiem dziękczynnym.

A on z pewnością nie oddaje pocałunku. Ooo, nie. To ja całuję, co zdarza się pierwszy raz w moim życiu – nie całowanie, mam na myśli zainicjowanie pocałunku. To znaczy, hello. Uciekinier! Inicjacja nie jest w moim stylu. Ale tutaj tak jest, moje usta przyciśnięte do jego ust. Nie wstydzę się powiedzieć, że jestem zdesperowana i bardziej niż trochę naciskam, i jeśli on nie odda pocałunku za chwilę... Ale robi to. Je-zu, robi to. Jakby zaskoczył w nim jakiś przełącznik, wreszcie załapał! A ja o mało co znów bym się rozplakała, czuję taką ulgę i szczęście. Ale potem jego usta otwierają się na moje usta i przełącznik przeskakuje w mojej głowie (ding!), a potem jego język krąży wokół mojego i przełącznik przeskakuje w moim ciele (ding! ding!), i Matko Święta to jest takie dobre. Całujemy się i to jest wspaniałe, jego dłonie głaszczą moje plecy, a dreszcze przechodzą wszędzie, i drogi Boże, jest dobry w te klocki.

Przechodzi mnie potężny dreszcz. Chyba oszaleję. Moja głowa wypełnia się nagle wszystkim, co powiedział o osiemnastolatkach i wolności seksualnej, i nie mam wątpliwości, że przećwiczył swoje prawa z innymi dziewczynami – okej, nieważne. Nie oceniam. Tylko po prostu ja mam... nie, całe to wspaniałe

całowanie coraz bardziej uświadamia mi, że jest między nami przepaść. Pod względem doświadczenia. Co mnie martwi. I podnieca. I martwi.

(I podnieca.)

Dobry Boże: Chroń mnie przed samą sobą.

Przerywa pocałunek – prawdopodobnie dlatego, że czuje wszystkie moje myśli.

– Bailey?

– Tak? – odpowiadam, ale tym razem już nie panikuję. Teraz, kiedy widzę jego twarz, nie mogę przestać się śmiać. Ponieważ jego oczy są jak szparki, a on wygląda na oszołomionego i dezorientowanego. Czuję się tak samo: jakby moje ciało było zabawką, która kręci się tak szybko, że nie widzę nic poza vanem. Jedyne, co jestem w stanie zobaczyć, to Porter, i wszystko, co jestem w stanie czuć, to wspaniałe wirowanie, którego nie chcę zatrzymać.

Teraz Porter też się śmieje i jestem pewna, że oboje wyglądamy jak kompletni wariaci. Dzięki Bogu siedzimy w deszczu w środku niczego.

– Hej – mówi chrapliwie. – Czy zwariowałem, czy też to był najlepszy pocałunek, jaki miałaś kiedykolwiek? – Jego uśmiech się pogłębia.

Wie, że tak jest.

– Zaskakujące jest to, że dla ciebie też jest najlepszy, jaki kiedykolwiek miałaś – odgryzam mu się.

Obie brwi się unoszą, a potem znów wybucha śmiechem i zamyka oczy.

– Wygrałaś. Chcesz to zrobić raz jeszcze? Może to był tylko fuks. Powinniśmy sprawdzić.

I sprawdzamy. To nie był fuks. Zaraz się rozpląnę na tym siedzeniu. To śmieszne. Tak zdarzają się nastoletnie cięża, jestem tego całkiem pewna. W końcu go odpycham i oboje ciężko oddychamy.

– Widzisz, powiedziałam ci. Najlepszy, jaki miałaś.

– Chcesz poznać sekret? Wiedziałem, że kiedy tylko się zamkniemy i przestaniemy się kłócić, to tak będzie. Chodź tutaj. Nie wstydz się teraz. Chcę cię po prostu przytulić.

– Jesteś ranny.

– A ty delikatna. Żadnego więcej całowania, obiecuję. Proszę, Bailey. Pozwól mi cię przytulić, żadnego macania. Chociaż na chwilę. Dopóki nie przestanie padać. Lubię deszcz.

Zaprasza mnie do schronienia się pod jego ramieniem, a ponieważ jestem po tej stronie, która nie została zbyt mocno pobita, delikatnie zwijam się przy nim.

Jest ciepły i masywny, a ja próbuję być tak lekka i mała, jak to możliwe, nie chcę sprawić mu więcej bólu, ale on przyciąga mnie do siebie mocniej, a ja się poddaję. Wzdycha głęboko i siedzimy tak razem, obserwując, jak deszcz wpada do oceanu. Żadnych rozmów. Tylko my. Tylko cisza.

Ale w tej ciszy obrazy jego walki z Davym wracają. To ciało, które przytula mnie teraz, chroniąc mnie... z całej siły wyrządzało krzywdę drugiemu człowiekowi. Jak on może być tymi dwiema osobami naraz – czuły i brutalny? Czy tacy są chłopcy? Czy taki jest Porter? Jest taki skomplikowany. Przysięgam, im więcej się o nim dowiaduję, tym mniej rozumiem, kim jest.

Jego wściekłość wyprowadziła mnie dzisiaj z równowagi, więc dlaczego go pocałowałam?

I czemu ufam komuś, kto mógłby mną potrząsnąć, ot tak?

Myślę o naszych zażartych kłótniach. Jeśli miałabym być szczerą wobec siebie samej, nie jestem takim niewiniątkiem, biernym świadkiem. Prowokuje mnie, ale czy ja pozwalam być prowokowana? Czy ja tego chcę? A bezwzględne obezwładnianie przeze mnie tego dzieciaka, który ukradł sokoła maltańskiego? Grace cały czas droczy się ze mną, że mam ukrytą siłę, a to zaczyna przywoływać we mnie coraz częściej myśli o tym głupim terapeutcie z New Jersey, i jego gadce o płaceniu przeze mnie ceny za moje techniki unikania. Potrząsaj wystarczająco długo butelkę z wodą sodową, a kiedy zdejmiesz nakrętkę, eksploduje.

Czy bardziej obawiam się Portera... czy osoby, która szarpie się we mnie?

Prywatne wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière – nowe!

@mink: Hej, przepraszam, że ostatnio nie gadamy za dużo.

@alex: MINK. Tak się cieszę, że napisałaś. Chciałem z tobą pogadać. Nie zdecydowałaś jeszcze ostatecznie o przylocie tutaj, prawda?

@mink: Nie. Czemu pytasz?

@alex: Boże, tyle czasu zajęła ci odpowiedź, że przez chwilę myślałem, że cię straciłem. W każdym razie, właściwie to nawet dobrze. Mam teraz zwariowany okres w pracy. Więc zanim powiesz tacie, żeby kupić ci bilet na samolot, po prostu sprawdź to ze mną wcześniej, zgoda? Ponieważ jest lekkie zamieszanie teraz tutaj.

@mink: Jasne, OK. Ja też byłam zajęta.

@alex: Więc rozumiesz. Daj mi znać. Gdyby sytuacja u mnie się zmieniła?

@mink: OK. Jasne. Wiesz, że nigdy z niczym się nie spieszę.

Oddaj, tchórze! Oddaj!

Daniel Raddcliffe *Harry Potter i Książę Półkrwi* (2009)

Kilka godzin przed moją zmianą następnego ranka światło słoneczne przebija się przez szare niebo, kiedy parkuję Baby za sklepem Penny Boards Surf. Porter zaproponował, żebyśmy się tu spotkali. Mówi, że jego tata może naprawić uszkodzony zamek w moim siodełku, ponieważ okazuje się, że Davy wziął łom i schrzanił zamek. Denerwuję się na spotkanie z jego tatą. Naprawdę się denerwuję.

To jest pomyłka. Tak sędzę. Nie jestem pewna, co do mnie mówił, zapraszając tu teraz, ale z kolei naprawdę nie wiem, co innego mogłabym zrobić ze swoim skuterem.

Mój własny ojciec nie był zbyt szczęśliwy, kiedy wrócił wczoraj wieczorem do domu z San Jose, a ja powiedziałam mu o skradzionym skuterze. Gdyby tylko znał całą historię, dostałby ataku serca – więc naprawdę jest szczęściarzem, że ma taką córkę, która dba o jego serduszko i podaje mu tylko te fakty, które są mu niezbędne. A te fakty są następujące: skuter został skradziony z parkingu Jaskini, ale jeden bohaterski ochroniarz, Porter Roth, dogonił niesfornych nastolatków, już poza terenem muzeum, otrzymując kilka ran w trakcie zatrzymywania, i odzyskał mój skuter. Niestety Porter nie był w stanie zidentyfikować chłopców, którzy zabrali skuter, inaczej zgłosiłby to na policję.

– To wszystko wydarzyło się tak szybko – powiedziałam. – Cieszę się, że tam był.

– Nie widział twarzy złodziei?

Ups...

– Padało. Uderzyli go i uciekli.

– Nadal uważam, że powinniśmy powiedzieć Wandzie.

– Ochrona muzeum się tym zajmuje, tato. Pozwól im wykonywać ich pracę, dobrze?

Tata uniósł ręce.

– No dobrze, Mink. Po prostu cieszę się, że z tobą wszystko w porządku. A Grace zna kogoś w mieście, kto pomoże ci naprawić siodełko?

Kolejne kłamstwo. Ale niezbędne, ponieważ, choć mój tata jest świetny pod wieloma względami, nie jest majsterkowiczem. Więc dla niego jest okej pozwolenie tej tajemniczej osobie z miasta naprawić co trzeba; jest nawet szczęśliwy, że pożyczca mi pieniądze na nowe zabezpieczenie. Nie zasługuję na niego.

Tak wsiadłam do pociągu ze stresem. Jechałam nim dalej, bo wiedziałam, że muszę spotkać się z Xanderem Rothem, synem Pennywise'a, ocalałym z ataku żarłacza białego, ojcem chłopaka, z którym się obejmowałam... a potem poszłam do domu i zanim zasnęłam, zrobiłam coś pod kołdrą, o czym się nie mówi, myśląc o tym wszystkim, co robiłam z rzeczoną chłopakiem. I w ten sposób nie zdarzają się nastoletnie cięże, jestem całkiem tego pewna.

A potem jazda nabrała prędkości, bo dostałam dzisiejszego ranka tę głupią wiadomość od Alexa. Ponieważ brzmiała tak, jakby nie chciał, żebym tu przylatywała. To znaczy oczywiście ja już tutaj jestem, ale on o tym nie wie. A jeśli ja już kupiłam bilety? I dlaczego nagle zaczął być tak cholernie zajęty? Czy poznał inną dziewczynę? Bo dla mnie to tak brzmi.

Nie wiem, czemu tak bardzo mnie to rusza. Jakbym nie robiła tego samego (helo, podwójny standard). I nigdy nie obiecywaliśmy sobie, że oboje zachowamy siebie dla drugiego z nas. Może nawet nie wytrzymałybyśmy ze sobą w realu. Czy to nie dlatego byłam taka ostrożna na samym początku i narysowałam mapę promenady z legendą? Szukałam go po kryjomu, na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że jednak nie pasujemy do siebie?

Ale nic nie wychodzi tak, jak zaplanowałam. Coś nas z Alexem łączy – przynajmniej sympatia w necie, ale kto wie, jak byłoby w rzeczywistości? Z drugiej strony pomiędzy mną a Porterem jest sympatia w realu, a tak bardzo się różnimy. Jego życie jest sporym bałaganem, a ja nie lubię bałaganu. Bądź tam, zrób tamto. To dlatego zostawiłam mamę i Nate'a LLC. I jeszcze ten mały szczegół, że nie powinnam nawet być w jego pobliżu, dzięki policyjnym

ostrzeżeniom Wandy, och. Ale to jest część wyzwania, prawda? Ponieważ bycie z Porterem jest szalone i ekscytujące. I bardziej niż w jakimś thrillerze nie mam pewności, kto umrze przed końcowymi napisami.

Ciemnoniebieski van zatrzymuje się za mną i parkuje na miejscu dla sklepu. Ale to nie jest van Portera. I to nie Porter prowadzi – czy jedzie, tak dla jasności. Dwoje ludzi wyskakuje z samochodu, oboje zerkają na mnie z ciekawością. Pierwszy jest pan Roth, ma na sobie lekką żółtą wiatrówkę, z jednym rękawem zaszytym, drugą ktoś, kogo rozpoznaję ze zdjęć jako siostrę Portera, Lanę. Oboje są nieco mokrzy i zakładam, patrząc na krople wody, które kapią z desek na vana, że właśnie wrócili z plaży.

– Cześć – mówi Lana, żując gumę, superprzyjazna i otwarta. – Jesteś dziewczyną Portera.

Jestem? Rozpiera mnie radość.

– Pracuję z Porterem – mówię, a ona spaceruje powoli koło vana. Boże, ma kocie ruchy zupełnie jak on, zmysłowe. Ma na sobie dopasowaną bluzkę z długimi rękawami i szorty – włożyła cokolwiek po zdjęciu mokrego stroju, jak sądzę. Jest zbudowana jak Porter. Nie jest szczupła jak modelka, ale muskularna. Masywna i kształtna.

– Lana – mówi wesoło, przeżuwając gumę.

– Bailey – odpowiadam.

– Bai-ley. Tak, teraz pamiętam – mówi, uśmiechając się powoli. Jest młoda i ładna, żadnego makijażu, długie, kręcone włosy. Bardzo swobodna. Bezpośrednia jak Porter. – Gada i gada o tobie. Hej, ojczulku, to jest ten skuter, który rąbnął Davy.

Pan Roth, który do tej pory zupełnie mnie ignorował, już trzyma rękę na tylnych drzwiach sklepu. Zerka na skuter, a potem obrzuca mnie krytycznym spojrzeniem.

– Prowadzasz się z Davym? – pyta opryskliwie. Nie Porter. Davy.

Cała jestem w szoku.

– N-nie. Boże, nie.

– Ponieważ ostatnia tak robiła, i czemu Davy go ukradł, jeśli nic takiego nie ma? – Rzuca mi spojrzenie, jakbym myślała, że jest idiotą. – Spodziewasz się, że uwierzę, że mój syn wraca do domu z opatrzoną twarzą bez powodu? Jak jakiś

bandzior, walka na ulicy? Wychowałem go na lepszego.

– Tato – mówi Lana niemal tak samo zażenowana jak ja. – Bronił jej honoru.

– Dlaczego potrzebuje obrony? – Teraz pan Roth macha na mnie ręką ze złością. – Czemu Davy to ukradł?

– Nie wiem – odszczekuję mu, sama zaskoczona. – Może dlatego, że jest kanalią, która myśli, że dorobi się szybkiej gotówki. Ale ja go nie zachęcałam. Nawet go nie znam.

Drzwi sklepu otwierają się szeroko. Porter wybiega, bez tchu. Wygląda... okropnie. Rozcięcie na jego policzku jest ciemnoczerwone i spuchnięte. Guz na skroni nabrał teraz brzydkiego niebieskobłęszystego koloru. Jego zwykle ogolony zarost jest teraz ciemniejszy i grubszy.

– Tato – mówi. – To jest Bailey Rydell. Pamiętasz, mówiłem ci o naprawie siodełka skutera, ostatniego wieczoru? Taki jak ten, który kiedyś naprawiłeś panu Stanleyowi.

Zaczynam się zastanawiać, jak ktoś jednoręki może naprawić cokolwiek – i szczerze, z jego podłą postawą wobec mnie, nie sądzę, żeby mnie to obchodziło.

Jego ojciec nie mówi nic przez kilka sekund. A potem patrzy na mnie.

– Nie znam żadnych Rydellów. Kim są twoi rodzice?

Nim zdążę odpowiedzieć, odzywa się Porter.

– Już ci mówiłem. Jej tata mieszka w starym domu McAfee'ego. Jest księgowym. Widuje się z Wandą Mendozą. Bailey przeprowadziła się tutaj w maju, ze Wschodniego Wybrzeża.

– Ach tak, sierżant Mendoza. Ona jest w porządku – mówi jego tata, nadal szorstko, ale nieco łagodniej, jakby tylko w połowie wierzył Porterowi, ale może zastanawia się nad uwierzeniem mu wkrótce. I – pach! – ot tak, przesłuchanie skończone.

– Idź do środka i pomóż mamie – mówi Lanie, a potem odwraca się do Portera.

– Przynieś zielone pudełko z narzędziami z vana. Potrzebuję również kluczyka do jej siodełka.

Pan Roth nie zwraca się do mnie. Zostałam odprawiona. Nie bardzo wiem, jak się z tym czuję. Całkiem marnie, jak sądzę. Porter zwykł myśleć, że jestem dla niego zbyt wykwintna, ale teraz jego tata myśli, że nie jestem wystarczająco dobra, by się umawiać z jego synem? I co to niby było, to jego założenie, że widuję

się z Davym, ponieważ „ostatnia” tak robiła? Czy to ta Chloe, o którą kłócili się Porter i Davy przed sklepem ze starymi ciuchami na promenadzie? Człowieku. Ten gość to nie jest bułka z masłem. Porter opisał go jako ostrego sierżanta i wcale nie żartował. Sądzę, że jedynie podrzucenie przez Portera imienia Wandy dało mi przepustkę.

Przyjście tu było zdecydowanie ogromnym błędem. Żałuję tego bardzo i chciałabym jakoś się stąd wycofać, ale nie widzę sposobu.

Kiedy podaję Porterowi kluczyk do skutera, on milcząco, porusza ustami, *sorry*, do mnie i ściska mi dłoń, i taka odrobina kontaktu osobistego sprawia, że czujesz się tak jak wtedy, kiedy budzisz się w weekend i dochodzi do ciebie zapach szykowanego śniadania: zupełnie nieoczekiwanie i cudownie. Jeden zakazany pocałunek (okej, dwa – okej, cudowne pocałunki) i mojego ciała nie obchodzi, że tata Portera mnie nienawidzi, i jestem daleka od paniki; zbyt zajmujące jest cieszenie się tymi rzeczywistymi, prawdziwymi, żywymi drżeniami wywoływanymi przez dotyk chłopaka – surfera. Niedobrze. Nagle jestem tak przerażona, że jego tata zobaczy moją reakcję, że odrzucam jego rękę jak gorący kartofel.

Tchórz, tym jestem. Brakuje mi jakichś pięciu sekund do odwrócenia się na pięcie i ucieczki, niewracania nigdy więcej, więc kiedy Lana wskazuje głową na sklep, jestem już tak zmieszana, że idę za nią. Lepsze to niż pozostanie na zewnątrz z ostrym sierżantem. Lub Porterem – przy którym mogłabym zemdleć na oczach jego taty. Nie mogę już sobie ufać. Co się ze mną dzieje?

– Tata nie miał zamiaru zaprezentować się w ten sposób – mówi Lana, kiedy idziemy przez sklep wypełniony półkami z pudłami. – Jest po prostu zrzędlivy. Myślę, że non stop boli go ramię, ale prędzej umrze, niż się do tego przyzna. Słyszałaś kiedyś o bólach fantomowych?

– Tak – mówię. Trochę. Ci, którzy wracają z wojny, po amputacji nadal czują utraconą kończynę.

– Słyszałam, jak mówił mamie, że nadal czuje ból w ramieniu, mimo że go nie ma. Dręczą go koszmary i tego typu rzeczy. Nie weźmie pigułek ani nie pójdzie do lekarza, ponieważ jest przerażony, że się uzależni. Nasz dziadek był alkoholikiem. Tata nie chce stać się taki jak on.

Nie mam czasu przepracować tego wszystkiego, co usłyszałam, bo otwierają się

inne drzwi i mrużymy oczy od wpadającego przez okna sklepu słonecznego światła. Sekwoje i jasne kolorowe deski otaczają ściany; z głośników pod sufitem płynie muzyka. Nie ma ruchu, ale kręci się kilka osób, oglądają deski i kombinezony, i rozmawiają o technikach surfowania.

Zabawne, ale to jest jedno z tych miejsc, które były zamknięte podczas lunchu za każdym razem, kiedy przychodziłam, żeby to odhaczyć na mapie Alexa, albo też byłam rozkojarzona, ponieważ moja ulubiona budka z goframi jest na zewnątrz – widzę ją stąd, również fale uderzające o molo – i ten zapach cynamonu, który teraz czuję, w połączeniu z kokosowym woskiem Portera. Niebiańska kombinacja, niemal erotyczna. Z pewnością nie o tym chcę myśleć, kiedy spotykam jego rodzinę.

Lana przeciska się między akcesoriami, wesoło witając klientów, i kieruje się na tyły sklepu. Pochyla się nad ladą i stuka w ramię kobietę w średnim wieku o brązowej skórze z cudownymi zaokrągleniami ciała i masą mocno kręconych, hebanowych włosów. Lana odciąga ją od rozmowy, szepcząc jej coś do ucha. Kobieta z całą pewnością jest Polinezyjką i również z całą pewnością ich matką. Wow, szalone rodzinne podobieństwo. Matka i córka patrzą w moją stronę. Obie się uśmiechają.

– Dzień dobry – woła mama, obchodząc ladę, by się przywitać. Ma na sobie jeansy i luźny top. W przeciwieństwie do reszty rodziny nie jest muskularna ani szczupła, ale bardziej delikatna i pulchna. Burza włosów zatknięta za jedno ucho sięga jej do bioder. – Jestem mamą Lany i Portera. Możesz mówić do mnie pani Roth albo po prostu Meli. Wszyscy tak mówią.

Boże, ona jest taka ładna... taka miła. Uśmiecha się tak szeroko. To wygląda jak pułapka.

– Bailey – odpowiadam.

– Bailey Rydell – dodaje, zaskakując mnie. – Porter mówi, że pracujesz z nim w Jaskini.

– Tak, proszę pani.

– Tata był dla niej superzłośliwy – raportuje Lana.

Pani Roth się krzywi.

– Tak mi przykro. Czasem tak ma. Trik polega na tym, żeby zagrać z nim w tę grę złości i pokazać mu zęby – imituje szczerzącego zęby psa, co jest w pewien

sposób urocze – lub rób to, co ja, i po prostu go ignoruj.

– I nie pozwól się oszukać jego gadaniem – dodaje Lana. – To mama nosi spodnie w tej rodzinie.

– Dokładnie tak, kochanie. – Pani Roth obejmuje córkę. – I jak poszło dziś rano? Znalazłaś coś dobrego do surfowania?

– Nie, tylko się popluskalam. Porter miał rację, jak zwykle. Wiatr od morza łamał fale. – Lana zerka na mnie i rozpromienia się. – Powinnaś pójść z nami któregoś ranka, zobaczyć, jak surfujemy. Porter lubi, kiedy ktoś go wspiera, w kontrze do krzyków taty.

Pani Roth potwierdza, uśmiechając się.

– A chłopak, och, jak to chłopak, będzie się przed tobą popisował, moja droga. Powiedz mu, że chcesz z nim pójść pewnego ranka posurfować, kiedy będą dobre fale. Spodoba mu się. Powiedz tylko słowo, a on będzie non stop wysyłał ci raporty pogodowe.

– Ma obsesję na punkcie pogody – dodaje Lana.

– Wiem – mówię to zbyt szybko, nie mogąc się powstrzymać.

Obie uśmiechają się do mnie, jakbym poznała jakiś ważny sekretny kod rodzinny.

Pani Roth zerka ponad głowę Lany i unosi rękę do klienta.

– Hej, kochanie – zwraca się do Lany. – Mogłabyś oddać mi przysługę i pomóc panu Dennisowi?

Lana wydaje dźwięk, jakby się dławiała.

– Może kiedy zaczniesz mi płacić tak jak trzeba.

Pani Roth rzuca mi zawstydzone spojrzenie.

– Nie rozpowiadaj tego, dobrze? Nie zmuszam ich do pracy to...

– Praktycznie to coś w tym stylu – mruczy Lana, chichocząc, kiedy jej mama szczypie ją w talię.

– Po prostu takie czasy teraz – kończy wyjaśnienie pani Roth.

– A Porter i ja jesteśmy jedynymi frajerami, którzy pracują za friko – dodaje Lana. – Pójdę pomóc panu Dennisowi, ale tylko jeśli pozwolisz mi dzisiaj wieczorem zostać godzinę dłużej.

– Pół godziny i idź, idź, idź. Chyba jest lekko wkurzona. – Pani Roth odwraca się w stronę frontowych drzwi, zirytowana; ktoś wyładowuje przed nimi stos pudeł.

– Dostawy są od tyłu. Ile razy mam powtarzać temu gościowi? Och, Bailey, muszę się tym zająć. Przykro mi. Chciałabym trochę z tobą porozmawiać. Zostań tutaj.

Kiedy wybiega, aby pokierować dostawcą, obserwuję Lanę starającą się zdjąć deskę z najwyższej półki, gdzie utknęła pomiędzy innymi. Jest muskularna – przeciwieństwo wymuszkanej laluni – ale to jest ciężka praca, więc ciężko oddycha, potrząsa ramieniem i żartuje, że niemal zmiażdżyła sobie rękę, ściągając tę deskę. Tylko ich czwórka prowadzi ten sklep? A przy ograniczeniach pana Rotha, siłą fizyczną muszą wykazać się pozostali, mama i dwoje nastolatków, z czego żadne z nich nie dostaje pieniędzy. A potem Porter musi pracować na cały etat w Jaskini.

To naprawdę, naprawdę boli.

A co będzie, kiedy zaczniesz się jesienią szkoła, a Lana i jej tata pojedą na zawody? Czy pani Roth będzie prowadziła sklep sama? Jak Porter utrzyma dobre stopnie, pomagając mamie w sklepie i nadal pracując w Jaskini?

Mój telefon oznajmia nadejście wiadomości. Ku mojemu zaskoczeniu od Patricka. Tak, Patrick złamas z Killian's Whale Tours, mój gej: „Hej, jesteś wolna? Chcesz iść na kawę do Shacka? Mam nowe rzeczy z festiwalu filmowego”.

I co ty na to? On nie uważa mnie za ofiarę losu po naszej nieudanej „randce” w sklepie z filmami. Zanim udaje mi się odpisać, otwierają się drzwi i wpada Porter, z szerokim uśmiechem na twarzy. Z radością pędzi do mnie, ale ja zauważam jego tatę za nim... i drętwieję.

– Tata naprawił siodełko. Możesz jeździć.

Pan Roth podaje kluczyk bez patrzenia mi w oczy. Ja chyba też nie patrzę mu w oczy. Może się udać, jeśli oboje będziemy unikać jedno drugiego.

– Nadal ma wgniecenie – mruczy – i może się zacinać, kiedy otwierasz skrytkę, ale nic nie mogę z tym zrobić.

– Będziesz musiała trochę pokręcić kluczem i uderzyć dłonią – dodaje Porter radośnie.

– Albo oddaj go gdzieś, gdzie zrobią to profesjonalnie – mówi pan Roth. – Ale co najgorsze, nie zawsze uda ci się otworzyć skrytkę, więc być może będziesz wolała nosić kask ze sobą, póki nie będziesz miała pewności. I zdobądź lepsze zabezpieczenie.

– Zaraz pojedę jakies kupić – mówię mu. Drapię się w rękę zakłopotana. –

Dziękuję za pomoc.

Odwracając wzrok, burczy i wzrusza ramieniem, które nie ma ręki. Po kilku sekundach niewygodnej ciszy, kiedy myślę, że może się odwróci i wyjdzie bez słowa, przyszpila mnie twardym spojrzeniem i wskazuje palcem prosto w moją twarz.

– Naprawdę chcesz mi podziękować? Następnym razem, kiedy spotkasz Davy’ego Truanda, zadzwoń do mnie w dzień lub w nocy, a ja dokończę to, co zaczął Porter. Ten chłopak jest głupi i niebezpieczny, i z całą pewnością ma cię na oku, więc powiem ci to, co mówię własnej córce: trzymaj się od niego najdalej, jak tylko możesz, ale jeśli będzie się kręcił gdzieś koło ciebie, wyciągnij telefon i zacznij wybierać mój numer, słyszysz mnie?

Hm?

Ogarnia mnie zdziwienie i cichy pomruk wydostaje mi się z gardła. W pewien sposób znowu na mnie krzyczy, ale to jest raczej takie ojcowskie pokrzykiwanie, i nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że oferuje skopanie tyłka Davy’emu za mnie. Zerkam na Portera dla potwierdzenia, a on nadal uśmiecha się szeroko.

To wszystko jest takie pomieszane.

Jedyne, co jestem w stanie zrobić, to pokiwać głową na potwierdzenie. Więc kiwam kilka razy. Wygląda na to, że zyskało to aprobatę pana Rotha. Kiwa głową do mnie również kilka razy. A potem mówi do Portera, żeby przestał stać jak słup i pomógł mamie z dostawą, która teraz podjeżdża pod tylne drzwi. Obserwuję go, jak idzie do pani Roth, osłupiała.

– Lubi cię – szepcze Porter blisko mojego ucha, wywołując małą kaskadę dreszczy na mojej głowie. Wkurza mnie, że działa tak na mnie publicznie, zwłaszcza kiedy jego rodzina jest w pobliżu.

Wreszcie odzyskuję głos i pytam:

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Dla mojego taty to było praktycznie przytulenie i powitanie cię w rodzinie. Powiedział, że masz charakter.

Artful Dodger nie ma charakteru. Czy stało się to dlatego, że mu odpyskowałam? Ciężko mi teraz o tym myśleć, bo Porter łączy swój palec wskazujący z moim.

– Hej, Porter – woła czyjś głos.

Puszczam jego palec, unoszę wzrok i widzę panią Roth, jak słodko uśmiecha się z drzwi na tyłach pokoju. Ciemne włosy otaczają jej ramię.

– Przepraszam, dzieciaki – mówi.

– Spotkałyście się już? – pyta Porter.

– Owszem – odpowiada. – A Bailey zamierza pójść z tobą pewnego ranka nad ocean, by obserwować cię, jak to robisz.

Porter unosi brwi, a wyraz jego twarzy trudno rozszyfrować, jakby trochę zakłopotany, ale jednocześnie szczęśliwy.

– Tak?

– Jeśli chcesz – mówię.

– Tak, może – odpowiada. – Na pewno powinnaś zobaczyć Lanę. Jeśli jesteś w stanie wstać tak wcześnie.

– Tak, może – przedrzeźniam go. – To znaczy, nie wiem nic na temat pływów i fal, i tego wszystkiego, więc musisz mnie powiadomić, gdzie i kiedy to będzie.

Pani Roth unosi entuzjastycznie kciuk do góry od drzwi, a potem szybko opuszcza rękę, zanim Porter to zauważy.

– Jak dla mnie brzmi to jak jakiś plan – mówi. – I przykro mi, że muszę to przerwać, ale naprawdę potrzebuję trochę pomocy tam z tyłu, Porter?

– *Sorry*, obowiązki wzywają.

Kręcę głową lekceważąco. Muszę kupić nowe zabezpieczenie skutera przed pracą. Jest jeszcze sporo czasu, ale on najwyraźniej ma tutaj do zrobienia różne rzeczy, więc nie mówię tego. Mówię mu po prostu, że też jestem zajęta, dziękuję mu raz jeszcze i proszę, aby raz jeszcze podziękował swojemu tacie, który zniknął gdzieś z Laną. Pani Roth macha mi na pożegnanie ręką znad sterty pudeł, kiedy wychodzę.

Nadal mam kilka godzin do zabicia przed pracą, wystarczająco dużo, by kupić zabezpieczenie, więc odpisuję Patrickowi i planuję spotkać się z nim w Pancake Shack, jak tylko przetestuję swój nowo nareperowany zamek przy siodełku. Kiedy piszę esemesa, wychwytyuję okiem wysoko na rynn timer białe futro: kot. Dwa koty właściwie. Jest tam mój pręgowany od gofrów, Señor Don Gato, która idzie za dużą, puszystą białą kotką. Śmieję się głośno – nie mogę się powstrzymać – ponieważ to jest jak w tej piosence dla dzieci. Mój Don Gato znalazł prawdziwą miłość.

– Nie skacz! – krzyczę do Don Gato. Oba koty patrzą na mnie pytająco. – Zaufaj mi w tym jednym, możesz sobie złamać łapkę i umrzeć. Ten głupi biały kot nie jest tego wart. Ale jeśli skoczysz, pamiętaj, że podczas twojego pogrzebu zapach ryby przywróci cię do życia, lub prawdopodobnie, w twoim wypadku, zapach gofrów.

Don Gato ląduje na rynnie i zaczyna lizać łapę. Nie mogłaby mniej przejąć się moim ostrzeżeniem. Cóż, próbowałam. Gdzieś na tej promenadzie, mam cichą nadzieję, żyje sobie mądrzejszym życiem niż te dwa tutaj cudowne koty, ryzykujące uszkodzenie ciała na dachu, Sam-Jestem... a wtedy przypominam sobie, jak mnie spławił Alex.

– Wiesz co? Pieprzyć to. Macie dziewięć pieprzonych żywotów – wołam do kotów, kiedy zapinam kask. – Pożyjcie nimi trochę.

Prywatne wiadomości Alexa w społeczności fanatyków filmów Lumière – nowe!

@alex: Hej, Mink? Nie jesteś na mnie zła, prawda?

@mink: A dlaczego tak myślisz?

@alex: Nie wiem. Po prostu się martwiłem, że możesz być zła, kiedy poprosiłem cię, żebyś najpierw skontaktowała się ze mną, zanim wykupisz bilety na samolot, by tu przylecieć. Od tego czasu nie pisałaś.

@mink: Nie jestem zła. Sądziłabym, że lepiej mnie znasz.

@alex: Errr... czy to żart? Nie mogę ocenić.

@mink: Czasem trudno jest przekazać komuś intencje online. Nieważne, jestem teraz zbyt zajęta, by gadać. Będziemy w kontakcie.

Proszę, pozwólcie mi zachować to wspomnienie, tylko to jedno.

Jim Carrey *Zakochany bez pamięci* (2004)

Myslicie, że dwoje ludzi, którzy, może, mogą się lubić (czasami) i którzy, zdecydowanie, zwykle (niemal zawsze) pracują razem, jest w stanie znaleźć trochę czasu – albo jakikolwiek czas, naprawdę – żeby pobyć ze sobą. Jeśli nie na pocałunki, to przynajmniej na rozmowę. Ale cały tydzień minął i jedyne, co dostałam od Portera po mojej wizycie w sklepie jego rodziny, to codzienne powitanie, dużo uśmiechu i wystarczającą liczbę zdesperowanych, rzuconych z lobby spojrzeń, by wypełnić całą jaskinię.

Każdego dnia oglądałam, jak jaśnieją jego siniaki na twarzy, a rany się goją, ale kiedy zniknęły, zniknęły też wspomnienia tego, co było między nami, i czuję coś zbliżonego do fizycznego wycofania się. Oczywiście, otrzymywałam od niego esemesy podczas pracy. Między innymi takie:

„Na skali od 1 do Hadesu, jak wilgotne jest dzisiaj Gorące Pudło?”

„Powinnaś częściej wkładać do pracy sandały. Masz seksowne stopy. Może to dla mnie stopy są fetyszem”.

„Myślałem o wślizgnięciu się do twojego domu ostatniej nocy, ale nie chciałem ryzykować, że narobię ci kłopotów, jeśli twój tata mnie przyłapie”.

„Zmęczyłem się. Zrobmy sobie drzemkę razem w dużym tipi”.

A kiedy napisał do mnie: „Myślę, że potrzebuję pomocy medycznej. Czy przyjdiesz zająć się mną znów?”, niemal spadłam ze stołka w budce biletowej.

Ale kiedy mu odpisałam, że zaraz mogę przyjść, jego odpowiedź brzmiała: „Westchnienie. Chciałbym. Pangborn siedzi obok mnie. Dziwne”.

Ten chłopak mnie dobija. D-o-b-i-j-a.

Sprawy się miały dużo prościej, kiedy byliśmy przeciwnikami.

– Czasami mam wrażenie, że Porter jest opiekunką Pangborna – mruczę pod

nosem.

Grace podaje bilety przez okienko i wycisza mikrofon.

– Wiesz, co słyszałam? Że całe to zioło, które pali Pangborn, może być naprawdę z powodów medycznych. Stary kozioł może mieć duże R.

Zastanawiam się.

– Co? Raka? Kto ci to powiedział?

– To tylko krążące plotki. Nie wiem, czy to prawda. Wiesz, jak ludzie gadają. Ta dziewczyna z kawiarni, Renee, mówi, że słyszała, że przez lata miał remisję i że używa tego, żeby mieć wymówkę do naćpania się. Więc kto wie? Jak dla mnie nie wygląda na chorego.

Dla mnie też, ale czy na pewno nie jest? A poza tym nie zamierzam wstać i spytać go wprost. Nienawidzę plotek. Przykro mi, że ludzie gadają o Pangbornie za jego plecami.

– A tak przy okazji, co się do cholery dzieje między wami dwojgiem? – pyta mnie Grace, ustawiając przenośmy wiatrak.

– Pangbornem i mną?

Rzuca mi Grace'owy przewrót oczami, który jasno komunikuje: Wiesz, o co pytam; nie udawaj głupiej.

– Porterem i tobą.

– Spadaj – mówię opryskliwie. Już jej powiedziałam o całowaniu. Bez szczegółów. Cóż... z pewnymi szczegółami. Grace ma swój sposób na wyciąganie ich ze mnie. – Może umawia się z kimś innym i próbuje żonglować dwiema dziewczynami naraz.

Grace kręci głową.

– Żadnej innej dziewczyny. Pracuje w sklepie, każdego dnia po wyjściu stąd. A sklep otwarty jest do dziewiątej. A potem wraca i pracuje tam każdego ranka, jeśli nie surfuje. Kiedy miałyby czas na inną dziewczynę?

Dobry argument. Czuję się winna już za sam żart.

– Widziałam, jak kłóci się z panem Cavadinim na temat grafiku, który właśnie dostał – mówi, kiedy dzwoni jej telefon. Sprawdza wiadomość, odpisuje coś i uśmiecha się do siebie.

– I?

Wzrusza ramionami, wydając bilety przez okienko.

Teraz mój telefon brzęczy. To Porter. „Oboje mamy jutro wolne. Jeśli nie jesteś zajęta, chciałabyś pójść na randkę? Czas: jutro po południu do...? Szanse na przyłapanie przez tatę: bardzo małe (proszę, powiedz tak)”.

Zerkam na Grace.

– Wiedziałaś o tym?

– O czym? – pyta okaz niewinności. – Tak, będę cię kryć. Możesz powiedzieć tacie, że spędzisz dzień ze mną. Ale moi rodzice chcą cię poznać, więc przychodzisz na obiad w czwartek. Nie gramy w szalone gry planszowe, ale mój tata gotuje i będzie cię zmuszał do pomocy w kuchni, gdzie będzie opowiadał głupie żarty, więc cię ostrzegam.

– Wiszę ci wielką przysługę, Grace. – Nie mogę wystarczająco szybko odpisać: tak.

Następnego dnia w południe parkuję Baby w alejce za sklepem surferów, wciskając ją we wnękę pomiędzy budynkiem a vanem pana Rotha. Pani Roth powiedziała, że będzie miała na nią oko, ale zapewnia mnie, że nikt o zdrowych zmysłach nie będzie kradł niczego od nich. Jedno spojrzenie na przerażającego tatę Portera i jej wierzę. Ale nie jestem już taka pewna w kwestii Davy’ego, kradnącego ponownie Baby, czuję po prostu ulgę, że mogę upchnąć skuter tutaj, gdzie mój tata nie będzie mógł jej zobaczyć, jeśli wyjdzie i będzie się tu kręcił.

Wślizguję się na siedzenie pasażera w vanie Portera i wyglądam skraj spódnicy w starym stylu, kiedy on pędzi drogą, przez co wszystkie jego gumowe potwory komicznie podskakują. Jest słonecznie i jasno, piękny letni dzień, a my nie powiedzieliśmy sobie wielu słów. Oboje jesteśmy zdenerwowani. Przynajmniej ja i jestem przekonana, że on też, ponieważ oddycha ciężko i głęboko, i nie jest taki rozmowny jak zwykle. Nie powiedział mi jeszcze, dokąd jedziemy, tylko że muszę się przygotować na trochę łażenia.

– Tam jest klimatyzacja, nie martw się. Nie zaprowadziłbym cię do miejsca z temperaturami jak w Gorącym Pudle w twój wolny dzień. – Powiedział mi wczoraj na parkingu po pracy. Poza tym nie wiem nic.

– Naprawdę nie zapytasz, dokąd jedziemy? – mówi w końcu, kiedy jedziemy na południe Pacific Coast Highway wzdłuż oceanu, mijając promenadę oraz Jaskinię.

– Lubię tajemnice. – Pojawia się kilka wspomnień z naszej ostatniej podróży

tędy, kiedy szukaliśmy mojego skutera, ale nie zamierzam wyciągnąć tego tematu. Próbuję rozwiązać zagadkę sama, dedukując na podstawie kierunku, w którym jedziemy, i czasu wyjazdu – nie do końca na pierwszą romantyczną randkę – i tego, co ma na sobie: jeansy, wypuszczoną na wierzch koszulkę w kolorze wina, która wręcz obscenicznie dobrze leży na jego piersi. Nie mogę przestać rzucać spojrzeń na jego ramiona. Ponieważ, bądźmy szczerzy, to są wspaniałe ramiona. Wspaniałe ramiona, które prowadzą do wspaniałych rąk... a ja chciałabym, aby te ręce w tej chwili mnie dotykały.

Kiedy już raz zasmakujesz cudownego pocałunku, czy nie możesz umrzeć, jeśli nie dostajesz kolejnego? Bo ja właśnie tak się czuję. Może lubię go bardziej, niż on lubi mnie. Boże, ta myśl wyprowadza mnie z równowagi i przyprawia o lekkie mdłości. A może ja go w ogóle nie lubię. Może ta relacja trzyma nas razem ze względu na dreszczyk dobrych kłótni i czystego pożądania, i mój pierwotny instykt miał rację. Mam nadzieję, że ta randka nie była błędem.

– Cieszę się, że mi ufasz – mówi, rozluźniając się dzisiaj po raz pierwszy i dostarczając mi odrobinę tego wspaniałego swojego zapachu. – Ponieważ mamy kilka kilometrów przed sobą, przetestujmy twój gust muzyczny.

– Och, bracie. – Oboje wyjmujemy telefony, a on pozwala mi przejrzeć swoją bibliotekę muzyczną. Odkrywam, że mamy niewiele wspólnych upodobań – duże zaskoczenie. Ale, nie jestem pewna dlaczego, prawie się z tego cieszę. Ponieważ kolejne pół godziny spędzamy na rozmowie o zaletach ostatnich kilku er muzycznych – nie zgadzając się prawie we wszystkim – i to jest... zabawne.

Naprawdę zabawne.

– To zabrzmiało dziwnie – mówię po pewnym zastanowieniu. – Ale myślę, że jesteśmy kompatybilnymi dyskutantami.

Rozważa to przez chwilę.

– Bawi cię nienawidzenie mnie.

– Nie nienawidzę cię. Gdybym cię nienawidziła, sprawy byłyby dużo prostsze, uwierz mi. Po prostu myślę, że jesteśmy dobrzy w spieraniu się. Może dlatego, że szanujemy punkt widzenia drugiej osoby, nawet jeśli się nie zgadzamy.

– A może dlatego, że lubimy tak bardzo drugą osobę, że próbujemy jak najlepiej przekonać ją do własnych poglądów.

Parskam.

– Myślisz, że lubię cię tak bardzo, co?

Otwiera dłoń na kierownicy, wskazując na otwartą drogę przed nami.

– Planowałem to cały tydzień jak kompletny idiota. Kto jest tym, który się o to bił?

Ciepło spływa po mojej szyi i policzkach. Szybko zerkam przez okno pasażera i mam nadzieję, że moje włosy zakrywają resztę twarzy, kiedy słyszę, jak znów ciężko oddycha. Jestem szczęśliwa i zakłopotana jednocześnie, kiedy pomyślę, ile trudu sobie zadał, aranżując to. Kłócił się z Cavadinim za nas oboje, aby zdobyć wolny dzień. I zastanawiam się, kto go zastępuje w sklepie – siostra?

– Zaczęłam się obawiać, że zmieniłeś o mnie zdanie w tym tygodniu – mówię do okna.

Czuję pociągnięcie za rękaw. Porter przyciąga moją rękę przez siedzenie i posyła mi czuły, niepewny uśmiech, który odwzajemniam. Tak dobrze znów go dotykać i teraz to ja ciężko wzdycham. Nadal jestem zdenerwowana, ale to jest inny rodzaj niepokoju. Wcześniej mój niepokój śpiewał solo. Teraz to dziwne wyczekiwanie i podniecenie wprowadziło trochę harmonii do tej mieszanki. Jestem harmonią bez zakończenia.

Dotarcie do celu, którym jest najbliższe miasto, Monterey, zajmuje nam prawie godzinę. Jest mniej więcej tej samej wielkości co Coronado Cave, ale wygląda inaczej. Mniej surferów, więcej łodzi i rowerów. Porter pokazuje mi kilka rzeczy, ulicę Nadbrzeżną, Cannery Row, która została rozświetlona przez Johna Steinbecka, słynną lokalną legendę, w książce o tym samym tytule. Nie czytaliśmy jej w szkole – czytaliśmy *Grona gniewu* – ale Porter czytał wszystko Steinbecka, co mnie zaskakuje, dopóki nie zaczyna mówić o wodnych pływaczach i morskim biologu Edzie Rickettsie, który został uwieczniony w książce Steinbecka pod postacią zwaną Doc. Wtedy to zaczęło mieć sens.

Parkujemy kilka domów od plaży niedaleko budynku w stylu hiszpańskim z dachem z terakoty i kamienną rzeźbą wieloryba od frontu. Napis na ścianie informuje: „Pacific Grove Muzeum Historii Naturalnej”.

Porter przypina kluczyki do skórzanego paska, zwisającego na biodrze przy pasku od spodni, kiedy stajemy na ulicy. Sprawdza mój tępy wyraz twarzy, który szybko próbuję zatuszować.

– Wiem, że to może wyglądać dziwnie. Myślisz, hej, pracujemy w muzeum całe

dnie. Czemu mielibyśmy przyjść tutaj?

– Nie myślałam tak – no, może troszeczkę. – Lubię muzea.

I naprawdę, naprawdę lubię.

– Tego ranka na wyciągu powiedziałaś mi, że chciałabyś pracować kiedyś w prawdziwym muzeum – mówi delikatnie, chowając ręce do kieszeni.

Potwierdzam, nagle bardziej niż zakłopotana, i żałując, że zdradziłam się przed nim tak bardzo – a jednocześnie poruszona, że pamiętał.

– Cóż, to nie jest prawdziwa część randki. Mamy spotkanie.

– Spotkanie – powtarzam zdezorientowana.

– Po prostu... chodź.

Budynek z zewnątrz nie wygląda na taki duży, a kiedy idziemy obok Sandy the Whale przez drzwi wejściowe, a Porter płaci niską opcjonalną opłatę za wejście, to nie jest jak w *Doktorze Who*. W środku nie wygląda ani trochę na większy niż na zewnątrz. Ale są tam dwa piętra i jasne oświetlenie. I jest napakowane naturalnymi okazami wystawionymi w szklanych gablotach – wypchane ptaki i zwierzęta, artefakty, zaschnięte rośliny, skały – wszystko z centralnej Kalifornii. I mimo że historia naturalna nie leży w kręgu moich zainteresowań, unosi się tu atmosfera starej szkoły muzeów, która natychmiast sprawia, że się w tym zakochuję.

Wielkie wykopalisko.

– Rodzice zabierali mnie i Lanę tutaj, kiedy byliśmy dziećmiakami – mówi Porter, kiedy idziemy w kierunku głównego pomieszczenia i zatrzymujemy się naprzeciw niedźwiedzia brunatnego, wysokiego na dwa metry, który stoi na drugim piętrze.

– Jest fantastyczny – mówię, odwracając szyję, żeby zerknąć na pysk niedźwiedzia. I zanim zdaję sobie sprawę, jak to brzmi, dodaję: – Wspaniałe oświetlenie.

Jest zadowolony.

– Nie tak jak w Jaskini, cały ten kram jest prawdziwy. A przewodnicy są w porządku. Znają się na swojej pracy. – Zerka na swój zegarek surfera. – Jesteśmy trochę za wcześnie. Mamy pół godziny, co daje nam wystarczającą ilość czasu, żeby zrobić szybką rundę po całym muzeum, jeśli oczywiście jesteś zainteresowana.

– Pół godziny do naszego spotkania z...? – pytam.

– Zobaczysz. – Zatyka swoje dzikie loki za ucho. Wygląda na podekscytowanego i przez moment ogarnia mnie panika, zastanawiam się, czy nie jestem wprowadzana w coś w stylu *Carrie* – w każdej sekundzie zabawa zostanie zepsuta przez wielki kubeł świńskiej krwi wylanej na moją głowę. Zaczynam pytać go o to, aby się upewnić, ale on przerywa moje myśli rodem z horroru. – Nie ma sensu siedzieć i czekać, skoro tutaj jest tyle fajnych rzeczy. Kałamarnica Humbolta, którą przekazał Ed „Doc” Ricketts. Zakonserwowane oko fiszbinowca – mówi z entuzjazmem kogoś, kto właśnie wygrał dwa bilety na premierę na czerwonym dywanie hitowego filmu Marvela.

– Dobra, wchodzę. – Nadal jestem zdenerwowana spotkaniem, ale jednocześnie podekscytowana zobaczeniem muzeum, więc idę za nim.

Prowadzi mnie kolejno przez galerie motyli, mięczaków, skamielin. Na tyłach jest ogród i milion wypreparowanych ptaków – kondor kalifornijski, ahoy! A kiedy wreszcie wskazuje na zakonserwowane oko fiszbinowca, myślę, że widok tego oka będzie mnie nawiedzać już zawsze. Szczególnie po tym, kiedy pochyłam się, żeby mu się przyjrzeć, a Porter straszy mnie od tyłu. Piszczę tak głośno, że wystraszam grupę małych dzieci. Porter nie może przestać się śmiać. Myślę, że mogą nas stąd wyrzucić, więc udaję, że uderzam go w ramię kilka razy, a to niepokoi dzieci jeszcze bardziej.

– Zawsze ci najcichsi są najgroźniejsi – mówi do jednego z maluchów i odciąga go.

– Ty jesteś zagrożeniem dla społeczeństwa – szepczę.

– A ty masz okropny gust, jeśli chodzi o chłopaków. Czas na nasze spotkanie.

Idę za nim znów przez galerię do małego sklepu z pamiątkami, gdzie spotykamy roześmianą, brązowowłosą ochroniarz zwaną pani Tish.

– Wyglądasz jak twój tata – mówi, podając rękę. Na miłość do surfingu, czy wszyscy w Kalifornii znają Rothów? I czy wszyscy najbardziej lubią ojca Portera? To śmieszne. A potem uderza mnie, że pani Tish jest ochroniarzem w muzeum... i Porter jest ochroniarzem w muzeum. Czy jest jakaś sekretna sieć ochroniarzy, o której nie wiem?

Porter przedstawia mnie i mówi:

– Więc, tak jak powiedziałem przez telefon, Bailey chce w przyszłości być

kuratorem w muzeum, w prawdziwym muzeum , nie w takiej badziewiastej atrakcji turystycznej jak Cavern Palace, więc miałem nadzieję, że pozwolisz nam zajrzeć na tyły.

– Żaden problem – odpowiada pani Tish, kiwając głową w kierunku drzwi oznaczonych „personel”. – Chodźcie za mną.

Jestem oszołomiona. Prowadzi nas korytarzami na tyłach. Najpierw pokazuje archiwa i magazyny, gdzie chłopak i dziewczyna, słuchając muzyki, oznaczają próbki skamieniałości na dużym stole. Zostajemy im przedstawieni. Są mili, ale widać, że ulżyło im, kiedy poszliśmy dalej. Zupełnie ich nie winię; solidarność, jaką czuję z nimi, jest kompletna. Wymienić te skamieliny na taśmy ze starymi filmami i mogłaby to być moja wymarzona praca: spokój i cisza, nic innego jak koncentrowanie się na tym, co kochasz. Absolutna błogość.

Potem kierujemy się do biur muzeum, które wyglądają zupełnie inaczej niż w Jaskini. Są mniejsze, oczywiście. Ale ludzie pracują tam nad rzeczami, które mają znaczenie. Prawdziwymi muzealnymi rzeczami – nie zaś tworzeniem limitów sprzedaży i napędzaniem większej liczby klientów. Są tutaj biurka, nieład i podniecenie, a ludzie rozmawiają o wystawach i programach edukacyjnych i popularyzacji.

Pani Tish zatrzymuje się przed biurem oznaczonym tabliczką: „Kurator wystawy”. Puka do drzwi. Schludnie ubrana kobieta spogląda znad biurka.

– Pani Watts? – pyta pani Tish. – Te dzieciaki są z Coronado Cove. Pracują w Cavern Palace. Ta tutaj mówi, że chce pewnego dnia ukraść pani pracę, więc pomyślałam, że może chciałaby pani zobaczyć, jak ona wygląda, i przygotować się.

Momentalnie wpadam w przerażenie, ale pani Watts się uśmiecha i wstaje zza biurka, prosząc, żebyśmy weszli.

– Przyszła kurator? Jestem zachwycona. Usiądźcie.

Wszystko, co potem się dzieje, widzę jak za mgłą. Jest przyjazna i zadaje wiele pytań, na które nie jestem przygotowana. Kiedy zaczyna się orientować, że historia naturalna nie jest moją mocną stroną, wydaje mi się, że czuje się rozczarowana, ale Porter przejmuje pałeczkę i zaczyna mówić o wodorostach i pijawkach, i kobieta znów jest zadowolona. Nastrój się poprawia, bo ona cały czas mówi. Opowiada nam, co robi, i właściwie to jest naprawdę interesujące. A

ona jest superwyluzowana i fajna, i jej praca mi się podoba – to znaczy, teoretycznie.

Kiedy opowiada, rzucam spojrzenie na Portera. Jestem zdumiona. Praktycznie nie mamy romantycznej randki, ale jest to najbardziej romantyczna rzecz, jaką ktoś zrobił dla mnie kiedykolwiek. Przecież by wystarczyło zabrać mnie na film. Kurde, byłabym zadowolona, gdybyśmy zaparkowali na końcu ulicy. Kto robi takie rzeczy? Żaden chłopak, którego kiedykolwiek znałam, to na pewno.

Nie jestem pewna, jak długo tam jesteśmy – minutę czy dwie? – ale kobieta daje mi swoją wizytówkę, a zanim wyjdziemy, podaje mi rękę i mówi:

– Nigdy nie odrzucamy dobrych stażystów. Jeśli chciałabyś kiedyś poświęcić trochę czasu w weekendy, jestem pewna, że da się coś zorganizować. Wyślij mi mejla.

– Dziękuję – zmuszam się do powiedzenia.

Pani Tish i Porter rozmawiają na temat surfowania, kiedy wychodzimy z muzeum, i wydaje mi się, że Porter dał jej czyjś numer telefonu, żeby zdobyć darmowe bilety na jakieś zawody surfingowe, ale nie jestem pewna. Ona wygląda na szczęśliwą. Oboje jej dziękujemy i zbiegamy po schodach, mijając Sandy The Whale w drodze do vana.

– Porter.

– Bailey. – Leniwy uśmiech.

– Porter.

– Bailey. – Jeszcze leniwszy uśmiech.

– To było takie... ech. Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie pomyślałaś, że to głupie?

Uderzam go ramieniem, kiedy przechodzimy przez ulicę.

– Zamknij się. – Jestem zupełnie zagubiona, jeśli chodzi o słowa teraz, zupełnie jak porażona. Czy mógłby być jeszcze miłszy? To, co zrobił dzisiaj, było nie do pomyślenia... o wiele za dużo.

Kilka razy ciężko wzdycham. Nie jestem w stanie wyrazić, jak się czuję. Słowa wypadają ze mnie szybko i nieskładnie.

– Jezu, Porter. To znaczy, co do cholery?

Uśmiecha się szeroko.

– To znaczy, że dobrze zrobiłem?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Przełykam ślinę i wreszcie mówię:

– To dzisiaj było wspaniałe, dziękuję.

– Nie myśl, że to koniec. Nie ma nawet drugiej. Pakuj się, Rydell; jedziemy w kolejne miejsce.

Nie miałam zamiaru się śmiać. Chichoczę jak osoba z demencją. Myślę, że znów jestem zdenerwowana. Czuję się też lekko odurzona. To Porter Roth tak na mnie wpływa.

– Dokąd teraz? – jakoś udaje mi się to wypowiedzieć.

– Jeśli tamto miejsce było skrawkiem mojego dzieciństwa, to teraz zamierzam posadzić cię w pierwszym rzędzie moich koszmarów.

Rodzina Portera ma roczne członkostwo w Monterey Bay Aquarium, które uprawnia również do przepustki dla gościa, więc wchodzimy oboje za darmo. To nie jest małomiasteczkowa atrakcja. Porter mówi mi, że przyciąga dwa miliony odwiedzających w ciągu roku, a ja mu wierzę. Jest ogromne i piękne, i bardziej profesjonalne niż cokolwiek w Coronado Cove.

Dzisiaj zwiedzających jest niewielu i Porter przesuwają się pomiędzy nimi. Z całą pewnością był tutaj setki razy, i w pierwszej chwili myślę, że to może być powtórka z muzeum: zamierza oprowadzić mnie, opowiadając o morskiej przyrodzie. Ale kiedy zatrzymujemy się, by obserwować małego dzieciaka, który omal nie wpadł głową do basenu z płaszczkami, wszystko... idzie lepiej.

Chwytam się za rękę w połowie zaciemnionej wystawy lasu wodorostów. W przeciwieństwie do muzeum historii naturalnej, to miejsce jest bardzo romantyczne i mam nadzieję, że Porter nie słyszy westchnienia radości, które wymyka mi się z ust, kiedy jego palce wsuwają się pomiędzy moje. Nie obchodzi mnie nawet to, że jego knykcie sprawiają mi lekki ból, nie chcę go puścić.

Następne ciemne miejsce to pokój meduz. Są wspaniałe, takie koronkowe i eteryczne, szokująco czerwone i pomarańczowe, unoszą się w górę i opadają w tubach jasnoniebieskiej wody. Porter kciukiem śledzi ich fantazyjne ruchy, głaszcząc moją dłoń rozmarzonymi kołami. Kto może skoncentrować się na meduzach, kiedy jego dłoniom dostarcza się takich atrakcji? (Kto by pomyślał, że to może być tak ekscytujące?)

Byłabym w pełni zadowolona z pozostania z meduzami, ale w pewnym momencie przychodzi tłum turystów, więc szukamy innego miejsca, mniej

popularnego. Nie mówimy sobie tego, ale jestem niemal pewna, że on też tak myśli.

– Dokąd? – pytam.

Rozważa możliwości. Sprawdzamy kilka miejsc, ale jedyne, które wygląda teraz na puste, to takie, dokąd nie chce naprawdę iść. Albo chce.

Sala otwartego morza.

Chyba wiem dlaczego.

– To chciałem ci pokazać – mówi zachrypniętym głosem, a ja jestem jednocześnie podekscytowana i zmartwiona, kiedy tam wchodzimy.

To prawie jak kino. Pomieszczenie jest ogromne i ciemne, a uwagę przyciąga niesamowicie wielkie okno w tafli niebieskiej wody i pojedynczy snop światła skierowany na nie. Nie ma tam koralowców, skał, żadnego barwnego środowiska ryb. Widz ma oglądać głębiny oceanu. Nic, tylko ciemna woda. Widok jest efektowny, ponieważ z pewnością nie wygląda to na zwykły zbiornik wody. Nie ma końca, brak poczucia głębi i długości. Trochę się boję.

Kilka osób kręci się przed ogromnym oknem widokowym, czarne sylwetki na tle szkła. Wskazują na ławice wielkich tuńczyków czy srebrnych sardynek śmigających wokół gigantycznego żółwia morskiego. Podchodzimy do szyby, znajdujemy miejsce z dala od innych. Na początku wszystko, co widzę, to unoszące się bąbelki powietrza i setki małych rybek – są wciąż zajęte, ciągle w ruchu – i nagle coś większego i jaśniejszego porusza się w ciemności za mniejszymi rybami.

Dłoń Portera zaciska się na mojej.

Mój puls przyspiesza.

Mrużę oczy, próbując zobaczyć to większe, jaśniejsze coś, ale odpływa w czarną otchłań. Wydaje mi się, że zauważam to ponownie i przysuwam się do okna, tak blisko, że czuję chłód szkła na nosie. Bez żadnego ostrzeżenia jasne srebro wypełnia moje pole widzenia, zasłaniając czarną wodę. Odchylam gwałtownie głowę od szkła i znajduję się centymetry od ogromnego, przepływającego przede mną rekina.

– Cholera! – zaczynam śmiać się z siebie za odskoczenie, a potem zdaję sobie sprawę, że moja ręka jest niemal zmiądzona, a Porter się nie rusza. Stoi zamurowany, skamieniały jak po spojrzeniu Meduzy, z czołem przyciśniętym do

szkła.

– Porter?

Nie reaguje.

– Ranisz mi rękę – szepczę.

Jest tak, jakby nawet nie wiedział, że tam jestem. Teraz zaczynam być przerażona. Z wysiłkiem próbuję wyciągnąć swoje palce z jego, a to niesamowicie trudne, wręcz niemożliwe. Trzyma mnie w śmiertelnym uścisku, a jest strasznie silny.

Przez krótką chwilę panikuję, rozglądam się wokół, zastanawiam się, co powinnam zrobić. Czy ktokolwiek inny zauważył, co się dzieje? Ale jest ciemno i właściwie nikogo tutaj nie ma. On cierpi w ciszy.

Co ja zrobię? Powinnam go klepnąć? Nakrzyczeć na niego? To tylko zwróciłoby na nas uwagę. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby to pomóc.

– Hej – mówię z naciskiem, cały czas próbując oswobodzić palce. – Hej, hej. Ooch, co to za rekin? Taki sam jak ten, który cię zaatakował? – Wiem, że nie, ale nie jestem pewna, co mogę innego zrobić.

– Co? – pyta nieprzytomnie.

– Czy to twój rekin?

– Nie – odpowiada, mrugając. – Nie, mój to żarłacz biały. Ten to żarłacz galapagoski. One rzadko atakują ludzi. – Wreszcie udaje mi się rozdzielić rękę. Zerka w dół pomiędzy nas po raz pierwszy i zdaje się zauważyć, że coś jest nie tak. – Och, Jezu.

– Już dobrze – zapewniam go, powstrzymując się od nagłego potrząśnięcia moimi bolącymi palcami.

– Cholera. – Twarz mu się chmurzy. Odwraca się ode mnie i patrzy na rekina.

Teraz martwię się, że nasza piękna, idealna randka została zrujnowana.

Muszę zebrać całą swoją wolę, by odepchnąć falę chaotycznych emocji, które skradają się od środka, bo prawda jest taka: nigdy wcześniej nie byłam na randce. Nie na prawdziwej. Nie na takiej, którą ktoś planował. Byłam na kilku zbiorowych randkach, chyba tak się je nazywa, i na kilku spontanicznych, w rodzaju: hej, chcesz pójść pouczyć się po lekcjach w Starbusiu? Ale nie na prawdziwych randkach. To wszystko jest nowym terytorium. Potrzebuję, żeby było okej. Potrzebuję, żeby było normalnie.

Nie panikuj, Bailey Rydell.

Zachowuję lekkość głosu i ciągnę za skórzany pasek na klucze, który zwisa przy jego biodrze, dopóki nie odwraca się znów do mnie.

– Hej, pamiętasz, jak byłam przerażona przy ognisku? Proszę, nie jesteś nawet w połowie tak popieprzony jak ja.

– Skąd wiesz?

– Przepraszam, ale wiem. Tym razem to ty musisz mi zaufać.

– Bailey...

Rekin znów podpływa nieco wyżej. Kołyszę jego kluczem w dłoni.

– Muszę przyznać jednak, niezależnie od tego, co przeszłam, Greg Grumbacher wygląda jak dmuchawiec przy tej bestii. A teraz powiedz mi, jak duży był twój rekin w porównaniu z żarłaczem galapagoskim.

Opadają mu ramiona, jabłko Adama faluje, i to, jak teraz na mnie patrzy, nagle przytomnym wzrokiem, zadowolony – jakby podjął właśnie ważną decyzję – powoduje, że cała w środku się cieszę. I nie jestem już zmartwiona – nie o niego i nie o to, że nasza randka zostanie zrujnowana. Zagrożenie minęło.

Oboje odwracamy się do okna, a on zaczyna mi opowiadać cichym, spokojnym głosem o rekinie z Galapagos i innych imponujących rekinach, które przepływają obok, o rekinie młocie. Mówi o wielkości, kształcie, diecie i stopniu zagrożenia. A kiedy opowiada, przechodzi za mnie i obejmuje mnie ramionami wokół mojej talii – początkowo z pytaniem, ale kiedy przyciągam go bliżej, rozluźnia się i opiera brodę o moje ramię, wtulając się w zagłębienie mojej szyi.

Wie wszystko na temat rekinów. To miejsce to dla niego terapia. I owszem, znieruchomiał na kilka sekund, ale spójrzcie na te ryby. Kto by tego nie zrobił? Nie za pierwszym razem. Jestem pod wrażeniem tego, co przeszedł. Jestem pod wrażeniem jego.

– W mitologii Hawajów – mówi mi we włosy, a jego głos wibruje we mnie – ludzie wierzą, że duchy ich przodków nadal żyją w zwierzętach, skałach i roślinach. Te duchy przodków nazywają *aumakua*, jak duch strażnika, wiesz? Moja mama mówi, że rekin, który mnie zaatakował, to nasz *aumakua*. Że jeśli chciałby nas zabić, zrobiłby to. Ale to było tylko ostrzeżenie dla nas, by brać dobro, przyjrzeć się mocno naszemu życiu i przemyśleć sprawy. Więc powinniśmy to uszanować.

– Jak ty to szanujesz? – pytam.

– Tata mówi, że szanuje to poprzez przyznanie, że jest zbyt stary, żeby być na desce, i lepiej przysłużyć się rodzinie, zostając na suchym lądzie. Lana mówi, że szanuje to poprzez stanie się najlepszą surferką, jaką może być, i nie boi się wody.

Wodzę po jego bliznach palcem.

– A co z tobą?

– Kiedy to odkryję, dam ci znać.

Kiedy srebro rekina młota nas mija, Porter powoli obraca mnie w swoich ramionach. Jestem ledwie świadoma sylwetek ludzi, którzy stoją nieco dalej i patrzą w okno widokowe, ale nie obchodzi mnie to. W pogrążonym w spokojnej ciemności zakątku, gdzie stoimy, ma się wrażenie, jakbyśmy byli sami. Z ramionami otaczającymi jego ramiona odważam się wsunąć palce pod jego luźną koszulę, sunąc nimi w górę, aż dotykam pewnego miejsca na gołej skórze. Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie sama mam blizny, choć nie wiem, czy robię to podświadomie, czy to po prostu przypadek.

Mocno drży i jest to najśłodsze zwycięstwo.

Przyjemne ciepło spływa mi na pierś. Refleksy wody migają na jego wydatnych kościach policzkowych, kiedy bierze moją twarz w obie ręce i pochyla głowę, żeby mnie pocałować, delikatnie, miękko, jakbym była czymś specjalnym, co trzeba uszanować.

Ale jest coś, o czym nie wie, coś, co szokuje nawet mnie. Ja nie jestem łagodnym duchem strażnika; jestem głodnym rekinem. I boję się, że jego ramiona nie wystarczą. Chcę jego całego.

Jesteś słodka, seksowna i gorąca jak dla mnie.

Heath Ledger *Zakochana złoźnica* (1999)

Jeśli przedtem martwiłam się, że umrę z braku kolejnych pocałunków, to teraz wahadło wychyla się w drugą stronę. Z pewnością tym razem przesadziliśmy. Wracam do domu dobrze przed godziną policyjną, o jedenastej, ale do tego czasu mieliśmy z Porterem czas, by zjeść kolację w Monterey w fajnej restauracji, która serwowała surową sałatkę *ahi* z tuńczykiem z Hawajów, zwaną *poke* – pyszną – i jeszcze więcej czasu na zaparkowanie na Parkingu Kochanków i oglądanie zachodu słońca za cyprysami, podczas gdy fale rozbijały się o plażę.

Lub, w naszym przypadku, nieoglądanie zachodu słońca. To jest to, na czym skończyliśmy. Długo kończyliśmy.

A teraz moja sukienka jest w plamach z trawy, a przez ten głupi, seksowny kark Portera moja twarz jest teraz czerwona i spuchnięta, jakby zaatakował mnie wściekły rój pszczoł. I czy naprawdę zostawił mi trzy malinki na szyi? Trzy? Przysięga, że to był wypadek i że jestem zbyt „biała” i zbyt łatwo łapię siniaki. Na początku czułam się tym urażona, ale to może być prawda, ponieważ nie pamiętam żadnego ssania podczas naszych zabaw. A on przeproszał z milion razy...

I znów byłam mocno rozkojarzona, bo leżeliśmy w trawie na platformie powyżej plaży, a on przyciskał się do mnie i to było cudowne. To znaczy, nic poważnego nie zaszło, naprawdę. Głównie sporo dotykania, które nie prowadziło w niewłaściwe rejony, poza moje biodra i dekolt, (Mimo to było miłe. Bardzo miłe.) I wiele ciężkich westchnień, przyspieszonych oddechów i oboje zgodziliśmy się ponownie, że jesteśmy kompatybilni w dyskusowaniu i w całowaniu. A kiedy podrzucił mnie do sklepu z akcesoriami do surfowania, postukał się w skroń i powiedział:

– Dzisiejszy dzień w moim mózgu zapisuje się jako najlepszy w ostatnich wspomnieniach.

W moim własnym mózgu oczy mojego Artfula Dodgera zamieniają się w kreskówkowe serca, które się kręcą.

Ale później sprawy się trochę skomplikowały.

– Co, na miłość boską, ci się stało? – zapytał tata, kiedy wchodziłam do domu, i zobaczył mój stan nieładu.

– Razem z Grace wygłupiałyśmy się na trawie – odpowiedziałam. – Takie tam przepychanki z innymi ludźmi z pracy. Nic poważnego.

Zrobił minę.

– Przepychanki?

Tak. To zabrzmiało jak ja, no dobra. Mentalnie się skurczyłam.

– Co się stało z twoimi ustami? – spytał. Wyglądał na zbulwersowanego, jakbym była zarażona, i chwycił moją głowę w dwie ręce, oglądając mnie chyba w obawie, że i on może to złapać. – Wpadłeś w trujący bluszcz czy co?

– Och, może?

– Powinienem wziąć owsiankę? Nie mam w domu lotionu kalaminowego. Czy pójść do apteki całodobowej?

Byłam dość mocno przerażona w tym momencie.

– Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku. Jedynie drobne oparzenie lub coś w tym rodzaju.

Tata zmrużył oczy. Jego wzrok powędrował niżej. Nie patrz na moją szyję, nie patrz na moją szyję, nie...

Och.

Teraz oboje jesteśmy przerażeni. Puścił moją głowę.

– Dobra, jeśli jesteś pewna.

– Tak, tak, tak. Jestem pewna.

– Znalazłaś swojego fanatyka filmów? Jak mu na imię, Alex?

Skrzywiłam się, bo wspomnienie jego imienia boli.

– Nie rozmawiam z nim w tej chwili. Myślę, że ma dziewczynę, ponieważ mnie spławił. I nie, nie znalazłam go jeszcze.

– Bailey...

– Tato, po prostu... proszę, nie.

– Pozwól mi to powiedzieć, okej? – stwierdził, nagle zirytowany, zupełnie nie jak on, co mnie zaskoczyło. A jemu zajęło chwilę uspokojenie się na tyle, by dokończyć. Ale kiedy znów się odezwał, był poważny i niesamowicie ojcowski. – Wyrosłaś na piękną młodą kobietę i ludzie zaczynają to zauważać, co nie bardzo mi się podoba.

O matko.

Uniósł dłoń.

– Ale akceptuję to. Chociaż chcę z tobą o tym pogadać. Ponieważ sprawa wygląda tak, Mink, czasem ludziom przydarzają się traumatyczne zdarzenia, po których leczą się, aż będą się czuli dobrze. Co jest okej. Ale kiedy są już gotowi do wejścia w świat, mogą zbyt łatwo zaufać i popełniać błędy. Co już okej nie jest. Rozumiesz, o czym mówię?

– Nie do końca.

– Pamiętasz, kiedy mama wygrała tę wielką sprawę rozwodową dla senatora stanowego? Krótco po tym prowadziła auto za szybko na oblodzonej drodze w Newark, na przyjęcie do Katerrów, i samochód wpadł w poślizg, i zamiast cofnąć się, skręciła gwałtownie kierownicą i skierowała gwałtownie samochód w innym kierunku, a my wpadliśmy do rowu?

– Tak – odpowiedziałam. Wszyscy omal nie zginęliśmy. To był koszmar. Trudno to zapomnieć.

– Pomyśl o tym.

Mówił zagadkowo, ale załapałam, o co mu chodzi. Sądzi, że puszczam się z jakimś obcym dla wrażeń. Przez moment chciałam przerwać to i powiedzieć mu wszystko o Porterze, że nie jadę za szybko i nie ryzykuję bez sensu. I na miłość boską, minęły cztery lata! Jak długo mam być w traumie? Czy nie mam prawa sama podejmować niektórych decyzji i cieszyć się życiem? Doceniam jego płynącą z głębi serca troskę o mnie, ale wiem, co robię...

Na ogół.

W każdym razie więcej o tym nie mówił. Tata może być najmiłszym facetem na świecie, ale nie jest ślepy. Na dzień przed obiadem u Grace zasugerował, że mnie podwiezie, żeby poznać osobiście rodziców Grace. Czego mógłby się obawiać? Kiedy jej to powiedziałam, roześmiała się głośno i śmiała tak długo, aż zaczęłam się martwić, że dostanie apopleksji.

W międzyczasie, choć moja wycalowana twarz wróciła do normy, moje serce i wszystkie pracujące części ciała nadal nie są normalne. Ponieważ za każdym razem, kiedy Porter przechodzi w odległości chociaż kilku metrów w pracy, reaguję tak samo. Cztery puknięcia do Gorącego Pudła? Czerwienię się. Zapach kokosa w pokoju śniadaniowym? Czerwienię się. Żarty Portera z Pangborna w korytarzu? Czerwienię się.

A za każdym razem Grace jest obok jak jakiś grecki chór, śpiewający ciche hmm-hmm na potwierdzenie.

Nawet Pangborn zauważył.

– Chora jesteś, panno Rydell?

– Tak – mówię mu w pokoju śniadaniowym pewnego dnia przed pracą. – Najwyraźniej jestem bardzo chora w najgorszy możliwy sposób. I chcę panu powiedzieć, że nie planowałam tego. To zupełnie nie był mój plan. Jeśli chce pan znać prawdę, miałam inne plany na lato! – Myślę o swojej mapie promenady, porzuconej w mojej torebce.

Pangborn powoli kiwa głową.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale w pełni cię wspieram.

– Dziękuję – mówię mu, kiedy odchodzi, gwizdząc.

Pół minuty później Porter zaciąga mnie do ciemnego kąta w korytarzu, rozgląda się i bosko mnie całuje.

– To ja, psujący twoje wszystkie inne plany – mówi złośliwie. I gdybym nie znała go lepiej, pomyślałabym, że jest zazdrosny. A potem odchodzi, zostawiając mnie całą rozgrzaną i niespokojną.

Dostanę załamania nerwowego.

Wtorkowy wieczór w domu Achebe nadchodzi. Rodzina Grace mieszka w szpanerskiej dzielnicy miasta, w domu z cegły. Idealnie przystrzyżony trawnik. Kiedy dzwoniemy z tatą do drzwi, mój puls przyspiesza. Czemu, ach czemu, użyłam Grace jako przykrywki na moje spotkanie z Porterem? To było takie głupie, a teraz, kiedy wszyscy się spotkają, czuję się tak, jakbyśmy zostały przyłapano na kłamstwie – co jest ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzyła, z oczywistych powodów. I ponieważ nie chcę zepsuć tego, co jest pomiędzy mną a Grace. To pierwsza porządna przyjaciółka, jaką mam od dłuższego czasu.

Po drugiej stronie drzwi rozlegają się kroki. Chyba za chwilę zwymiotuję.

Drzwi się otwierają. Staje w nich ciemnoskóra smukła kobieta z długimi hebanowymi lokami. Jej uśmiech jest ciepły i zapraszający.

– Ty musisz być Bailey. – Nie jest to cieniutki głosik Grace, ale z pewnością brytyjski akcent.

Mówię dzień dobry i zaczynam przedstawiać tatę, i wtedy barczysty mężczyzna pojawia się za nią, wycierając ręce w ścierkę.

– To ona? – pyta głębokim głosem pełnym radości. Uśmiecha się szeroko. – Cześć, Bailey, dziewczyno. Patrzcie na jej włosy. Jak u dawnej gwiazdy Hollywood. Której? Nie Marilyn Monroe.

– Lana Tuner – podpowiadam.

Jest pod wrażeniem.

– Lana Turner – mówi powoli z lekkim afrykańskim zaśpiewem. – No, no, panno Turner. Jestem Hakeem Achebe. A to moja żona Rita.

– Pete Rydell. – Mój tata podaje mu dłoń. – Oboje lubimy Grace.

Widzę, jak Grace zagłąda znad schodów, uśmiechając się i jednocześnie zgrzytając zębami. Ona także denerwuje się, że zostaniemy przyłapani na kłamstwie. Cholera?

– My również lubimy Grace – mówi pan Achebe wesoło. – Sądzę, że ją zatrzymamy.

Mój tata się śmieje. Już widzę, jak planuje namówić pana Achebe na wieczór z grammi – ale naprawdę chcę, aby ta rozmowa trwała jak najkrócej, więc mam nadzieję, że tego nie zrobi.

– Ciężko pracują z Bailey w tym Gorącym Pudle – mówi mama Grace z uśmiechem.

– Też słyszałem narzekania na to – odpowiada tata. – Ale cieszę się, że spędzają razem dużo czasu poza pracą.

Podwójna cholera! Proszę, nie wyciągaj tej kłamliwej historii o tarzaniu się z Grace w trawie, tato. Zrobi to? Z pewnością nie. Zerkam na Grace. Cofa się o jeden stopień na schodach. Nie waż się mnie porzucić. Na wszelki wypadek przygotowałam się na opuszczenie sceny. Dokąd ucieknę, nie wiem. Może będę udawać omdlenie.

– Cóż, dzisiaj najpierw praca, potem zabawa. – Tata Grace wskazuje na mnie ścierką. – Mamy sporo do przygotowania w kuchni przed kolacją. Panno Turner,

jesteś gotowa do nowych zadań?

Och, dzięki Bogu. Pan Achebe, mój nowy bohater.

Mama Grace zaprasza mojego tatę na kolację, ale on odmawia, a kiedy mówi mi, żebym się dobrze bawiła, nie mogę szybciej wejść do domu państwa Achebe.

Tata Grace przygotowuje nigeryjskie danie na bazie ryżu, zwane *jollof* – naprawdę pyszne – stek i grillowane warzywa. Przydziela nas do nadziewania warzyw na patyki. Miała całkowitą rację: opowiada najgorsze żarty. Ale opowiada je z takim radosnym podnieceniem, że trudno się nie roześmiać. Grace rzuca mi spojrzenie w stylu: a nie mówiłam?

Resztę wieczoru spędzamy na słuchaniu muzyki w ich ogródku na tyłach domu. Głównie są to zespoły z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, jak sądzę z kolekcji jej rodziców. Grace zdejmuje buty i próbuje wyciągnąć mnie do tańca. Kiedy odmawiam, jej tata nie przyjmuje odmowy. Więc tańczymy do jakiejś piosenki ska w wykonaniu The Specials *A Message to You Rudy*. Jest to głupie i zabawne, a ja jestem okropną tancerką. Grace śmieje się ze mnie, a potem dołącza do nas razem z mamą.

Kiedy wszyscy są zmęczeni, jej rodzice idą do środka, by się trochę odświeżyć, a my kończymy wieczór, chłodząc pięty w zacienionym miejscu ogródka. Opowiadamy sobie o dorastaniu po przeciwnych stronach kontynentu i jej dzieciństwie w Anglii. A potem ona mówi mi o Taranie, jej chłopaku, który jest w Bombaju, gdzie latem odwiedza swoją ciotkę i wuja. Grace i Taran spotykają się już cały rok i już planują iść do tego samego college'u na jesieni. Jestem nieco zaskoczona, ponieważ nie mówiła o nim w pracy. Chciałabym popytać ją o ten związek, ale boję się. Może sprawy nie mają się tak dobrze, jak je przedstawia. Chciałabym zobaczyć tego Tarana osobiście i ocenić go.

– Kiedy Taran wraca do Kalifornii? – pytam, kładąc się obok niej na krawędzi basenu i machając nogami zanurzonymi po kolana w chlorowanej wodzie.

Cienki głosik odpowiada:

– Nie jestem pewna.

To nie brzmi dobrze. Nie chcę odkrywać jej wpływu różnych sił na chłopaka na innym kontynencie, ale jeśli będzie źle dla Grace, to tak zrobię. Przybliżam się do niej trochę bardziej i leżymy z głowami obok siebie, patrzymy w gwiazdy, aż mój tata po mnie przyjeżdża.

Nie doceniłam znaczenia wyklócania się o naszą pierwszą prawdziwą randkę z Porterem, ponieważ mija tydzień i nie udaje nam się zorganizować następnej. Niewiele da się zrobić, wzięwszy pod uwagę moje poszukiwania, nasze grafiki pracy, jego zobowiązania w sklepie i pozostały czas poświęcony obowiązkom rodzinnym.

Bywa jednak, że sobie po prostu idziesz, zajmujesz się swoimi sprawami, a los uśmiecha się do ciebie i wygrywasz bilet na loterii w środku promenady...

Wieczorami w piątek i sobotę w środku lata Jaskinia jest zamykana o zwykłej godzinie, szóstej po południu, a potem znów się ją otwiera się o ósmej wieczorem dla ludzi zamawiających bilety na podróż z duchami. Zwykle są trzy grupy ludzi, którzy płacą podwójną cenę za wycieczkę po godzinach z tandetnymi światłami i bzdurnymi historiami o duchach. Jest kompletnie niewarta swojej ceny. A wiem to, ponieważ wycieczki prowadzą Pangborn i Porter, i są jedynymi, którzy piszą większość scenariuszy tego lata.

Głównie Pangborn, przyznaje Porter. Był kompletnie ujarany, kiedy je pisał. Jest również mocno ujarany, kiedy oprowadza wycieczki, i wszyscy uwielbiają jego teatralność, zwłaszcza jego białe włosy, które wręcz świecą w ciemności. Pracuję w Gorącym Pudle sama, dopóki nie wyczerpie się pula biletów. Kiedy wszystkie zostaną wyprzedane, mam powiesić tabliczkę „Nadmiar duchów” i iść do pokoju śniadaniowego, by poczytać gazety aż do dziesiątej, kiedy skończy się wycieczka.

Ostatniego wieczoru to była moja pierwsza wycieczka z duchami, po której Porter musiał spieszyć się do domu, co bolało, ponieważ nigdy nie mamy czasu, żeby pobyć ze sobą razem.

Dziś jest inna historia.

Jest sobota. Mój tata i Wanda spędzają noc w San Francisco. Wracają z samego rana, jak informował mnie tata setki razy, jakbym się martwiła, że wskoczy do pociągu i nigdy więcej go nie zobaczę. Ale teraz myślę, że od spotkania się z rodzicami Grace czuje się lepiej z tymi głupimi malinkami, o których żadne z nas nigdy nie wspomniało. Więc po wycieczce z duchami razem z Porterem planujemy coś nie do pomyślenia: pójdziemy – czekajcie – na drugą randkę, a na tej randce moglibyśmy obejrzeć film.

Film.

Jasne, prawdopodobnie to będzie jakiś aktualny hit grany w lokalnym Cineplexie, ale okej. Nie oczekuję, że doceni mój wyśmienity gust filmowy. Przynajmniej nie teraz. Na pewno da się go wyedukować, a ja chętnie to zrobię. Ale wszystko, o czym myślę teraz, to film i Porter – razem.

Staram się tym zbytnio nie podniecać. W końcu musi wstać wcześniej i pracować w sklepie, więc nie możemy zostać razem całą noc, ale kilka godzin brzmi jak niebo. Niebo, które może doprowadzić mnie do domu przed godziną policyjną albo coś koło tego. Widzicie? Wcale nie oszukuję. Dobra córeczka.

Coś około dziesiątej piętnaście wieczorem zatrzymuję się, by sprawdzić powiadomienia od Alexa na telefonie (nie ma żadnych, jak zwykle, i nie jestem nawet pewna, czemu mnie to jeszcze obchodzi), i rozciągam nogi. W planach mamy wyjście około dziesiątej trzydzieści. Nawet jeśli zamykamy o dziesiątej, Porterowi i Pangbornowi zajmuje niewiele czasu wyrzucenie ostatniej grupy gości, zamknięcie, wyłączenie świateł i ostatnie obejście miejsca, by upewnić się, że nie ukrywają się tam żadne dzieciaki albo ludzie z atakiem serca w poczekalni. Kiedy goście znikają, powinnam pomóc ze światłami – są ich setki – więc kiedy tylko dwoje innych pracowników, którzy pracują wieczorem, wbija na karcie odpowiednią godzinę i wychodzi, kieruję się do lobby, by zająć się tym. W drodze wpadam na Pangborna.

– Jak leci?

– Doskonale – mówi mi. Ma na nogach jasnopomarańczowe skarpetki z nadrukiem w małe duszki. Łatwo je zauważyć, ponieważ nogawki jego spodni na szelkach są wysoko uniesione. Przebrał się na wycieczkę z duchami. Boże, uwielbiam go. – Jedna kobieta dała mi dwudziestodolarowy napiwek.

– Jak to? – Jestem pod wrażeniem.

– Nie zatrzymałem go oczywiście. Ale było to miłe. – Uśmiecha się i klepie mnie po ramieniu uspokajająco., jak zawsze. – Twój chłopak robi ostatnie porządki w skrzydle Jaya. Drzwi są zamknięte, a system zgrany. Poza światłami już na dziś skończyliśmy.

Wiem, że powiedział wiele słów, ale jedyne, co usłyszałam, to „twój chłopak”. Czy Porter powiedział Pangbornowi, że mieliśmy randkę? A może po prostu stary ochroniarz zauważył, co się dzieje pomiędzy nami w pracy? Za bardzo się boję zapytać, zwłaszcza że oczy Pangborna słodko marszczą się w kącikach.

– Zajmę się światłami – obiecuję.

– Miałem nadzieję, że to powiesz – mówi. – Czuję się bardziej wyczerpany niż zwykle, a muszę jutro rano otworzyć, więc pójdę do domu kilka minut wcześniej. Nie chcę usnąć za kierownicą.

– Hej, to nie jest zabawne. – Teraz, kiedy patrzę na niego, naprawdę wygląda na zmęczonego. Niesamowicie zmęczonego. Po raz pierwszy, odkąd Grace wspomniała o tym, nagle przypominam sobie plotki o jego zdrowiu. Może nie są prawdziwe, kto wie, ale jednego jestem pewna: jest za stary, by pracować tak późno. A Cavadini jest dupkiem, skoro planuje dla niego otwarcie jutro rano.

– Będę miał się na baczności, nie martw się – zapewnia mnie. – Ale doceniam twoją troskę. Potrzebny jest mi po prostu dobry nocny odpoczynek. Wyprowadzę psa i zapadnę w piękny sen. Powiedz Porterowi, że zamykam was na nowy kod główny. Będzie musiał go wybrać, by wyjść. On wie, o czym mówię.

– Zrozumiałam. – Przynajmniej ma psa, do którego wraca. Proszę go, by uważał w czasie jazdy, a kiedy znika, idę znaleźć Portera. Dziwnie jest być samą w muzeum. Jest ciemno i niesamowicie cicho. Włączone są tylko światła po godzinach – tylko tyle, by się nie potykać o własne nogi na korytarzach, a muzyka w tle, która zwykle leci z głośników, jest teraz wyłączona.

Szybko zajmuję się światłami i sprawdzam ich baterie, a kiedy nie słyszę nadchodzącego Portera, gapię się w telefon stojący przy informacji. Ile będzie takich okazji jak ta? Podnoszę słuchawkę, przyciskam mały czerwony guzik obok słowa „wszystko” i cicho mówię do telefonu:

– Wzywam Portera Rotha do informacji. – Wypowiadam formułkę, a mój głos przetacza się przez całe lobby i odbija w korytarzach. Potem przyciskam guzik raz jeszcze i dodaję: – A kiedy dojdiesz, sprawdź, czy twoje buty do siebie pasują, draniu. A przy okazji, nadal nie do końca wybaczyłam ci, że mnie upokorzyłeś. Będzie to kosztowało dużo więcej niż pocałunek i ciasteczka, żebym zapomniała o tych dwóch sprawach i o tym, jak mnie sprowokowałeś w Gorącym Pudle.

Tylko się z nim drocę, mam nadzieję, że wie o tym. Czuję się trochę upojona siłą megafonu, więc dodaję jeszcze jedno:– PS. Wyglądasz niezwykle gorąco w tym dopasowanych spodniach uniformu ochrony i nie planuję trzymać dzisiaj ręk przy sobie podczas filmu, więc lepiej usiądźmy w tylnym rzędzie.

Odkładam słuchawkę i zakrywam usta, śmiejąc się cicho z siebie. Dwie sekundy

później rozlegają się kroki Portera w skrzydle Jaya – Bum! Bum! Bum! Hałasuje jak T. Rex goniący Godzillę. Wbiega do lobby, podjeżdża do informacji, chwytając się brzegu, żeby się zatrzymać, a jego dzikie loki fruują wokół. Jego uśmiech jest przeogromny.

– Coś ty powiedziała o tym, gdzie będziesz pchać swoje ręce? – pyta bez tchu.

– Chyba pomyliłeś mnie z kimś innym – drocę się z nim.

Głowa opada mu na ladę. Odsuwam jego włosy z jednego oka. Zerka na mnie i pyta:

– Naprawdę nadal mi nie wybaczyłaś?

– Może kiedy położysz ręce na mnie, wybaczę.

– Nie baw się moimi nadziejami w ten sposób.

– Och, twoje nadzieje powinny być wielkie. Naprawdę.

– Dobry Boże, kobieto – mruczy. – A ja myślałem, że jesteś prawdziwą damą.

– Phi. W ogóle mnie nie znasz.

– Ale mam zamiar poznać. Co my tu jeszcze robimy? Spadajmy stąd i chodźmy do kina, szybko.

Biegniemy przez lobby i zabieramy swoje rzeczy z szafek. Kiedy dochodzimy do tylnych drzwi, Porter zatrzymuje się przy panelu alarmowym i przechyla pytająco głowę.

– Och – mówię, pstrykając palcami. – Pangborn kazał ci powiedzieć, że użył kodu głównego, żeby nas zamknąć, i że musisz go wbić, żebyśmy mogli wyjść.

Porter kręci głową, mruczy do siebie, a potem się poddaje. Odczepia swój pasek na klucze. Rozpoznaję na nim klucz od jego vana, ponieważ przy kółku wisi mały rekin. Ale kiedy okręca go w dłoni, znów się zatrzymuje.

– O-o-o-o ch-o-l-e-r-a – przeciąga. Jego głowa opada. Cicho przeklina w podłogę i zamyka oczy.

– Co? – pytam.

– Pangborn zabrał mój klucz wcześniej – mówi cicho. – Tuż przed wycieczką. Zostawił swój w domu podczas przerwy między normalną zmianą a obchodem z duchami i musiał otworzyć tylne drzwi. Zacząłem właśnie oprowadzać ludzi i zapomniałem go od niego odebrać. Skurwieli.

– Ale możesz po prostu użyć głównego kodu, żeby nas wypuścić, prawda?

Porter parska i wyrzuca ręce w kierunku panelu.

– Jeśli użył głównego kodu, to tak. Ale on go nie użył. Widzisz tutaj, te numery?
To wskazuje, że system jest włączony.

– A to oznacza...?

– To oznacza – mówi Porter – że ty i ja jesteśmy tutaj zamknięci sami w muzeum, na resztę nocy.

20

Przez całą noc miałam straszną potrzebę coś zrobić.

Audrey Hepburn *Sabrina* (1954)

To nie może być prawda. To znaczy, to się nie dzieje naprawdę. Zawsze są jakieś wyjścia z takiego ogromnego miejsca, no nie?

– Pamiętasz dzień, kiedy musiałem przeinstalować wszystkie zamki w drzwiach?

Pamiętam.

– Musiałem to zrobić, bo padł nam monitoring na żywo w systemie, a zamiast wybrać jakąś z setek innych firm, kierownictwo po prostu zdecydowało się kupić ten dupny tani system, który teraz widzisz.

– Aha – mówię, ale nie nadążam, a on naprawdę robi się zły. Prawie leci mu z nozdrzy para.

Bierze głęboki wdech i uspokaja się.

– Oznacza to, że Pangborn nawąchał się dzisiaj zbyt dużo zioła, zostawił swój klucz w domu, zabrał mój, wbił kod, który blokuje wszystkie drzwi na osiem godzin, i odjechał.

Patrzę na Portera.

On na mnie.

– Ale możesz dezaktywować kod?

Potrząsa głową.

– Pangborn jest głównym oficerem ochrony. Nie mam upoważnienia do kodu blokującego. – Och, co za ironia. – Mieszka piętnaście minut stąd. Więc musimy poczekać, aż dotrze do domu, a potem – i tu się robi zabawnie – spróbujemy do niego zadzwonić.

– Dlaczego to jest zabawne?

– Bo zwykle wyłącza swój telefon na noc. Nie lubi być budzony. „Złe wieści

mogą poczekać do rana”, to jest jego motto. A jeśli nie złapiemy go przez telefon... cóż, nie jestem pewien, co zrobić. Myślę, że możemy spróbować zadzwonić do innych ochroniarzy, ale jest dziesiąta trzydzieści w sobotę wieczorem. I nie tylko będą wkurzeni, ale mogą za to wyrzucić Pangborna. A z pewnością każdy szuka tylko do tego pretekstu. Na wypadek gdybyś nie zauważyła, jest nieco zakręcony.

Serce mi podskakuje.

– Pan Cavadini? Jeden z kierowników zmiany? – sugeruję i natychmiast zdaję sobie sprawę ze słabości tego planu. Pangborn może zostać wyrzucony z pracy, a może i Porter też, za to, że pozwolił mu wrócić wcześniej.

Oboje kręcimy głowami.

Pociągam nosem i ocieram go dłonią.

– Więc mówiąc po prostu, dopóki nie złapiemy Pangborna przez telefon, utknęliśmy tutaj?

– Spróbujmy jeszcze jednego – mówi Porter, ale sądząc po chmurnym wyrazie twarzy, nie ma zbyt dużej nadziei. Prowadzi mnie znów do pokoju ochroniarzy, a ja jestem strasznie spanikowana. Nawet nie bardzo mam czas na zarejestrowanie, że w końcu znajduję się w wewnętrznym sacrum, Niebie. Dziwnie znowu tu być. Kilkanaście czarno-białych monitorów wisi na dwóch ścianach, wszystkie ponumerowane, oraz biurko w kształcie litery L z czterema komputerami, z których dwa wyglądają na przedpotopowe.

Opadamy na dwa obrotowe krzesła przy biurku. Lampa z ruchomym ramieniem rzuca światło na stary telefon, na którym Porter wybiera domowy numer Pangborna z milion razy. Oczywiście stary człowiek nie ma komórki. Choć miał, mówi Porter, ale nigdy jej nie ładował, więc upchnął ją w jego schowku w samochodzie, już kilka lat temu; być może nadal tam jest.

– Porter?

– Tak – mówi, zmarnowany, z głową w dłoniach.

– Czy Pangborn jest chory?

Nie odpowiada od razu.

– Słyszałaś plotki?

– Tak.

– Dwa lata temu zachorował na raka jelita. W tej chwili ma remisję. Ale w ostatni weekend poszedł do lekarza i nie powiedział mi, co usłyszał. I to mnie

martwi. Zwykle gada o swoich spotkaniach, ponieważ jest zapatrzony w swojego doktora jak w tęczę. Więc zaczynam myśleć, że może ma wznowę i będzie miał chemię albo coś. Nie wiem.

– Och nie – przecucie Grace było prawdziwe.

– Tak, to przykre. I dlatego nie może zostać zwolniony, ponieważ ostatnią rzeczą, jakiej teraz mu trzeba, to pieprzenie się ze zmianą lekarza i świadczeniami zdrowotnymi.

Boli mnie w piersi. Czemu złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom? A jeśli on ma raka i pojawia się na tych głupich wycieczkach z duchami, ubrany w swoje szelki i skarpetki z duchami, odmawiający wzięcia napiwków od gości... rozbija moje serce na milion kawałków.

Po półgodzinie dzwonienia poddajemy się. Nic się nie dzieje.

Głęboki wdech. Czas podsumować sytuację: (1) dotknięty rakiem miły stary człowiek zamknął nas przypadkowo w Jaskini na noc. Trudno mi się na niego za to złościć. (2) Nie jest tak, że nie będziemy mieli jedzenia albo wody. (3) Nie zamarzniemy ani nie umrzemy z przegrzania. (4) Nie jesteśmy zagrożeni przez dzikie zwierzęta. (5) To nie nasza wina.

– Spójrz na jasną stronę księżycy – mówi Porter, z pewnością myśląc podobnie.
– Alarm wyłączy się o szóstej trzydzieści rano, więc nadal może ci się uda wcześniej wrócić do domu niż twojemu tacie z San Francisco. A jeśli ja zadzwonię do swoich rodziców i wyjaśnię im, co się stało, zrozumieją. Oboje znają Panbgorna. A ja już raz spędziłem tu noc na kanapie, kiedy restartowaliśmy system w zeszłym roku.

Zerkam na zniszczoną kanapę stojącą w rogu, a moje serce przyspiesza.

– Ale co ze mną? To znaczy powiesz im, że ja też tu jestem? Mój tata wściekłby się jak cholera, gdyby dowiedział się, że zostaliśmy tutaj zamknięci sami na całą noc.

Napięcie opada z twarzy Portera, a kąciki jego ust powoli unoszą się do góry.

Och, matko.

– No, no, no – mówi, odchylając się na krześle naprzeciw monitorów. Składa ręce razem na piersi. – To jest ciekawa sytuacja, czyż nie? Jesteśmy gotowi uciec do jakiegoś zatłoczonego kina, ale teraz mamy całe muzeum dla siebie. Na całą noc. Chłopak się modli, modli, modli, a to wynika z jego bardzo dobrego

wychowania, ale nigdy nie śnił nawet o czymś takim, że spadnie mu to z nieba, mówiąc między nami.

– Mówiąc między nami – powtarzam cicho.

– W tym ogromnym miejscu jest dużo pokoi. – Stuka mnie kolanem. Pytanie.

Cały mój wcześniejszy tupet odleciał wraz z odwagą. Teraz czuję się po prostu uwięziona. Zginam nogi i chowam je pod biurko.

– A co z tymi wszystkimi kamerami? To znaczy nie pokaże się to na filmie? Jeśli ktoś to później będzie przeglądał.

Śmieje się.

– Myślisz, że Jaskinia płaci za przechowywanie danych? Pomyśl raz jeszcze. Jeśli chcemy coś nagrać, musimy to robić manualnie. Nic nie jest nagrywane automatycznie.

Zerkam na monitory i szukam Gorącego Pudła. Tutaj jest, teraz puste, oczywiście, i ciemne, więc nie mogę wiele zobaczyć, ale wyobrażanie sobie, że Porter może mnie stąd oglądać, jest surrealistyczne. Notuję sobie w głowie, żeby nie nosić do pracy wydekoltowanych topów, ponieważ właśnie na to skierowana jest kamera.

– Chociaż – mówi Porter. – jeśli nadal się martwisz, znam wszystkie miejsca, gdzie kamera nie sięga. No wiesz, jeśli czułabyś się spokojniejsza.

Rzucam mu brzydkie spojrzenie.

– A kto powiedział, że chcę być spokojniejsza? Byliśmy na jednej randce.

– Wow. – Unosi dłonie w geście poddania. – Teraz czuję się jak jakiś przestępca seksualny. Jezu, Bailey. Godzinę temu rozmawialiśmy o kładzeniu twoich rąk na mnie na tylnym fotelu w kinie. Po prostu się z tobą drażnię.

Wypuszczam powietrze z płuc.

– Przepraszam. Jestem po prostu zdenerwowana i skołowana. Ja...

– Ty co?

– Ja nigdy do tej pory nie spędziłam nocy w muzeum z kimkolwiek.

Porter unosi brew. Och?

Krzywię się.

– Możesz się obrócić albo co? Nie mogę patrzeć i mówić o tym.

– Co?

Wykonuję ręką ruch obrotowy.

– Odwróć się do ściany.

Patrzy na mnie jak na idiotkę, a potem poddaje się i powoli odwraca się w krzesło, trzymając głowę twarzą w moim kierunku aż do ostatniego możliwego momentu. Kiedy wreszcie się odwraca, wzdycham i zaczynam mówić do jego pleców.

– Tak jak powiedziałam wcześniej. Byliśmy tylko na jednej randce. – Jestem tchórzem, tak, ale prowadzenie tej rozmowy jest dużo łatwiejsze, kiedy nie patrzę w jego oczy. – I to była wspaniała randka. To znaczy, wow. Nie bardzo mam ją z czym porównać, ale myślę, że musiała być bardzo dobra. I mimo że zrobiłeś mi te malinki i zniszczyłeś moją ulubioną spódnicę, chciałabym to zrobić znowu.

– Nadal mi przykro z powodu malinek, ale żeby nie było, na moich ciuchach też są ślady trawy. I za każdym razem, kiedy teraz wychodzę z domu, moja mama droczy się ze mną, że wychodzę kochać się, a tata zaczyna nazywać mnie konikiem polnym.

– O Boże – szepczę.

– Z pewnością warte tego – mówi. – Ale proszę, kontynuuj.

– W każdym razie – mówię, próbując zebrać myśli – przeszliśmy od wrogów przez pierwszą randkę aż do teraz, do możliwości spędzenia razem nocy w muzeum. I nie to, żebym nie myślała o spędzeniu nocy w muzeum z tobą, bo wierz mi, myślałam o tym dużo.

Odwraca głowę, ale nadal na mnie nie patrzy.

– Dużo?

– Nawet nie masz pojęcia.

– Och, i tutaj bardzo się mylisz, moja przyjaciółko. – Jego kolana zaczynają wybijać nerwowy rytm.

Uśmiecham się do siebie i przechodzi mnie delikatny dreszczyk.

– Cóż, chcę powiedzieć, że nie mam nic przeciwko takim rzeczom. Ale zakładam, że ty spędziłeś wiele nocy w wielu muzeach, i wiesz cokolwiek. I dobrze. Ale mnie to onieśmiela. A skoro o tym mówimy, potrzebuję, żebyś pozwolił mi dać zielone światło.

– Po pierwsze – mówi, unosząc palec nad ramieniem – chcę powiedzieć, że czuję się obrażony, że mógłbym tego nie zrobić. Więc dziękuję, że znów czuję się jak przestępca seksualny.

– Och Boże – mruczę.

– Po drugie – kolejny palec – byłem z dwiema dziewczynami. Z jedną z nich długo, a ona, mogę dodać, zdradziła mnie z Davym, więc to nie jest tak, że spędzam wszystkie swoje weekendy w muzeach, żeby użyć tej terminologii. Więc nie ma potrzeby zawstydzać mnie z powodu dziwek.

Cieszę się, że nie widzi mojej twarzy teraz, ponieważ jestem przekonana, że ma w tej chwili dokładnie kolor gotowanego homara. Czy jest zły na mnie? Nie mogę ocenić po tonie jego głosu. Ech. Czemu kazałam mu się odwrócić? Przysuwam swój fotel bliżej i opieram policzek na jego głowie, zanurzając twarz w jego włosach.

– Jestem idiotką – mruczę w jego kark. – Nie wiem, co robię. I bardzo, bardzo przepraszam.

Jego dłonie sięgają za fotel, szukają ślepo, aż chwytają moją koszulkę i przyciągają.

– Przyjmuję twoje przeprosiny, ale tylko dlatego, że jestem tutaj z tobą uwięziony na całą noc, i dziwnie by było, gdybyśmy spędzili ją całą na walce.

– My nie walczymy.

– Zawsze walczymy. To część naszego uroku – mówi.

– Porter?

– Tak?

– Czy ta dziewczyna, o której wspomniałeś... Czy to o nią kłóciłeś się z Davym przed sklepem ze starociami? Chloe?

– Tak. Chloe Carter. Jej tata robi deski na zamówienie. Byli naprawdę blisko z moją rodziną. Przyjaźni się z moją siostrą, więc wszystko to narobiło dużo bałaganu.

– Kochałeś ją?

Milczy o chwilę za długo, żeby mnie uspokoić.

– Nie, ale to nadal boli, kiedy ona cię zdradza. Na długo przed umawianiem się byliśmy przyjaciółmi, więc powinno to coś znaczyć, prawda?

A dodatkowo to był Davy, ktoś, kto miał być jego najbliższym przyjacielem, a więc to była podwójna zdrada, ale nie mówię tego.

Kilka sekund mija. Wzdycham.

– Porter?

– Tak?

– Ta kanapa jest trochę mała, a musimy gdzieś spać. A mnie się podoba pomysł spania koło ciebie.

– Mnie też.

Po długiej przerwie dodaje:

– A w gratisie do spania może będę mogła zobaczyć niektóre miejsca w muzeum, do których nie sięgają kamery... no tak z odległości? Może. Prawdopodobnie. Teoretycznie. To znaczy, czy zawsze musi być wszystko albo nic?

Ciężkie westchnięcie.

– Doprowadzasz mnie do szafu, wiesz o tym?

– Wiem.

– Bailey, spędzam większość moich dni na szukaniu ciebie poprzez te małe kwadratowe ekrany tutaj. Jestem po prostu wdzięczny, że jesteśmy w tym samym pokoju. A fakt, że pozwalasz mi się dotykać, jest cholernym cudem nad cudami. Więc czegokolwiek chcesz lub nie chcesz ode mnie, jedyne, co musisz zrobić, to poprosić. Jasne?

– Jasne – szepczę, mentalnie odpływając na miękkie białe chmury.

– Jasne – powtarza pewnie, w stylu: zostało postanowione, i odpycha się od ściany. – A teraz pozwól zadzwonić mi do rodziny.

Wykonuje telefon przez komórkę, wyjaśnia wszystko mamie, która biorąc pod uwagę to, co słyszę, wspiera go w tej sytuacji. Ale potem czeka, aż ona powie jego tacie, i nagle on pokazuje mi, żebym schowała się pod biurko, ponieważ jego tata przełącza go na wideorozmowę – tak jakby nie wierzył w jego historię. Słyszę posępny głos pana Rotha, który każe Porterowi powtórzyć wszystko raz jeszcze, a Porter pokazuje mu ekran komputera, który jasno i wyraźnie mówi ZABLOKOWANE, i ma czasomierz, który pokazuje, ile czasu zostało do odblokowania drzwi, i na szczęście pokazuje pierwsze litery nazwiska Pangborna, osoby, która zainicjowała komendę. Teraz jest jedenasta czterdzieści pięć i nawet naburmuszony pan Roth przyznaje, że Porter ma niewiele możliwości, a spowodowanie, że zwolnią Pangborna, nie jest jedną z nich.

– Mógłbym podjechać do niego i go obudzić – sugeruje pan Roth.

Teraz wtrąca się pani Roth.

– Jest za piętnaście dwunasta, a ten człowiek może być chory, z tego co wiemy. Daj mu spokój. Porter, kochanie, czy masz tam jakiś koc? Wyśpisz się na kanapie?

Porter zapewnia ją, że coś znajdzie, a ona mówi, że Lana popracuje za niego w sklepie jutro rano, jeśli nie będzie mógł się przespać. A kiedy ustalają wszystko, ja piszę do taty, że jestem bezpieczna – to nie kłamstwo, prawda? – i że mam nadzieję, że dobrze bawią się w San Francisco. Jego odpowiedź przychodzi natychmiast i zawiera szalony żart z Settlers of Catan, więc zakładam, że jest w wyjątkowo dobrym humorze. „Odlot. Kupiliśmy ci dzisiaj niespodziankę. Kocham cię ponad owce”.

Odpisuję mu w podobny stylu: „Kocham cię ponad mąkę”.

Nie mam pojęcia, dokąd zabiera mnie Porter, jeśli chodzi o miejsca, gdzie nie sięgają kamery.

Najpierw wykopuje jakiś stary klucz z szuflady biurka w pokoju ochrony. Potem zabieramy swoje rzeczy do biura rzeczy zagubionych, skąd bierzemy dziecięcy kocyk. Oczywiście, to ohydne myśleć o wykorzystaniu cudzego koca, ale co tam. Pachnie nieźle. A potem zabiera mnie do skrzydła Vivian. Są tam drzwi pomalowane na taki ciemnozielony kolor jak ściana, i ze względu na światło trudno je zauważyć. Wiem również, przypominając sobie mapę pracowników, że nie powinno ich tam być – nie powinny istnieć.

– Co to jest? – pytam.

– Pokój jeden-zero-zero-jeden – mówi, pokazując mi stary klucz z przyczepioną tabliczką. – Jak w *Baśniach tysiąca i jednej nocy, Nocach arabskich*. Ali Baba i tak dalej.

– Jest jeszcze jeden pokój? Dlaczego nie jest otwarty dla publiczności?

Podrzuca plecak wyżej na ramieniu i kładzie dłoń na drzwiach.

– Teraz patrz. To jest ogromny sekret Cavern Palace. Musisz przysiąc na wszystko, że nigdy nikomu o tym nie powiesz. Nawet Gracie. Zwłaszcza Gracie, ponieważ uwielbiam ją, ale ona zna wszystkich i rozejdzie się to szybciej niż ospa wietrzna. Przyrzeknij mi, Bailey. Unieś rękę i przysięgnij.

Unoszę rękę.

– Przysięgam.

– Dobra. To jest najdroższy sekret Cavern. – Otwiera drzwi i włącza światło, co

zajmuje chwilę, i wchodzimy do idealnie okrągłego pokoju skąpanego w delikatnym pomarańczowym i złotym świetle. Pachnie kurzem, jak w bibliotece, do której nikt nie zagląda. A kiedy Porter zamyka za nami drzwi, rozglądam się zachwycona.

Grube, w kolorze indygo, upstrzone gwiazdami zasłony pokrywają ściany. Z kopułowego sufitu zwisa pęk arabskich lamp różnej długości nad leżącą na podłodze aksamitną poduchą rozmiarów wielkiego łóżka. Jest puchata i sięga mi do kolan, a z jednej strony jest otoczona półksiężycem setek małych poduszek w geometryczne wzory, wyglądających jak przeniesione prosto z pałacu sułtańskiego w Stambule.

– Jest piękny – mówię. – Jak sen. Nie rozumiem, czemu nie jest otwarty. Czy te poduszki są z lat trzydziestych? Powinny zostać objęte ochroną.

Porter rzuca swoje rzeczy na podłogę obok aksamitnej poduchy.

– Nie pamiętasz historii Jaskini? Vivian nienawidziła Jaya. Kiedy ich małżeństwo się rozpadło, nie chciał dać jej rozwodu, więc stworzyła ten pokój jako wielki środkowy palec dla niego. Chodź, napawaj oczy jej zemstą. Ale nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Podchodzi do jednej z gwiazdzistych, niebieskich zasłon na ścianie i pociąga za złoty sznur, by odsłonić mural na ścianie za zasłoną. Przedstawia naturalnej wielkości postać Vivian Davenport ubranej jak arabska księżniczka, z dzwoneczkami na palcach i kwiatami w długich włosach, przezroczysta koszula opływa jej ciało o obfitych kształtach. Tłum mężczyzn klęczących u jej stóp.

– O... mój... Boże – mrużę.

Jest tam też kilka wielkookich zwierząt wpatrzonych w nią, jakby nie mogły odwrócić wzroku od wspaniałości nagiego ciała Vivian.

– Czy to jest... Groucho Marx? – pytam, zerkając na jednego z klęczących mężczyzn.

– Vivian ożywiła historię – odpowiada Porter, uśmiechając się.

– Przestań – mówię, śmiejąc się również, a on zaciąga zasłonę. Jestem przerażona na śmierć, ale było warto. Opadamy razem na poduchę, z której unosi się chmurka kurzu. Sądzę, że serwis sprzątający nie przychodzi tu za często. Porter udaje, że kaszle, i otrzepuje poduchę.

Dopiero wtedy orientuję się, że jest to łóżko.

– Nie sądzisz, że Vivien urządzała tu seksualne orgie, co? – pytam, zabierając rękę z aksamitu. – Więcej zemsty na mężu?

– Wątpliwe. A nawet jeśli, to było wieki temu – mówi, zerkając wesoło na mnie.
– Poza tym wszystko skończyło się dla nich obojga tak tragicznie, strzał do męża i samobójstwo, że niemal masz nadzieję, że wcześniej zaznała trochę zabawy, nim wszystko poszło inaczej, wiesz? Jakby pozowała do tego portretu.

– Taaak.

Po kilku chwilach milczenia sytuacja staje się kłopotliwa. Porter wreszcie wzdycha, siada i zaczyna ściągać radio z ramienia. Serce bije mi mocno.

Rzuca ukradkowe spojrzenia w moim kierunku.

– Słuchaj, nie zamierzam się rozbierać ani nic takiego, wyluzuj. Jak zresztą mógłbym konkurować z tym całym wariactwem na ścianie? Po prostu nie potrafię spać z kupą kabli mnie otaczających. Czy w butach. Zostawię na sobie koszulę i spodnie. Ty możesz zostawić, co chcesz. Wybór należy do damy – mruga.

Jego dobry humor w jakiś sposób mi to ułatwia i stawiam swoje buty obok jego. Wyłącza radio i zdejmuje pasek, a cała krew w moim mózgu szumi tak bardzo, że obawiam się, że dostanę wylewu.

Klamra od paska uderza z głuchym stukiem o dywanik w tureckie wzory.

– Jesteś dla mnie wielką tajemnicą, Bailey Rydell.

– Tak?

– Nigdy nie potrafię określić, czy boisz się mnie, czy masz zamiar na mnie skoczyć.

Śmieję się nerwowo.

– Sama nie jestem tego pewna.

Przyciąga mnie bliżej i kładziemy się, twarzą w twarz, z rękoma złączonymi pomiędzy nami. Czuję, jak jego serce tłucze się o moją pięść. Zastanawiam się, czy on czuje moje.

– Jestem przerażona – mówię mu – tym, co czuję, kiedy jestem obok ciebie. Jestem przerażona tym, czego chcę od ciebie, i nie wiem, jak o to poprosić. – Jestem również przerażona, że jeśli o to poproszę, może być okropnie albo nie spełni moich oczekiwań, ale nie mówię tego, ponieważ boję się go urazić.

Całuje mnie w czoło.

– Wiesz, czego ja się boję?

– Czego?

– Że lubię cię za bardzo, i obawiam się, że gdy mnie poznasz, zaczniesz sobie zdawać sprawę, że mogłaś wybrać dużo lepiej, i złamiesz moje serce, zostawiając mnie dla kogoś z większą klasą.

Oddycham nim głęboko.

– Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do miasta, był ktoś inny. Nie Patrick – mówię, jakby każde z nas potrzebowało tego przypomnienia.

– Te twoje tak zwane inne plany? – pyta.

– Tak. Sądzę, że mógłbyś powiedzieć, że ma klasę, nie wiem. Ale w chwili, kiedy myślisz, że rozumiesz kogoś, okazuje się, że tak naprawdę nic o nim nie wiesz. A może prawdziwy problem był w tym, że nie rozumiałeś czegoś w sobie.

– Nie nadążam.

Wypuszczam z płuc powietrze.

– To nie ma znaczenia. Próbuję powiedzieć, że zanim przeprowadziłam się tutaj, nie wiedziałam, że lubię gofry i księżycowe muffinki, i hawajskie *poke*, i ryż *jollof*, i nie wiedziałam, że zakocham się w tobie. Ale tak się stało. I kto chce człowieka z klasą, jeśli ty możesz jeść pozole z budki na plaży? Nie mam pojęcia, co straciłam.

Powoli przesuwa palec po pasemku moich włosów, tuż obok skroni.

– Zakochałaś się we mnie, tak?

– Może. – Unoszę palce i pokazuję mu odrobinę. – O tyle.

– Tylko? To znaczy, że muszę starać się bardziej – mówi niskim głosem przy moich ustach, niemal mnie całując, ale nie dokładnie. I potem znów. Małe prawie pocałunki. Drażni się ze mną.

Mój oddech przyspiesza.

– Zróbmy szybki quiz, czemu nie? – mruczy. – Jeśli położę dłoń tutaj...

Jego palce wsuwają się pod moją koszulkę i lądują na brzuchu. To jest wspaniałe... przez całe dwie sekundy. A potem znajduje się zbyt blisko zakazanych okolic mojej blizny. I – nie! Właściwie to dotyka mojej blizny. Nie zamierzam zatrzymać tego, by mu wyjaśnić. Po prostu... nie mogę. Nie.

Czuje, jak się napinam, i natychmiast zabiera rękę.

– Hej, ja...

– Nie, nie, nie – szybko szepczę. – To nie ty. To coś innego. Nie bierz tego do siebie. Ja... Po prostu, ech. – Przesuwam jego rękę na środek mojego nagiego uda, pod spódnicą. Cicha woda brzegi rwie.

– Bailey – mówi. Ostrzeżenie.

– Sprawdź mnie – wyzywam go.

Mruczy z pięćdziesiąt drobnych przekleństw, ale jego dłoń zaczyna wspinać się w górę, och, tak powoli. – No dobra, Rydell. Jeśli jesteś zamknięta na całą noc w muzeum, z gościem, w którym się zakochałaś, a on jest wystarczający fajny, by pokazać ci najdroższy sekret Jaskini, Boże, twoja skóra jest tak delikatna.

– Mm? – mruczę, przesuwając się, by dać mu lepszy dostęp.

– Co – teraz on mruczy uroczo.

Dłoń mocno chwyta moje udo, on mnie całuje, a ja mu oddaję pocałunek, który jest cudowny i pełen desperacji.

– Dobra – mówi niczym pijany. – Gdzie to ja byłem? A tak, tutaj. – Ku mojemu zachwytowi jego dłoń kontynuuje powolną wspinaczkę. Tylko że ścieżka w górę się kończy. Waha się, śmieje się do siebie i powtarza wspinaczkę taką samą ścieżką na moim drugim udzie.

A potem zatrzymuje się.

Cichutko skomlę. Szczerze sfrustrowana.

Wreszcie unosi się trochę i czuję go, jak przyciska się do mojego biodra. Nie mylę się.

– Mam pewien problem na skoncentrowaniu się na tym quizie – przyznaje, uśmiechając się do mojej szyi.

– Cokolwiek robisz, nie waż się zrobić mi kolejnej malinki.

Udaje, że mnie gryzie, a potem pokazuje mi inne rzeczy, o których nie wiedziałam, że istnieją, tak jak księżycowe muffinki i pozole, i ile przez to straciłam. Rzeczy, które dwoje ludzi zamkniętych w muzeum może robić swoimi rękoma i palcami, wykazując całą swą pomysłowość. Ten chłopak ma pełne prawo nosić rysunek diabła GORĄCY TOWAR na swojej kurtce.

Inaczej niż podczas naszego tarzania się w trawie, ten dotyk nie jest z pewnością oznaczony Strefa Zakazana, a kiedy Porter oferuje mi zrobienie tego, co normalnie robię sama, kim ja jestem, żeby zaglądać darowanemu koniowi w zęby? Jest to prawdopodobnie najwspanialsza rzecz, jaka kiedykolwiek mi się

przydarzyła. Nawet oddaję przysługę za przysługę – nadal mocno zachwycona, choć bardziej nim, z oczywistych powodów.

Ale wow.

Całe to dotykanie wyczerpuje mnie, jest druga nad ranem, co dla mnie oznacza bardzo późno. Czuję zmęczenie w ramionach i rękach. Przysypiam, budzę się i znów zasypiam, Coś świeci. Słyszę głosy. Sięga nade mną, wyciąga swój laptop z plecaka i stawia go na poduszce ponad naszymi głowami. Coś leci na ekranie.

– Co się dzieje? – mówię, mój głos nawet dla mnie brzmi dość grubo, unoszę głowę. Nie jestem w stanie otworzyć zupełnie oczu, ale jestem w stanie rozpoznać kształty i ruchy światła przez powieki.

– Przepraszam, przepraszam – mówi znużonym głosem. – Przeszkadza ci to? Nie potrafię usnąć bez filmu albo włączonej telewizji.

– Okej – mamroczę, kładąc się znów obok niego. Kilka sekund później mówię: – Czy to *Rzymskie wakacje*?

Jego głęboki głos wibruje w moich plecach.

– To indyjski film. Czekaj, znasz *Rzymskie wakacje*?

– Phi – mówię niedbale, zbyt zmęczona, żeby mu wytłumaczyć moją miłość do filmów. – Pytanie jest, skąd ty znasz *Rzymskie wakacje*?

– Moja babcia, mama mojej mamy, mieszkała z nami aż do śmierci. Siedziała do późna i oglądała filmy w pokoju, a kiedy byłem dzieciakiem, usypiałem na jej kolanach.

Jakie zabawne. To dlatego wie tyle o *Śniadaniu u Tiffany'ego*.

– Może ty i ja mamy więcej wspólnego, niż myślisz – mówię, zanim odpływam w sen.

21

Życie nie zatrzyma się i nie rozpocznie dla twojej wygody.

John Goodman *Big Lebowski* (1998)

Porter miał rację. Wydostałam się z muzeum z wystarczającym zapasem czasu, żeby prześcignąć tatę w powrocie do domu. Jestem tak zmęczona, że idę przespać się jeszcze przez parę godzin. Kiedy budzę się po raz drugi, jest już prawie pora na przygotowanie się do swojej zmiany w Jaskini, co jest szaleństwem. Mogłabym się równie dobrze tam przeprowadzić. Ale ciężko mi jest złościć się, bo spędziłam noc z chłopakiem.

SPĘDZIŁAM.

NOC.

Z CHŁOPAKIEM.

Dokładnie. Zrobiłam to. Parę innych rzeczy też i wszystkie były wspaniałe. To jest piękny dzień, słońce świeci, a ja nawet nie przejmuję się, że muszę spędzić cztery godziny w Gorącym Puddle. Przynajmniej dzisiaj nie muszę pracować na całą zmianę.

Biorę prysznic, ubieram się, zbiegam po schodach i wpadam na tatę i Wandę wracających z San Francisco. Bardzo wyczerpane osoby. Chociaż wyglądają na szczęśliwych. Naprawdę nie bardzo chcę wiedzieć, co robili całą noc, więc się nie wtrącam. Ale oni szukają czegoś w samochodzie taty, aż znajdują prezent, który mi kupili: apaszkę we wzór lamparta i pasujące do niej okulary przeciwsłoneczne.

– Do jazdy na Baby – mówi tata z nadzieją, ale niepewny.

– Apaszka jest do przykrycia przyszłych malinek – dodaje Wanda, uśmiechając się jedną stroną ust.

Och Boże. Ona też? Czy wszyscy wiedzą? Mój tata próbuje zmusić się do uśmiechu.

– Przykro mi, dzieciaku. To nieco zabawne, musisz przyznać.

Wanda krzyżuje ręce na piersi.

– Bierz to, mówię ci. Jeśli twój tata zrobi mi malinkę i ktoś na posterunku będzie mnie żałował, powiem mu, dokąd ma pójść. A tak przy okazji, to ja wybrałam okulary.

Wzdycham głęboko i zakładam okulary. Szkła są ciemne i duże, nowa marka, ale bardzo retro we włoskim stylu.

– Są fantastyczne, dziękuję. I nienawidzę was oboje za apaszkę, ale nadal jest cudowna. Przestań, tato, zerkać na moją szyję. Nie ma nowych malinek. – Sprawdziłam, żeby się upewnić.

Zdają mi krótką relację na temat ich pobytu w Bay Area, biegnę do drzwi i jadę do Jaskini. Wiem, że Porter pracuje, a ja wspominam i odlatuję wysoko jak latawiec, niecierpliwa, żeby go znów zobaczyć. Chcę wiedzieć, czy on czuje się tak samo wspaniale jak ja po ostatniej nocy. Chcę również zobaczyć Grace i powiedzieć jej, jaka to była szalona noc. Chociaż tym razem nie będę dzielić się z nią aż tyloma szczegółami. Niektóre zachowam dla siebie. To, co zdarzyło się w pokoju 1001, zostaje w pokoju 1001.

Ale kiedy parkuję Baby w swoim normalnym miejscu, widzę Portera stojącego przed vanem, co jest dziwne. Zwykle jest w budynku na długo przede mną. Coś jest nie tak: trzyma głowę między rękami.

Naciskam hamulce i zeskakuję ze skutera, biegnę do niego. Nie rozpoznaje mnie. Kiedy odciągam rękę od jego głowy, łzy płyną po jego policzkach.

– Co się dzieje – pytam.

Jego głos jest ochrypły i nieobecny.

– Pangborn.

– Co? – naciskam, a mój żołądek podskakuje.

– Nie pojawił się dzisiaj rano w pracy – mówi. – To się stało w nocy w jego domu. Nic nie mogliśmy zrobić. Okłamał mnie na temat raka. Tym razem to był nowotwór trzustki, nie jelita.

– Nie rozumiem, co mówisz. – Zaczynam się cała trząść.

– On umarł, Bailey. Pangborn umarł.

Łapie krótki oddech i zwija się przy mnie, łkając przez chwilę razem ze mną, a potem cichnie i tonie w moich ramionach.

Pogrzeb odbywa się cztery dni później. Myślę, że pojawiła się połowa Coronado Cave, ale wcale mnie to nie dziwi. Był prawdopodobnie najmilszym człowiekiem w mieście.

Przez kilka pierwszych dni jestem w pewien sposób załamana. Myśl o tym, co robiliśmy z Porterem, kiedy Pangborn umierał, była ciężka do zniesienia. Porter miał rację: nic nie mogliśmy zrobić. Rak Pangborna był zaawansowany. Jego młodsza siostra mówi Grace i mnie na pogrzebie, że lekarz dawał mu jedynie kilka dni lub tygodni. Mówi, że w tym stadium ludzie są diagnozowani i umierają w tym samym tygodniu. Nie wiedział, kiedy to się stanie, więc żył normalnie.

– Był uparty – mówi miękko, podobnie jak brat. Mieszka kilka godzin jazdy dalej na wybrzeżu ze swoim mężem, w małym miasteczku niedaleko Big Sur. Ulżyło mi, kiedy dowiaduję się, że opiekuje się Daisy, psem Pangborna.

Opuszczamy kościół i udajemy się na cmentarz. Nie mogę znaleźć Grace w obsłudze pogrzebowej, więc stoję z moim tatą i Wandą. Jest naprawdę ciasno. Właśnie zagrali *Me and Julio Down by the School Yard* na zakończenia ceremonii, co, jak się okazuje, było ulubioną piosenką Pangborna. To znowu mnie rozbija, smarkam w rękaw taty, kiedy podchodzą Rothowie: cała czwórka.

Cóż.

Jestem zbyt zmęczona, by rozwiązywać tę szaradę. Nie chcę robić dyshonoru pamięci Pangborna. Więc przestaję się przejmować i obejmuję Portera.

Nie w sposób charakterystyczny dla przyjaciół.

Waha się przez chwilę, a potem obejmuje mnie mocno, trzyma przez czas dłuższy, niż powinien, ale nie obchodzi mnie to. Zanim mnie puszcza, szepcze mi do ucha:

– Jesteś tego pewna?

Odszeptuję.

– Już czas.

Kiedy się rozdzielamy, pani Roth przytula mnie delikatnie – ma na sobie pachnący, świeży kwiat zatknięty za jedno ucho, który dotyka mojego policzka – a pan Roth zaskakuje mnie, ściskając mnie za kark, co znów niemal wywołuje u mnie płacz, aż w końcu odwracam się do taty. Z zabawnego wyrazu jego twarzy mogę wywnioskować, że zauważa różne rzeczy i zastanawia się, skąd do cholery zna tę rodzinę. Jego spojrzenie pada na ramię pana Rotha i pojawia się moment

zrozumienia.

– Tato, to są pan i pani Roth, a to jest Porter i jego siostra, Lana.

Mój tata wyciąga rękę i wita się z Rothami, a Wanda zna ich już, więc mówią sobie dzień dobry. A potem Porter występuje naprzód i staje twarzą w twarz z moim tatą. Nagle jestem zdenerwowana. Mój tata nigdy naprawdę nie spotkał chłopaka, który jest mną zainteresowany, i z pewnością nie spotkał chłopaka, którego zabronił mi widywać... A ja specjalnie poszłam za jego plecy i patrzyłam stamtąd. Chociaż w moich oczach Porter nie wyglądał nigdy tak przystojnie. W czarnym garniturze i krawacie, wciąż ma tę grzywę niesfornych loków, które całują jego ramiona i szczękę. A u pana Rotha tatuaże wyglądają spoza kołnierzyka. Więc nie, rodzina Rothów nie jest ubrana do końca odpowiednio na pogrzeb. Gdyby moja mama stała tutaj i oceniała, byłaby niezadowolona. W myślach trzymam kciuki i mam nadzieję, że mój tata taki nie będzie.

Po chwili niewygodnej ciszy tata mówi:

– To ty jesteś tym chłopakiem, który odnalazł skradziony skuter mojej córki?

Moje serce staje.

– Tak, proszę pana – Porter odpowiada po długiej chwili, bez mrugnięcia. Defensywnie.

Mój tata wyciąga rękę.

– Dziękuję – mówi, klepiąc serdecznie Portera po ramieniu, a drugą ręką ściakając mocno jego dłoń, tak jakby Porter uratował mi życie, a nie żaloszny skuter.

Moje serce znów zaczyna bić.

– Tak, proszę pana – Porter tym razem mówi z widoczną ulgą. – To żaden problem.

I to wszystko? Żadnych aroganckich docinek à propos malinek? Żadnych oskarżeń? Żadnych pytań czy niezręczności? Boże, mogłabym pokochać tatę bardziej niż teraz. Nie zasługuję na niego.

– Nadal nie wiesz, kto go ukradł, co? – pyta Wanda, patrząc na Portera zmrużonymi oczami. – Ponieważ naprawdę chciałabym wiedzieć, gdybyś miał informacje.

Cholera.

– Och... – Porter drapie się po głowie.

Lana wypluwa gumę.

– Co ma pani na myśli? To był...

– Zamknij się, Lana – warczy Porter.

Wanda zwraca teraz swoje zmrużone oczy na mnie.

– Pamiętam kogoś, kto zerkał na twój skuter przy budce z pozole kilka dni przed kradzieżą.

Ożeż cholera jasna! Czy ona naprawdę niczego nie przeoczy? Dlatego jest gliną.

Pan Roth składa ręce razem.

– Sierżant Mendoza. Porter i ja mieliśmy długą rozmowę na ten temat i myślę, że wszyscy chcemy tego samego. Niech to, my prawdopodobnie chcemy bardziej niż ty. – Pan Roth podejrzliwie zerka na mojego tatę, który jest pewnie jedyną osobą, która nie potrafi dodać dwa do dwóch, że Davy jest osobą, która ukradła mój skuter. A może potrafi. Nie jestem w stanie ocenić. Mimo wszystko pan Roth chrząka i mówi: – A co z moim dzieciakiem, który został sponiewierany tego dnia, gdy pojechał do Timbaktu, by odzyskać jej skuter?

Zbyt dużo informacji w obecności mojego taty.

– Nie powiedziałbym sponiewierany – protestuje Porter. Jest w dobrym humorze. – Powinieneś zobaczyć tego drugiego gościa.

Pan Roth go ignoruje i kontynuuje:

– Próbuję powiedzieć, że nikt nie chce ukarać tego gościa bardziej niż ja. Ale Porter rozwiązał sprawę najlepiej, jak mógł w tamtym czasie, a ja go wspieram.

– Hej, sama mam dzieciaka – mówi Wanda. – I poza protokołem zgadzam się z tobą. Ale ten „gość” nadal jest tutaj i zapamiętaj moje słowa, znów coś zrobi. Następnym razem możesz nie mieć takiego szczęścia. Może zranić siebie albo kogoś innego.

Pan Roth kiwa głową.

– Zrozumiałem jasno i wyraźnie. Martwię się o to cały czas. W rzeczywistości widziałem go kręcącego się na promenadzie w ostatnim tygodniu i jedyne, co mogłem zrobić, to nie wsadzić go znów do szpitala.

Czuję, jak wnętrzności mi się skręcają. Plotki usłyszane przez Portera głośniły, że Davy musi leżeć kilka tygodni w domu ze względu na uszkodzenie kolana, którego sprawcą był Porter, podczas walki w garażu Mike’a. Najwyraźniej już się podniósł.

Wanda wodzi palcem po naszej grupie.

– Obiecacie mi, wszyscy. Następnym razem, gdy Davy Truand coś zmałstruje lub nawet tylko spróbuje, zadzwonicie na dziewięć jeden jeden i powiecie im, aby wysłali mnie. Nie spotkajmy się na kolejnym pogrzebie, okej?

Po ceremonii mój tata nie komentuje sprawy Portera. Nie komentuje również sprawy Davy’ego, który ukradł mój skuter. Więc kiedy zostajemy sami, mówię mu, że jest mi przykro, że nie mówiłam mu tego, i wyjaśniam dlaczego, i że więcej się to nie powtórzy. Nigdy, nigdy, nigdy.

– Boli mnie tylko, że musisz kłamać, Min – mówi.

Zaczynam znów płakać.

A ponieważ jest najmilszym człowiekiem na świecie, przytula mnie, aż przestaję. Kiedy mija groźba, że cały cmentarz utonie w mojej rozpaczach à la Alicja w Krainie Czarów, prostuje mnie i pozwala mi pójść z Porterem do domu na resztę popołudnia.

Rothowie mieszkają w starym domu tuż przy plaży na przedmieściach miasta, w sąsiedztwie, które było miłe prawdopodobnie jakieś dziesięć lat temu. Teraz powoli zaczyna podupadać, a połowa domów ma tabliczki „Na sprzedaż”. Ich płot się rozpada, cedrowe deski zaczynają się wypaczać, a brutalny wiatr od oceanu pokonał wietrzne kuranty, które stoją na dachu. Ale kiedy wchodzę do środka, pachnie woskiem i drewnem, a od podłogi do sufitu stoją trofea, kawałki drewna wyłowione z morza, i wyschnięte rozgwiazdy oraz zdjęcia rodziny. Na stole w kuchni leży jasnoczerwony jak hawajski hibiskus obrus.

– Umieram z głodu – mówi Lana. – Pogrzeby budzą we mnie głód.

– We mnie też – wtóruje pani Roth. – Musimy coś zjeść na pocieszenie. Może P&P?

– Co to jest P&P – pytam.

– Popcorn i orzechy – informuje mnie Porter.

Pani Roth rozgląda się po zebranych, szukając akceptacji, a wszyscy kiwają głowami na tak. Zdaje się, że jest to tradycja Rothów. Ja akurat przeżywam pasmo zwycięstw w kwestii jedzenia w mieście, więc kim jestem, żeby się spierać? A kiedy pani Roth wstawia popcorn z prawdziwymi ziarnami w wielkim garze na kuchence, pachnie tak dobrze, że zaczynam się ślinić.

Kiedy ona soli popcorn, Porter idzie do swojego pokoju i przebiera się z garnitur, a ja pomagam pani Roth wyjąć miski. Dziwnie jest być sam na sam z nią, więc mam cichą nadzieję, że Porter się pospieszy. Teraz, bez niego, czuję się jak aktor na scenie, który zapomniał swojej kwestii. Co powinnam mówić? Może potrzebuję kart z wypowiedziami.

– Jak czuje się twoja mama w związku z tym, że jesteś tutaj w Kalifornii? – Pani Roth pyta ni z tego, ni z owego.

– Nie wiem – odpowiadam. – Nie mam z nią kontaktu.

– Nie jesteście blisko?

Wzruszam ramionami.

– Tak sądziłam. Pierwszy raz jestem daleko od domu. – Ludzie, poważnie? Nie mogę znów płakać. Pogrzeby są najgorsze. Wycieram łzy, zanim zdążą spłynąć, i otrząsam się.

– Przykro mi, kochanie – mówi pani Roth miłym głosem. – Nie miałam zamiaru przywoływać złych wspomnień.

– Chodzi po prostu o to, że ona nie napisała mejla albo esemesa. Nie ma mnie już kilka tygodni. Wydawałoby się, że chciałyby wiedzieć, że jestem okej. Mogłabym umrzeć, a ona by o tym nawet nie wiedziała.

– Próbowałaś do niej dzwonić?

Kręcę głową.

– Czy twój tata z nią rozmawiał?

Nie wiem.

– Może powinnaś go spytać. Przynajmniej porozmawiaj z nim o tym. Może dzieje się coś złego w jej małżeństwie albo pracy, nigdy nie wiesz. Może potrzebuje, żebyś ty odezwała się pierwsza. Czasem rodzice nie do końca radzą sobie ze swoim dorosłym życiem.

Klepie mnie po ramieniu, a to przypomina mi znów Pangborna.

Idziemy do sofy w pokoju pod gigantyczną deską surfingową podwieszoną na wyeksponowanych krokwiach; deska ma wygrawerowane ładną kursywą słowo „Pennywise”. Siadam pośrodku między Porterem i Laną, trzymając dużą plastikową miskę z popcornem wystarczająco posolonym i z odpowiednio wyprażonymi orzechami. Orzechy są ciężkie i opadają na dno miski, więc jesteśmy zmuszeni ciągle potrząsać nią i je łowić, co powoduje, że popcorn

rozsiewa się na nasze kolana, a ich kłótnie to połowa zabawy. Państwo Roth siedzą niedaleko, w rozkładanych fotelach, z czego fotel pana Rotha wygląda na wyprodukowany w 1979 roku.

– To jego ulubiony fotel, Bailey, i nigdy go nie odda – mówi pani Roth, wyciągając rękę i dotykając twarzy pana Rotha. – Nie patrz za długo na ten fotel, bo dostanie nóg i wyjdzie stąd.

Lana chichocze. Pan Roth tylko mamrocze i niemal się uśmiecha. Kątem oka widzę, jak całuje swoją żonę w rękę, zanim ona mu ją zabiera.

Podczas naszej uczty oglądamy *Biga Lebowskiego*, co jest nieco dziwne, ponieważ Alex próbował mnie namówić na obejrzenie tego filmu kilka miesięcy temu. A Rothowie mają go na DVD, więc wszyscy są zaskoczeni, że ja nie widziałam go jeszcze. Okazuje się, że jest naprawdę dobry. A co jeszcze lepsze, Porter przygotował mnie na sceny wystrzałów w filmie – żebym nie była zaskoczona – a kiedy mówią kwestie razem z aktorami, co wywołuje u mnie śmiech mimo ponurego wydarzenia dnia, pochyla się do mnie i szepcze mi w ucho:

– Należysz do tego miejsca razem ze mną.

I w tamtej chwili wierzę, że tak.

Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz.

John Boyega *Gwiezdne Wojny, część VII: Przebudzenie Mocy* (2015)

Nie wiem, po jakim czasie ludzie czują się normalnie po czyjejs śmierci. Ale chyba spodziewałam się, że Porter dojdzie do siebie szybciej, bo zawsze jest taki pewny siebie. Powinnam pamiętać, że on przeżył już wcześniej emocjonalny wstrząs, a niektóre z jego zachowań są po prostu na pokaz. Więc kiedy widzę, jak wpada, jak się obawiam, w depresję po pogrzebie Pangborna, zastanawiam się, czy powinnam coś powiedzieć lub zrobić, by mu pomóc. Tylko nie wiem co.

Mówi mi, że jest okej, że po prostu potrzebuje trochę czasu, by się z tym uporać. Kiedy pytam, czy chce pójść zjeść coś po pracy, odpowiada, że może być zbyt zmęczony. Wygląda na zmęczonego. Często przeprasza. To zupełnie nie jest do niego podobne, mówiąc szczerze.

Tata mówi, żebym nie naciskała za mocno. Nie jestem raczej naciskającą osobą. Ale widząc niekończącą się melancholię Portera, zaczynam się zastanawiać, czy nie potrząsnąć nim porządnie. Ale Grace powtarza słowa mojego taty, żebym dała Porterowi trochę przestrzeni. I co jeszcze dziwniejsze, tym razem to ja nie chcę być sama. Myślę, że Grace może to wyczuwać albo coś tym stylem, ponieważ często pyta mnie, czy się z nią spotkam. Nasze spotkania na śniadania przed pracą w Pancake Shack stają się rutyną. Zdecydowanie jasny punkt w moim dniu. To jest pomocne w odrywaniu myśli od Pangborna – i niemartwieniu się tak bardzo o Portera. Coś w tym rodzaju. To nie łagodzi zabawnego bólu w moim sercu, kiedy myślę o nim, jak radzi sobie z tym wszystkim w samotności. Chciałabym mu pomóc. Chciałabym, żeby ze mną rozmawiał. W tej kwestii oddałabym mój prawy mały palec dla naszego dobra, dla staromodnych kłótni. Czy możesz tęsknić za kimś, kogo widzisz niemal codziennie?

Kilka tygodni po pogrzebie Pangborna, o szóstej czterdzieści pięć rano, budzi

mnie kilka wibracji w moim telefonie. Kto pisze do mnie tak wcześnie? Moją pierwszą reakcją jest panika, ponieważ, powiedzmy sobie prawdę, życie ostatnio było raczej do dupy.

Porter: „Obudź się”.

Porter: „Oooooobudź sięęęęęęęęę”.

Porter: „Do której sypiasz, tak przy okazji? Potrzebujesz budzika”. (Właściwie to ja chciałbym być tym budzikiem.) (Boże, nie pozwól swojemu tacie odebrać telefonu.)

Porter: „No dawaj, śpiochu. Jeśli nie obudzisz się zaraz, wychodzę bez ciebie”.

Szybko odpisuję: „Co się dzieje?”

Porter: „Dobry czas na surfowanie, ot co”.

Ja: „To znaczy twoje surfowanie?”

Porter: „Taki był zamysł. Więc idziesz zobaczyć, jak surfuję?”

Ja: „Spróbuj mnie powstrzymać”.

Jestem taka podekscytowana, odrzucam kołdrę i wstaję z łóżka. Okej, może nie jest to romantyczne zaproszenie, ponieważ w kilku następnych wiadomościach mówi mi, gdzie spotkam jego rodzinę, ale nie obchodzi mnie to. Czuje po prostu ulgę, że pisze tak wesoło. Moim jedynym problemem jest Grace, i moje spotkanie z nią na śniadaniu. Jest już na nogach i kiedy piszę jej prośbę o przełożenie spotkania, ona pyta, czy może się przyłączyć. Kiedy nie odpowiadam jej od razu, nadchodzą dwie nowe wiadomości.

Grace: „Ładnie proszę”.

Grace: „Naprawdę potrzebuję pogadać”.

Ja: „????”

Grace: „Rozmowa. Babska. Jasne?”

Normalnie powiedziałabym: jasne, ale nie spędzałam czasu z Porterem od oglądania *Biga Lebowskiego* po pogrzebie. A jeśli on nie chce dużej publiki? Rozważam najlepszy sposób na rozwiązanie tego problemu podczas ubierania się, ale mój mózg wciąż wędruje do Portera.

Kiedy wychodzę, mgła się jeszcze nie rozeszła. Miejsce, w którym spotykam Rothów, jest kilka kilometrów na północ od miasta, tuż przy plaży Ogrodu Kości. Jest tutaj ładnie, dziko i wszędzie kamienie. I mimo że nie jest tak tłoczno jak na plaży przy deptaku, jestem zaskoczona, że widzę kogokolwiek o tej porze dnia.

Najwyraźniej jest to popularne miejsce do surfowania, ponieważ kilkanaście vanów parkuje przy drodze i zbiera się również kilku oglądających, włączając w to parę spacerującą wzdłuż plaży z psem. Fale wzbijają się i rozbijają.

Jasne, że nie jest to prywatne spotkanie. Widzę nawet Sharondę, prezydent klubu teatralnego Brightsea, którą Grace przedstawiła mi na imprezie przy ognisku. Przypominam sobie Grace i mówię sobie, że muszę jej odpisać, ale pani Roth przywołuje mnie i ma donuty. Nie chcę być niegrzeczna, a ona jest w dobrym nastroju, więc wyrzucam Grace z myśli i ściszam telefon.

Kiedy rozmawiam z panią Roth, zauważam resztę rodziny. Pan Roth jest w trybie treningowym, wyładowuje deskę z Laną i wydaje komendy. Ale ja mam problem ze zwracaniem uwagi na cokolwiek poza Porterem. Jeśli pozostały w nim jakieś ślady melancholii, to upchnął je gdzieś głęboko. Jest nowy dzień i widzę zmianę w sposobie, w jaki chodzi po piasku, jak trzyma wysoko głowę. Jest gotowy pójść do przodu.

Ma na sobie czarno-niebieski mokry kombinezon bez rękawów, idealnie dopasowany. Stojąc obok pana Rotha, obawiam się spojrzeć na Portera, ale jasna cholera. Przechwytuję jego wzrok, kiedy jego mama jest zajęta rozmową z Sharondą, która jest najwyraźniej przyjaciółką Lany. Nie mogę mrugnąć, więc po prostu wodzę po nim wzrokiem z góry na dół i ruszam ustami: wow. RzUCA mi efektowny uśmiech w odpowiedzi. Jest taki pewny siebie; chłopak wie, jak doskonale wygląda. Przewracam oczami, ale nie mogę przestać się uśmiechać, a on uwielbia, jak się na niego zwraca uwagę. Mógłby budować zamki na piasku i w ogóle nie wchodzić na fale, tyle mnie to obchodzi. Misja zakończona.

Po wymianie spojrzeń jego zachowanie się zmienia. Zauważam ten moment. Rozciąga się razem z Laną, nogi i ramiona, normalne rozciągnięcie i dziwne skoki. Oboje są giętki. A jego oczy bez przerwy skupione są na wodzie. Ocenia duże fale. Moment wskoczenia na fale albo coś innego. Co jakiś czas zerka na swój zegarek, ale głównie obserwuje wodę i sprawdza niebo. Bardzo intensywnie. Podoba mi się taki.

Jest pewna etykieta surfingowa, której nie rozumiem, ale stwierdzam, że Porter i Lana czekają na swoją kolej. Widzę też, że pozostali surferzy nie są zbyt dobrzy, a niektórzy z nich poddają się i schodzą. Po minucie pan Roth daje sygnał żonie.

– Dobra, dziewczęta – mówi ona do mnie i Sharondy. – Idziemy tam.

„Tam” to jest krótką, wysoka diuna piaskowa, skąd rozciąga się dobry widok na ocean. Widać wyraźniej, jak zwiłają się fale, a także wszystkich innych surferów, którzy surfują na mniejszych falach bliżej wybrzeża (niezbyt imponujące) albo próbują zaatakować większe fale, ale nie zostają na nich długo. Ocean pożera ich żywcem. Teraz trochę się martwię.

– Nie będą surfować na tych, prawda? – pytam. Wielkie fale oglądane z plaży wyglądają na mniejsze i bardziej płaskie.

– Z pewnością, kotku, będą – mówi z całą matczyną dumą. Nie jest jedyną, którą to interesuje. Za nami zbiera się tłum, by oglądać spektakl.

Mam nadzieję, że jest to strefa wolna od rekinów.

Lana ma na sobie żółto-czarny kombinezon i idzie pierwsza. Kładzie się płasko na swojej desce, i wiosłuje, a to zajmuje więcej czasu, niż myślisz. Porter daje jej trochę przestrzeni, ale teraz on też płynie. Im dalej płyną, tym bardziej jest to przerażające. Czasem znikają pod mniejszymi falami, a potem pojawiają się po ich drugiej stronie.

– Widziałaś już, jak surfują? – pytam Sharondę, gryząc donuta. Nie chciałabym robić przykrości pani Roth, ale nie jest to gofr ani księżycowa muffinka.

– Taak, mieszkam przy drodze, więc widuję Lanę, jak surfuje kilka razy w tygodniu. Czasem idę oglądać zawody, jeśli nie są zbyt daleko. Kiedyś jechałam z Rothami do Huntington Beach. Pamiętasz to?

– Jasne, kochanie – odpowiada mama Portera, obserwując wodę.

– A co z Porterem? – pytam.

Sharonda kiwa głową.

– Obserwuję, jak ściga się w lokalnych zawodach, odkąd skończył jakieś trzynaście lat. Włosy miał zwykle dotąd. Sięga ręką do połowy pleców. – Nic, tylko loki. Wszystkie dziewczyny w klasie na niego leciały.

Pani Roth wydyma dolną wargę, jakby cofała się we wspomnieniach.

– Był takim słodkim chłopcem. Moje oczko w głowie.

– Och, i będziemy oglądać wszystkie wyścigi Lany w telewizji – mówi Sharonda podniecona, poklepując po ramieniu panią Roth. – Może zrobimy przyjęcie z oglądaniem?

To mnie zaskakuje. Nawet nie przeszło mi przez głowę, że Lana będzie aż taką profesjonalistką. A wygląda jak spokojny, dobry dzieciak, który żuje dużo gumy i

ślini się, usypiając na kanapie, jak tamtego popołudnia w ich domu.

Lana i Porter płyną na swoich deskach, podskakując na falach. Nie jestem pewna, na co czekają, ale wszyscy patrzą w napięciu. Zanim zdążam spytać, co się dzieje, czarno-żółty kostium Lany wskakuje na deskę. Staje, kuca na swojej desce i przecina masywną falę, której nawet nie zauważyłam.

I jest!

Jest jak piękna czarno-żółta pszczoła, sunąca po wodzie, wykonująca ciasne zakrętas, który wydają się trwać wiecznie. Nie mogę uwierzyć, że może jechać na fali tak długo. To jest szaleństwo, Jak to jest możliwe? To wbrew naturze.

– Tak, Lana! – Pani Roth krzyczy do oceanu, klaszcząc w chwili, kiedy Lana zakręca. – Dawaj, słonko, dawaj.

Lana kończy surfowanie daleko po drugiej stronie wydmy i zajmuje jej kilka minut powrót do nas. Nie ma wątpliwości, ten dzieciak jest w formie. Taki wyczyn jest wyczerpujący.

Tłum na wydmie eksploduje aplauzem i gwizdami, a ja również klaszczę. Pani Roth obraca dłonie w powietrzu, tworząc koło.

– Ten mały orzeszek wygra wszystko – mówi każdemu wokół, a niektórzy przybijają jej piątkę.

Jest taka dumna. Wszyscy się śmieją. To wszystko jest ekscytujące, ale ja teraz obserwuję Portera, ponieważ on powiosłował trochę dalej, a to sprawia, że zaciska mi się żołądek.

Pan Roth wspina się na wydmy, patrząc na wodę. Kiedy ostatnio Porter surfował w ten sposób? Nagle jestem zdenerwowana. Jeśli się załamie, czy jak to tam zwą, nie dam rady. Chcę odwrócić wzrok, może znajdę jakąś wymówkę, że na przykład zaszkodził mi donut i muszę odejść. Mogę posłuchać o tym później.

A wtedy on wskakuje na swoją deskę.

Za późno. Nie mogę teraz odwrócić wzroku.

Jego fala jest większa niż Lany. Jego pozycja jest inna niż Lany. Jedzie deską na zwijającej się fali, wyżej i wyżej i wyżej... (proszę, nie spadnij!), a na szczycie. – O Matko Przenajświętsza – unosi się w powietrzu, deska i ciało! Niewiarygodnie sprawnie obraca deskę o sto osiemdziesiąt stopni, ostro. I jedzie deską w dół, gładko jak po szkłe, biała piana wyskakuje spod jego deski jak tren sukni ślubnej.

– Tak! – wrzeszczy pan Roth, unosząc w górę ramiona.

Tłum za mną krzyczy razem z nim.

To się dzieje tak szybko. To tylko jeden ruch i chociaż Porter nie zabrał znów deski w górę, zrobił już drugi obrót (kucając tuż pod linią fali, czeka, czeka... i jedzie znów w górę) i woowow! Obrót numer trzy! Teraz jedzie w dół, wciąż, ręce wyciągnięte na zewnątrz dla równowagi, jak płetwy.

Styl Lany był szybki, pełen śmiałości. Porter jest wolniejszy, a jego ruchy są bardziej majestatyczne. Poetyczne. Piękne. Przecina wodę, jakby malował obraz swoim ciałem.

Nie wiedziałam, że surfing może tak wyglądać.

Nie wiedziałam, że Porter może to zrobić.

Wykonuje ostatni obrót na końcu fali, dziecięcy zwrot, ponieważ niewiele fali już zostało, a potem się zatrzymuje dokładnie tam, gdzie piach unosi się w kierunku plaży, fala spływa wokół niego, jakby ocean uznał go za rozbitka i próbował odholować bezpiecznie na brzeg.

Tłum wrzeszczy.

Zgniatam donuta w rękę.

– Jasna cholera – mówię w oszołomieniu, a potem przepraszam, a potem mówię to jeszcze kilka razy, ale nikt tego nie słucha i nikogo to nie obchodzi.

Pan Roth odwraca się, uśmiecha szeroko do tłumu – uśmiecha! – i całuje swoją żonę, zanim zbiegnie na drugą stronę wydmy, by pogratulować synowi. Pani Roth przyciąga mnie i mocno przytula. Jak na kobietę, która nie jest atletką, jest z pewnością silna. Kiedy mnie odsuwa, chwyta moją twarz w swoje ręce i ku memu zaskoczeniu całuje mnie prosto w usta.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Wiedziałaś, że go z tego wyciągniesz.

– Nic nie zrobiłam – mówię, czerwieniąc się z wrażenia i nieco zakłopotana.

– Och, kochanie, ależ owszem – mówi, a jej oczy błyszczą. – Nie surfował w ten sposób od czasu historii z rekinem.

Porter surfuje na dużo większych falach. Raz schrzanił akcję, spadając z deski całkiem mocno, gdy próbował wyciągnąć „podskok” w powietrzu. Pani Roth wini za upadek wiatr. Ale poza tym surfuje niemal jak demon. On i Lana zaangażowani są w przyjazną rywalizację i to jest cudowne. Po kilku godzinach plotka się rozniosła i z setka ludzi jest teraz na plaży. Zachrypłam od kibicowania.

Tempo jakby zwalnia – zarówno fal, jak i surferów – a wtedy pani Roth mówi mężowi, aby zawołał dzieci na brzeg. Nie chcę, aby Porter przesadził i zrobił sobie krzywdę. Pan Roth mruczy, ale się poddaje, i powoli idzie z powrotem na wydmy. Podejrzewam, że Lana miała rację, że to jej mama nosi spodnie w tej rodzinie.

Ktoś klepie mnie po ramieniu.

– Jak sobie radzą?

Odwracam się i widzę Grace, w różowej marynarce i wielkich złotych okularach przeciwsłonecznych. Jej usta są wąskie, zaciśnięte, ramiona spięte. Nie jest szczęśliwa.

– Grace – mówi radośnie pani Roth. – Powinnaś była przyjść wcześniej. Porter był w swoim żywiole.

Grace uśmiecha się do niej prawie szczerze.

– Tak? Przykro mi, że to przegapiłam. Zajęło mi trochę czasu odkrycie, gdzie surfują.

– Powinnaś była do mnie zadzwonić – mówi pani Roth nieobecny głosem, tylko częściowo zwracając na nią uwagę.

Grace patrzy na mnie.

– OK. Napisałam do Portera, a on był bardziej niż zadowolony, że może mi to powiedzieć.

Och Boże.

– Grace – szepczę. – Totalnie zapomniałam ci odpisać.

– Nic wielkiego. Nie kręci mnie to tak, jak sądziłam – mówi i odchodzi.

Zapadam się w siebie. Artful Dodger we mnie szepcze, żeby pozwolić Grace odejść, ale inna część mnie panikuje. Przyciągam uwagę pani Roth.

– Przepraszam, ale muszę porozmawiać z Grace.

Pani Roth macha ręką.

– Idź, kochanie. Już prawie skończyli. Wyślę Portera, by cię znalazł, kiedy wróci na brzeg.

Szybko podążam za Grace z dala od małego tłumu na plaży, w dół wydmy, wołając jej imię. Zatrzymuje się przy skale, z której wyrasta kępa żółtego łubinu. Mam ściśnięte gardło, nie mogę spojrzeć jej w oczy. Jest tak wzburzona, że niemal czuję, jak emocje z niej biją niczym ciepło z pieca. A ona nigdy nie była zła na

mnie. Nigdy.

– Dlaczego chcesz teraz ze mną rozmawiać? Nie chciało ci się nawet odpowiedzieć na moją wiadomość dzisiaj rano.

– Przepraszam! – krzyczę. – Zamierzałam ci odpisać, ale...

– Dzwoniłam dwa razy – w złości klaszcze, a słowa wypadają jej z ust – po wiadomościach. Od razu kierowało mnie na pocztę głosową.

Krzywię się. Sięgam do kieszeni, aby sprawdzić mój porzucony telefon, ale rezygnuję.

– To po prostu...

– Łatwo zapomnieć o przyjaciółce, kiedy twój chłopak znów pojawia się w okolicy. Kiedy był w kiepskim nastroju, miałaś czas dla mnie. Ale kiedy dzwoni, wyrzucasz mnie jak wczorajszą wiadomość.

Wstyd i żal przepływają przeze mnie.

– To nieprawda. Jestem po prostu rozkojarzona. Nie odrzucam cię.

– Cóż, tak to wygląda. Nie myśl, że nie byłam tutaj z innymi przyjaciółmi. Kiedy zakochują się w kimś, wszyscy o mnie zapominają. Cóż, powiem ci coś, Bailey Rydell, jestem zmęczona zastępstwem. Jeśli nie chcesz prawdziwej przyjaźni, to znajdź sobie kogoś innego.

Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, jak sprawić, by było lepiej.

Jestem surferem, który spada i tonie pod jedną z monstrualnych fal. Tylko nie sądzę, że jestem wystarczająco dobrze wytrenowana, by znów stać na fali.

Po długiej, kłopotliwej ciszy mówię:

– Nie jestem w tym dobra.

– W czym?

– Być blisko ludzi. – Pokazuję na nią, a potem na siebie. – Spieprzyłam to. Bardzo. Łatwiej mi unikać ludzi i rzeczy, niż się z nimi konfrontować.

– To twoje wytłumaczenie? – pyta.

– To nie jest wytłumaczenie. To jest prawda.

Czemu to zrobiłam? Gdybym mogła cofnąć czas do dzisiejszego ranka, odpisałabym jej i wszystko byłoby okej. Niezależnie, czy aktywnie, czy pasywnie, unikałam wiadomości Grace, zapomnienie o nich celowo czy też niecelowo niczego nie zmienia. Zawiodłam ją. I być może przez to zawiodłam trochę siebie samą.

Nie chcę stracić Grace. W jakiś sposób, kiedy Porter wszedł frontowymi drzwiami, ona wśliznęła się tylnymi. Próbuję jedyne wyjścia, jakie mi zostało: mówienia prawdy.

– Masz rację – mówię jej – przyjechałam cię jako prezent. Zapominałam o tobie dzisiaj rano, ponieważ założyłam, że ty zawsze będziesz, bo zawsze jesteś. Mogę na ciebie liczyć, ponieważ jesteś niezawodna, a ja nie. Chciałabym... Chciałabym, żebyś mogła liczyć na mnie tak, jak ja mogę liczyć na ciebie. Chcę być bardziej jak ty. Nie jesteś dla mnie zastępstwem, Grace.

Ona nic nie mówi, ale słyszę, jak jej oddech przyspiesza.

– Sądzę, że powiedziałam sobie, że nie będziesz za mną tęsknić – mówię, sięgając po żółty łupin. Tak to usprawiedliwiam.

– Cóż, tęskniłam za tobą. Wybrałaś sobie dobry dzień na show. Ponieważ ja naprawdę potrzebowałam dzisiaj wsparcia – mówi, wciąż w jakiś sposób zła, ale teraz pojawiły się i inne emocje, które nie do końca mogę wyczuć. Trudno rozszyfrować ludzi, którzy mają na sobie wielkie okulary przeciwsłoneczne, a ich ramiona są skrzyżowane na piersi.

Wiatr przewiewa mi włosy. Czekam, aż ustanie, i pytam:

– Czy coś się stało?

– Tak, coś się stało – odpowiada. Ale teraz słyszę ból w jej głosie, a kiedy przesuwam okulary na czubek głowy, widzę ból też w jej oczach. – Taran nie wraca. Zostaje w Indiach na resztę lata. A może na dobre.

– Och Boże, Grace. – Czuję ból w piersi.

Ciche łzy spływają wolno po jej policzkach.

– Byliśmy razem przez rok. Mieliśmy iść do tego samego college'u. Życie nie tak powinno wyglądać.

Z wahaniem zbliżam się do niej, niepewna, czy mnie zaakceptuje. Ale ona bez chwili wahania wyciąga do mnie ramiona, płacząc cicho, i przytula się. Jej okulary spadają na piach.

– Przepraszam – jękam się, zaskoczona, że płaczę razem z nią. – Za wszystko.

Mój stary terapeuta ostrzegał mnie, że unikanie jest dysfunkcyjnym sposobem interakcji z ludźmi, na których ci zależy, ale teraz zaczynam rozumieć, co miał na myśli, kiedy mówił, że mogę ich zranić. Może odnalazłam lepszy sposób na radzenie sobie ze swoimi problemami.

Może Artful Dodger już nie działa u mnie tak dobrze.

23

Nigdy nie byłam z mężczyzną sam na sam, nawet w ubraniu. Być bez ubrania jest zupełnie nietypowe.

Audrey Hepburn *Rzymskie wakacje* (1953)

W połowie lipca znów mamy z Porterem dzień wolny. On mówi mi, że możemy zrobić, cokolwiek chcę, że on jest moim dzinnem i spełni moje życzenie. Mówię mu, że nie chcę widzieć żadnej innej duszy przez całe popołudnie. Jest coś, czym jestem gotowa się podzielić.

Zabiera mnie vanem w południe, dwie godziny po moim śniadaniu z Grace.

– Dokąd jedziemy? – pytam, odchylając osłonkę, by nie oślepiało mnie słońce, kiedy moszczę się na siedzeniu pasażera. Mam na sobie swoje białe szorty w stylu Anette Funicello i lamparcie okulary przeciwsłoneczne, które Wanda i tata przywieźli mi z San Francisco. Mój wizerunek Lany Turner wygląda perfekcyjnie.

Porter zerka na moje sandały (te, które lubi), a potem na moje szorty (na które dalej patrzy, kiedy do mnie mówi).

– Masz dwa do wyboru, plaża albo drzewa. Drzewa mają strumień, który jest chłodny, ale plaża ma łuk z kamieni, który też jest fajny. Boże, te szorty są niesamowite.

– Dziękuję. Nie ma tam ludzi?

– Jeśli zobaczymy kogokolwiek, będę się zachowywał jak szalony i wygonię ich. Ale nie, oba miejsca są z reguły wyludnione.

Po chwili namysłu – na drzewach żyją insekty – naprawdę nie mam wyboru, jeśli chcę osiągnąć cel, który mam w głowie, więc zbieram się na odwagę i mówię:

– Weź mnie na plażę.

Jazda zajmuje jakieś piętnaście minut. Musimy precyzyjnie się węszyć, wąską, kamienistą dróżką między drzewami, by dotrzeć do plaży, gałęzie sosen skrobą po dachu vanu. Ale kiedy wyjeżdżamy spomiędzy drzew, pojawia się wspaniały

piasek, szare kamyki, małe oczka wodne i wyrastający z nabrzeża kamienny łuk stworzony z łupków. Jest pokryty pąklami, obsiadły go ptaki, a fale rozbijają się o niego.

Plaża jest mała.

Plaża nie jest sexy.

Plaża jest nasza.

Porter parkuje vana niedaleko drzew. Rozsuwa drzwi, zdejmujemy buty, po czym wrzucamy je na tył vana. Widzę, że trzyma w nim swoją deskę i mokry kombinezon, ładnie złożony: surfuje niemal każdego dnia.

Przez chwilę chlapiemy się w małych sadzawkach. Są pełne rozgwiazd, które do tej pory widziałam tylko zasuszone na półce w sklepie z pamiątkami. Wskazuje na inne stworzenia, ale ja mam coś więcej do roboty niż zastanawianie się nad morskim życiem przybrzeżnym Kalifornii.

– Hej, gdzie jest plaża dla nudystów?

– Co?

– Chyba w Coronado Cove jest plaża dla nudystów?

Porter się śmieje.

– Jest koło Beacon Resort. Nie ma nawet stu pięćdziesięciu metrów długości. Po obu stronach jest płot zapewniający prywatność. Nie możemy tam zajrzeć, a ty nawet byś nie chciała, gwarantuję.

– Dlaczego?

– To jest klub dla swingersów na emeryturze. Nasi rodzice są zbyt młodzi, by tam się dostać.

– Nie mów.

– Ależ owszem. Spytaj Wandę. Ci swingersi byli oskarżani o zbyt głośne zachowanie po godzinach ze względu na te wszystkie swoje przyjęcia. To dlatego musieli postawić płot. Ludzie narzekali.

– Świetnie.

– Teraz to mówisz, ale kiedy będziesz miała osiemdziesiąt lat i będziesz chciała po prostu się rozebrać i dostać owocowego drinka z parasolką na plaży od innego nagiego osiemdziesięciolatka, będziesz wdzięczna, że tu jest.

– Pewnie masz rację.

Zerka na mnie.

– Czemu o to pytasz?

Wzruszam ramionami.

– Jestem po prostu ciekawa.

– Rozebrania się na plaży?

Nic nie mówię.

Jego oczy robią się wielkie.

– Jasna cholera, to o tym myślisz, prawda?

Wskazuje na mnie i kręci głową.

– Coś się tu nie zgadza. To nie ty. To ja jestem fanem wszystkiego, co nagie. A jeśli poprosisz mnie, abym rozebrał się teraz, zrobię to, ja się nie wstydzę. Spędziłem pierwsze kilka lat mojego życia na tej planecie goły w oceanie.

Wierzę w to. Naprawdę.

– Ale ty? – Zerka na mnie. – Co to wszystko ma wspólnego z tobą?

Waham się i przygryzam usta od środka.

– Pamiętasz tę noc, którą spędziliśmy w muzeum?

– Każdą minutę – mówi z uśmiechem.

Też się śmieję.

– Ja również – przyznaję i skupiam się ponownie. – Pamiętasz, jak zacząłeś dotykać mojego brzucha, a ja cię powstrzymałam?

Jego uśmiech gaśnie.

– Tak. Zastanawiałem się, kiedy zamierzasz mi o tym powiedzieć.

– Myślę, że teraz jestem gotowa.

Kiwa głową kilka razy.

– Super, cieszę się.

Oczywiście, teraz, kiedy to powiedziałam, obleciał mnie strach. Waham się, zgrzytając zębami.

– Chodzi o to, że muszę ci to pokazać, nie powiedzieć. Myślę, że to jeden z powodów, dla którego nienawidzę plaży od tak dawna... kwestia bikini. Więc sądzę, że powinnam to po prostu zrobić, rozumiesz? – Nie jestem pewna, czy mówię do niego, czy do siebie, ale to nie ma znaczenia. – Taak, zamierzam to zrobić.

Wygląda na zdezorientowanego.

– Mam zamiar rozebrać się na tej plaży – mówię mu.

– O cholera. – Wygląda na naprawdę zaskoczonego. – Okej. Hm, wszystko jasne. Taak, okej.

– Ale nigdy nie byłam z nikim nago na plaży, więc jest to dla mnie dziwne.

Wskazuje na mnie i uśmiecha się.

– Żaden problem. Chcesz jakiegoś towarzystwa? Ja lubię być nagi. Łatwiej to zrobić podczas gry.

Rozważam jego propozycję.

– No dobra, okej. To faktycznie będzie prostsze.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że znam wiele trików, które mogę teraz wykorzystać.

Oboje się śmiejemy, ja lekko zdenerwowana, a potem decydujemy się na metodę rozbieranego pokera. Porter proponuje, że będzie pierwszy. Rozgląda się po plaży, żeby upewnić się, że nadal jesteśmy sami, i bez dalszych pytań zdejmuje T- shirt. Miłe, ale to nie jest do końca fair, bo (A) już to widziałam wcześniej i (B) nie pokazuje tak naprawdę niczego, czego nie może pokazać publicznie. Daje mi sygnał, że teraz moja kolej.

Ostrożnie rozważam wszystkie swoje opcje (przewidując włożyłam dobrze dopasowaną bieliznę). Zdejmuję szorty. Jest zaskoczony. On również nie może oderwać ode mnie wzroku. Podoba mi się to... Tak myślę. Jeszcze nie zdecydowałam. Mówię sobie, że to jest tyle samo materiału, co w kostiumie kąpielowym, więc jaka to różnica?

– Grasz nie fair, Rydell – mówi, rozpinając swoje szorty. Zanim zdążę otworzyć usta, by się z nim nie zgodzić, on nie ma na sobie nic poza oliwkowozielonymi bokserkami.

Wow. Ma wspaniałe nogi.

Okej, znów moja tura, jak pomocnie mi przypomina gestem rękoma. Cóż, to tylko koszulka, myślę, kiedy ściągam ją przez głowę i rzucam na piasek. Stanik to też jak góra kostiumu kąpielowego, a poza tym to jest dobry stanik. Słyszę, jak łapie szybki wdech, więc myślę, że jest dobrze. Moje cycki nie są wielkie, ale nie są też złe, i...

Jego palce śledzą moją bliznę.

– To to? To to, co czuję?

Zerkam na swoje żebra i nakrywam jego rękę, przesuwając ją na mój brzuch. A

potem odsuwam je i razem patrzymy. Jest jasno i słonecznie, a my jesteśmy oboje w połowie nadzy. I jeśli jest ktokolwiek, z kim czuję się bezpieczna... jeśli jest ktoś, komu ufam wystarczająco, to Porter.

– Tak, to to – mówię.

Zerka na to. Patrzy mi w twarz. Czeką.

– To tam weszła kula – mówię, dotykając palcami wystającą krawędź blizny, która nigdy tak naprawdę nie zagoiła się dobrze. Odwracam się i pokazuję mu plecy. – Tędy wyszła.

– Nie rozumiem.

– Greg Grumbacher. To tu mnie postrzelił.

– Powiedziałaś mi... to znaczy myślałem, że postrzelił twoją mamę?

Powoli kręcę głową.

– Mojej mamy miało nie być w domu. Śledził mnie do domu tego dnia, ponieważ planował zabić mnie. Miał zamiar zostać z moim ciałem. Rozumował tak: moja mama zabrała mu dziecko podczas rozvodu, więc on zabierze jej dziecko.

Opuszcza ramiona.

– Tak mi przykro. Nie wiedziałem.

– Jesteś pierwszą osobą, której powiedziałam. Moi koledzy z klasy słyszeli o tym, ale mama przeniosła mnie do innej szkoły po tym, co się stało. W każdym razie wiesz. Powiedziałaś ci, że jestem pokręcona – mówię, posyłając mu delikatny uśmiech.

Obejmuje mnie w talii, głaszcząc moje rany z przodu i z tyłu.

– Dziękuję, że mi to powiedziałaś. Że pokazałaś.

– Dziękuję, że dzięki tobie nie jest to dziwne. Nie chcę robić z tego wielkiej sprawy, jasne? Dlatego chciałam ci pokazać. Tutaj w słońcu.

– Rozumiem. Doskonale.

Pochyliam się i przyciskam usta do jego słodkiego zagłębienia w obojczyku. Odsuwa moje włosy dłonią i całuje mnie w środek czoła, w powieki i czubek nosa. A potem przyciąga mnie do siebie i obejmuje mocno. Oddycham nim tak głęboko, jak tylko mogę, wdycham całą jego opaloną, ciepłą dobroć. Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Próbuję mu to powiedzieć swoim ciałem. A ze sposobu, w jaki mnie trzyma – jakbym była całą osobą, a nie popsutą zabawką – myślę, że rozumie.

– Czy to znaczy, że chcesz skończyć teraz naszą grę? – mruczy po chwili.

Odrzucam głowę, aby zobaczyć jego twarz.

– Czy próbujesz mnie wystraszyć?

Uśmiecha się tym swoim leniwym, pewnym siebie uśmiechem i odpycha mnie na długość ramion.

– Oboje w tym samym czasie, na trzy.

– To nie fair. Ja mam na sobie jeszcze dwie rzeczy.

– Zamknę oczy, dopóki nie powiesz, żebym je otworzył. Raz, dwa...

Z krzykiem radości dłubię przy staniku, a potem ściągam swoje majtki. Zrobiłam to!

– Cholera, jesteś piękna – mruczy.

– Kłamca – jestem w stu procentach naga. Na publicznej plaży. A co ważniejsze, nie obchodzi mnie to, ponieważ Porter również zdjął swoje rzeczy, a to jest dużo bardziej interesujące niż jakiegokolwiek moje przelotne uczucie wstydu. Ponieważ on jest nagi. I jest cudowny.

I jest niezwykle podniecony naszą wspólną nagością.

– Och – mówię, patrząc w dół na to, co pomiędzy nami.

– Jestem całkiem z tego dumny – przyznaje ze śmiechem, sięgając po moją rękę. Kiedy go dotykam, staje na moment na palcach i wygląda, jakby miał zemdleć, co sprawia, że jestem bardzo podniecona naszą sytuacją.

– Teraz myślę o powrocie do vana – mówię.

Wypuszcza ciężko powietrze i odsuwa moją dłoń.

– Myślę, że to ryzykowny pomysł. Może najpierw powinniśmy się ubrać. Boże, jesteś taka piękna.

– Już to mówiłeś.

– Pozwól mi najpierw popatrzeć jeszcze na siebie. Muszę zapamiętać wszystko na później. Na wypadek gdybym nie miał okazji zobaczyć tego więcej. Cholera. Nie mogę uwierzyć, że namówiłaś mnie... – Jego powieki są ciężkie. – To jest jednocześnie najlepsza i najgorsza rzecz, na jaką się zgodziłem. Dobijasz mnie, Bailey Rydell.

– Wiem, że masz kondomy w apteczce.

Fala rozbija się o skalisty brzeg.

– Bailey...

– Porter.

– To może być okropne. Zaufaj mi. Mam w tej kwestii doświadczenie.

– Ale może nie być, prawda?

Mewy krążą nad głowami, krzycząc.

– Jesteś pewna?

– Jestem – mówię. Myślałam o tym dużo przez ostatnie tygodnie. I podjęłam decyzję. – Jeśli zechcesz zrobić to ze mną, to tak. Nie zamierzam cię naciskać.

Przeklina delikatnie.

– To będzie coś, jeśli będę w stanie zrobić to na tyle vana. Ale jeśli zmienisz zdanie, to możesz, wiesz? W każdej chwili. Nawet w środku tego.

Ale ja nie zmieniam zdania.

Nie w chwili, kiedy idziemy do vana ani kiedy wyciągamy deskę, żeby zrobić miejsce. Ani kiedy on pyta mnie setki razy, czy jestem pewna, i próbuje mnie przekonać do robienia innych cudownych rzeczy, jakie robił w muzeum swoimi palcami, co tylko sprawia, że pragnę go jeszcze bardziej. Teraz, kiedy zaczynamy, on jest ostrożny i powolny i ostrożny, a ja nie mogę na niego spojrzeć i nie bardzo wiem, gdzie przenieść wzrok, więc patrzę w przestrzeń pomiędzy nami, ponieważ martwię się, że będzie bałagan i że będzie bolało, i boli, ale ból szybko mija, a potem jest tylko... tyle doznań, o wiele więcej, niż się spodziewałam. Ale on zaczyna zwalniać i pyta zachrypłym głosem:

– Nadal okej?

Tak. Nadal.

I nie zmieniam zdania w środku tego, kiedy się zatracam, przytłoczona doznaniem, a on przestaje, bo myśli, że chcę, by przestał, ale ja jestem okej – jestem bardzo okej – i zapewniam go, by kontynuował.

I nie zmieniam zdania później, kiedy przywieramy do siebie, jakby świat właśnie się załamał i powoli znów składał się do kupy, kawałek po kawałku, oddech po oddechu... uderzenie serca po cudownym uderzeniu serca.

Nie żałuję żadnej chwili.

– Co to jest? – Pytam chwilę później, kiedy leżymy przytuleni na starym kocu na tyłach vana, i wyciągam coś białego, co zaklinowało się w szparze. Z tyłu głowy tłucze się myśl, że widziałam jeszcze jeden kondom w apteczce, i zastanawiam

się, jak długo będę musiała czekać, żeby sięgać po niego, nie wyglądając na zbyt podekscytowaną. Ale opieram się na łokciu, a Porter leniwie gładzi mnie palcami po plecach, krąży opuszkami po moich pośladkach i dalej, po tylnej stronie nogi, a to jest tak cholernie dobre uczucie, że sędzę, że nie muszę się spieszyć.

Poszarpany obiekt, który wyciągam ze szpary, okazuje się długim na trzy centymetry trójkątem, z kawałkami srebra po jednej stronie. Dołączony jest do niego łańcuszek.

– Och. Myślałem, że to zgubiłem – mówi, przerywając zmysłowe drapanie mnie po plecach, by zabrać to ode mnie. – To wyciągnięto z mojego ramienia. Autentyczny, wielki biały ząb. To amulet na szczęście. Albo przekleństwo, zależy, jak chcesz na to patrzeć. Miałem go przy kluczach, ale przekładałem klucze i gdzieś mi upadł. Musiał się sturlać z siedzenia albo coś.

– Jest wielki – mówię.

– Coś ty. To tylko ząb dzieciaka. Widziałaś rekiny w akwarium. Żarłacz biały był dwa razy większy. A to był nastolatek.

Próbuję sobie wyobrazić ząb wbity w ramię Portera.

– Wiem, że to złe wspomnienie, ale ząb sam w sobie nie powinien być dumą osoby, która przeżyła. Symbolem czci.

– Chcesz pożyczyć?

– Ja?

– Do twoich kluczyków od skutera. Pasowałyby do twojego zwierzęcego wystroju – przerywa. – To znaczy, to jest za dużo, nie ma sprawy. Nie próbuję cię oznaczyć, jakbyś była moją dziewczyną czy coś. Ponieważ kiedy ludzie to zobaczą, od razu będą wiedzieli, że się spotykamy.

– A jestem? Twoją dziewczyną znaczy.

– Nie wiem. A jesteś? – Podaje mi ząb rekina na otwartej dłoni, waha się i zaciska wokół niego palce. – Jeśli jesteś, musisz mi coś najpierw przyrzec.

– Co takiego?

– Zaczнеш się otwierać. – Zerka na moje plecy. – Słuchaj, rozumiem całkowicie, czemu nie opowiedziałaś mi całej tej historii ze strzałami, ranami, aż do dziś, ale nie możesz więcej tak przy mnie robić. Już miałem dziewczynę, która kryła przede mną tajemnice, a ja spędzałem z nią tygodnie nieświadomy, że ona zdradza mnie z Davym za plecami.

– Po pierwsze, eee, mam lepszy gust, a po drugie, nigdy bym tego nie zrobiła.
Całuje mnie w ucho.

– Wierzę ci.

– Więc tak, mówiąc o Chloe... Czy uprawialiście z nią seks w tym samym czasie?

– Razem? – pyta przerażony.

Uśmiecham się.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Nie – odpowiada zmieszany. – Chloe i ja mieliśmy wtedy raczej suche dni. Nie było zbliżenia, jeśli o to się martwisz.

Coś w tym rodzaju.

– I zawsze używaliśmy kondomów. Za każdym razem.

– Dobrze wiedzieć – mruczę. Bardzo dobrze.

– A wracając do ciebie – mówi. – Chcę powiedzieć, że nie do końca wychodzi ci ukrywanie się. I nie mówię, że masz się zmienić w Grace. Lubię cię taką, jaka jesteś. Ale żeby to działało, musisz mi mówić o różnych sprawach. Musisz mi zaufać...

– Oczywiście, że ci ufam. – Hello, czy nie uprawialiśmy właśnie seksu?

– ...a ja muszę zaufać tobie – kończy.

Zaczynam się kłócić, ale jestem zażenowana, że w ogóle to poruszył.

Styka swoją brodę z moją, zmuszając mnie, żebym na niego spojrzała, a potem cicho mówi do moich ust:

– Posłuchaj mnie, okej? Co jest między nami? To najwspanialsza rzecz, jaka mi się przydarzyła w całym moim życiu, i nie chcę, żeby się skończyła. Czasem jesteś tak skomplikowana, jak mgła nad oceanem, jakbyś pojawiła się na początku lata, a pewnego dnia słońce wyjdzie i ty znikniesz, i wrócisz do mamy. I to mnie przeraża jak cholera. Więc dlatego mówię ci różne rzeczy o sobie. Ponieważ uznałem, że jeśli obarczę cię moim bagażem, nie będziesz chciała uciec.

Moje serce podskakuje.

Przytulam się do niego.

– Artful Dodger.

– Co?

– To ja. Albo byłem taka. – Tamtego ranka na plaży, kiedy Grace była na mnie wściekła, przeszło mi przez myśl: Muszę działać lepiej. – Próbuję, Porter.

Naprawdę. Chcę, żebyś mi ufał.

– Tylko o to proszę. – Pochyliła się, by na mnie spojrzeć, uśmiecha się delikatnie i otwiera swoje palce, by dać mi znów ząb rekina. – Więc... chcesz go? Ludzie mogą gadać.

Chwytam ząb ze śmiechem.

– Może będą mówić, że jesteś mój.

– Bailey, jestem twój. Po prostu czekałem, abys ty to zrozumiała.

Później tego wieczoru, kiedy Porter odprowadził mnie do domu, jestem zbyt szczęśliwa, aby być z ludźmi, szczególnie z moim tatą. Więc zakładam swoją apaszkę i okulary w lamparta i biorę Baby na przejażdżkę po sąsiedztwie. Kiedy dojeżdżam do dużego wzgórza na końcu ulicy, wyrzucam ręce w górę i krzyczę do lasu sekwojowego:

– Jestem zakochana!

Nie zwracaj uwagi na tego faceta za zasłoną.

Frank Morgan *Czarnoksiężnik z Krainy Oz* (1939)

Mój tata nie gotuje, ale księgowy w nim pozwala mu podążać za przepisem jak nikomu innemu. Razem, ale jednak, udało nam się zmarnować pieczonego kurczaka, który nadal był surowy, po dwóch godzinach pieczenia. To wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że coś jest nie tak z naszym piekarnikiem. Wyrzuciliśmy kurczaka, odprawiając ostatni ceremoniał nad koszem na śmieci – niech spoczywa w spokoju – i zadzwoniliśmy po pizzę. I mimo że byliśmy trochę smutni z powodu porażki, nasi goście – Wanda, Grace i Porter – nie wyglądali na przejętych.

Od plaży dla nudystów minął tydzień i jest to pierwszy raz, kiedy Porter zostaje zaproszony do mnie do domu, więc jestem zdenerwowana. Nie wiem w sumie czemu. Może dlatego, że ja byłam parę razy w domu Portera, a tam jest tak uspokajająco, a teraz martwię się, że u nas nie będzie tak samo. Już palnął żart na temat umawiania się z gliną, więc to też nie pomaga. Nawet jeśli nie sądzę, aby Wanda była osobą, która się obraża, mogę zrozumieć, dlaczego Porter się tak zachowuje. Teraz nic do niej nie mam, więc chcę, aby Porter polubił ją i moją tatę, a to jest... stresujące.

Ale kiedy przyjeżdża pizza, a Porter przegląda kolekcję DVD mojego taty, sprawy zaczynają jakoś lepiej wyglądać. Okazuje się, że Porter i mój tata lubią sporo tych samych filmów SF. Porter nie ma pojęcia, jak duży błąd popełnia, ponieważ tata jest podekscytowany i nie przestaje gadać jak nerd: A widziałeś ten o piratach w przestrzeni z 1977 roku? A co z tym dawno niewiedzionym z 1982? Jeśli zaczną mówić o *Gwiezdnych wojnach*, każę im się zamknąć.

Przez cały czas rozmawiają, a ja nie mogę oderwać oczu od Portera. To, co do niego czuję teraz, to jak tonięcie i płnięcie zarazem. Kiedy na mnie zerka, jestem

oszołomiona. Czy on też to czuje? To połączenie między nami? To jest podniecające i przerażające. Jakby moje życie było dotąd tylko serią kiczowatych filmów klasy B, a my właśnie weszliśmy na plan *Obywatela Kane'a*.

– Matko, musisz być bardzo zakochana – szepcze mi Grace do ucha. – Musi być dobry, co?

Och, nigdy nie powinnam jej mówić, co zdarzyło się wtedy na plaży. Nie podawałam jej szczegółów, ale może to jest problemem. Wypełniła luki swoim małym, niegrzecznym rozumkiem. Klepię ją w ramię, a nasze dyskretne przekomarzania zamieniają się w salwę śmiechu. Kiedy tata i Porter to zauważają, wpadam w coś na kształt hysterii i ciągnę Grace na sofę, chowając się przed ich wzrokiem.

Tak bardzo próbuję być otwarta w stosunku do niego, rozmawiać z nim... o wszystkim. O tych chaotycznych uczuciach. O tym, co zdarzyło się na tyle vana. Nie byliśmy więcej razem, w ten sposób. Nie mieliśmy czasu. Jedynie trochę cudownych, głębokich pocałunków przy vanie po pracy, i masę nocnych telefonów o wszystkim i o niczym, naprawdę – po prostu potrzebujemy słyszeć swoje głosy. Lecz za każdym razem, kiedy próbuję mu powiedzieć, jak naprawdę się czuję, jak bardzo naprawdę się czuję, w mojej piersi pojawia się ciężka gęstwa, która ścisza mi serce.

Kompletna panika.

Raz stchórzysz, zawsze będziesz tchórzem.

Co, jeśli nie mogę się zmienić? Jeśli nie mogę być tak otwarta i szczerą, jak on tego ode mnie oczekuje? Tak niezawodną przyjaciółką, jak oczekuje tego ode mnie Grace? A co, jeśli Greg Grumbacher zniszczył mnie na zawsze? To mnie przeraża najbardziej.

Po tej całej męskiej wymianie zdań na temat SF, wszyscy udajemy się na ganek i siadamy na patio przy stole, obok sekwoi, która rośnie przez dach. Tata przynosi święte pudełko z gramami.

– No dobra – mówi bardzo poważnie. – To, co wybraliśmy z Bailey dla was, to tradycja rodzinna Rydellów. Biorąc udział w tej grze, a nawet, w tej pielęgnowanej i uświęconej ceremonii...

Parskam lekkim śmiechem, kiedy on kontynuuje przemowę.

– Zgadza się na uszanowanie naszego rodzinnego dziedzictwa i dumy, które

ciągnie się od... cóż, myślę, że cena na pudełku pochodzi gdzieś z 2001 roku, więc jest, całkiem stare.

Wanda przewraca oczami.

– Skupię się na tym przez piętnaście minut.

– Nie, sierżant Mendoza – mówi tata teatralnie, przecinając dłonią powietrze, jakby był jakimś ważnym policjantem stojącym na podium. – Poświęcisz całą swoją uwagę Settlers of Catan przez pełną godzinę albo dwie, ponieważ kolonie na to zasługują.

– A poza tym, ponieważ tyle przynajmniej czasu zajmie ci zbudowanie swojej kolonii – mówię jej.

– Czy jest jakiś główny loch? – pyta Porter.

Śmiejemy się razem z tatą.

– No co? – pyta Porter, też się uśmiechając.

– Sporo musimy cię nauczyć – mówię, kładąc swoją dłoń na jego. – I nie ma tu żadnego głównego lochu. To nie ta gra.

– Czy to jest mniej czy bardziej nudne niż monopolka? – pyta Grace.

– Mniej – odpowiadamy z tatą chórem.

– Monopolka jest dla ofiar losu – informuje ją tata.

Porter marszczy brew.

– Ja lubię monopolkę.

– My mamy całą szufladę pełną starych gier planszowych – głośno szepczę mu do ucha.

– Nie polubię tego, prawda? – pyta z ciężkim westchnieniem Wanda.

– Cóż, teraz może być dobry czas, by otworzyć to drogie wino, które przywieźliście z San Francisco – sugeruję.

Porter uśmiecha się do mnie i zaciera ręce.

– To wygląda tak dziwnie. Wchodzę w to. Grajmy.

Boże, kocham go. Nie wiem nawet, czemu wcześniej się tak martwiłam. Teraz wszystko jest okej.

Tata otwiera grę i wyjaśnia zasady, dezorientując wszystkich. W końcu zaczynamy grać i uczyć w trakcie gry. Załapali, o co chodzi. Nie jestem pewna, czy lubią to tak samo jak ja i tata, ale wygląda na to, że wszyscy dobrze się bawią. Dużo się śmiejemy i wygłupiamy. Wszystko idzie dobrze. Gramy już całą godzinę.

Pizza sprawiła, że chce mi się pić. Przepraszam wszystkich i idę wziąć trochę mrożonej herbaty z kuchni, więc pytam, czy ktoś jeszcze chce. Mój tata chce, więc wychodzę, by przynieść herbatę dla nas obojga. Kiedy odchodzę od stołu, tata mówi:

– Dziękuję, Mink.

Słyszę za sobą, jak Porter pyta mojego tatę:

– Jak ją pan nazwał?

– Och, co? Mink? To takie dziecinne przydomko – mówi przez drzwi.

– Słyszę, że ciągle ją tak nazywasz – przypomina mu Wanda. – Ale nigdy nie powiedziałeś mi dlaczego.

– Właściwie to zabawna historia – mówi tata.

Jęczę, nalewając herbatę, ale mój tata jest już w fazie opowiadania, i słyszę to z kuchni.

– Tak to się zaczęło. Kiedy Bailey była młodsza, miała czternaście lat, przez kilka tygodni była w szpitalu. – Zerkam szybko i zauważam, jak unosi brew do Wandy. A więc rozmawiali o tym i ona wie o strzelaninie. – W jej sali telewizja była nastawiona na kanał ze starymi filmami. No wiecie, z tymi wszystkimi starymi gwiazdami: Humphrey Bogart, Cary Grant, Katharine Hepburn. Noc i dzień, tylko to. Tak się martwiliśmy o nią, że zanim ktoś pomyślał o zmianie kanału, ona zaczęła lubić niektóre filmy i nie pozwoliła nam go zmienić.

Wzdycham teatralnie, kiedy wchodzę przez drzwi na patio i stawiam na stole szklanki z herbatą.

– W każdym razie przez kilka dni po operacji było trochę ryzyka. A ja jako ojciec oczywiście się martwiłem. Powiedziałem jej, że jeśli wyzdrowieje i wyjdzie ze szpitala, kupię jej, cokolwiek będzie chciała. Większość dziewczynek w jej wieku prawdopodobnie by powiedziała, nie wiem, samochód? Kucyka? Podróż na Florydę z kolegami? Nie Bailey. Zobaczyła te cudowne aktorki noszące wszystkie te futra, zanim tego zabroniono, i powiedziała: „Tato, chcę futro z norek”.

Wanda chichocze.

– Kupiłeś jej?

– Sztuczne – odpowiada tata. – Nigdy tego nie zapomnę. A ona nadal kocha te stare filmy... Wszystko w porządku, Porter?

Kiedy przysuwam swoje krzesło do stołu, podnoszę wzrok i widzę, że Porter ma osobliwy wyraz twarzy. Wygląda tak, jakby ktoś mu właśnie powiedział, że zmarł jego pies.

– Co się dzieje? – pytam.

Porter wlepia wzrok w stół i nie patrzy na mnie. Minutę temu śmiał się i wygłupiał, a teraz ni z tego, ni z owego zacisnął szczęki i wygląda jak zrobiony z kamienia, który może zaraz pęknąć.

Wszyscy patrzą na niego, a on kręci się na krześle i wyciąga rękę po telefon.

– Dostałem wiadomość od mamy. Muszę iść, przepraszam.

No nie. Stary trik, dostałem wiadomość? To manewr Artfula Dodgera. Właśnie zastosował moją broń przeciwko mnie?

– Co się dzieje? – pytam znów, wstając od stołu razem z nim.

– Nic, nic – mruczy. – Nic ważnego. Po prostu potrzebuje mojej pomocy i to nie może poczekać. Przepraszam. – Wygląda na wzburzonego i rozkojarzonego. – Dziękuję za kolację i wszystko.

– Do usług – mówi tata, a zmarszczka zmartwienia pojawia mu się między brwiami, kiedy patrzy na Wandę. – Zawsze jesteś tutaj mile widziany.

– Cześć, Grace – mruczy Porter.

Nie nadążam niemal za Porterem, kiedy idzie do drzwi, a gdy jesteśmy na zewnątrz, zbiega po schodach, nie patrząc na mnie. Teraz jestem spanikowana. Może naprawdę dostał wiadomość, ale nie była od jego mamy, ponieważ tylko jedna osoba wywołuje w nim takie uczucia, a jeśli unika mojego taty i Wandy, zaczynam się martwić, że to może mieć coś wspólnego z Davym.

– Porter! – wołam za nim, kiedy idzie do samochodu.

– Muszę iść – odpowiada.

To mnie wkurza. Może unikać mojego taty, kiedy tylko zechce, ale mnie?

– Hej, co się, do cholery, z tobą dzieje?

Obraca się, a na jego twarzy widzę samą złość.

– Czy to była jakaś chora gra?

– Co? – Jestem kompletnie skołowana. To nie ma żadnego sensu, a jego wzrok lustruje moją twarz. – Przerażasz mnie. Czy coś się stało? – pytam. – Czy to ma związek z Davym? Czy znów coś zrobił? Proszę, porozmawiaj ze mną.

– Co? – Na jego twarzy pojawia się niedowierzanie. Zamyka oczy i potrząsa

głową, mrużąc. – To takie popieprzone. Nie mogę... muszę lecieć do domu.

– Porter! – krzyczę do jego pleców, ale on się nie obraca. Nie zerka więcej w moją stronę. Po prostu stoję bezsilna, z łokciami na poręczy, i obserwuję, jak jego van budzi się do życia i znika na drodze przy lesie sekwojowym.

25

Czas, by ułożyć się z ludźmi, nie nadejdzie.
Katharine Hepburn *Filadelfijska opowieść* (1940)

Piszę.

Dzwonię.

Piszę.

Dzwonię.

A on nie odpowiada.

Grace także próbuje, ale jej też nie odpowiada.

– Jestem przekonana, że to jakieś głupie nieporozumienie – zapewnia mnie. Ale ja jestem całkiem pewna, że w to nie wierzy.

Kiedy Grace wraca do domu, nadal odtwarzam całą rozmowę na patiu, szukając klucza, próbując przypomnieć sobie, w którym dokładnie momencie zauważyłam, że coś jest nie tak. Pytam tatę, ale nie jest w stanie pomóc. Jestem tak udręczona, że nawet pytam Wandę, a kiedy widzę na jej twarzy, że nawet jej jest przykro z powodu mojego stanu, niemal łkam przy niej, i to jest ten moment, kiedy zdaję sobie sprawę, że wszystko poszło nie tak.

– Twierdził, że dostał jakiegoś esemesa w trakcie lub po tym, jak twój tata opowiadał twoją historię – mówi Wanda.

Trę oczy dłońmi; głowa mi pulsuje. A na domiar tego wszystkiego czuję, że będę chora.

– Ale dlaczego nie chciał mi tego powiedzieć?

– Nie cierpię o to pytać – mówi tata delikatnym głosem – ale czy zrobiłaś coś, co mogło zranić jego uczucia? Okłamałaś go, a on się teraz o tym dowiedział?

– Nie! – mówię. – Jak oszukiwanie go czy coś w tym stylu?

Tata unosi ręce w obronnym geście.

– Nie zamierzałem tego sugerować. Czy on wie o twoim przyjacielu online?

– Aleksie? – kręcę głową. – Nie rozmawiałam z Alexem od tygodni. I nigdy nie spotkałam go osobiście, czy nawet go nie znalazłam. Spuścił mnie, bo znalazł jakąś dziewczynę lub coś. Nie wiem. To nie ma znaczenia. Nigdy nawet nie flirtowaliśmy. Był słodkim chłopakiem. Byliśmy po prostu przyjaciółmi, naprawdę.

– Żadnych podtekstów seksualnych ani niegrzecznych zdjęć, które mogły wyciec? – pyta Wanda.

– Boże, nie – mówię, a mój tata prawie mdleje, tak mu ulżyło.

To się nazywa mieć wiarę, Jezu.

– Tylko sprawdzam – mówi Wanda. Jest w trybie przesłuchującego gliny. – A sprawcą malinki był Porter, prawda?

– Tak – sapię. Nie miałam zamiaru, ale nic na to nie mogę poradzić.

Nie podoba mi się, w jaką stronę zmierza ta rozmowa. Niedługo poprosi mnie o zrobienie testów na choroby przenoszone drogą płciową. A w międzyczasie mój tata, który patrzy nieuważnie na swoje filmy SF, wydaje dziwny dźwięk, jakby coś sobie właśnie uświadomił, ale kiedy go pytam co, macha ręką.

– Nic takiego – mówi. Wyglądając na zakręconego i niemal... rozbawionego. – Cokolwiek się dzieje, jestem pewien, że to rozwiążesz, kochanie.

To tylko sprawia, że jestem jeszcze bardziej sfrustrowana i trochę zła, jeśli mam być szczerą. Nic z tego naprawdę nie pomaga, więc o co chodzi? Ciągnę nosem dwa razy, a kiedy tata pyta mnie, czy mam zamiar skończyć z przeziębieniem, ignoruję go i idę do pokoju. A potem podłączam telefon i gapię się na niego, jakby wiara na całej planecie zależała od jednego, małego, melodycznego dzwonka, wychodzącego z tego cienkiego głośnika.

Czekam aż do drugiej nad ranem, a kiedy dzwonek nie dzwoni, odwracam się na bok i gapię się w sufit, z rozbitym sercem, aż w końcu zapadam w męczący sen.

Zanim zacznie się moja zmiana w Jaskini następnego dnia, już jestem chora ze zmartwienia, i nie umiem powiedzieć, czy chcę zobaczyć Portera, czy nie. Tak bardzo ostatnio starałam się nie korzystać z taktyki Artfuła Dodgera, ale na parkingu waham się, kiedy widzę jego vana, i wybieram dłuższą drogę do drzwi dla pracowników. Tak muszą czuć się alkoholicy, kiedy wracają do nałogu.

Gdy w końcu go widzę, jest w pokoju rozliczeń, dokładnie w tym momencie, kiedy Grace rozlicza swoją szufladę. Moje ciało tak się napina na jego widok, że aż boli fizycznie. Grace przyjmuje rolę rozjemcy, pozdrawiając nas i delikatnie narzekając na to, jak zostały zaplanowane nasze przerwy obiadowe, ale ani ja, ani Porter nie mówimy ani słowa. To jest dziwne. Każdy to wie.

Nie mogę tego wytrzymać. Muszę spać. Mój mózg ma teraz konsystencję mokrego piasku. Jestem przekonana, że mam gorączkę, mam dreszcze, z nosa nie przestaje mi lecieć, i bolą mnie oczy. Nie jestem jedyna; połowa pracowników jest nieobecna ze względu na jakiś dziwny, zmutowany letni wirus, który Grace nazywa „choróbskiem”. Ale ignoruję to, jak się czuję fizycznie, ponieważ muszę wiedzieć, co się dzieje z Porterem. Muszę!

– Nie – mówię Porterowi, blokując mu wyjście. – To nie fair. Całą noc się martwiłam. Musisz mi powiedzieć, co się dzieje, teraz natychmiast.

– Czy możemy tego nie robić tutaj? – mówi Porter, zerkając na Grace.

– Gdzie zatem? Pisałam i dzwoniłam. Jak mogę to naprawić, jeśli nie mówisz mi, co zrobiłam źle?

– Muszę pomyśleć. – Teraz, kiedy patrzę mu prosto w oczy po raz pierwszy, widzę, że on wygląda tak źle, jak ja się czuję. Ciemne kręgi pod oczami, a zarost wygląda na nieruszony. Wygląda na wyczerpanego. Dobrze. – Może ty też powinnaś pomyśleć.

– O czym? – pytam kompletnie rozwalona.

Zerka znów na Grace.

– Słuchaj – mówi cichszym głosem – ja po prostu... Jestem w tej chwili przytłoczony. Potrzebuję trochę przestrzeni, okej?

Jego słowa kłują jak tysiące żadeł.

– Porter – szepczę.

Drzwi do pokoju się otwierają i wpada pan Cavadini ze swoją tablicą. Otwiera usta, żeby nas pozdrowić, ale cokolwiek zaczyna mówić, tonie w moim kichnięciu. Niezbyt grzecznym kichnięciu. Muszę sięgnąć po pudełko z chusteczkami nad pustą kasetką i obrócić się, kiedy smarkam. Jestem w okropnym stanie.

– Ty też to złapałaś? – pyta przerażony pan Cavadini. Kiedy się obracam, cofa się i kręci głową. – Absolutnie nie. Grace, zdezynfekuj tutaj wszystko, czego

dotykała. Bailey, idź do domu.

– Co? Mam się dobrze – mówię przez chusteczkę.

– Jesteś chora. Idź do domu. Zadzwoń jutro i daj mi znać, jak się czujesz. Przywrócimy cię na grafik, kiedy nie będziesz już miała infekcji.

Nieważne, że próbuję protestować, nie pozwala mi na to. A kiedy Porter i Grace oddalają się do Gorącego Pudła, jest sporo szans na odkrycie, czemu Porter potrzebuje „przestrzeni”. Słaba i z gorączką, wracam do domu bez odpowiedzi i zwijam się w łóżku.

Będę mogła powiedzieć jedno: Cavadini miał prawdopodobnie rację, wykopując mnie z Jaskini. Kilka godzin później budzę się i całe ciało mnie boli. Dzwonię do taty po zmierzeniu temperatury. Mam 39 stopni gorączki. Spieszy natychmiast do domu, wiezie mnie na izbę przyjęć, gdzie z lekarz daje mi coś na zabicie gorączki, mówiąc mi to, co już wiem: Masz „choróbsko”! – i przepisuje lekarstwa na przeziębienie.

Następnego dnia mojej zmutowanej choroby tata zmienia mi pościel, bo potwornie się pod nią wyciłam przez całą noc. Ale przynajmniej gorączka spadła. To dobrze, ale teraz wypluwam płuca. Tata idzie do pracy rano, ale bierze pół dnia wolnego i wraca do domu w południe, karmi mnie na lunch zupą i krakersami. Próbuje też ściągnąć mnie na dół, ale ja wolę zostać w mojej wąskiej ścieżce pomiędzy sypialnią i łazienką. Zapłaciłam za odtwarzacz DVD online w moim pokoju. Wszystko, czego potrzebuję, żeby przez to przejść. Zaczynam oglądać film, który przypomina mi o Aleksie, dość dziwne, przez co czuję się nawet jeszcze gorzej niż do tej pory.

Grace sprawdza, co u mnie, kilka razy esemesem. Jaskinia ma przerzedzoną załogę, ale jak na razie jej udało się uniknąć choroby. Nie pytam o Portera. Ona i tak jednak mówi: To jest jego dzień wolny, nie wiem, czy on też jest chory – ale czy chciałabym, aby do niego napisała i go spytała? Nie, nie chciałabym. Chce przestrzeni? Proszę bardzo, całe Serengeti. Jestem teraz zraniona. Zła. Przynajmniej tak myślę. Trudno powiedzieć. Zaczęłam brać syrop na kaszel z kodeiną, a to powoduje, że jestem trochę skołowana.

Inny rodzaj skołowacenia wywołuje światło mojego telefonu wczesnym popołudniem. Wciskam pauzę w filmie, który oglądam. To powiadomienie ze strony społeczności fanatyków filmów Lumière. Mam nową wiadomość? Może

ten syrop wywołuje jakieś halucynacje. Ale nie. Klikam na apkę i oto jest.

@alex: Hej. Mink, jesteś tam? Długo nie gadaliśmy.

Patrzę na to przez minutę, a potem piszę odpowiedź.

@mink: Jestem. Leżę chora w łóżku. Dziwne, bo właśnie o tobie myślałam, więc trochę mnie to przeraża, że właśnie napisałeś.

@alex: Naprawdę? Czemu? *ciekawość* (Przykro mi, że jesteś chora.)

@mink: Oglądam *Key Largo*, (Dzięki. Mnie też. To okropne, uwierz mi.)

@alex: Wow. Bogie i Bacall *Key Largo*? Myślałem, że powiedziałaś, że nie dałabyś rady? A co z tym całym byciem na muszce?

@mink: Nie było tak źle, jak myślałam. Prawie skończyłam. Jest dobry. Miałaś rację.

@alex: Zaczerwieniłem się (zawsze tak mam). Więc... coś nowego? Nie gadaliśmy tak długo. Powiedz, co się dzieje w świecie Mink. Tęskniłem za tobą.

Pauza, niepewna, co napisać. Dziwnie by było powiedzieć: ja za tobą też, nawet jeśli tak jest, bo to tak, jakbym zdradzała Portera. Jestem taka zdezorientowana. Może on nawet tego nie ma na myśli. Może nigdy nie miał. Bóg jeden wie, że nie jestem dobra w odczytywaniu ludzi.

@mink: Świat Mink się załamał. Masz cały dzień?

@alex: Zabawne, ale tak.

Nie jestem pewna, czy to kodeina w mojej krwi, czy to choroba ogłupiła moje komórki mózgowie, ale opieram się o poduszkę i piszę najbardziej jasną podpowiedź, jaką kiedykolwiek wysłałam do Alexa.

@mink: Właściwie w pewien sposób się z kimś spotykam – cóż, ale chyba zerwaliśmy. Tak mi się wydaje. Nie jestem pewna. On nie chce ze mną rozmawiać. Ale ja z nim nie skończyłam. Nie chcę po prostu, żebyś wyciągnął złe wnioski. Zresztą może byś tego nie zrobił. Nie wiem. Ale myślałam, że coś między nami było – tobą i mną – albo że mogłoby być. A potem trafił się ten chłopak. Nie spodziewałam się tego. Więc brzmię teraz jak kompletna idiotka, szczególnie jeśli ty nie czułeś tego samego wobec mnie. Ale próbuję, staram się bardziej otwierać, być ostatnio bardziej szczerą, więc chciałam, żebyś wiedział. Na wypadek gdybyś nadal miał jakąś nadzieję na coś. Po prostu nie mogę. Nie teraz.

@alex: Wow. To dużo jak na jeden raz.

@mink: Wiem. Przepraszam.

@alex: Nie, cieszę się, że to powiedziałaś. Nie wiesz, jak bardzo mi ulżyło, że zostało to wyjaśnione.

@mink: Naprawdę?

@alex: Z całego serca. Więc... co to za gość?

@mink: Szczerze, jest w pewien sposób dupkiem. Zdziorny. Zarozumiały. Zawsze walczy.

@alex: ??? A ty go lubisz, dlaczego?

@mink: Staram się pamiętać... okej, jest również słodki i mądry i sprawia, że się śmieję. Jest surferem. Głupio utalentowanym. I ma hopla na punkcie pogody, co jest w pewien sposób słodkie.

@alex: Rozumiem. Ale sprawia, że się śmiejesz?

Nagle czuję się okropnie. I oto jestem, wyrzucam swoje bolączki na temat Portera, ale nie wiem naprawdę, jak się z tym czuje Alex. Ze mną. Z całą tą sytuacją. Po prostu podłożyłam mu nogę.

@mink: Nikt nie rozmiesza mnie tak jak ty.

@alex: Tego zawsze chciałem.

Śmieję się, a potem płaczę.

@mink: Też za tobą tęsknię. Tęsknię za oglądaniem filmów z tobą. I przykro mi, że wszystko się zmieniło. Nie wiedziałam, że sprawy potoczą się w ten sposób. Ale mam nadzieję, że nadal możemy być przyjaciółmi, ponieważ moje życie było lepsze, kiedy w nim byłeś. I to jest prawda.

@alex: Ja też mam nadzieję, że będziemy mogli być nadal przyjaciółmi. Muszę już niestety lecieć.

Kiedy apka mówi mi, że się wylogowałam, mój delikatny płacz przechodzi w pełny szloch. Nie jestem pewna dlaczego, ale czuję się tak, jakbym straciła coś ważnego. Może to dlatego, że nie zgodził się z całą pewnością, że powinniśmy być i będziemy przyjaciółmi – powiedział, że ma nadzieję, że nadal będziemy przyjaciółmi. To znaczy co? Nie jest pewien? Czyżbym zniszczyła nie jedną, ale dwie relacje?

Moja choroba nie pozwala mi długo płakać. Moje górne drogi oddechowe się zatykają i każą mi się zamknąć. To prawdopodobnie najlepsze. Zmuszam się więc, żeby się uspokoić, próbuję wydmuchać nos i kończę oglądanie ostatnich

minut *Key Largo*. Przynajmniej mogę liczyć na Humphreya Bogarta, że wróci dla Lauren Bacall, choć na sekundę.

Kiedy pojawiają się końcowe napisy, słyszę dźwięki na schodach, a potem w drzwiach pojawia się tata.

– Ty, hej... płakałaś? – pyta ciepłym głosem. – Wszystko w porządku? Co się dzieje?

Macham ręką.

– Nic, wszystko w porządku.

Unosi na chwilę brwi, ale wydaje się, że mi wierzy.

– Masz gościa, Mink. Dasz radę? – Rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie, chociaż jak ja mam zinterpretować to spojrzenie, to już nie wiem.

Siadam prościej na łóżku. Gościa? Grace jest w pracy.

– Ja... zgadnij?

Tata odsuwa się i robi ruch w kierunku kogoś, kto wchodzi do pokoju.

Porter.

– Hej – mówi, zgrzytając zębami, kiedy mnie widzi. – Wow, nie oszukiwałaś, co? Czy powinienem założyć jedną z tych masek operacyjnych?

Mój tata chichocze.

– Ja jeszcze nie złapałem. Ale możesz chcieć zachować dystans i umyć ręce przed wyjściem z domu.

Porter kiwa do taty głową i zanim się orientuję, jesteśmy sami. Tylko ja i Porter. W mojej sypialni. Tydzień temu to byłaby fantazja. A teraz utknęłam w rozciągniętych szortach i wyblakłym T-shircie, z nazwą żenującego, całkiem niefajnego zespołu, którego już nie słucham. Moje nieumyte włosy są zebrane w jeden z tych zamotanych kucyków, który jest jak trzeba zamotany, a nie seksownie zamotany. I nie mogę myśleć jasno, ponieważ jestem na syropie przeciwkaszlowym.

– A więc to jest twój tajemniczy ogród? – mówi, chodząc wokoło, kiedy ja po cichu próbuję powrzucać zużyte chusteczki do kosza. Zatrzymuje się przed moją toaletką, aby sprawdzić wydruk, jaki powiesiłam na lustrze: instrukcję związywania włosów w dawnym stylu, malowania paznokci i kilka zbliżeń fryzury Lany Turner. – Ach, teraz rozumiem.

Chyba wolałabym, aby nie rozumiał. Czuję się bardzo wyeksponowana, jakby

zaglądał za zasłonę czarownika z Oz. Dlaczego nie zamknęłam drzwi do szafy? Mam nadzieję, że nie ma tam nic zawstydzającego.

Kieruje się do moich pudełek.

– Co to jest? Jedziesz dokądś?

– Nie, po prostu jeszcze wszystkiego nie wypakowałam.

– Jak długo już jesteś w Kalifornii?

– Wiem, wiem – mruczę. – Po prostu nie miałam czasu.

Zerka na mnie z ukosa i podchodzi do mojej półki z DVD.

– Ale na wypakowanie pięćdziesięciu milionów filmów miałaś czas? Boże, jesteś dokładnie jak twój tata, nie zaprzeczaj. Totalny fanatyk filmowy i świetnie zorganizowany. Alfabetycznie?

– Po gatunku, a potem alfabetycznie tytułami – mówię słabym głosem, jest mi głupio.

Gwiżdże.

– Potrzebujemy cię w Casa Roth, żebyś przeorganizowała naszą szaloną płytotekę. Lana zapomina odłożyć płyty do pudełek, kiedy coś ogląda.

– Nienawidzę tego – mówię.

– Wiem, prawda? Zbrodnia.

– Porter?

– Tak?

– Czemu tu jesteś?

Odwraca się z rękoma w kieszeni szortów.

– Skończyłem z potrzebą przestrzeni. To było głupie. Zapomnij o tym po prostu.

– Czekaj, co? Jak mam o tym zapomnieć? Co jest? Muszę wiedzieć, co zrobiłam.

– Nic nie zrobiłaś. To było po prostu nieporozumienie.

Nadal zagubiona.

– Dotyczące mnie? – Moje upojone syropem na kaszel komórki wracają do tego wieczora, jak setki razy wcześniej, i jedyne, co mogę wykombinować... – Dostałeś od kogoś wiadomość? Powiedziałeś, że to nie Davy, ale kłamałeś? A co to ma wspólnego ze mną?

– Jesteś pijana czy zawsze taka jesteś, kiedy jesteś chora?

– Hm? – jęczę, machając ręką na butelkę na nocnej szafce. – Kodeina.

– Jasna... jesteś naćpana? Dobrze, że nie ma tu Davy'ego, bo by ukradł to i

wychlał jednym łykiem. Bierzesz odpowiednią dawkę?

Wyciągam język i wydaję dźwięk: aaaa. Kiedy obie brwi Portera powoli się unoszą, wiem, że moja odpowiedź nie była właściwa, i wzdycham głęboko, podciągając wyżej kołdrę.

– Tak, biorę odpowiednią dawkę – mówię nachmurzona. – A jeśli ty próbujesz nie odpowiedzieć na moje pytanie, chciałabym, żebyś wyszedł.

Patrzy na mnie zbyt długo, jakby przemyślał coś albo tworzył w głowie jakiś diabelski plan – tego nie wiem. Klucze wiszą na jego skórzanym pasku i kręcą się wokół jego biodra, kiedy zmienia układ rąk w kieszeni. A potem nagle odwraca się znów do moich DVD, przesuwa palcami po pudełkach i wyciąga jedno.

– Co robisz? – pytam.

– Gdzie jest twój odtwarzacz? Tutaj? Zobaczmy, co my tu mamy... *Key Largo*? To dobry film? Pozwól mi tylko wyjąć z pudełka, nie chcę wyciągać Lany. Wszystko...

– Porter!

– ...jest ustawione czy muszę przełączyć? Gdzie jest pilot? Jeśli położyłaś na nim swoje choróbko, nie dotknę go. Umknę i nie złapiesz mnie. – Ściąga swoją GORĄCY TOWAR kurtkę i pokazuje, żebym pozwoliła mu usiąść obok siebie na podwójnym łóżku.

Nagle jestem doskonale świadoma, że na dole jest mój tata. I czekaj – dlaczego mnie to obchodzi? Jestem chora. I słaba. A my nawet nie jesteśmy razem.

– Jesteśmy?

– Porter...

– Przesuń się.

Przesuwam się. On opada obok mnie, wyciąga długie nogi, a kostki krzyżuje na posłaniu. Kiedy widzi jedną z moich wydmuchanych chusteczek obok swego łokcia, krzywi się.

Ze złością rzucam chusteczkę na podłogę.

– Nie będę oglądać z tobą filmu, dopóki nie odpowiesz mi, dlaczego wypadłeś tak z mojego domu tamtego wieczoru.

– Byłem kompletnie szczery z tobą, mówiąc ci, że to było nieporozumienie wieków. I nie zrobiłaś nic złego. Teraz to rozumiem. Tak jak powiedziałem ci wcześniej, potrzebowałem trochę czasu, żeby przemyśleć sprawę, ponieważ

byłem... cóż, nieważne. Ale – krzyżuje ręce na piersi, kiedy próbuję protestować, bo odwraca kota ogonem – zapomnijmy o całej sprawie.

– Co? To jest...

– Słuchaj, to naprawdę nic. Byłem głupi. Przepraszam, że martwiłaś się o nic.

Po prostu o tym zapomnijmy. Możesz wcisnąć play?

Patrzę na niego zdumiona.

– Nie.

– Nie, co?

– Nie kupuję tego. Muszę wiedzieć, co się stało.

Pochyla się nad oparciem i patrzy na mnie długo. Naprawdę długo. Teraz ja czuję się niekomfortowo, ponieważ on uśmiecha się do mnie tym dziwnym, leniwym uśmiechem, który ukrywa sekret. Sprawia, że chcę się schować albo go walnąć.

– Może czuję się jak gwiazda filmowa – mówi. – A tak przy okazji, o czym to jest? Wyciągnąłem na chybił trafił.

Momentalnie rozkojarzona, zerkam na menu na ekranie.

– *Filadelfijska opowieść*? Nigdy nie widziałaś?

Kręci powoli głową, nadal się uśmiechając tym swoim uśmiechem.

– Powiedz mi o nim.

Dziwne, ponieważ to wyglądało, jakby wybrał coś celowo, ale nieważne.

– To jeden z moich ulubionych filmów. Katharine Hepburn jest kobietą z wyższych sfer i spadkobierczynią majątku, zobaczysz, która uczy się kochać właściwego mężczyznę, to jej nadęty eks, Cary Grant, z którym sprzecza się non stop, poprzez całowanie niewłaściwego człowieka, którym jest Jimmy Stewart.

– I tyle?

– Twoja babcia nigdy tego nie oglądała?.

– Nie pamiętam. Myślisz, że mi się spodoba? A może powinienem wziąć coś innego? – Przerzuca nogi na drugą stronę łóżka. – Bo jeśli chcesz, mogę pójść spytać twojego tatę o sugestie...

Klepię go w ramię.

– Och, czekaj, to jest cudowne. Takie zabawne. Niesamowicie zabawne. Obejrzyjmy to.

– Wciśnij play – mówi, wtapiając się w moje poduszki. – Możesz rzucać

szczegółami, kiedy będzie leciał.

– A potem mi powiesz? – naciskam.

– Włącz play, Mink.

Mrużę oczy na użycie przez niego mojego przezwiska, niepewna, czy się ze mnie nabija, ale odpuszczam mu. Ponieważ, hello! *Filadelfijska opowieść*. Mogłabym oglądać ten film setki razy i nigdy nie mieć go dość. Oglądanie z kimś, kto jeszcze nigdy tego nie oglądał, jest dużo lepsze. A z Porterem? Nie mogę uwierzyć w swoje szczęście. Mam nadzieję, że mu się spodoba.

Zaczynamy oglądać film, a mnie na chwilę przestaje obchodzić, że jestem chora. Jestem po prostu szczęśliwa, że Porter jest tutaj ze mną i że śmieje się ciepło przy odpowiednich tekstach. Byłoby idealnie, naprawdę, gdyby przestał mi się przyglądać. Obserwuje moją twarz bardziej niż ekran, a za każdym razem, kiedy patrzę na niego pytająco, nawet nie odwraca wzroku. Po prostu się uśmiecha tym samym wszystkowiedzącym uśmiechem. A to mnie wyprowadza z równowagi.

– Co? – w końcu szepczę gorąco.

– To jest... cudowne – mówi.

– Och – odpowiadam, wzdychając. – Tylko poczekaj. Dalej będzie jeszcze lepiej. Leniwy uśmiech.

Podciągam kołdrę pod brodę.

W jednej czwartej filmu mój tata przychodzi na górę, by przypomnieć mi o wzięciu lekarstw, przy okazji panowie wymieniają kilka żartów na mój temat. Obaj myślą, że są zabawni. Zobaczymy, kto się będzie śmiał, kiedy Porter złapie „choróbsko” po polegiwaniu na moim łóżku.

W połowie filmu Porter nagle pyta:

– Jakie były twoje plany na to lato?

– Co? – Zerkam na niego kątem oka.

– Tego dnia w pracy mówiłaś Pangbornowi, że miałaś inne plany na lato, a mnie w nich nie było. Co to były za plany?

Moje serce bije mocno, kiedy próbuję wymyślić jakieś wiarygodne wytłumaczenie, ale syrop na kaszel spowalnia proces myślenia.

– Nie pamiętam.

Zaciska szczęki.

– Jeśli mi to wyjaśnisz, ja powiem ci, dlaczego wyszedłem z domu tego wieczoru. Umowa stoi?

Cholera. Nie ma mowy, abym przyznała się, że poszukiwałam innego gościa przez pół lata – anonimowego gościa, z którym czatowałam online przez miesiące. To brzmi... jak niestabilność. Psychotycznie. Porter nigdy by nie zrozumiał i to nie jest tak, że Alex albo ja graliśmy uczuciami. Nigdy nie wyznaliśmy sobie miłości, nie wysyłaliśmy serduszek ani brzydkich wierszyków.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Nawet mimo mojego otumanienia czuję jego rozczarowanie, ale nie mogę zdradzić mu swojego sekretu à propos Alexa.

– Postaraj się bardziej. Pomyśl – odpowiada Porter cichym głosem. Prawie prosząc. – Możesz mi powiedzieć wszystko. Możesz mi zaufać.

I znowu. Słowo na Z. Mój umysł wraca do naszej rozmowy w vanie. Muszę być w stanie ci zaufać.

Wiem, że chce, żebym mu powiedziała. Ja po prostu... nie mogę.

Nie jestem pewna, kiedy to się wydarzyło, ale ostatnia scena, jaką pamiętam, to Jimmy Stewart całujący Katharine Hepburn. Następna to półprzytomna pobudka kilka godzin później.

Porter już dawno zniknął.

Dwa dni później pan Cavadini wrzuca mnie znów w grafik, a ja rzucam się w wir pracy. Nie widzę Portera w pokoju rozliczeń. Tylko Grace i nowy strażnik, który zastąpił Pangborna. Porter jest tutaj dzisiaj – wiem, ponieważ sprawdziłam grafik – więc szukam go, kiedy schodzimy na parter. To tam go zauważam, jak zajmuje się wymianą. Wypuszcza poranną zmianę z Gorącego Pudła – dwóch głupich chłopaków, Scotta i Kenny’ego. Podchodzę do tylnych drzwi, zanim wszyscy zdążą odejść, i podaję Grace swoją kasetkę, wskazując, by weszła beze mnie.

– Opuściłeś mój dom bez pożegnania – mówię Porterowi.

– Byłaś nieźle chora. Jestem teraz trochę zajęty, więc...

– Wyszedłeś, również nie mówiąc mi o wieczorze z gramami.

Zerka na Scotta i Kenny’ego.

– Może później – mówi.

– Tak powiedziałaś wcześniej.

– I moja oferta jest nadal aktualna – pochyła się bliżej i szepcze – *Quid pro quo*, Clarice.

Nie znów. Nie zmusi mnie *Milczeniem owiec* do wyznania à propos Alexa. Nie ma mowy, nie ma jak. Próbuję innej taktyki.

– Ty pierwszy, a wtedy ja powiem tobie.

– Bailey – mówi raz jeszcze, jakby to był rodzaj kodu ostrzegawczego, który powinnam zrozumieć. – Naprawdę nie chcesz tego robić teraz. – Zerka na dwóch chłopaków.

Uderza mnie niczym podmuch silnego wiatru myśl, że on wobec mnie stosuje taktykę unikania. Odkąd to wszystko się zdarzyło w wieczór gier z tą fałszywą wiadomością – ponieważ była fałszywa, prawda? – przez rozkojarzenie za pomocą *Filadelfijskiej opowieści*, aż do teraz, kiedy jest otoczony ludźmi i w związku z tym nie może na ten temat dyskutować.

Czy tak się czują osoby, wobec których stosuje się techniki Artfuła Dodgera? Ponieważ to boli jak cholera.

Porter odchrząkuje.

– Ja, cóż, muszę ich odstawić do pokoju rozliczeń, ale...

– Nie – przerywam mu. Zdaję sobie sprawę, że brzmię teraz nierozsądnie, i jestem trochę zażenowana, że podnoszę głos w obecności Tweedledee i Tweedledum, ale po prostu nie mogę siebie powstrzymać. – Muszę wiedzieć, co się stało tamtego wieczoru.

– Hej. Pogadamy później. Zaufaj mi, okej?

– Och, to teraz działamy na twoich warunkach? Kiedy Porter raczy rzucić jakieś okruchy? A ja powinnam czekać na ciebie jak jakiś dobrze wychowany piesek?

Jego twarz ciemnieje.

– Nigdy tego nie powiedziałem. Po prostu poprosiłem, żebyś mi zaufała.

– Daj mi do tego powód.

Odrzuca głowę, jakbym go spoliczkowała, a jego twarz nabiera kamiennego wyrazu.

– Wydawało mi się, że już dałem.

Ścisną mnie w piersi i nagle chciałabym móc to wszystko cofnąć. Nie chcę się z nim kłócić. Ja po prostu chcę, aby sprawy wróciły do tego, jak było przed tym

wieczorem, kiedy wszystko się zmieniło. Kiedy on odchodzi z idiotami, słyszę, jak Kenny mówi:

– Cholera, Roth. Zawsze znajdujesz superdziewczyny, które za tobą latają. Muszę zacząć surfować.

– Taak, ale zawsze są beksami, a kto potrzebuje takiego teatru?

Scott dodaje:

– Dziwki to wariatki.

Porter chichocze. Chichocze!

Nagle jestem Alicją w Krainie Czarów, wpadającą do króliczej nory, obserwującą cudowne wspomnienia z ostatnich miesięcy, które przepływają przede mną, kiedy ogarnia mnie wściekłość. A odchodzi ode mnie stary Porter Roth, głupi surfer, którego nie chciałam. Ten, który mnie upokorzył.

Jestem załamana.

Walę w drzwi od Gorącego Pudła. Grace je otwiera, a jej twarz jest pełna niepokoju. Nie mam czasu wyjaśniać; kolejka jest długa, a ona przygotowała dla mnie wszystko na start.

Ech... Tutaj jest z milion stopni. Pierś mnie boli od zagubienia i bólu, a emocje rosną z każdą mijającą sekundą.

– Dwa bilety. – Jakieś chłopak z potarganymi blond włosami staje przy moim okienku z jakąś dziewczyną, rzucając mi spojrzenie: Nie mam całego dnia. Patrzę na niego. Myślę, że zapomniałam, jak się używa komputera. Zaczynam być oępiała.

– Co się dzieje? – szepcze Grace, klepiąc mnie w ramię. – Nadal jesteś chora? Wszystko w porządku?

Nie, nie jest w porządku. Całkowicie. Nie mogę nabrać wystarczająco dużo powietrza. Część mnie obwinia Portera o to, że tak się czuję. Ale kiedy szok po tym, jak śmiał się z seksistowskiego żartu, odpływa, wciąż zostaję z pogłębiającym się uczuciem, że korzenie naszej kłótni to moja wina, tylko nie mogę zgadnąć dlaczego.

Co ja zrobiłam złego tamtego wieczoru? Powiedział, że to było tylko nieporozumienie, ale to wygląda jak przykrywka. Ponieważ coś go bardzo zasmuciło, a on mnie obwinia za ten wieczór. A teraz czuję się jak kompletna idiotka, ponieważ nie wiem, co zrobiłam, a on nie chce mi powiedzieć.

To tak, jakbym zaczęła układać gigantyczne puzzle, w których zaginął jeden kawałek, a ja próbuję go odnaleźć – zaglądam za wszystkie łóżka, pod stół, pod dywan, sprawdzam puste pudełko.

Gdzie jest ten kawałek?

– Hej, powiedziałem dwa bilety – powtarza chłopak przy okienku, jakbym była głupia. Czy to jest logo kompanii surfingowej, na koszulce? Czy to jest... jedna z tych śmieciowych kreatur, z którymi pojawił się Davy przy budce z pozole? Którzy byli okropni, zaczepiając te dziewczyny na oczach mojego taty i Wandy? Och, cudownie. Po prostu cholernie wspaniale. – Czy ktoś tam jest? Nie stoję tutaj dla zdrowia, kochanie.

Ziarnko do ziarnka.

Nie jestem do końca pewna, co się stało potem.

Dziwne ciepło przelatuje mi przez głowę – coś w rodzaju przeładowania stresem, który wziął się z próby odkrycia, co się stało z Porterem... serce boli po naszej kłótni, na jego reakcję na komentarz Scotta. A na szczycie wszystkiego jest świadomość, że ten dupek stoi tutaj teraz.

A może, tylko może, po długim lecie Gorące Pudło mnie pokonało.

Jedyne, co wiem, to że coś pękło mi w głowie.

Włączam mikrofon.

– Chcesz bilety? Proszę bardzo.

W szaleńczym zrywie otwieram drukarkę, wyrywam zwiniętą rolkę pustych biletów i zaczynam wyrzucać je przez okienko – pcham, pcham, pcham, pcham! Spadają kaskadą z drugiej strony, jakby gość wygrał właśnie na jakiejś maszynie bilety na pasażu.

– Weź tyle biletów, ile chcesz – mówię do mikrofonu. – Dziwki są szalone.

Dupek patrzy osłupiały. Ale nie tak jak pan Cavadini, którego twarz pojawia się obok. Cavadini trzyma swój notes i robi obchód. Jego wzrok wędruje od kupki wyrzuconych biletów do mnie i jest przerażony. Koszmar obsługi klienta.

Do przyjaciela Davy’ego mówi:

– Ja się tym zajmę, a dla pana darmowa wizyta dzisiaj. – A potem wskazuje na kogoś, by posprzątał leżące puste bilety.

Do mnie mówi:

– Co, na Boga, się z tobą dzieje, młoda damo? Postradałaś zmysły? – Jego nos

jest przyciśnięty do szyby. Jego twarz jest tak czerwona, jakby jego Jaskiniowy krawat został przytrzaśnięty i zatamował mu dopływ powietrza.

– Naprawdę przepraszam – szepczę do mikrofonu, ściskając go mocno obiema rękoma, gdy brzydkie łzy płyną po moich policzkach. – Ale w pewien sposób straciłam rozum.

– Cóż – mówi pan Cavadini, nieporuszony moim żalosnym wybuchem emocji – będziesz miała dużo czasu, by go odnaleźć, ponieważ jesteś zwolniona.

Nie chcę obniżyć twojego ego, ale to nie jest pierwszy raz, kiedy ktoś we mnie celuje.

Samuel L. Jackson *Pulp Fiction* (1994)

Nie robię scen. Po prostu opróżniam szafkę, zamykam ją i odchodzę. Wszyscy patrzą na mnie w ciszy. Gdy Porter woła moje imię na parkingu, nie odwracam się. Kask na głowę. Nóżka do góry. Kluczyki do stacyjki. I nie ma mnie. Cavern Palace jest teraz „było”. Już nie mam letniej pracy.

Rozważam niemówienie tego tacie, przez pięć minut, ale jestem zmęczona byciem tchórzem. Poza tym i tak się dowie wcześniej lub później. Zastanawiam się, czy Pancake Shack szuka ludzi.

Grace przychodzi do mnie do domu po swojej zmianie, a ja opowiadam jej wszystko, każdy fragment, a nawet więcej. Zanim orientuję się, co mówię, opowiadam jej o Gregu Grumbacherze i szybką wersję, jak zostałam postrzelona. Jak Porter był pierwszą osobą, której to powiedziałam, a teraz spójrz – spójrz! Gdzie to zaufanie mnie zawiodło. I jasne, rozmawiałam z pewnym gościem online, zanim się tutaj przeprowadziłam, i tak, planowałam się z nim spotkać, ale już nie rozmawiamy, i nic się nie wydarzyło, i to nie jest sprawa Portera. To niczyja sprawa, tylko moja.

Przez krótki moment martwię się, że ją przeraziłam.

Ale ona mówi bardzo poważnie:

– To przykre, że jestem zmuszona popełnić ciężką zbrodnię na tym chłopaku.

Po tym nasz wspólny apetyt na zemstę wymyka się spod kontroli. Nazywa Portera słowem na T, co jest okej, jeśli jesteś Anglikiem. Potem pyta mnie, czy chcę, aby porozmawiała z Porterem (nie) albo rozpuściła straszne plotki o nim w pracy (coś w tym stylu). Kiedy zaczyna wymyślać, jakie plotki rozpuścić, wywołuje to we mnie smutek i zaczynam znów płakać. Mój tata wraca do domu z pracy w środku tego płaczu, a Grace go wprowadza w temat. Powinna być

prezenterem w telewizji. Kiedy kończy wyjaśnianie, jak kończę płakać.

Tata wygląda na mocno zszokowanego.

– Założę się, że teraz żałujesz, że zgodziłeś się na to, by twoja nastoletnia córka przeniosła się tutaj, co? – mówię żałośnie. – Może dlatego mama nie zadzwoniła całe lato. Prawdopodobnie myśli: nareszcie sobie poszła.

Tata natychmiast się niepokoi, ale szybko zaciera ostatnie wrażenie, podchodzi do mnie, obejmuje moje ramiona i ściska.

– Żartujesz? Nie chciałbym stracić ani jednej sekundy z tego. A jeśli coś wiem, to z pewnością, jak radzić sobie z załamaniem. Lub potencjalnym. Cokolwiek to jest. Zbieraj swoje rzeczy, dziewczyno. Idziemy na homara i paintball laserowy.

Porter zaczyna pisać następnego dnia. Nic specjalnego, po prostu kilka krótkich tekstów.

Tekst 1: „Hej”.

Tekst 2: „Przykro mi z powodu pracy. Czuję się okropnie”.

Tekst 3: „Musimy pogadać”.

Tekst 4: „Proszę, Bailey”.

Tata radzi mi ignorować wszystkie te teksty i pozwolić mu się trochę podenerwować. W końcu Porter zrobił to samo mnie. Czas bez jest uzdrawiający. Tata pyta mnie również, czy wiem już, dlaczego Porter wyszedł tamtego wieczoru.

– Jesteś dobrym detektywem, Mink. Możesz to sama odkryć.

Może już nie chcę. Właściwie to się już poddałam.

Poza tym mam inne rzeczy do przemyślenia, jak szukanie nowej pracy, takiej, w której nie będzie przeszkadzało, że z ostatniego miejsca pracy mnie wyrzucono. Tata oferuje, że popyta w biurze księgowych. Grzecznie odmawiam.

Kiedy przeglądam ogłoszenia w lokalnej gazecie, którą bierzemy podczas naszego homara za milion dolarów poprzedniego wieczoru, tata pyta:

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że twoja mama nie zadzwoniła przez całe lato?

– Dokładnie to. Nie zadzwoniła. Całe lato. Ani nie napisała esemesa. Lub mejla.

Długa chwila ciszy.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Myślałam, że wiesz. Czy do ciebie dzwoniła?

Pociera twarz.

– Nie, od czerwca. Powiedziała, że będziemy w kontakcie później, by dowiedzieć się, jak się masz, ale uprzedziła, że głównie będzie się komunikować z tobą. Chyba byłem zbyt zajęty sobą, jeśli chodzi o twój przyjazd tutaj, i przegapiłem to. To moja wina, Bailey.

Po chwili mówię:

– A jeśli coś się stało?

– Subskrybuje newsletter jej firmy. Wszystko w porządku. Wygrała dużą sprawę w ostatnim tygodniu.

– Więc...

Wzdycha.

– Wiesz, ile czasu zajmuje ci dojście do siebie po Gregu Grumbacherze? Cóż, tak samo jest z nią. Być może to cię zabolilo lub przestraszy, ale wiesz, że ona ma poczucie winy. Sądzi, że to wszystko przez nią. I nadal sobie nie wybaczyła. Nie wiem, czy kiedykolwiek wybaczy do końca. Ale różnica pomiędzy wami jest taka, że ty jesteś już gotowa iść do przodu, a ona nadal nie.

Myślę o tym.

– Czy wyjdzie z tego?

– Nie wiem – mówi, głaszcząc mnie delikatnie po policzku.

Następnego dnia decyduję, że kończę denerwowanie Portera. Żadnych więcej gier. Cała ta sprawa wymknęła się spod kontroli. Ja już... mam dość.

O ósmej rano piszę do Portera i mówię mu, że chcę się spotkać i pogadać. Proponuje sklep. Mówi, że jego rodzina jest na plaży, obserwując, jak Lana surfuje, a on jest sam, otwierając sklep. Boli mnie, że nie jest z nimi, ale nie mówię tego oczywiście. Nasze esemesy są bardzo uprzejme. A spotkanie się w miejscu publicznym brzmi jak racjonalny plan.

Zajmuje mi chwilę zebranie odwagi. Jadę Gold Avenue. Krążę po parkingu przy deptaku. Zatrzymuję się na chwilę, by poobserwować mgłę na górze wyciągu Pszczół. Spieszę dalej, by upewnić się, że van pana Rotha nie jest zaparkowany z tyłu.

Ponieważ nie jestem pewna, w jakim miejscu jest nasza relacja, decyduję się zaparkować Baby z przodu sklepu, jak wiele innych skuterów wzdłuż deptaka.

Żadnych specjalnych przywilejów: mogę wejść wejściem głównym, jak inna Mary, Jane czy Sue.

Ignorując fascynujący zapach pierwszych smażonych gofrów tego ranka, śledzę ruchy w sklepie i czekam, aż Porter mnie wpuści. Kiedy otwiera drzwi, uderza zapach wosku. Ale to widok jego przystojnej twarzy sprawia, że gardło mi się boleśnie zaciska.

– Cześć – mówię spokojnie.

– Cześć – odpowiada szorstko.

Stoję tam przez sekundę, a potem on zaprasza mnie do środka. Kiedy wchodzę, ten duży biały puchaty kot, którego widziałam na dachu, próbuje wśliznąć się razem ze mną. Porter odgania go tupnięciem nogi i mówi:

– Zmykaj.

Zamyka za nim drzwi, zerka na swój czerwony zegarek, zmienia zdanie i otwiera drzwi.

– Minuta po dziewiątej – wyjaśnia. – Czas otworzyć.

– Och – mówię. Nie wygląda na to, jakby była tutaj kolejka ludzi, którzy chcą dostać się do środka, więc jak sądzę, nadal mamy trochę czasu na osobności. Ale też nie wiem, kiedy wróci jego rodzina. Lepiej zrobmy to szybko.

Ojej. Czemu jestem taka zdenerwowana?

Porter na przemian wygląda na pełnego nadziei, zmartwionego i uważnego. Chowa ręce do kieszeni i idzie na tyły sklepu. Idę za nim. Kiedy dochodzi do lady, obchodzi ją i staje przede mną jak przed klientem.

No dobra.

– Więc... – mówi. – Wspomniałaś, że jesteś gotowa pogadać.

Kiwam głową. Sięgam do swojej kieszeni i wyciągam ząb rekina. Już go zdjęłam z kluczyków. Kładę go na ladzie i mówię:– Dałeś mi go pod warunkiem, że będę z tobą bardziej szczerą i otworzę się przed tobą, ponieważ potrzebujesz mi zaufać. Najwyraźniej zrobiłam coś, co cię zraniło, i muszę przyznać, że zawiodłam twoje zaufanie. Dlatego też zwracam ci twój ząb, i unieważniam naszą... cokolwiek to jest...

– Bailey...

– Proszę, pozwól mi dokończyć. Moja mama jest prawniczką. Wiem, jak ważne są kontrakty słowne.

– Cholera, Bailey.

Drzwi do sklepu otwierają się za mną. Świetnie. Czy ludzie nie mogą poczekać pięciu pieprzonych minut na Mr. Zog’ Sex Wax? No weźcie.

Kiedy jestem gotowa się odsunąć i pozwolić Porterowi zająć się klientem za mną, wyraz twarzy Portera zmienia się w coś bardzo zbliżonego do wściekłości. I dokładnie w tym samym momencie rozpoznaję odgłos kroków na drewnianej podłodze. To idzie ktoś, kto utyka.

– Wynoś się, kurwa, stąd – krzyczy Porter.

Obracam się z bijącym sercem i widzę Davy’ego. Zbliżają się do mnie. Wygląda na bardziej sponiewieranego niż ostatni raz, kiedy go widziałam w garażu motocyklowym Szybkiego Mike’a. Nie tylko ma na sobie T-shirt, cud nad cudy, ale również trencz w kolorze piasku i wygląda, jakby chodził o kuli, częściowo ukrytej pod płaszczem.

– Cześć, kowbojko – mówi pozbawionym emocji, monotonnym głosem, który brzmi jak rozjechany przez tira. Jest na mocnym haju – co wziął, nie wiem. Ale jego oczy są tak samo martwe jak słowa, a głowa porusza się wręcz zabawnie, chwieje się i kiwa.

Kątem oka widzę szybki ruch Portera.

– Nie-e. – Davy unosi swoją kulę w kierunku Portera.

Tylko że to nie jest kula. To jest strzelba, ta z ogniska.

Zamieram. Również Porter; w trakcie przeskakiwania przez ladę.

– Widziałem cię wcześniej, jak jeździłaś po parkingu – mówi do mnie Davy. – Myślałem, że przyjechałaś przeprosić. Ale minęłaś mnie.

Cholera. Jak mogłam nie zauważyć żółtego samochodu Davy’ego?

– Odłóż broń, Davy – mówi Porter zwyczajnym głosem. Chyba chce się zapanować nad jego brzmieniem. – Daj spokój, człowieku. To jest chore. Skąd ty ją zresztą wytrzasnąłeś? Jeśli ktokolwiek zobaczył cię chodzącego z tym, możesz skończyć w pierdłu. Nie bądź głupi.

– Kto mnie zobaczy?

– Każdy, kto tu wejdzie – mówi Porter. – Chłopie, jesteśmy otwarci. Moja rodzina jest w drodze z plaży. Właśnie dzwonili. Będą tutaj za dwie minuty. I wiesz, że pan Kramer przychodzi tutaj każdego ranka. Zadzwoń po gliny.

Davy myśli o tym przez sekundę i macha bronią w moim kierunku.

Oddychaj, mówię do siebie.

– Ta kowbojka może zamknąć drzwi. Chcę prywatnej rozmowy, tylko my troje. Mam z wami do pogadania. Wymagane są przeprosiny i może trochę gotówki z kasy, skoro już tam jesteś. Zadośćuczynienie za ból i żal. Za to, co zrobiłeś z moim kolanem.

Nie ruszam się.

– Moi rodzice są już przy ulicy – powtarza Porter, tym razem z groźbą w głosie.

Davy wzrusza ramionami.

– A więc lepiej pospiesz się z kasą. Idź zamknij drzwi, kowbojko.

Rzucam spojrzenie na Portera. Oddycha ciężko. Nie mogę tak dobrze odczytać wyrazu jego twarzy, ale wiem, że jest nieszczęśliwy i psychicznie rozdarty. Zabawne, po raz pierwszy od nigdy, ja nie. Jestem wystraszona i zmartwiona, tak. I nienawidzę widoku tej cholernej broni i tej straszliwej furii, której nie mogę pojąć.

Ale nie boję się Davy’ego.

Jestem wściekła.

Po prostu nie wiem, co z nim zrobić.

Ostrzeżona wzrokiem, idę do frontowych drzwi i je zamykam. Okna są ogromne; widzę jego odbicie w szybie, więc obserwuję go całą drogę. Patrzę, jak obserwuje Portera, ponieważ to tam skierował teraz broń. A dlaczego miałyby nie skierować? To Porter skopał mu tyłek. To Porter jest tym, który wyskoczył prawie zza lady. Porter jest potężnie zbudowany, nic, tylko mięśnie. Nawet trzeźwa osoba uznałaby, że Porter jest większym zagrożeniem.

A Davy nie jest trzeźwy.

Wracam powoli do nich i myślę o ostrzeżeniach taty na temat przesterowania i jak eksplodowałam w Gorącym Pudle – dwa razy. Myślę o wszystkich moich umiejętnościach Artfula Dodgera i jak one częściowo zostały odziedziczone po moim tacie, księgowym, i jego zamiłowaniu do detali i cyferek, a częściowo odziedziczone po mojej mamie prawniczce, i jej zamiłowaniu do znajdowania dziury w całym. Myślę o tym, jak mój tata powiedział, że będzie ze mną dobrze, bo staram się, by tak było.

Ale głównie myślę o dniu w zeszłym miesiącu, kiedy dwoje dupków próbowało ukraść sokoła maltańskiego z Jaskini. Oni też mnie nie docenili.

Davy rzuca mi krótkie spojrzenie, wystarczające, by zobaczyć, że się zbliżam, ale mam głowę opuszczoną, by mu dać przestrzeń.

– Dobrze zamknięte?

– Tak – odpowiadam.

– No dobra – mówi, trzymając broń wymierzoną w Portera. – Kasa. Opróżnij ją. Kompletne dno. Okradać rodzinę swojego najlepszego przyjaciela. Wiem, że Porter o tym myśli, ale nic nie mówi. Ma zaciśnięte szczęki, kiedy naciska klawisz na komputerze.

– Jeszcze go nie włączyłem – wyjaśnia. – Nie mogę otworzyć szuflady, póki nie ruszy program. Poczekaj chwilę.

Gówno prawda. On musiał włożyć sam szufladę, więc komputer jest włączony. Prawdopodobnie ma klucz do szuflady. Ale Davy jest zbyt naćpany, by sobie zdać z tego sprawę, więc czeka. A wtedy oczy Portera kierują się na mnie. I w tym jednym pięknym momencie wiem, że jesteśmy połączeni.

Zaufanie jest złotem, a tym razem nie zamierzam tego zmarnować.

Skupiam się na Davym. Lada jest przed nim, a za nim jest wieszak z jakimiś krótkimi, szerokimi deskami – jedna trzecia normalnej, „dla cieniasów”, jak zażartował raz Porter.

Czekam. No dawaj, Porter. Daj mi znak.

Jakby czytał mi w myślach, nagle mówi:

– Och, zobacz. Komputer się wreszcie włączył, Davy.

Davy obraca głowę w stronę Portera.

Cofam się, skradam i sięgam po jedną z tych desek. I robię trochę hałasu. Cholera. Deska jest również nieco lżejsza, niż myślałam. No cóż. Teraz już za późno, ponieważ Davy odwraca się, świadomy, że jestem bliżej, niż się spodziewał. Nie mam wyboru.

Jego wzrok napotyka mój, a wtedy chwytam deskę obiema rękoma, zamachuję się i uderzam go w twarz.

Krzyczy, jego głowa odskakuje. Chwieje się i potyka.

Broń uderza mnie w ramię. Chwytam ją i próbuję wyrwać mu ją z ręki. Nagle jest wolna, a ja odlatuję do tyłu z bronią – ale to dlatego, że Porter wyskoczył zza lady.

Przyciska Davy’ego do podłogi, kiedy ja uderzam plecami w wieszak z deskami,

zwalając je wszystkie. Próbuje wstać na nogi i utrzymać broń, ale nie daje rady.

Upadam na twarz.

– Porter! – Pływam w morzu piankowych desek. Oni siłują się na podłodze, a jedyne, co mogę zobaczyć, to ramię Portera walące jak tłok w trenz Davy’ego zaplątany w jego nogi.

A potem...

Głośny jęk.

Serce wali mi o żebra, odsuwam deski na bok i staję na nogi.

Porter leży na podłodze.

Davy jest pod nim, twarzą w dół. Jeden policzek przyciśnięty do drewna. Jedno oko łzawi.

– Przepraszam – mówi Davy zachrypniętym głosem.

– Ja też – odpowiada Porter, przyszpilając ramię Davy’ego do podłogi. – Próbowałem, człowieku. Ktoś inny będzie cię teraz ratował.

Porter zerka na mnie i kiwa głową. Widzę broń na podłodze i odkopuję ją jak najdalej. Potem wyciągam telefon z kieszeni i wybieram 911.

– Tak – mówię do telefonu, bez oddechu, ciężko przełykając ślinę. – Jestem w Penny Boards Surf Shop na deptaku. Była tutaj próba kradzieży z użyciem broni. Jesteśmy okej. Ale musicie przysłać kogoś, by aresztował gościa. I musicie również zadzwonić do sierżant Wandy Mendozy natychmiast i powiedzieć jej, by przyjechała na miejsce od razu.

Mógłbym wrócić do nienawidzenia ciebie. To było zabawniejsze.

Cary Grant *Północ, północny zachód* (1959)

Okazuje się, że broń Davy’ego była kradziona. Miał też od cholery heroiny i innych narkotyków w swoim płaszczu. Wanda mówi, że ponieważ od miesiąca ma osiemnaście lat i był już aresztowany wcześniej, może być sądzony jak dorosły i spędzić trochę czasu w więzieniu. Teraz jest na detoksykacji w celi. Wanda mówi, że jego adwokat będzie próbował przekonać sędziego, by dał mu kilka tygodni prac społecznych, podczas oczekiwania na proces. Nie ma gwarancji, że sędzia się zgodzi.

Uzyskuję wszystkie te informacje dzień po zdarzeniu w sklepie, więc transmituję to Porterowi via esemes, żeby wiedział. Nie mieliśmy naprawdę czasu na rozmowę, w całym tym chaosie. Jego rodzina pojawiła się kilka minut po tym, jak przyjechały gliny, i byli, co zrozumiałe, przerażeni. Pan Roth był tak wściekły na Davy’ego, że musiano go siłą przytrzymać, póki pani Roth nie przemówiła mu do rozsądku. Wanda zadzwoniła do mojego taty, który natychmiast wyszedł z pracy i pognął do sklepu, żeby upewnić się, czy jestem cała. To było zupełne fiasko.

Kiedy już złożyliśmy zeznania i wszystko zostało wyjaśnione, Porter musiał iść do pracy w Jaskini, więc ja poszłam z tatą do domu. Dopiero kiedy tata zamówił dla nas lunch, zdałam sobie sprawę, że Porter w którymś momencie, kiedy nie zwróciłam na to uwagi, musiał wsunąć mi ponownie do kieszeni ząb rekina. Kilka minut później dostałam od niego wiadomość.

Brzmiała tak: „Nie skończyliśmy rozmowy”.

Następnego dnia po kolacji, ni z tego, ni z owego, mój tata spytał mnie o moją starą mapę promenady. Gdzieś ją wsadziłam, kiedy Alex mnie olał kilka tygodni temu. Musiałam przekopać moją szufladę w biurku w sypialni. Tata rozłożył ją na

stole na patiu niedaleko sekwoi i zaczął studiować, kiwając powoli głową.

– Co? – pytam.

Tata opiera się na krześle i uśmiecha się do mnie.

– Wiesz, że jesteś nieustępliwa i uparta. Masz to po mamie. Dlatego jest świetnym prawnikiem. Kocham nieustępliwe kobiety. To właśnie przyciągnęło mnie do Wandy. Dlatego jest dobrą gliną.

Rzucam mu spojrzeń z ukosa. Dokąd on zmierza?

– Ta nieustępliwość ma jednak również złą stronę, ponieważ poruszasz się do przodu z klapkami na oczach. Jak koń, wiesz? – Przykłada dłonie do swoich oczu.

– Brniesz do przodu i robisz duży postęp, jakiego inni ludzie nie osiągną, ale nie widzisz, co się dzieje po obu stronach ulicy. Masz ślepe strefy. Ignorujesz rzeczy, które są tuż przy tobie. Twoja mama robiła to cały czas.

– To dlatego się rozwiedliście?

Myśli o tym przez długi moment.

– To był jeden z powodów. Ale teraz nie chodzi o mamę i o mnie. Mówię o tobie. I twoich ślepych strefach. Nie bądź taka nieustępliwa. Czasem musisz się zatrzymać i rozejrzeć dookoła.

– Czemu ty nigdy nie powiesz mi wprost, co masz do powiedzenia, Mistrzu Yoda?

– Ponieważ próbuję zmusić cię, byś myślała sama, młody Jedi. Mogę ci dać radę, ale to ty musisz odwalić robotę. Rodzice mają ci pomóc stać się niezależną, młodą kobietą, która sama znajduje odpowiedzi. Nie ja.

– Brzmi tak, jakbyś przeczytał to w jakiejś książce dla rodziców.

Uśmiecha się.

– Może tak było.

– Głupek – drocę się z nim. – No dobra, to jaka jest twoja rada? Przekaż mi ją.

– Czy powiedziałaś Porterowi, że rozmawiałaś z Alexem, zanim się tu przeprowadziłaś?

– Hm, nie.

– Może powinnaś. Ludzie czują, kiedy coś przed nimi ukrywasz. Wiedziałem, że twoja mama zdradza mnie z Nate'em miesiące wcześniej, nim mi powiedziała. Nie miałem dowodu, ale czułem, że coś jest nie tak.

Jestem tym tak zaskoczona, że nie wiem, co powiedzieć. Tata nigdy nie mówił

wiele o Nacie – ani o tym, że wiedział, że mama go z nim zdradza. To wprawia mnie w zakłopotanie. Co dziwne, mówi o tym spokojnie. Ale jeszcze dziwniejsze, że rozmawiamy o tym teraz. I... czekaj jedną cholerną sekundę...

– Ja nie zdradzałam Portera z Alexem – mówię mu. – Ani Alexa z Porterem.

– To, co robiłaś lub nie robiłaś, nie ma znaczenia – odpowiada tata. – To tajemniczość cię zjada. Po prostu powiedz Porterowi. I może bądź szczerą z Alexem, jeśli już przy tym jesteśmy. Poczujesz się lepiej, obiecuję.

– No nie wiem – mruczę.

– Tak jak powiedziałem, nie moja rola wykonać to za ciebie. – Składa mapę w mały kwadracik. – Ale moja rada, najdroższa córko, jest taka, żebyś poskładała swoje problemy z chłopakami do kupy, za jednym razem.

Zajął mi cały dzień myślenie o tym, co powiedział tata, ale myślę, że w końcu zobaczyłam w tym logikę. Alex był dużą częścią mojego codziennego życia przez długi czas. I oczywiście, olał mnie. Ale ja powinnam powiedzieć mu, że się przeprowadziłam. Może kiedy powiem mu to teraz, nie będzie go to już obchodziło, szczególnie teraz, kiedy przełamalam lody à propos Portera w tej ostatniej od serca wymianie wiadomości, jaką mieliśmy. Chyba się nie dowiem, dopóki nie spróbuję.

@mink: Hej. To ja znowu. Nadal tam jesteś?

Jego odpowiedź przychodzi dwie godziny później.

@alex: Jestem. Co jest?

@mink: Skoro byliśmy tak superszczerzy w naszej ostatniej rozmowie, pomyślałam, że zrobię jeszcze jedną spowiedź. Ta jest większa. Gotowy?

@alex: Czy powinienem usiąść? *obawiam się*

@mink: Prawdopodobnie.

@alex: Siedzę.

@mink: Okej, oto spowiedź. Jestem w mieście, mieszkam z tatą i jestem tutaj już jakiś czas. Przepraszam, że nic nie powiedziałam. Długa historia, ale martwiłam się, że to mogłoby być dziwne, a ja mam tendencję do unikania konfrontacji. Ale lepiej późno niż wcale? Zastanawiałam się, czy chciałbyś się spotkać na lunch. W każdym razie... to się robi dziwne, więc się zamykam. Chciałam po prostu, żebyś wiedział, że mi przykro, że nigdy ci nie powiedziałam nic o przyjeździe tutaj, i pomyślałam, że może powinnam

przeprosić osobiście, skoro jesteśmy w tym samym mieście i byliśmy przyjaciółmi. (I mam nadzieję nadal jesteśmy?) Co ty na to?

Czekam i czekam i czekam na jego odpowiedź. To jest błąd. Powinnam była prawdopodobnie skasować odpowiedź. Jeśli jej jeszcze nie przeczytał, byłabym nadal w stanie...

@alex: A co z twoim chłopakiem?

@mink: To byłby nieromantyczny lunch. Przykro mi, nic się nie zmieniło od czasu naszej ostatniej rozmowy. Nadal z nim nie skończyłam.

@alex: Czemu nie wykorzystamy mojego oryginalnego planu? Spotkajmy się w niedzielę wieczorem na plaży pod flagą Kalifornii, pół godziny przez pokazem *Północ, północny zachód*.

O cholera. Nie byłam na to przygotowana! Przeszukuję pokój, by znaleźć przewodnik po festiwalu filmowym, który dał mi Patrick, i zobaczyć grafik darmowych filmów, jakie pokazują na plaży. *Północ, północny zachód* nie zaczyna się przed dziewiątą wieczorem. Będzie już ciemno. Czy powinnam spotykać obcego chłopaka po zmroku? To nie brzmi rozsądnie. Ale w publicznym miejscu, a kiedy znajduję przewodnik, są tam zdjęcia z zeszłego roku; cała okolica jest dobrze oświetlona. Z pewnością flaga jest gdzieś niedaleko.

Czy powinnam to zrobić? Artful Dodger z pewnością by tego nie zrobił. Ale czy ja nadal nim jestem?

@mink: Dobra, spotkajmy się tam.

Jeden problem z chłopakiem ogarnięty. Teraz drugi. Ten wygląda na trudniejszy. Wysłałam szybką wiadomość.

Ja: „Hej, jesteś zajęty? Miałam nadzieję, że moglibyśmy się gdzieś spotkać i pogadać. Chcę zrobić to *quid pro quo*. Wygrałeś”.

Porter: „Właściwie jestem zajęty aż do po niedzieli. Co powiesz na potem?”

Ja: „Okej. Stoi. Będziemy w kontakcie”.

Właściwie mi ulżyło. *Północ, północny zachód* jest w niedzielę, a więc daje mi to czas na spotkanie się z Alexem i wyjaśnienie sprawy z nim, zanim pogadam z Porterem. Kto by pomyślał, że dwóch chłopaków to taki problem?

W *Północ, północny zachód* Cary Grant gra sprzedawcę reklam, który zostaje pomyłony z agentem CIA zwanym Kaplanem. Chodzi o to, że Kaplan tak

naprawdę nie istnieje. Więc w całym filmie Cary Grant jest ciągle zmuszany do udawania kogoś, kim nie jest. Nic nie jest takie, na jakie wygląda, dlatego oglądanie tej historii jest takie zabawne. Razem z Alexem rozmawialiśmy o treści filmu online. Ale dziwnie jest myśleć o tej rozmowie teraz. Zdecydowanie wolałabym porozmawiać w szczęśliwszych okolicznościach.

Kiedy zbliża się niedzielny wieczór, jestem już zupełnie spokojna. Może dlatego, że wreszcie nadchodzi ten czas, czas spotkania Alexa. A może dlatego, że nie czuję już tego samego, co czułam do niego kiedyś, teraz, kiedy Porter jest w moim życiu. Wracam myślą do początku lata. Tak się wtedy martwiłam i denerwowałam, kim Alex mógłby lub nie mógłby być – wysoki, niski, łysy czy z włosami, nieśmiały czy gadatliwy – i żadna z tych rzeczy nie ma już znaczenia.

Jest, kim jest.

Ja jestem, kim jestem.

To, kim ludzie są, nie może być tak naprawdę zidentyfikowane po profilu online ani nawet po korespondencji pisanej, nieważne jak szczerzej. Pokazywaliśmy tylko jedną stronę siebie. Odpowiednio dopasowaną i przyozdobioną. Nie widział wszystkich moich porażek i pokręconych problemów albo jak długo depiluję brwi każdej nocy. Nie wie, że próbowałam poderwać geja, ponieważ myślałam, że to może być on. Albo że nie potrafię odróżnić kocura od kotki... albo o tych wszystkich niegrzecznych GIF-ach, z których śmiałam się z Grace... czy liczbie gofrów, które mogę zjeść na jeden przysiad, zanim stanie się to kłopotliwe dla sprzedawcy, ponieważ wie, że naprawdę nie kupuję ich dla przyjaciół (pięć).

Jeden Bóg wie, czego nie widziałam u niego.

Więc wicie, nieważne. Jeśli jest miły, super. Jeśli nie, żadna strata. W myślach trzymam wysoko głowę i noszę zainspirowaną Grace koszulkę, która mówi: JESTEM TUTAJ DO ZAMKNIĘCIA, dużymi, zakręconymi literami.

Przyjeżdżam na plażę nieco więcej niż pół godziny przed początkiem filmu. Pokazują go, o ironio, obok jednego z pierwszych miejsc, które pamiętam, kiedy przyjechałam do miasta: przejście dla surferów. Tylko że cały teren jest dzisiaj zmieniony, z jednym z tych ogromnych, kręcących się świateł, które wskazują na niego i ogłaszają światu: Hej, film tutaj! Oświetlili również palmy wzdłuż Gold Avenue i powiesili banner festiwalu na parkingu naprzeciw ulicy, który jest

zapchany samochodami. Udaje mi się wcisnąć Baby w przerwę obok innego skutera, zanim nadchodząca grupa ludzi, którzy niosą piknikowe koszyki i lodówki, zbliży się do wielkiego białego ekranu i usiądzie w piasku.

Alex miał rację tych kilka miesięcy temu, kiedy pierwszy raz powiedział mi o tym: jest tu naprawdę fantastycznie. Słońce zachodzi nad oceanem. Rodziny i pary siedzą na kocach, a bliżej drogi widzę rząd namiotów i przyczep z jedzeniem, sprzedających burgery i rybne taco, oraz stoisko festiwalu. Kieruję się do niego, szukając słupa flagowego. Wszystkie palmy są oświetlone, więc uznaję, że słup też musi być, prawda? Ale kiedy wchodzę w cały rząd sprzedawców, nie mogę go znaleźć. Również żadnych flag niedaleko ekranu. To jest całkiem duży ekran, więc jeszcze raz sprawdzam wokoło, ale nic. *Nada*.

To dziwne. Alex mieszka tutaj, więc zna to miejsce. Nie powiedziała by, żebyśmy się spotkali w tak specyficznym miejscu, gdyby go tu nie było. Sprawdzam swoje wiadomości, by zobaczyć, czy nie ma od niego nic nowego, a kiedy nie widzę, wracam tam, skąd przyszłam, aż do końca rzędu i wolnej przestrzeni do siedzenia. To wtedy to zauważyłam.

Słup flagowy ustawiony przy schodach, na szerokiej z naturalnego kamienia platformie – z widokiem na ocean, tam, gdzie kończy się przejście dla surferów.

Dokładnie naprzeciw pomnika Pennywise'a Rotha.

Wzdycham, a potem parskam, ponieważ naprawdę, nieważne, co robię, nie mogę od niego uciec. A jeśli Alex jest miłym gościem, na co mam nadzieję, będziemy się mogli z tego później śmiać.

Lawirując pomiędzy kocami, idę na taras widokowy i wspinam się po kamiennych schodach. Teraz zaczynam się lekko denerwować. Nie bardzo, ale to jest takie surrealistyczne. Taras jest dość duży. Jest otoczony drewnianą barierką z prowizorycznymi ławkami od strony oceanu, gdzie jedna starsza para obserwuje zachód słońca. Nie on, to na pewno. Zerkam na pomnik Pennywise'a. Widziałam to na zdjęciach w Internecie, oczywiście, i przejeżdżałam koło niego, ale dziwnie jest widzieć go tak blisko osobiście. Ktoś zawiesił wianek hawajski na jego szyi. Zastanawiam się, czy nie była to pani Roth.

Ktoś siedzi na ławce za pomnikiem. Głęboko oddycham, prostuję ramiona i okrążam powoli starego Pennywise'a. Czas zmierzyć się z wyzwaniem.

– Cześć, Mink.

Mój mózg widzi, kto stoi naprzeciw mnie, słyszy słowa, ale nie wierzy. Kalkuluję i kalkuluję, na okrągło, ale nadal nie łapię. A potem nagle wszystko do mnie wraca.

Sklep z filmami.

Śniadanie u Tiffany'ego.

On przejmujący się kradzieżą sokoła maltańskiego.

Rzymskie wakacje.

Biały kot przy sklepie dla surferów.

Budka z goframi.

„Czy to źle nienawidzić kogoś, kto był twoim przyjacielem?”

Zdradzająca dziewczyna.

Big Lebowski.

Oglądanie filmów w pracy.

„Mój współpracownik, szczerzy człowiek.”

Filadelfijska opowieść.

Pan Roth... Xander Roth.

Alexander.

Alex.

Uginają się pode mną kolana. Upadam. Porter zrywa się z ławki i chwytając mnie w pasie, zanim uderzam w ziemię. Kopię w kamień pod moimi stopami, jakbym płynęła w miejscu, próbując złapać przyczepność. Próbuję odzyskać kontrolę w nogach. W końcu mi się udaje. Kiedy już stoję, dostaję lekkiego fioła. To ten jego zapach kokosa. Odsuwam go od siebie, biję go – mocno – ciosy lądują na jego ramionach, aż mnie puszcza, żeby zasłonić twarz. A wtedy ja rozpadam się na kawałki.

Płaczę.

I płaczę.

Zwijam się w kłębek na ławce i łkam jeszcze gwałtowniej.

Nawet nie wiem, czemu tak strasznie płaczę. Po prostu czuję się głupio. I zszokowana. I oszołomiona. W jakiś sposób zdradzona, też, ale to śmieszne, ponieważ jak niby? A potem przestaję płakać, łapię kilka razy powietrze, bo zdaję sobie sprawę, jak musiał się czuć Porter, kiedy to odkrył.

On siedzi na ławce i kładzie moją głowę na swoich kolanach, wzdychając

ciężko.

– W którym miejscu tej układanki jesteś? Ponieważ jest wiele warstw.

– Właściwie oszukiwaliśmy się nawzajem – mówię.

– Tak. Całkiem niezły bałagan. Kiedy powiedziałem mamie, ona powiedziała, że wyciągnęliśmy odwrotność *Pina Colady*, która jest jakąś tandetną piosenką z lat siedemdziesiątych o parze, która pisała osobiste ogłoszenia, szukając drugiej połówki, i skończyli na spotykaniu się ze sobą.

– O Boże – jęczę. – Powiedziałaś mamie?

– Hej, to trochę szalone. Musiałem komuś powiedzieć. Ale spójrz na to z tej strony. Skończyliśmy na tym, że prawdziwi my jesteśmy bardziej połączeni niż my online. To już coś, prawda?

– Tak sądzę.

Myślę o tym jeszcze trochę. Ojej. Mój tata wiedział. Próbował mi to powiedzieć, opowiadając o tych wszystkich ślepych i koniach. Kolejna fala uczucia JESTEŚ NAJWIĘKSZĄ IDIOTKĄ NA ŚWIECIE, i tym razem pozwalam, by przepłynęła, nie walczę. Starsza para, która tu była, odeszła – zakładam, że krzycząca nastolatka zrujnowała ich spokój w podziwianiu zachodu słońca – więc mamy całą przestrzeń dla siebie i za to jestem wdzięczna. Poniżej tarasu setki ludzi oblegają plażę, ale są na tyle daleko, że nie obchodzi mnie to.

– Nie wiedziałaś aż do tamtego wieczora z gram, prawda? – pytam.

– Nie.

Czuję się przez to trochę lepiej, tak sądzę. Przynajmniej oboje byliśmy głupi w tej sprawie, dopóki on nie usłyszał mojego przezwiska. O Boże. Oglądał *Filadelfijską opowieść* ze mną celowo. Wiedział już, ale mi nie powiedział. Moje upokorzenie jest niemierzalne.

– Dlaczego? – pytam cicho. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Byłem skonsternowany. Nie wiedziałem, co robić. Nie mogłem uwierzyć, że mieszkałaś tutaj przez cały czas. Nie mogłem uwierzyć, że ty... byłaś nią, Mink. W pierwszym momencie pomyślałem, że ze mną pogrywasz, ale im więcej o tym myślałem, wiedziałem, że to nie pasuje. Po prostu oszalałem na chwilę. A potem... myślę, że chciałem to zachować dla siebie. I chciałem, żebyś sama to odkryła. Myślałem, że to zrobisz. Jeśli będę podrzucał wystarczającą ilość wskazówek, myślałem, że ci się uda, Bailey, przysięgam. A potem zacząłem myśleć, czemu nie

powiedziałaś mnie, Alexowi, że się przeprowadziłaś, i jak to jest czuć, że mnie okłamujesz... i chciałem, żebyś się oczyściła.

– Quid pro quo. – Zamykam oczy, teraz w pełni świadoma ironii.

– Nie chciałem, żeby sprawy przybrały taki obrót – mówi dalej. – Kiedy cię zwolnili... Grace powiedziała mi, co się stało w Gorącym Pudle. A tak przy okazji, zrobiła też trochę krzywdy mojej męskości, co przysporzyło mi kilku koszmarów.

Jęczę.

– Nie obwiniam cię o to, co zrobiłam w Gorącym Pudle. Byłam smutna, ale nie mogłam tego odpuścić.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że to, co Scott i Kenny mówili tego dnia... nie myślę, że było śmieszne. Nie wiem nawet, czemu się zaśmiałem. Myślę, że to była po prostu nerwowa reakcja. Czuję się potem okropnie. Próbowałem do ciebie napisać i powiedzieć ci, ale nie rozmawiałaś ze mną. A potem przydarzył się Davy...

Wzdycham, drżąc, kompletnie przygnieciona tym wszystkim.

– Boże, co za bałagan.

Po sekundzie Porter mówi:

– Wiesz, czego nie mogłem zrozumieć? Czemu skłamałaś, gdzie mieszkałaś wcześniej.

– Nie kłamałam. Moja mama i jej mąż przenieśli się z New Jersey do DC kilka miesięcy wcześniej. Po prostu nigdy tego nie powiedziałam Alexowi. Tobie. AlexowiTobie. To nie jest przypadkowe przezwisko, prawda?

– Alex to moje drugie imię.

– Alexander. Jak twój tata?

– Taaak. Również jak dziadek. – Zakłada mi za ucho kosmyk włosów. – Czy zdajesz sobie sprawę, że uniknęlibyśmy całego tego zamieszania, gdybyś TyMink powiedziała mi na samym początku, że się tutaj przeprowadzasz... prawda?

Przykrywam swoją twarz jego dłonią. A potem odkrywam i siadam, wycierając łzy.

– Wiesz co? Może nie. Powiedzmy, że zaaranżowałam spotkanie z TobąAlexem w Pancake Shack zaraz po przeprowadzce, a potem dostałam tę pracę w Jaskini. Czy wtedy by zaiskrzyło? Nie wiem. Ty też nie wiesz. Może to ta sytuacja, w jakiej byliśmy w Jaskini.

Porter kręci głową i wyciąga palec do mnie.

– Nie. Nie wierzę w to i nie sądzę, żebyś ty też wierzyła. Dwoje ludzi, którzy mieszkają w różnych miejscach i znajdują siebie, nie raz, ale dwa? Mogłabyś umieścić jedno z nas na Haiti, a drugie wysłać na księżyc, a i tak byśmy byli z sobą.

Pociągam nosem.

– Naprawdę tak uważasz?

– Pamiętasz, jak powiedziałem ci, że jesteś skomplikowana jak mgła i że bałem się, że uciekniesz do mamy na koniec lata? Już się nie boję.

– Nie?

Patrzy na ocean, ciemną purpurę z ostatnimi promieniami światła.

– Moja mama mówi, że wszyscy jesteśmy połączeni, ludzie, rośliny, zwierzęta. Znamy się od środka. Rozłącza to, co na zewnątrz. Nasze rzeczy, słowa, działania. Ataki rekinów. Strzelaniny. Spędzamy nasze życie na znajdowaniu innych ludzi. Czasem mamy mętlik w głowie i odwracamy się od siebie. – Uśmiecha się do mnie. – Ale nie my.

Też się uśmiecham ze łzami szczęścia.

– Nie, nie my.

– Kocham cię, Bailey „Mink” Rydell.

Moją reakcją jest pojedynczy śmiechopłacz.

– Ja ciebie też kocham, Porterze „Aleksie” Roth.

Zwracamy się ku sobie i spotykamy pośrodku, na wpół się całując, na wpół mrużąc, jak bardzo za sobą tęskniliśmy. Jest to łzawe i cudowne, i nigdy nie byłam przytulana tak mocno. Całuję go po całej szyi, po jego kręconych włosach, a on chwyta moją twarz w obie dłonie, a potem ściera mi mój splakany makijaż swoją koszulką.

Oklaski i okrzyki prostują nas oboje. Niemal zapomniałam o filmie. Porter ciągnie mnie i przechylamy się oboje nad poręczą, spoglądając w ciemność. Migoczące światła wypełniają plażę i pojawia się stare logo MGM z ryczącym lwem. Zaczyna się muzyka. Napisy początkowe przelatują przez ekran. CARY GRANT. EVA MARIE SAINT. Dreszcze przechodzą po mnie z góry na dół.

I wtedy zdaję sobie sprawę: Chcę dzielić to wspólnie z Porterem. Całą sobą. Całymi nas.

Zerkam na niego. On też jest pełen emocji.

– Hej – mówi, przyciskając do mnie czoło.

– Hej.

– Czy idziemy na dół na plażę? – pyta, obejmują mnie ramieniem.

– O ile pamiętasz, nienawidzę plaży z tego czy innego powodu.

– To dlatego, że nie byłaś nigdy na prawdziwej. Plaże na Wschodnim Wybrzeżu są beznadziejne.

Śmieję się, a moje serce śpiewa z radości.

O tak. To prawda. Pokaż mi prawdziwą plażę, czemu nie, surferze. Chodźmy obejrzeć film.

Chciałam być tobą. Tak bardzo chciałam być tobą.

Meg Rayan *Masz wiadomość* (1998)

Robię dwa szybkie wydechy i wkładam swoją torebkę do pożyczonej szafki. Za mną, przez wąski pasaż do głównego piętra, widzę tłum, który stoi w jasnym świetle audytorium. Czas zacząć. Obracam głowę na wszystkie strony i raz jeszcze sprawdzam telefon.

Niektórzy ludzie rozkwitają w świetle reflektorów; inni wolą być poza sceną. Nie możesz zrobić filmu, mając tylko aktorów. Potrzebujesz też pisarzy, specjalistów od charakteryzacji, projektantów kostiumów i utalentowanych agentów. Wszyscy są tak samo ważni.

Nie jestem dziewczyną z pierwszego rzędu i pogodziłam się z tym.

W ostatnich dnia raczej porzuciłam Artfula Dodgera. W większości. Kiedy kilka miesięcy temu zaczęła się szkoła, trochę się cofnęłam. Ale to nie znaczy, że jestem gotowa być przewodniczącą starszej klasy jak Grace. Znaczy to, że od naszej babskiej rozmowy na plaży, gdzie ją zostawiłam, starałam się być dobrą przyjaciółką, więc pomogłam jej w całej kampanii. Wygrała, ale to nie było niespodzianką. Wszyscy kochają Grace. Ja po prostu kocham ją trochę bardziej.

Po szkole pracuję w Video Ray-un, gdzie jest dużo mniejsze ciśnienie niż w Gorącym Puddle – co nie znaczy, że jest chłodniej. Dodatkowo mam dostęp jako pierwsza do „nowych” używanych DVD, które przychodzą do sklepu. A od kiedy Porter ma zmiany w Jaskini tylko w weekendy ze względu na szkołę, widuję go podczas swoich przerw w pracy, ponieważ sklep dla surferów jest tylko pięć minut drogi od sklepu z płytami. Win-win.

A muszę go widzieć zawsze, kiedy tylko mam taką szansę, ponieważ w następnym tygodniu leci z mamą na Hawaje. Spotykają się tam z panem Rothem, by oglądać zawody Lany w Oahu, jakieś specjalne. I porozmawiać z kimś z Ligi

Światowej na temat kwalifikacji Portera w ważnym wydarzeniu w styczniu w południowej Kalifornii. Już jest zarejestrowany i ćwiczy, jak tylko może. W społeczności surferów jest gorąca linia na temat tego, że rodzeństwo Rothów może być kolejnym wielkim wydarzeniem; reporter z Australii zadzwonił w ostatnim tygodniu do sklepu i przeprowadził wywiad z tatą Portera dla jakiegoś magazynu.

Wszystko to jest ekscytujące, a ja jestem podniecona, będąc częścią tego, że Porter znów chce surfować. Urodził się po to. A jednocześnie cieszę się, że nie zrezygnował z pójścia do college'u. Mówi, że może pracować i się uczyć. Nie sądzę, by zdawał sobie z tego sprawę wcześniej, ale mogę zrozumieć, dlaczego. Jego rodzina wiele przeszła. Trudno myśleć o kolejnym tygodniu, kiedy nie jesteś pewien, czy dasz radę tego dnia.

Ale teraz się o niego nie martwię. I nie martwię się, że pójdzie w ślady Lany, i dokądkolwiek będzie podróżował, na całym świecie, tydzień tu, tydzień tam, Australia czy Francja, Afryka Południowa czy Hawaje. Może czasem polecę z nim. Może nie. Ale to nie ma znaczenia. Ponieważ on ma rację. Surfowanie w zawodach czy rakietą na księżyc, odnajdziemy się.

– Pięć minut! – mój kapitan krzyczy do drużyny.

Kilka dziewczyn wokół mnie spieszy się, by skończyć ostatnie przygotowania, makijaż, włożyć czarne stroje, ochraniacze na kolana i błyszczące złote szorty. Jedna dziewczyna biegnie spóźniona, by założyć rolki. Jeśli kapitan drużyny, LuAnn Wong, odkryje, że chce ją wziąć na litość, bo ma pierwszy okres, nie uwierzy w takie bzdury.

Dołączyłam do lokalnej drużyny rolkowej Derby, Coronado Cavegirls, Jaskiniowe Dziewczyny z Coronado, dwa miesiące temu. Jesteśmy częścią regionalnej Ligi Rollergirls, więc rywalizujemy z trzema innymi drużynami z okolicy, włączając jedną z Monterey. Dla mnie to dobrze, ponieważ w każdą sobotę pracuję jako wolontariusz w Pacific Grove Natural History Museum. Głównie kataloguję muszle w magazynie i nie płacą mi za to, ale uwielbiam to.

Na początku byłam trochę przerażona dołączeniem do Derby. Jak dla mnie było to za bardzo na „widoku”, a większość dziewczyn jest kilka lat starsza ode mnie. Jedna z jeżdżących jest nawet pod czterdziestkę. Ale Grace dodała mi odwagi, stroje są super, i im więcej o tym myślałam, tym bardziej podobał mi się pomysł.

Kiedy jestem tam i jeżdżę, to nie chodzi o mnie, ale o drużynę. Pracujemy razem jako grupa. Jestem blokującą, co oznacza, że muszę mieć na sobie kask z gwiazdką a moim celem jest jazda za blokującymi z drużyny przeciwnej tak szybko, jak umiem. Moje umiejętności Artfula Dodgera są lepiej wykorzystywane w trakcie gry niż w życiu codziennym.

Dodatkowo pozwala mi to pozbyć się pary. Kiedy pracowałam w Gorącym Pudle, byłam przegrzana, teoretycznie i dosłownie. Skating daje upust moim frustracjom. Nie muszę skakać na głupie dzieciaki, którzy ukradli sokoła z muzeum, rzucać biletami w klientów czy wyrwać broni z rąk dupków. Mogę dowalić dziewczynom większym ode mnie i nie dość, że jest to legalne, to jeszcze dodaje mi odwagi.

Zerkam na ławki i skanuję w poszukiwaniu znajomych twarzy, wyłapując je niemal natychmiast. Mój tata siedzi z Wandą; oni nigdy nie opuszczają moich zawodów. Z przodu siedzą Grace i Taran – wrócił z Indii na koniec lata, dzięki Bogu, więc nie musiałam tam lecieć i kopać go w dupę – i Patrick ze swoim chłopakiem, i wreszcie pani Roth i Porter. Ma na sobie diabelską kurtkę z napisem GORĄCY TOWAR, na której widok się uśmiecham. (Notka dla siebie: Podrzyj tę kurtkę na tyłach vana).

– Trzy minuty, moje panie – woła za mną LuAnn. – Szykujcie się.

Kiedy moje koleżanki zbierają ją się wokół mnie do wyjścia, wyciągam telefon i proszę jedną z dziewczyn, żeby zrobiła mi zdjęcie, jak śmieję się z tłumem w tle. Moje przezwisko jest wydrukowane wielkimi literami na tyle koszulki: MINK.

Podpisuję zdjęcie, z godziną i datą i dokładną geolokacją, i wysyłam do mojej mamy. Nie czekam na odpowiedź. Wiem, że nie nadejdzie. Ale nie straciłam nadziei, że pewnego dnia będzie gotowa wybaczyć sobie. Wybaczyć mnie, że wyjechałam i przeprowadziłam się tutaj. A jak już będzie gotowa? Będzie mogła przyjechać i odwiedzić mnie i tatę. Może zabierzemy ją nawet na pozole, kto wie.

Po ostatnim wezwaniu upycham telefon do szafki i ustawiam się z koleżankami z drużyny. Wszyscy buczą. Zawsze tak jest, zanim wyjdziemy. To takie pośpieszanie. Potrząsam rękoma i poprawiam pasek w kasku. Wszystko jest na swoim miejscu. Słyszę zapowiadającego, jak przekrzykuje tłum. Wszyscy krzyczą. Już prawie czas, żeby wyjść.

– Gotowe, dziewczęta? – pyta LuAnn, podjeżdżając do linii i patrząc po kolei na

każdą z nas.

Dotyka mojego ramienia, co mi przypomina dotyk Pangborna, a ja kiwam lekko głową.

Jestem gotowa.

Jestem Mink. Usłyszcie mój krzyk.

Podziękowania

Megatony podziękowań niech przyjmą:

10. *Moja nadzwyczajna agentka, Laura Bradford, za wyjątkowy wysiłek w dostarczaniu dobrych wiadomości.*

9. *Moja czepliwa redaktorka, Nicole Ellul, za to, że jest najlepszą, jaką miałam – ukłon.*

8. *Moja cudowna drużyna w wydawnictwie Simon Pulse, USA – Mara Anastas, Liesa Abrams, Tara Grieco, Carolyn Swerdloff, Regina Flath i cała reszta nazwisk i twarzy, których jeszcze nie znam – za wiarę w potencjał tej książki.*

7. *Moja wspaniała drużyna w wydawnictwie Simon & Schuster, Wielka Brytania – Rachel Mann, Becky Peacock, Liz Binks i cała reszta, która pracowała ciężko za sceną – za Wasz udzielający się innym entuzjazm.*

6. *Moi zagraniczni wydawcy, Barbara Köning i Leonel Teti, za nieustającą wiarę w moje książki, i Christina w LOVE-BOOKS, za danie mi szansy.*

5. *Moi betaczytelnicy, Veronica Buck i Steacey Kalani, za ich szczerą i łagodność.*

4. *Moja agentka od praw zagranicznych, Taryn Fagerness, za tolerowanie moich głupich pytań.*

3. *Moja osobista drużyna wsparcia – Karen i Ron, i Gregg, i Heidi, i Hank, i Patsy, i Don, i Gina, i Shane, i Seph – za niekończące się wsparcie. Nie zasługuję na żadne z Was.*

2. *Mój mąż, za wytrzymałość w znoszeniu mojego pisarskiego szaleństwa. Nie zasługuję na ciebie. Kocham.*

1. *I moi czytelnicy, dziękuję Wam za danie mi powodów do wiary w siebie. Mam nadzieję, że będę mogła odwdziaczyć się poprzez słowa w tej książce, choćby trochę.*

Przypisy

^[1] Artful Dodger – postać z powieści Karola Dickensa *Oliver Twist*. Kilkunastoletni chłopak, który parał się kradzieżą kieszonkową. Jednocześnie w języku angielskim idiom określający osoby, które mają dużą zdolność sprytnego znikania, unikania działań, spotkań, etc. (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

^[2] Gra słów: *cadaver* w angielskim – trup, nieboszczyk.